



CIEMNA STRONA

SZWEDZCY MISTRZOWIE KRYMINAŁU. ZBRODNIA, TEJEMNICA, SUSPENS

„Wyjątkowa antologia pięknych i mrocznych skandynawskich
historii kryminalnych, ze Stiegiem Larssonem jako wisienką na torcie”.
CAMILLA LÄCKBERG

OPRACOWAŁ JOHN-HENRI HOLMBERG



CIEMNA STRONA

**SZWEDZCY MISTRZOWIE KRYMINAŁU
ZBRODZIA, TAJEMNICA, SUSPENS**

Wybór i opracowanie
JOHN-HENRI HOLMBERG

Przekład
**ALICJA ROSENAU
PAULINA ROSIŃSKA
ANNA TOPCZEWSKA
EWA WOJCIECHOWSKA**

Wydawnictwo Literackie

© Copyright for the introduction by John-Henri Holmberg
© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: www.mavrodesign.com
ILUSTRACJE: Thinkstock Images/Getty Images
REDAKTOR PROWADZĄCY: Waldemar Popek
REDAKCJA: Justyna Chmielewska, Weronika Kosińska, Anna Milewska,
Henryka Salawa
KOREKTA: Anna Pawlikowska, Aneta Tkaczyk, Małgorzata Wójcik

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-05623-3

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Tove Alsterdal

SPOTKANIE PO LATACH

Wysiada z samochodu i rusza powoli w stronę jeziora. Ono ją przyciąga. Leśna droga wbiega między brzozy, by dalej zamienić się w ścieżkę. Oszałamiające poczucie, że czas pędzi wstecz, ku tamtej chwili.

Ta czarna woda.

To samo jezioro, ten sam okres lata co wtedy. Tuż przed nocą świętojańską, zanim upał wedrze się w glebę, a zieleń wciąż jeszcze jest delikatna i młoda. Woda równie ciemna i wabiąca jak w koszmarach, które śnią jej się od tamtej pory. Nie zawsze, musi przyznać. Zdarzały się tygodnie, ba, nawet całe lata, kiedy sypiała całkiem spokojnie — jak wtedy, kiedy Lisette była malutka.

— Boooooże, to już tyle lat. Marina! Piiiiaaa! Agge!

Nadjechały jeszcze dwa samochody i zaparkowały tam gdzie ona. Kobiety krzyczą tak głośno, że słynne stada ptaków z trzepotem unoszą się z nadbrzeżnych łąk i trzcin, aby schronić się w lesie.

Idąc koleżankom na spotkanie, zmusza się do uśmiechu.

— Jojo, to naprawdę ty? — Ostatnich kilka metrów Marina pokonuje biegiem, po czym otacza przyjaciółkę ramionami. Bada wzrokiem jej twarz, odgarnia kosmyk włosów. — Kurczę, jesteś dokładnie taka sama jak kiedyś. Nic się nie zmieniłaś. — Odwraca się do pozostałych kobiet, które wyładowują z samochodów torby i kosze z jedzeniem.

— Widziałyście, kto tu jest? Johanna!

Śmieją się i pokrzykują, a ona niebawem trafia w ramiona wszystkich po kolei, wyściskują się, zupełnie zgodne: żadna nic się nie zmieniła.

Jak cudownie znów się zobaczyć! Po trzydziestu latach! A tobie dałabym

dwadzieścia pięć i ani dnia więcej! Spójrz na siebie! Pękają ze śmiechu z byle powodu. A kiedy wtaczają się do ciasnej harcerskiej chatki, myśli: jak to dobrze, że jednak mimo wszystko przyjechałam. Że nie uległam przemożnej chęci, żeby się gdzieś schować.

Między nimi odnajduje to ciepło, o którym całkiem zapomniała. Znają się od wczesnej młodości, tak że teraz tych trzydzieści lat opada z nich w mgnieniu oka. Dokładnie takie ma wrażenie, kiedy żartobliwie sprzecniają się o to, która wtedy zajmowała górną, a która dolną pryczę. Johanna przygląda im się, próbując zgadnąć, czyj to właściwie był pomysł, żeby się spotkać, wcześniej uznała za oczywiste, że Mariny. Jej rodzice pełnili jakieś funkcje w organizacji harcerskiej, do której należą chatki. Marina o czarnych włosach, które teraz chyba musi farbować; delikatne przebłyski siwizny paradoksalnie ją odmładzają. Jest chyba jeszcze piękniejsza niż dawniej.

— Nie masz ze sobą śpiwora, Jojo? — pyta Agge, kiedy pozostałe kobiety wrzucają swoje rzeczy do spania na piętrowe łóżka.

— Nie, nie wiem, czy mogę... — Czuje na sobie wzrok wszystkich. Dawno nikt nie nazywał jej Jojo. — Muszę jutro wcześniej wstać.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Nie nocujesz? Przecież to właśnie miała być główna atrakcja! — Niski, zawsze zdecydowany głos Agge. Przybyło jej co najmniej trzydzieści kilo i nadal nie można jej się sprzeciwić. — W samochodzie mam koce — mówi. — Załatwi się.

Johanna z uśmiechem kiwa głową. Dlaczego się zgodziła? Jej pierwszą reakcją, kiedy zobaczyła w Internecie zaproszenie, było stanowcze „nie”. A jednak przyjechała. Bo ktoś ją w ogóle zaprosił, pamiętał o niej.

Pia nastawiła już ekspres do kawy. Tak jak dawniej skrada się po cichutku, a mimo to i tak zawsze łąduje w centrum uwagi, najśłodsza ze wszystkich. Ma śliczne drobne zmarszczki wokół oczu, kiedy się śmieje.

— Niech mnie diabli — rzuca Agge — pijemy szampana!

I korek odbija się od sufitu.

Płonie ognisko, prawdziwe obozowe ognisko. Płoną twarze. Czerwcowy zmierzch jest błękitny i przejrzysty.

Otulają się śpiworami. Ma świadomość, że pije za szybko i za dużo.

Pomysł Mariny: będą przepijać do każdej po kolei. Wzniosły już toast za nowe stanowisko kierownicze Mariny w firmie headhunterskiej i za nowego ukochanego Pii, który jej się oświadczył, do trzech razy sztuka! Za to, że Marina przebiegła kobiecy ćwierćmaraton, a Agge przekwalifikowała się na ogrodnika i wreszcie spełniło się jej marzenie. Za marzenia! Marina jest zamężna od osiemnastu lat i nadal kocha swojego męża — zdrowie! I za wszystkie dzieci, które dobrze się spisują w szkole — zdrowie! zdrowie! zdrowie! A zwłaszcza za najstarszego Agge, który dostał się do krajowej reprezentacji juniorów w pływaniu.

— A ty, Jojo? Mów!

Teraz wie, że popełniła błąd, przyjeżdżając. Nie może się pochwalić swoim życiem. Wznosi toast za córkę, Lisette, która od razu po liceum znalazła pracę. Potem wymawia się, że musi iść na chwilę do lasu.

Teraz za chatkami są toalety, ona jednak woli przykucnąć za świerkiem, tak jak wtedy.

Na jeden jej but pryska kilka kropli moczu. Przez gałęzie widzi jaśniejące ognisko i zebrane wokół niego kobiety w średnim wieku.

Za co jeszcze mogłaby wznieść toast? Za to, że jest rozwiedziona i nie udało jej się znaleźć nikogo nowego? Za to, że od kiedy Lisette się wyprowadziła, w jej mieszkaniu panuje głucha cisza? Nie jest w stanie nawet randkować na portalach internetowych, przez co czuje się jak ostatni pasażer nocnego autobusu z centrum, w którym wszyscy są tak zdesperowani, że zadowolają się kimkolwiek. Wie, że tysiące ludzi znajdują na tych portalach miłość, więc to z nią jest coś nie tak. Jakby jej uciekł ostatni autobus nocny i teraz musi stać na mrozie. Wypijmy za to! Źle śpi, bo w pracy znowu mają być redukcje i nikt nie wie, kogo zwolnią. No i wypijmy za ciało, które stopniowo niszczeje, a jego czas się kończy!

Podciągając spodnie, słyszy jakiś odgłos. Trzask gałęzi. Dobiega znad jeziora. Oddycha bezgłośnie, zastyga z ręką na rozporoku. Zdaje jej się, że między gałęziami dostrzega cień, załamanie słabego światła.

Głos. Ogarnia ją przejmujący chłód.

— Zostawiłyście coś dla mnie?

W miejscu, gdzie kończą się świerki, a zaczyna się plaża, ktoś stoi. Chudy i drobny. Falująca płatanina jasnych włosów. Zielony sweter.

— Co tak patrzysz? — mówi Lillis ze śmiechem. Jest nienaturalnie blada. Tak jak wtedy, kiedy igrały ze śmiercią. — Myślałaś, że nie przyjdę?

Śnię, myśli Johanna. Jestem bardziej pijana, niż mi się wydaje. To nie może być ten sam sweter!

— Nie chcesz ze mną rozmawiać? — Postać zbliża się do niej o kilka kroków, lekko przechylając głowę na bok. — A ja myślałam, że się przyjaźnimy.

Johanna się cofa.

— Muszę wracać do dziewczyn — mówi, po czym puszcza się biegiem przez las. Gałąź zadrapuje jej twarz.

Nie ogląda się za siebie, dopóki nie usiądzie z powrotem przy ognisku. Wtedy wpatruje się w głąb lasu tak długo, że pozostałe kobiety też się odwracają.

— Co, u diabła... — Marina wstaje. — Lilian! Nawet nie wiedziałam, że... komu udało się namierzyć Lillis? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Johanna nie rozumie nawet, że ostatnie pytanie było skierowane do niej. Patrzy, jak kobieta podchodzi bliżej. Uśmiech błakający się po twarzy. Teraz wszystkie już stoją. Johanna czuje, że też powinna wstać.

Ciało Lillis wydaje się chłodne i chude, kiedy ją obejmuje. Pospieszny uścisk. Ciemność nadciąga znad jeziora, zapada noc.

— Boże, jak dobrze cię widzieć!

— Gdzieś ty się podziewała? Zniknęłaś chyba jeszcze w gimnazjum?

Skądś z oddali słyszy, jak wznoszą toast za Lillis, jakby z głębi szklanego słoja. Dopiero teraz naprawdę widzi je wszystkie. Wcale nie są tak niezmienione, jak sobie wyobrażały — postarzały się. Zwiotczała skóra zwisa z podbródków, lata wyżłobiły bruzdy nawet na doskonałej niegdyś twarzy Mariny. Widać, że farbują włosy. Tylko Lillis jest nadal młoda, całkiem gładka, równie niepokojąco, nadzwyczajnie piękna jak kiedyś. Ten sam leciutki zez.

— Boże, tyś się nie postarzała nawet o jeden dzień! — krzyczy Agge. — Zdrowie!

Johanna widzi, jak ich usta formują słowa, rozciągają się w uśmiechu. Twarz Lillis jest tak blada, że jaśniej, chociaż żar już wygasł i panuje chłód.

Czy nie widzą, że coś jest nie tak?

Lillis była przez krótki czas jej najbliższą przyjaciółką. Ta niedosięła Lillis, której ona niepojętym cudem jednak dosięgła, to wielkie szczęście, że ją dostrzegła, że wolno jej było przebywać w jej towarzystwie. Lillis, która była przygodą i centrum, wokół którego krążyły Księżyc i Ziemia, i wszyscy chłopcy, podczas gdy Johanna pozostawała niezamieszkaną planetą gdzieś na peryferiach Układu Słonecznego. Intuicyjnie wyczuwała, że Lillis potrzebuje mieć kogoś przy sobie, ją lub kogokolwiek innego. Johanna nigdy nie stanowiła konkurencji, tylko trwała obok. Pierwszy papieros, pierwsze upicie się słabym piwem z magnecylem¹, zabawy w domku na drzewie, kiedy Johanna na ogół musiała czekać na zewnątrz, aż Lillis skończy się całować — ale i tak zawsze to coś. W nagrodę Lillis dopuszcza ją do swoich tajemnic.

Johanna czuje, jak wzbiera w niej krzyk, który chce się wydrzeć, wydostać z jej płuc, ale ona nie ma prawa krzyknąć, nie potrafi. Milczenie przeciąga się zbyt długo. Trwa już od trzydziestu lat.

Chce powiedzieć pozostałym: nie widzicie? Nie rozumiecie?

Szczypie się mocno w rękę, do bólu. To nie koszmar senny, to się dzieje naprawdę. Musi sformułować to wyraźnie w myślach, kiedy patrzy w bladoniebieskie, lekko zezujące oczy Lillis. W myślach posyła słowa na drugą stronę wygasłego ogniska, z którego został już tylko popiół.

Nie istniejesz. Jesteś martwa.

Potem nie może już dłużej siedzieć, bo pochłania ją to bladoniebieskie spojrzenie. Zaczyna dygotać. Musi wstać i zejść nad jezioro.

„Jest opowieść o jeziorze Övre. Słyszałaś ją kiedyś?”

To głos Lillis, ale słyszy go naprawdę czy tylko w swojej głowie? Odeszły

brzegiem jeziora od pozostałych, bo Lillis miała dosyć tego, że Marina i Pia zawsze ze wszystkimi rywalizują. Johanna uważa, że Lillis też to robi, ale nie wypowiada tej myśli na głos. Mają szesnaście lat i spędzą w chatce cały weekend. Na jutro Marina zaprosiła kilku chłopaków, będzie impreza.

„Chodź, wykąpiemy się. Nie ociągaj się! Musimy sprawdzić, czy to prawda, co mówią o jeziorze Övre. Podobno jest w nim gdzieś miejsce bez dna. Tam ponoć mieszkają topielcy. Jeśli zanurkujesz dostatecznie głęboko, możesz się zaplątać w ich wijące się włosy. To ci, którzy umarli z własnej woli i nie mogą w głębinie zaznać spokoju, samobójcy, same kobiety — nieszczęśliwe i zrozpaczone. Mężczyźni strzelają sobie w głowę, kobiety wchodzą do jeziora, zawsze tak było. To właśnie ich włosy poczujesz pod stopami, jeśli odważysz się tam dopłynąć”.

Lillis zrzuca ubranie w wysoką trawę na brzegu, po czym wchodzi do wody. Johanna musi zrobić to samo. Wszystko, co ze sobą dzieli, nabiera głębokiego znaczenia. Lillis nauczyła ją, że im straszniejsze rzeczy się robi, tym prawdziwiej się żyje. Często igrają ze śmiercią, duszą się szalikami aż do utraty przytomności. Stało się to dla nich jak narkotyk, muszą doświadczać tego codziennie. Johannę ogarnia panika, ilekroć zaciska pętlę na swojej szyi, a mimo to nie przestaje, dopóki nie zabraknie jej powietrza, skronie zaczynają pulsować i czuje się, jakby oczy wychodziły jej z orbit, widzi jasne punkciki, odgłosy wokół cichną, w końcu wszystko pochłania czerń. Takie zabawy. „Nie ma się czego bać, pod warunkiem że nie zawiążesz szalika na supeł — zapewnia Lillis — bo przecież się poluzuje, kiedy zemdlejesz. Zanim umrzesz”.

„W życiu każdego człowieka nastaje chwila, kiedy musi zdecydować, czy pójść z żywymi, czy z umarłymi. Ta chwila trwa teraz, zanim zeszywniejemy. Potem jest za późno”.

Widzi, jak Lillis odplywa kraulem, i rusza za nią. Zbliżają się do środka

jeziora. Chłodna woda pieści skórę, tak blisko, tak nago. Johanna wyobraża sobie, że na brzegu stoi jakiś chłopak i patrzy na nie. Ogarnia ją podniecenie, a po chwili lekki wstyd, kiedy myśli o nagiej Lillis pod powierzchnią wody, mniej więcej dziesięć metrów przed nią, o jej silnych ruchach ramion, chociaż jest szczupła i drobna. Ale to nic z tych rzeczy. Nie ma między nimi napięcia seksualnego, wmawia sobie cały czas, chociaż nieraz odnosi zupełnie inne wrażenie, kiedy Lillis tuli się do niej na kanapie czy gdzieś. Trochę jak szczeniak. Lillis po prostu taka jest, dla niej nie istnieją rzeczy niebezpieczne.

Są same pod nocnym niebem, mają w nosie całą resztę.

„Musimy coś wiedzieć o śmierci, żeby móc wybrać jedno albo drugie, prawda? W przeciwnym razie pozostaniemy biernymi ofiarami”.

* * *

Nie wie, kiedy to się stało. Nagle zauważa, że powierzchnia wody jest doskonale gładka. Wyglupia się, myśli Johanna, płynąc do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą widziała jasnowłosą głowę Lillis. Zatacza kręgi: gdzieś się, do cholery, musiała podziać? Nurkuje, żeby się rozejrzeć, ale jest ciemno i nic nie widać. Dookoła widzi tylko wodę, traci rozeznanie, gdzie góra, a gdzie dół, wpada w panikę. I wtedy to czuje. Coś porusza się pod jej stopami, oplata jej nogi. Ogarnia ją strach, musi natychmiast wypłynąć na powierzchnię, wierzga i jej stopa napotyka coś, tam naprawdę coś jest, przed oczami pojawiają jej się obrazy topielców w głębinie, węgorzy wypływających z oczodołów, a to coś pod jej stopami ciągnie ją w dół, ona kopie i wymachuje rękami, byle do góry, brak jej powietrza, musi stąd uciec. Głębszy wdech bierze dopiero przy brzegu. Nie myśli, dopóki nie wyjdzie z wody. Jezioro jest gładkie i czarne. Johanna dygocze tak bardzo, że ubieranie się trwa całą wieczność. Obok leżą ciuchy Lillis, rozrzucone po trawie.

Czas płynął, a może stanął w miejscu. W końcu Johanna podnosi się z ziemi i wraca do obozowiska.

— Kąpałyście się? Gdzie jest Lillis?

Johanna nie wie, skąd wzięło się to kłamstwo. Zamierzała powiedzieć, jak było, że Lillis wypłynęła na środek jeziora i zniknęła. Ale wtedy musiałaby zataić całą resztę: że ona też tam była. Zmarłych w wodzie, swoją panikę — jak mówić o czymś takim? O tym, jak stopa natrafia pod wodą na coś miękkiego i twardego zarazem, o tym, czego nawet nie ma odwagi pomyśleć: że to była twarz Lillis. Lillis, która tylko chciała ją nastraszyć, bo wszystko było częścią planu, wszystkie te historie o zmarłych i ich idiotycznych włosach. Lillis, która na basenie zawsze ćwiczyła pływanie pod wodą.

— Gdzieś poszła, nie wiem. Może się o coś wkurzyła.

Następnego ranka wróciła w tamto miejsce, pozbierała ubrania Lillis i zakopała. Zakopywała je, płacząc.

Już za późno na prawdę. Było to latem przed gimnazjum. Jesienią dziewczyny rozeszły się w różne strony, więzy się rozluźniły. Marina poszła do gimnazjum w mieście, pozostałe wybrały różne klasy sprofilowane, Johanna porzuciła gimnazjum po pół roku i przeniosła się do szkoły ludowej w Ångermanland. Ojciec Lillis dużo pił i porządne dochodzenie nigdy się nie odbyło. Raz zjawiała się policja, zadawali pytania, Johanna miała opisać, jak Lillis była ubrana, kiedy zniknęła: sweter z angory morskiego koloru (ukradziony z H&M). Wszyscy myśleli, że uciekła z domu (pewnie miała powody).

Poza skrajem lasu stoi samotne drzewo. Johannie zdaje się, że rozpoznaje to miejsce, zaczyna grzebać rękami tuż przy pniu od strony jeziora. Czy jeans i angora mogą przetrwać trzydzieści lat pod ziemią, czy też zdążą się rozłożyć? A adidasy? Kopie: nic nie ma. Może to niewłaściwe miejsce? Może nie ten kawałek brzegu, może wyrosły tu nowe drzewa, Johanna nie ma pojęcia, do jakiego stopnia las zmienia się w ciągu

trzydziestu lat. Lillis patrzy na nią ze skraju lasu. Johanna nie ma odwagi obejrzeć się za siebie, ale czuje chłód na karku.

„Miałyśmy umowę. Umowę o tajemnicach i zdradzie, zapomniałaś już?”

* * *

Pod paznokciami ma ziemię, ręce ubrudzone po łokcie.

Wmawia sobie, że to dlatego teraz schodzi nad wodę i zrzuca buty. Kiedy pochyla się, żeby splukać ziemię, przez sekundę widzi swoje odbicie, swoje dorosłe „ja”. Nigdy nie przestała być szesnastolatką, kolejne lata nakładały się tylko na tamten wiek jak warstwy tortu. Po chwili księżyc chowa się za chmurami i Johanna znika. Nie, nie znika: jest w wodzie spory kawałek od brzegu, na głębini. Płynie, w ubraniu, na środek jeziora; musi. Zaciska oczy i płynie, usiłuje znaleźć w sobie siłę, ale czuje tylko opór mokrego ubrania i tłuszczu, który zgromadził się na brzuchu, czuje swój własny ciężar. Na środku jeziora zatrzymuje się, machając nogami, i rozgląda. To było tutaj, dokładnie tutaj. Nurkuje, najgłębiej jak może, wypatruje, ale niczego nie widzi, na ślepo bada wodę rękami i coś chwyta. Coś miękkiego, wijącego się między palcami. Zdaje się jej, że słyszy szept i śpiew. „Nastaje chwila... by pójść z żywymi lub z umarłymi...” Po chwili to coś otacza ją już z wszystkich stron, oplątuje wiciami, aż unieruchomioną zaczyna wciągać w głąb szepczącej ciemności, gdzie nie będzie światła ani lęku, by się obudzić, tylko cicha pieśń — czy właśnie tak wygląda śmierć? Bezwiednie zanurza się coraz głębiej. Puść mnie, chciałaby krzyknąć, nie chcę umierać. Ty to nazywasz życiem, odpowiada jej szept, to coś, czego doświadczasz? Teraz całkiem skończyło jej się powietrze w płucach, dookoła widzi plamki światła, czy tam w dole to twarz Lillis? A może kogoś innego? Nie, widzi siebie samą, znowu jest młoda i robi wszystko, żeby tylko należeć do grupy. Nie, chciałaby krzyknąć, NIE, JUŻ WIĘCEJ NIE CHCĘ, ale brakuje jej powietrza, a pod wodą nie słyhać dźwięków. Wierzga nogami, szarpie za włosy, które ją oplatają, wyrywa się i wznosi ku powierzchni, gdzie czeka na nią

powietrze, zimne i czyste.

Głęboko wdycha to, co jest życiem, siłą i poczuciem rzeczywistości. Co ona tu, do cholery, robi, na środku jeziora? Zadyszana i wycieńczona, resztką sił płynie do brzegu. Wyplątuje palce z czegoś, co trzyma w dłoni.

Lisette, myśli, mnie potrzebuje, chociaż udaje, że wcale nie.

— Chyba oszalałaś! Kąpałaś się w ubraniu?

Pia zmywa makijaż. Smaruje twarz drogimi kremami. Agge chrapie na górnej pryczy. Johanna rozgląda się po ciasnej chatce. Ani śladu swetra morskiego koloru.

— Myślałam o Lillis — zaczyna ostrożnie. — Zdawało mi się, że ją widzę.

— Musiałaś sporo w siebie wlać. Chyba nikt nie miał z nią kontaktu, od kiedy się zmyła. A swoją drogą, nigdy nie byłam w stanie pojąć, dlaczego w ogóle się z nią trzymałaś. Chcesz herbaty?

Johanna znajduje swój szal i wyciera nim włosy, z których nadal kapie woda. Siadają każda ze swoim kubkiem. Trawa morska, myśli Johanna, to tylko trawa morska albo jakaś inna roślina wodna. Cieszy się, że przestało jej się kręcić w głowie. Zdjęła mokre ubranie, pożyczyła suche od dziewczyn.

— Jak to: dlaczego się z nią trzymałam?

— Byłaś cool, inteligentna — mówi Pia. — Nigdy nie musiałaś niczego udawać ani zgrywać kogoś innego. Zawsze bardzo mi imponowałaś. A jej zwyczajnie dawałaś się wykorzystywać.

Johanna przenosi wzrok z jednej przyjaciółki na drugą. Nagle czuje się dostrzeżona, jakby wyostrzyły się jej kontury. Naprawdę tak ją odbierały?

Sięga po jeden z koców Agge, żeby się nim owinąć.

— Wiecie co, wcześniej przy ognisku — zaczyna — wydawało mi się, że zupełnie nie mam się czym pochwalić... to znaczy, moje życie jest w porządku, ale też nic specjalnego...

— A to nie wystarczy?

— Zdrowie! — Marina unosi kubek z herbatą.

I wtedy przychodzą lzy: pałą, płyną. Johanna ociera je, pociąga nosem,

one jednak nie przestają płynąć. Nagle nie potrafi sobie przypomnieć, co jest nie tak z jej życiem. Przychodzi jej do głowy, że wszystko to było tylko nocnym zwidem, koszmarem, przecież wie, że nadmiar alkoholu źle na nią działa.

Pia otacza ją ramieniem, płacz przycicha. Kiedy na dworze powoli wstaje dzień, Marina opowiada o swojej niepewności, o lęku, że odkryją, jaka jest nieudolna w roli szefa, Pia zaś mówi, że wcale nie jest pewna, czy kocha swojego nowego faceta. W końcu zasypiają na pryczach.

Następnego ranka żegnają się przed chatką.

— Dziękuję, że wszystko zorganizowałaś — mówi Johanna, ściskając Marinę. W świetle poranka, kiedy słońce stoi już wysoko, nocne strachy wydają się kompletną dziecinadą.

— Jak to? Przecież to ty nas skrzyknęłaś. — Marina wymienia spojrzenie z pozostałymi. — Wszystkie byłyśmy z początku dość sceptyczne, ale w końcu uznałyśmy, że co tam, skoro można wyrwać się od dzieciaków na jeden weekend, to czemu nie?

Pozostałe po nocy welony mgły ciągną nad jezioro. Marina podsuwa jej swój telefon:

— Wyraźnie jest tu napisane, że to ty utworzyłaś wydarzenie na Facebooku. Jak ty się właściwie czujesz?

Johanna wyrywa jej komórkę z ręki. Czyta: „Powrót nad jezioro Övre”. Na samej górze faktycznie jest napisane, że zaproszenie wysłała Johanna. Czuje w ustach smak wody z jeziora. Igiełki na policzkach, poczucie odrealnienia.

Nie używała Facebooka od ponad pół roku. Nie bardzo wie, po co jest jej potrzebny, ale też nie chce całkiem z niego zrezygnować. Kiedy otrzymała powiadomienie, nie miała z nikim kontaktu od bardzo dawna. Oddaje komórkę zupełnie zdrętwiałą dłonią.

— Musimy to powtórzyć — mówi Agge. — Za rok o tej samej porze?

— Pewnie.

Kiedy koleżanki odjeżdżają, Johanna stoi jeszcze przez chwilę sama. Przypomina sobie kosmyk włosów, który zaplątał jej się między palcami.

Jezioro nabiera odcienia bladego błękitu. Nie ma wiatru, odbicia drzew w wodzie są równie rzeczywiste jak las dookoła.

— Istnieje jeszcze inna opowieść o jeziorze Övre — mówi powoli w pustkę. — Słyszałaś ją kiedyś? Wydaje mi się, że jest o tych, którzy mimo wszystko próbują żyć.

W chwili gdy właśnie ma wsiąść do samochodu, czuje na karku chłód. Powiew wiatru przemyka jej po policzku pośpieszną pieśczętą. Liście na drzewach są całkiem nieruchome.

1. szwedzka marka aspiryny (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy) ↩

Cilla Börjlind i Rolf Börjlind

LUBIŁ SWOJE WŁOSY

Jeszcze miał czas, żeby zmierzyć krokami pokój, tę prostą, wyliczoną powierzchnię stanowiącą jego dom. Słowo, którego nigdy nie używał. Dla niego była to powierzchnia, nie przestrzeń. Wstawił tu kanapę i stół, a na oknie miał zrobiony z balsy model Dakota Building. Na podłodze nie było dywanu, wąskie lustro przy drzwiach do kuchni wisiało dla niego za nisko. Nie on je powiesił. Ilekroć chciał zobaczyć, jak wyglądają usta, musiał się pochylić; widział tylko martwe mięso. Nie miał żadnego osobistego stosunku do swojej twarzy, jego oczy napotykały spojrzenie obcego i zastanawiał się, dlaczego nos jest krzywy.

Lubił swoje włosy.

To jedyne, co uznawał za własne. Brązowe, lekko kręcone, przypominały mu matkę, kobietę bez dłoni. Miała brązowe, kręcone włosy, a z jej głosu pamiętał tylko śmiech, którym zareagowała na tamtą wiadomość. Ale wspomnienie pomagało wypełnić czas.

To i mierzenie pokoju krokami.

Prawdopodobnie był nocnym markiem, jego zegar biologiczny był nastawiony na noc. Wtedy budził się do życia, wraz z zapadnięciem zmroku, kiedy mógł nie być widziany i nie musiał widzieć, kiedy mógł być obojętny wobec otoczenia, wycięty, kiedy mógł przejść z jednej dzielnicy do drugiej, nie zastanawiając się którejdy.

Często tak robił nocami, szedł z jednego punktu do drugiego i wracał inną drogą. Zawsze w tym samym celu. Chodzenie było czasochłonne i męczące. Dzięki niemu udawało się zasnąć, zanim dogoniło go światło.

To ważne.

Musiał zasnąć, nim zrobi się jasno, i spać aż do ponownego nastania ciemności. Czasem mu się to nie udawało, budził się z głębi obcego krzyku, wlepił oczy w blask i nie mógł z powrotem zasnąć.

Wtedy mu tego brakowało.

Tego, co mogło na powrót pogrążyć go w ciemności. Tego, co mu odebrali, a co musi odzyskać.

W ten czy inny sposób.

Zaczął mierzyć krokami pokój, od ściany do ściany i z powrotem. Jak długo tak chodził, nie wiedział, nie miał zegarka, zazwyczaj po prostu czuł, że już wystarczy, że będzie mógł zasnąć. Dziś wieczorem długo to trwało. Usiadł na skraju łóżka, skupił się, powinien już być śpiący, bardziej śpiący, niż jest.

Irytowało go to.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, nic się nie poruszało, wszystko było jak zwykle, kątem oka zauważył na parapecie zwęglone dłonie, dwie. Leżały tam, ilekroć musiał wyruszyć. Nie za każdym razem, poprawił się, tylko wówczas, kiedy musiał pogrążyć się w mroku.

Wtedy tam leżały, niczym przypomnienie.

Ostrożnie otworzył okno i przyjrzał się dłoniom. Na zewnątrz panowała cisza. W niektóre noce słyszał kosa, śpiewającego kosa w środku nocy. Nigdy go nie widział, ale wiedział, jak wygląda. Dziób miał w takim samym żółtopomarańczowym kolorze, jak jego mama, w chwili gdy otrzymała wiadomość.

Takie same czarne oczy.

Zamknął okno i podszedł do półki nad lustrem. Biało-niebieskie pudełko stało tam, gdzie je zostawił cztery noce wcześniej. Włożył je do kieszeni długiego ciemnoszarego płaszcza, po czym wyszedł z pokoju.

Musiał.

Na dworze padał miękki deszcz.

Lubił deszcz, lubił, że coś się dzieje, kiedy on przemieszcza się między domami. Nie ulewny deszcz, tylko monotonne, delikatne siąpienie. Tej nocy

było doskonale. Wiedział, pod jaki adres idzie, nie spieszyło mu się. Trzymał się wyludnionych ulic, a jeśli kogoś spotykał, przechodził na drugą stronę.

Nigdy nie zawracał.

Dotarłszy do właściwej dzielnicy, zatrzymał się w pobliżu zielonego kontenera. Długo stał bez ruchu, ukryty w ciemności zepsutej latarni. Zastanawiał się nad zdaniem, które kiedyś czytał, nie pamiętał gdzie, o mężczyźnie stojącym na moście i rzucającym do wody zgaszone światło. Zgaszone światło, podobało mu się to, jakby miał kieszenie pełne ciemności i mógł ją rozsypywać, ilekroć stanie się zbyt jasno.

A może właśnie to było w jego mocy?

Gasić?

W kieszeni miał przecież pudełko.

Odwrócił się w stronę stojącego nieopodal kontenera, zauważył ruch, samotna kobieta podniosła do góry plastikową torbę, pozbawioną napisów, po czym upuściła ją do środka. Obserwował jej zmęczone ciało, zastanawiając się, co jest w torbie. Może czarna peruka i błyszczący do ust? Patrzył, jak kobieta znika w ciemności, stał w miejscu. Zdarzały się noce, kiedy szedł za samotnymi ludźmi, najczęściej po przeciwnej stronie ulicy. Śledził ich dopóty, dopóki nie zniknęli w bramie albo w jakimś barze. Mógł wtedy pomyśleć, że idą razem.

Tej nocy jednak chciał być sam.

Odwrócił się.

Koło przystanku autobusowego zaczęły gwizdać psy.

Wyobrażał sobie, że psy gwizdzą późno w nocy, kiedy tylko cienie dotrzymują mu towarzystwa. Psy, o których nikt nie wie, powykrzywiane, podługowate ciała, raptem po prostu się pojawiają, znikąd, przechodzą przez wygaszoną ulicę i znikają, by nagle zacząć dyszeć tuż obok niego i po chwili znowu zniknąć.

Słyszał, jak psy gwizdzą do siebie nawzajem, i wiedział, o co chodzi.

O niego.

Wiązało się to z trzecim szczeniakiem, tym utopionym. Tym, którego wiele lat temu wcisnął do wiadra, tym, który walczył o życie pod podeszwą

jego kalosza. O życie, które dopiero co dostał, a które miało mu zostać odebrane, bo pojawił się trzeci w kolejności i był zdeformowany. Albo miał niewykształcony kręgosłup. Czasem o tym myślał, o deformacji. Zwierzę było zdeformowane, i tak by umarło, on zrobił tylko to, co zrobiliby właściciele psa — zajął się tym. Ale walka zwierzęcia pod jego stopą odcisnęła na nim piętno. Myślał, że pójdzie szybko.

Nie poszło.

A w czasie gdy zwierzę walczyło, zaczął myśleć. To niedobrze. Raptem zaczął się zastanawiać nad tym, co robi i co rusza się pod jego butem. To, co początkowo było szybką decyzją, żeby usunąć ze świata cierpienie, zmieniło się w coś innego; zdeformowane zwierzę nie chciało się poddać, zmuszając go do podjęcia całkiem innej decyzji.

Musi zabić szczeniaka.

Mógłby cofnąć nogę i powiedzieć, że się nie da, że szczeniak nie umiera, i oddać go właścicielom. Ale nie zrobił tego. Nad tym właśnie zastanawiał się teraz w łagodnym deszczu. Nad sobą jako zakładnikiem w sytuacji, do której sam doprowadził, a która zmusza go, by zabił. Albo żeby przyznał, że nie jest w stanie.

Zabił szczeniaka.

Dlatego teraz psy gwizdzą do siebie nawzajem w owe szczególne noce, które przemierza w towarzystwie cieni, wiedząc, że znowu jest zakładnikiem. I musi zabić.

Albo przyznać.

Począł, aż zgaśnie światło na klatce schodowej i ucichną wszelkie odgłosy. Wtedy włożył gumowe rękawiczki. W ciemności wszedł na pierwsze piętro i zadzwonił do drzwi osoby, którą wybrał. Chwilę to trwało, zanim stara kobieta mu otworzyła.

— Słucham? — powiedziała. — O co chodzi?

— Szukam Ester.

— To ja.

— Przepraszam.

Później, kiedy siedząc na krześle w kuchni, obserwował białą bawełnianą nitkę zwisającą z jej ust, zastanawiał się nad tym. Dlaczego powiedział: „przepraszam”? Nie planował tego wcześniej, słowo pojawiło się spontanicznie w otwartych drzwiach. Jakby prosił o wybaczenie za to, co miało się stać?

Zdumiało go to.

* * *

Srebrna taśma była pierwszą rzeczą, którą wyjął w przedpokoju. Zaklejanie nią ust chudej staruszki nie trwało długo. Niosąc ją do kuchni, zwrócił uwagę na to, jaka jest lekka. Prawie jak strach na wróble, którego kiedyś zrobił, równie krucha i kanciasta.

Gdyby dziś miał zrobić stracha na wróble, nazwałby go Ester.

Przywiązał jej chude stopy i ręce do krzesła za pomocą niebieskich tasiemek. W szafce nad kuchenką znalazł szklankę. Nalał do niej wody z kranu. Widział, jak oczy kobiety śledzą każdy jego ruch, ciekaw był, co myśli. Kim on jest? Możliwe, chociaż raczej: co zamierza zrobić? Postawił szklankę na stole, znajdującym się pośrodku kuchni, po czym wyjął białoniebieskie pudełko. Nim je otworzył, zawahał się i spojrzał na wiszącą pod sufitem starą lampę o prostym szklanym kloszu; rozżarzony drucik dawał łagodne światło. Przyglądał mu się przez chwilę. Tego rodzaju światło tolerował, sztuczne światło, które zawsze można zgasić.

Otworzył pudełko i wyjął z niego tampon. Osłonkę z cienkiego plastiku włożył do kieszeni, nie lubił partaniny. Lewą ręką odkleił taśmę z ust kobiety. Otworzyła je do krzyku — kogo wzywała, nie wiedział. Wetknął jej tampon do krtani, zatapiając wrzask. Już była cicho. Jedną ręką ścisnął jej szczęki i wlał do ust pół szklanki wody, nim z powrotem je zamknął.

Załatwione.

Przysunął sobie krzesło i usiadł niemal naprzeciwko starej kobiety. Wiedział, że tampon pęcznieje jej w gardle, a jemu pozostaje już tylko czekać. Zerknął na krzesło, na którym siedział: niemalowane drewniane

krzesło. Lubił drewniane krzesła, proste, funkcjonalne meble bez udrzwiień. U jego mamy wokół stołu w kuchni stało pięć krzesel, wszystkie z niemalowanego drewna. W pewnym okresie było ich w rodzinie czworo — pięcioro nigdy. Nie zastanawiał się nad tym piątym krzesłem.

Wtedy.

Teraz tak. Dla kogo było przeznaczone? Spojrzał na spętaną kobietę: kolana drżały, brakowało jej powietrza, oczy lekko wychodziły z orbit. Czy piąte krzesło było dla gościa? Ale oni przecież nigdy nie mieli gości. Uznał, że to jedna z tajemnic mamy, dodatkowe krzesło dla kogoś niespodziewanego. Uśmiechnął się lekko. Głowa kobiety opadła na pierś, przestała dygotać. Pochylił się do przodu, zobaczył białą nitkę zwisającą jej z kącika ust — niedługo zeszywnieje. Ciekaw był, jakie myśli przebiegają jej teraz przez głowę. Dokąd odchodzi?

Tak mało o tym wiemy, pomyślał.

Niebawem będzie zbierał się do wyjścia.

Wracał piechotą do swojej dokładnie wymierzonej powierzchni. Ulice były puste, jego stopy podążały za krawędzią rynsztoka, ani razu nie musiał podnosić wzroku. W tej części miasta o tej porze dnia nie było ruchu. Parę godzin temu przechodzili tędy bezdomni z siatami pełnymi pustych puszek, pijana młodzież polowała na taksówkę albo narkotyki, samotne kurewki próbowały wabić niskimi cenami, wszystko było na wykończeniu. Widział to już tysiące i tysiące razy.

Teraz było pusto.

Teraz tylko mewy rozdziobujące kałuże rzygów i echo syren z oddali. Nikt go nie widział. Chyba że z daleka? Może jakiś cierpiący na bezsenność starszy człowiek stał w drogocennym oknie gdzieś niedaleko i patrzył na niego? Może miał na sobie ciemnozieloną bonzurkę i krótkie czarne cygareto w dłoni? Może słuchał Wiener Sängerknaben? Tego słuchał mężczyzna, który pewnej nocy przyszedł do mamy i zawiązał jej na szyi liliową kokardę. Nie wiedziała, że jest chory, słuchała *O Tannenbaum*, pozwalając, by mężczyzna wydzierał jej przed oczami welon zachwyty.

Potem mężczyzna skinął na niego ręką.

Podniósł głowę, zerknął na fasady zamożnych kamienic — może zobaczy go chociaż w przelocie?

Z kranu leciała lodowata woda. Po powrocie zawsze płukał ręce, trzymał je pod bieżącą wodą, póki całkiem nie zdrętwiały, zniknęły, a on mógł je gryźć, niczego nie czując. Uspokajało go to. Wczoraj powiesił na ścianie nad łóżkiem zdjęcie. Było to jedyne zdjęcie w pokoju. Przedstawiało chłopca, który wsadza dziwny metalowy lejek pod spódnicę klęczącej kobiety. Oboje mieli na sobie średniowieczne stroje. W tle stało dwóch mężczyzn odzianych w liberie, dzielili się melonem. Zdjęcie było kolorowe. Lubił zasypiać i budzić się przy nim. Jedyne, czego mu w nim brakowało, to dźwięk. Miało się wrażenie, jakby mężczyźni w tle coś do siebie mówili, chciałby wiedzieć co. Czy dotyczyło to melona? Czy może dziwaczego lejka?

Leżał w łóżku, wpatrując się w zdjęcie. Był pogrążony w ciemności i wiedział, że zaśnie, musi tylko przerobić pytanie, z którym zawsze zasypiał: dlaczego nikt nie prosi o pomoc? Często się nad tym zastanawiał. Czy mógłby stać w parku, może schowany za klonem, i patrzeć na mijające go twarze: milczące, pozbawione wyrazu, jakby nic się nie stało?

To bardzo dziwne.

Ludzie powinni bardziej uważać. Pewnego razu wyciągnął rękę do przechodzącego obok chłopca, chciał, żeby chłopiec zawczasu poczuł ból. Chłopiec uciekł.

Od tamtej pory nigdy nie usiłował nawiązać kontaktu.

Teraz powoli odpływał, spojrzenie odkleiło się od zdjęcia na ścianie, miał nadzieję, że odpływa we właściwym kierunku, że nie sunie ku granicy.

Miał nadzieję, że po przebudzeniu nadal będzie tam, gdzie jest.

Śni.

Idzie we śnie, jakby tam był, idzie przez niskie, ciepłe wrzose, przez rzadki sosnowy las, ku piaszczystem wydmom. Chce dotrzeć nad morze. Słyszał, że dzisiaj ma być cisza na morzu. Nigdy tego nie widział, nigdy nie

widział, jak morze leży całkiem gładkie, brzuchem do góry. Nie dociera do celu. Duży, ciemny autobus wymija go i tarasuje mu przejście. Drzwi autobusu otwierają się, postać za kierownicą macha do niego ręką. Nie chce wsiadać, ale w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby mu pomóc. Rozchyła dłoń, przed chwilą złapał biedronkę, dmucha na czerwono-czarne ciało, aż biedronka odleci. Nie chce zabierać jej ze sobą do autobusu. Kiedy drzwi zamykają się za nim, biegnie do siedzenia na samym końcu, myśli, że może się schować. Autobus odrywa się od ziemi i unosi nad sosnowym lasem, on wygląda przez okno i daleko w dole widzi nieduży dom. Za domem na hamaku leży kobieta, macha do niego, on przyciska dłoń do szyby. Kiedy autobus staje, na zewnątrz jest ciemno, przez okno wpada zielone światło neonu. Po obu stronach widzi ciemne domy, domy z kamienia, autobus stanął w mieście. Postać za kierownicą odwraca się w stronę tylnego siedzenia i sięga po mikrofon. Słyszy, jak postać zaczyna śpiewać.

Rozpoznaje piosenkę.

Po przebudzeniu nadal był tam, gdzie wcześniej.

Bardzo długo leżał w łóżku, sprawdzając, co czuje. Czasami nie wiedział, czy nadal jest w swoim śnie, czasami mu się zdawało, że wciąż jest w innym świecie. Że on sam jest kimś innym.

Ale nie tym razem.

Podniósł ręce, przeczesał palcami brązowe loki. Włosy też były na miejscu.

Uspokoilo go to.

Dwie noce z rzędu spędził w pokoju. Nie otwierał okna, nie tknął tabletek leżących na stole, nie przemierzał powierzchni krokami, zasypiał bez tego. Nie wiedział, co to oznacza. Może już nie musi więcej wychodzić? W taki sposób? Byłoby to wyzwalające. Nie podobało mu się, że tak długo musiał na to czekać.

Z początku nie tak miało być.

Z początku miała być tylko jedna kobieta. Ktokolwiek, byle we właściwym

wieku.

Tylko jedna. Myślał, że jedna wystarczy, żeby na zawsze pograżyć go w ciemności.

Okazało się, że to nie takie proste.

Światło znów go dogoniło.

Nie wiedział, kiedy to się skończy. Niepokoiło go to, czuł przesyt. Za pierwszym razem towarzyszyło temu niejaki podniecenie. Nie ze względu na to, co miał zrobić albo co zrobił, lecz dlatego, że miał szansę osiągnąć ciemności. Za drugim razem podniecenie znikło, całe zdarzenie odbierał raczej jak drogę, którą musi pokonać, nim dotrze tam, gdzie chce, tam gdzie się znajdował, patrząc, jak biała nitka sztywnieje w kąciku ust i jest po wszystkim.

Wówczas marzył, by ciemność nie miała końca.

Ale miała.

Podszedł do okna i je otworzył. Na dworze nadal trwała noc, a parapet był pusty, żadnych zwęglonych dłoni, żadnego śpiewającego kosa.

Nie było powodu, żeby wychodzić.

Usiadł przy modelu z balsy i zaczął myśleć o innych ludziach, którzy byli gdzie indziej. Nigdy ich nie spotkam, myślał. Czasami nadawał im imiona — po roślinach i zwierzętach. Rysował na ścianie królów o głowach jak spodki i zwyczajnych ludzi o powyciąganych nosach niczym cienkie korzenie prawie metrowej długości. Widać było, że węższą w poszukiwaniu rzeczy, za którymi węszyć nie powinni. To niebezpieczne. Niektóre dzieci węższą już w piaskownicy, krągłe dzieciaki o długich nosach. Nauczył się rozpoznawać ten gatunek.

Podszedł do swojego długiego płaszcza i wyciągnął z kieszeni wąską brązową rękawiczkę ze skóry, prawdopodobnie należąca do kobiety. Znalazł ją w drodze do Ester. Podczas nocnych wędrówek dość często znajdował zgubione rękawiczki. Jeśli były ze skóry, zabierał je do domu i gotował w garnku, długo, aż całkiem się skurczyły. Wieszal je jedna przy drugiej na biegnącym w poprzek kuchni sznurze do bielizny. Teraz wisiało tam już

blisko sto skurczonych rękawiczek, przypiętych drewnianymi spinaczami. Wyglądało to jak sznur proporczyków.

Wrzucił rękawiczkę do pustego garnka.

Kiedy przyjdzie pora, ugotuje ją.

Zerknął na drzwi wejściowe.

Jeśli nadal będzie robił to, co robi, prędzej czy później rozlegnie się pukanie, wiedział o tym. Drzwi były drewniane i nie miały dzwonka, będą pukać w drewno. Wyobrażał sobie ten odgłos i rękę, która go powoduje. Czyja to ręka? W najlepszym wypadku to puka on sam, w najgorszym — ktoś, kto chce mu zrobić coś złego. Ktoś, kto wywęszył go swoim długim nosem.

Nie otworzyłby od razu. Najpierw zdjąłby ze ściany zdjęcie z lejkiem i schował je pod poduszkę, potem wsadziłby ręce pod strumień lodowatej wody i trzymał aż do odrętwienia.

Pukanie rozległoby się ponownie.

Wtedy powiedziałby coś przez drzwi, wyjaśniłby, że nie może otworzyć, ponieważ nie ma rąk. Co stałoby się później, nie bardzo wiedział, może poszliby po kogoś, kto otworzyłby drzwi wytrychem albo zwyczajnie je wyważył.

Musiał być przygotowany na najgorsze.

Podszedł do wieszaka i zdjął z niego płaszcz. Niedługo miało zrobić się jasno, a jemu nie chciało się spać, niedługo miało przyjść światło. Czuł, że zbliża się zbyt szybko. Przemierzał pokój wiele razy, a mimo to nie był śpiący. Powinien być.

Powinien spać.

Powinien być ostrożniejszy.

Wyszedł.

Gunvor Larsson miała siedemdziesiąt osiem lat i była samotna. Jej mąż zmarł cztery lata temu po wylewie krwi do mózgu. W jakimś sensie za nim tęskniła, tak jak powinna tęsknić towarzyszka życia, ale też odczuwała ulgę. Ich ostatnie wspólnie spędzone lata naznaczone były monumentalnym

rozgoryczeniem męża w związku z całym jego życiem — życiem, które zniszczył sobie to tym, to tamtym. Kiedy raz Gunvor nieśmiało zasugerowała, że mimo wszystko kochali się i wspierali przez całe życie, zaczął płakać.

To było chyba najgorsze.

Później zaś odszedł, a Gunvor była zdrowa jak na swój wiek. Jej jedyny problem pojawiał się nocami: budziła się zawsze po paru godzinach i nie mogła się z powrotem wyciszyć. Próbowwała niemal wszystkiego, począwszy od leków o osobliwych nazwach po nagrane na płytach książki, opowiadające osobliwe historie. Jedno z jej wnucząt próbowało skłonić ją do medytacji, nawet ułożyła sobie mantrę, specjalne słowo, które powtarzane dostatecznie długo, miało ją uspokoić i pozwolić jej w końcu zasnąć. Wybrała słowo „morze”. Przez pierwsze noce mamrotała „morze” przez dziesięć–dwadzieścia minut, po czym parzyła sobie herbatę, żeby wypełnić czymś czas.

Tej nocy było tak samo. Chwilę po drugiej obudziła się i wstała, owinięta nieco wytartym jasnoniebieskim szlafrokiem. Nastawiła wodę na herbatę i usiadła przy stole w kuchni. Ostatnio wyjmowała nocą stare albumy ze zdjęciami, było ich całkiem sporo, i oglądała je, fotografię po fotografii, by jakoś zabić czas. Zdjęcia dzieci i wnuków, podróży, domków letniskowych, zwierząt i ludzi, których imiona pozapominała. Teraz trzymała na kolanach ostatni album, z zeszłego roku. Inne z jej wnucząt wydrukowało na papierze cyfrowe zdjęcia, żeby dać jej ten album w prezencie.

Zdążyła dojść do fotografii swojego jedynego prawnuka, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

„Dziś w nocy będziesz tańczyć”.

Wers z tej pięknej, starej piosenki pojawił się w jego głowie: „Dziś w nocy będziesz tańczyć”. Ludzie śpiewali ją w jasne noce świętojańskie, kiedy stał związany w szklarni. Słyszał, jak usiłują śpiewać na głosy, jak chwiejne dźwięki szukają się nawzajem. Wszyscy doskonale się bawili, wśród nich było mnóstwo dzieci. Później przychodzili i płakali przed nim, źle się czuli.

Kiedy rozpinali troki, prawie świtało, jego mama wystawiła już mleko na schody. Nigdy nie miał pewności, czy to dla niego, czy dla jeża.

Wszystko to zdążyło przemknąć mu przez głowę, zanim otworzyły się drzwi. Przez szparę wyjrzała starsza kobieta.

— Słucham?

— Czy to pani jest Gunvor?

— Tak, ale ja niczego nie kupię.

— Ja też nie.

Patrzył na leżący na stole w kuchni album ze zdjęciami. Był otwarty. Sięgnął po niego. Strony wypełnione zdjęciami dzieci. Prześliznął się wzrokiem po fotografiach, aż jego spojrzenie zatrzymało się na chłopcu w dolnym rogu. Patrzył na niego przez kilka minut; brązowe loki, napięte usta. W końcu podsunął album pod oczy skrepowanej kobiecie i wskazał chłopca.

— To pani wnuk?

Kobieta była ciemnofioletowa na twarzy, miała wytrzeszczone oczy, gwałtownie potrząsała głową. Nie rozumiał, czy odpowiada twierdząco, czy przecząco. Odwrócił album z powrotem przodem do siebie i przełożył stronę. Tu też pełno było fotografii dzieci, dzieci obejmujących dorosłych i dzieci podnoszących w górę kwiaty. Wszystkie wyglądały na wesołe i szczęśliwe, żadne nie było spętane. Jego usta zacisnęły się w gorzką kreskę; wiedział, że tym dzieciom powyrastają z czasem bardzo długie nosy. Przewrócił kartkę z powrotem, aby znów popatrzeć na chłopca w dolnym rogu, zdawało mu się, że oczy dziecka usiłują pochwycić jego spojrzenie, jakby błagalnie. Poczul wilgoć wzbierającą pod powiekami.

Raptem zatrzasnął album i spojrzał na kobietę siedzącą naprzeciwko. Uznał, że za długo to trwa. Niecierpliwił się. Chciał dostać to, po co przyszedł. Już prawie był gotów wyjść, zanim umrze, a jednak siedział dalej. W końcu jej głowa opadła. Patrzył na nią, czekając na reakcję.

Na ciemność.

Nic się w nim nie działo.

Lekko dotknął białej nitki w kąciku jej ust, zwisała luźno i nieruchomo. Wszystko było, jak należy, a mimo to zupełnie nie tak.

Przez kilka minut siedział na krześle, niemal zrozpaczony.

Przeczuwał.

Nagle wstał i cisnął album w przeciwny kraniec pomieszczenia. Serce biło mu nienaturalnie mocno.

Kopniakiem odsunął krzesło i wypadł z kuchni.

Na klatce schodowej poczuł, jak skurcz łapie go za gardło.

Opuścił dom, nie dbając o to, czy nie zostanie zauważony. Nie miało to już żadnego znaczenia. Zdarł z siebie ciężki płaszcz i puścił się biegiem. Było jeszcze ciemno, wybrał drogę na skróty. Zauważył, że co rusz napotyka nocnych spacerowiczów, parę samochodów musiało go przepuścić. Pędził prosto przed siebie. Wiedział, co się zaraz stanie, i chciał, żeby dokonało się to tam, gdzie nikogo nie ma. Musi zdążyć do swojej krypty.

Zaczął krzyczeć na długo przed tym, zanim dotarł do swojej bramy.

W końcu serce się uspokoiło, krzyk ucichł, ciało znieruchomiało. Stał oparty o ścianę w swoim pokoju. Wiedział, że to cisza przed bólem. Kiedyś już tego doświadczył: jak wszystko zastyga w bezruchu, nim nadejdzie pora.

Jakby towarzyszyła temu jakaś troska.

Rozejrzał się wkoło po pokoju, żeby go zapamiętać: kanapa, stół, model z balsy. Jego wzrok zatrzymał się na drewnianych drzwiach. Za nimi była garderoba. Pamiętał, że są tam czyjeś ubrania. Do kogo należą, nie wiedział, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało.

Zwłaszcza w tej chwili.

Zaczął od usunięcia fotografii ze ściany, fotografii z lejkiem i melonem. Ostrożnie złożył ją na pół i schował pod poduszkę.

Jeśli wróci, będzie wiedział, gdzie ją znaleźć.

Podszedł do okna i je otworzył. Parapet był pusty. Przesunął po nim ręką. Będzie mu brakowało tych zwęglonych dłoni, które nigdy go nie dotykały.

Nagle usłyszał śpiew kosa gdzieś daleko w ciemności. Usiłował wypatrzeć ptaka, ale bezskutecznie. Ściągnął wargi do gwizdu, lecz nie

zagwizdał. Nie chciał drażnić przeszłości.

Długo stał w oknie.

Kiedy je zamknął, poczuł, że coś toczy mu się po policzkach. Podeszedł do lustra, pochylił się i ujrzał swoją twarz.

A więc tak wyglądam?

Przyglądał się twarzy w lustrze. Rozpoznawał ją. Rozpoznawał niektóre elementy, charakterystyczne kości policzkowe, łukowate brwi, usta, których nigdy wcześniej nie widział. Pochylił się do przodu, by musnąć ustami lustrzane usta. Następnie otarł to, co spływało mu po policzkach, i poczuł, że już pora.

Położył się na łóżku.

Jego czas dobiegł końca, tym razem nie było sensu się bronić. Dawniej tak czasami robił, próbował zostać tym, kim był. Nigdy mu się nie udało. Krzyczał i nacinał sobie ciało, żeby nie stracić ze sobą kontaktu. Na próżno; kiedy zaczął odpływać w niewłaściwą stronę, nie było już odwrotu.

Teraz więc po prostu się poddał.

Leżał wyciągnięty na łóżku, dłonie kurczowo ścisnęły koc, ciało zaczęło dygotać. Wiedział, co się zaraz stanie. Wiedział, że przez kilka sekund, czasem nawet przez dziesięć albo piętnaście, będzie znajdował się dokładnie na granicy, w samym środku strefy, w drodze między tym, kim był, a czymś, o czym jeszcze nie miał pojęcia.

Albo kimś.

Tych kilka sekund oznaczało fizyczny ból nie do zniesienia.

Kiedy stało się to po raz pierwszy, był na to zupełnie nieprzygotowany. Wśliznął się w strefę, nie mając pojęcia, co się wydarzy. Aż zobaczył kata. Cień bez twarzy, dzierżący w dłoniach podłużny przedmiot. Wlepił oczy w ten cień i nawet nie zdążył zareagować; rozżarzona kosa rozłupała mu podstawę czaszki, by podążyć dalej przez korpus i wyjść między nogami.

I wszystko ustało.

Teraz znów tam zmierzał, w głąb strefy, odpływał. Już miał zwolnić uścisk, kiedy to usłyszał.

Albo ich.

Pukanie do drzwi wejściowych.

Wiedział, że przyjdą.

Powstrzymał się.

Powinien podejść do drzwi czy odpłynąć? Jeśli odpłynie, nigdy go nie znajdą jako tego, kim teraz jest. Co znajdą, nie wiedział. Może martwego kosa na poduszce? Albo parę zwęglonych dłoni pod kocem? Powinien wstać.

Powinien opłukać dłonie w lodowatej wodzie i podejść do drzwi.

Ale on nie robił tego, co powinien.

Kiedy pukanie rozległo się po raz drugi, zamknął oczy, schował język jak najgłębiej w ustach, zwolnił chwyt i odpłynął.

W głąb strefy.

Åke Edwardson

NIGDY W RZECZYWISTOŚCI

Słuchała prognozy pogody, a on skupiał się na prowadzeniu samochodu. Kierował się plamami słońca. Czasem wystarczył błysk, cień. Gotów był skrócić pod dowolnym kątem. Zawracanie stało się jego specjalnością.

Ona czytała mapę. Rzeczywiście była w tym dobra. Coraz bardziej oddalali się od cywilizacji, ale nie przegapiła żadnego rozjazdu.

— Zupełnie jakbyś się w tej okolicy wychowała — zauważył.

Nie odpowiedziała, studiując rozłożoną na kolanach płachtę.

— Za jakiś kilometr skrzyżują się trzy drogi — oznajmiła, podnosząc wzrok.

— Mhm.

— Tam skręć w lewo.

— Czy tam ma być słonecznie? — zapytał.

— W zachodniej części województwa powinno być lepiej — odparła. — Przed chwilą mówili o tym w lokalnych wiadomościach w radiu.

— Tym większa szansa, że trafimy na słońce.

Na północnym zachodzie zobaczył szczelinę w ołowianych chmurach, jakby ktoś wetknął w nie żelazny pręt. Może to Bóg, pomyślał. Może wreszcie na coś nam się przyda.

— A oto i skrzyżowanie — powiedziała.

Kiedy przejeżdżali przez wieś, niebo było niewiarygodnie błękitne.

— Aha, więc tak to wygląda, kiedy wychodzi słońce — powiedział, sięgając po przyciemnione okulary. — Może jednak mimo wszystko istnieje jakiś Bóg.

— Sądysz, że o nas myśli? — spytała.

— Może nawet w nas w i e r z y — odparł.

— To już graniczy z bluźnierstwem.

— Nie sądzę, żeby się nami przejmował. Dostyc ma roboty z regulowaniem ciśnienia atmosferycznego.

— A skąd wiesz, że to jakiś o n? — zapytała cicho, ale usłyszał. — I nie rozmawiaj za dużo o Bogu z miejscowymi — dodała. — To religijni ludzie.

— Wobec tego chyba właśnie należy mówić o Bogu? — odparł.

— Można to robić na różne sposoby.

— A niech cię, jakaś ty się nagle zrobiła mądra. Ekspert od ludzi i Boga. Nie odpowiedziała.

— Tak czy siak, zostajemy tutaj — zdecydował. — Skoro już tak długo szukaliśmy słońca, nie pojedziemy dalej, kiedy wreszcie się znalazło.

Na skrzyżowaniu trzech dróg w samym środku wsi skręcił w prawo. Tam na wzniesieniu zobaczyli nieduży kościół. Był pomalowany na biało i miał chyba z tysiąc lat. Mimo że większość mieszkańców odstąpiła od doktryny, nadal dbano tu o prastare świątynie. Może nie miało to nic wspólnego z religią?

Jakiś mężczyzna w czapce z daszkiem zjeżdżał z pagórka na kosiarce. Silnik wydawał łagodny odgłos, przypominający buczenie trzmiela. Trawa była gęsta i soczysta, niespalona słońcem. Może tygodniami czekali, żeby móc ją ścinać, pomyślał. Jeszcze kilka dni, a trzeba by wyciągać kosy. Wezwać kostuchę, rzekł sam do siebie i się uśmiechnął.

Facet w czapce z daszkiem podniósł wzrok, kiedy samochód go mijał, po czym natychmiast spuścił oczy, bez pozdrowienia.

— Może gdzieś w okolicy jest jakieś choćby niewielkie kąpielisko — zastanawiała się.

— Jeśli tak, rozbijemy tam obóz — odparł.

Byli sami nad jeziorem. Albo bajorkiem, czy co to tam było. Mieszkańcy wioski spiętrzyli wodę przepływającej tędy rzeki, tworząc swoje własne jeziorko. Widział zaporę po drugiej stronie, dzieliło go od niej niecałe sto

metrów.

Kąpielisko wyposażono w stół z dwiema ławkami oraz dwie przebieralnie, dla pań i dla panów.

— Nie widziałem takich, od kiedy byłem szkrabem. — Ruchem głowy wskazał rdzawoczerwone kabiny.

Stał pośrodku trawnika. Woda migotała w słońcu. Nagle zrobiło się bardzo ciepło, zupełnie jakby znaleźli się znienacka w innym kraju.

Tutaj jestem u siebie, pomyślał. Mam nadzieję, że nikt inny tu nie trafi.

Nieopodal kąpieliska był prowizoryczny camping. Doprowadzono tu wodę do dwóch kranów przy niedużym drewnianym zlewie pełniącym zarazem funkcję umywalki, były też wychodek zbudowany z takiego samego drewna oraz miejsce na namiot i samochód. Czegóż chcieć więcej?

Podniosła wzrok znad bagaży.

— Musimy pojechać po zakupy. Zostało nam tylko trochę wody mineralnej w lodówce.

— Wiem, wiem — odparł. — Ale najpierw rozstawimy namiot.

Do najbliższego miasta było nie więcej niż dwadzieścia kilometrów, o ile w ogóle można je było nazwać miastem: zlikwidowana stacja kolejowa, zamknięte sklepy z pustymi witrynami, pusta główna ulica zalana słońcem. Jeśli w oknach wystawowych niczego się już nie wystawia, nie powinno się ich chyba nazywać wystawowymi? — pytał sam siebie. Były tam jednak dom towarowy oraz sklep monopolowy. Czegóż więcej człowiekowi trzeba na urlopie? — pomyślał.

— Ja załatwię monopolowy, ty spożywczy — zakomenderował.

— Nie zrobimy zakupów razem? — zaproponowała. — Przecież mamy czas.

Nie odpowiedział.

— To właśnie jedna z tych rzeczy, jakie robi się na urlopie — ciągnęła. — Żyje się bez pośpiechu.

— Dobrze, dobrze — odparł.

W domu towarowym panował chłód, robiło się zimno. O ile go wzrok nie mylił, byli w środku sami, jeśli nie liczyć dziewczyny przy kasie, którą zauważył po drugiej stronie hali. Ani jednego klienta. Gdy przejeżdżał przez miasto, też nie widział żywego ducha. Może wszyscy uciekli, zanim pokazało się słońce? Miejscowość leżała mniej więcej w połowie drogi między jednym a drugim wybrzeżem. Mieszkańcy stracili w końcu cierpliwość i w pogoni za światłem wyruszyli na wschód albo na zachód. On zrobił odwrotnie i opłaciło się. Tutaj słońce zostaje na niebie na dobre: kiedy wysokie ciśnienie uczepli się środkowej części kraju, nic nie jest w stanie zepsuć pogody.

— Te kotlety ładnie wyglądają — zauważyła.

Rozkoszował się niemającym końca zmierzchem. Słońce, skoro już wreszcie się pokazało, zwyczajnie nie chciało opaść za czubki drzew. Szykując marynatę i kotlety, wypił małą whisky, a potem jeszcze jedną, kiedy ustawiał grill. Życie jest wspaniałe. Wystarczy na niego spojrzeć: stoi wieczorem w samych szortach w dwudziestosiedmiostopniowym cieple, z lasu dolatuje cudowny zapach, inny cudowny zapach od wody, do tego cudowny zapach whisky, a niebawem jeszcze cudowny zapach grilla!

Rozpalił ogień i upił kolejny łyk.

— Jesteś pewna, że nie chcesz? — spytał, podnosząc szklankę. Promień słońca wpadł do trunku i bursztyn w środku zaiskrzył. Piękny kolor.

— Nie, wino wystarczy. — Ruchem głowy wskazała otwartą butelkę schowaną w cieniu za stołem campingowym, na którym mieszała sałatkę. On chciał otworzyć od razu dwie, ale ona uznała, że jedna na początek wystarczy. Byli zgodni co do tego, żeby nie kupować wina w kartonie, nawet na urlopie, na tym odludziu. Uważał, że takie wino jest całkiem pozbawione stylu — a styl trzeba mieć zawsze, w każdej sytuacji. Ludzie pijący wino z kartonu mogliby równie dobrze pić je z papierowych kubeczków. I jeśli plastikowymi sztuczkami z papierowych talerzy. Ogólnie mogą wypierdalać, pomyślał z uśmiechem, po czym opróżnił szklankę. Dobra whisky. Wszyscy mogą wypierdalać. To mój urlop, moje słońce, moje jezioro i moje miejsce campingowe. Jest jednak coś pozytywnego w tym zasranym kraju: człowiek

może rozbić namiot, gdzie mu się żywnie podoba, i nie zastrzeli go żaden pieprzony wsiok.

Może powinienem skoczyć do skrzyżowania i zdjąć znak wskazujący drogę do kąpieliska, pomyślał. To nasze miejsce. W końcu zabrałem narzędzia. Nagle uznał, że to doskonały pomysł, jednocześnie jednak zrozumiał, że nakręca go głównie whisky. Jakiś burak mógłby akurat przejeżdżać tamtędy z furą siana i zacząć się dopytywać, co on wyprawia, a to byłoby niedobrze, oznaczałoby niepotrzebną stratę czasu.

Sprawdził dłonią temperaturę nad grillem.

— Wrzucam kotlety — oznajmił.

Później siedział w tym, co o innej porze roku można by nazwać ciemnością. Ale nie teraz. Słońce ledwie się schowało i jakby czaiło się za linią świerków. Woda była nieruchoma. Widział kontury drzew po drugiej stronie jeziora. Zupełnie jak dżungla, dżungla w odległości stu metrów od niego.

Nagle zobaczył światło.

— Co to było?

Odwrócił się do niej, wskazując powierzchnię wody. Chwilę wcześniej powiedziała, że idzie spać, a mimo to nadal z nim siedziała. Cała ona. Mówi jedno, robi drugie. On wolałby ostatnią godzinę spędzić tu sam. Rozkoszować się ciszą, spokojem. Teraz zaś miał wrażenie, jakby go obserwowała. Tak, obserwowała go. Ostatnio coraz częściej miał takie poczucie. Zdawało mu się, że badała go wzrokiem.

W tej chwili jednak wpatrywała się w jezioro — jak gdyby tylko dlatego, że on to robił.

I znowu to światło, jakby latarka.

Błyskało. Raz–dwa–trzy, trzy krótkie błyski.

— O, znowu!

— Co takiego? — spytała.

— Nie widzisz?!

— Coś błysnęło?

- Możesz być, kurwa, pewna, że tak!
- Chyba coś widziałam — powiedziała.
- Chyba? To był ktoś z latarką.
- Może to odbicie?
- Odbicie? Niby skąd miałyby się tu coś odbijać?

Wzruszyła ramionami.

— Słońce wszędzie dopiero za parę godzin. — Usiłował dojrzeć, co się ruszało wśród zarysów gęstwiny, teraz jednak panował tam kompletny spokój. — Ktoś tam był.

— Może ktoś wyszedł na spacer.

— Mhm.

— No, teraz to już naprawdę idę się położyć.

— A gdzie wyparował twój niepokój? — dopytywał. — W domu ledwo starcza ci odwagi, żeby zasnąć przy zgaszonym świetle.

— Tutaj jest inaczej — odparła.

Rano wszystkie niewyraźne kształty zniknęły. W słońcu świat wydawał mu się jasny i świetlisty. Poszedł prosto do wody i zdumiał się, jaka jest przejrzysta — i jaka zimna. Rzucił się do przodu, poczuł, jak szczelnie otula go chłód, a kiedy potem wypłynął na powierzchnię, pozbył się kaca, nawet go jeszcze nie poczuwszy.

To się nazywa urlop!

Zobaczył, jak wyszła z namiotu. Przeciągnęła się, ziewnęła, spod zmrużonych powiek spojrzała najpierw na słońce, a potem na niego.

— Nie wskakujesz? — Plasnął ręką o powierzchnię wody.

— Za chwilę — odparła, kierując się do wychodka.

— Czy w tym pieprzonym mieście nie było cukierni?! — zawołał za nią.

Odwróciła się.

— Chyba była.

— Cholernie zachciało mi się świeżych bułeczek. I duńskich ciastek. Pojadę po nie przed śniadaniem.

Zaczął płynąć do brzegu.

— A możesz prowadzić, Bengt?

— Jak to?

— No a whisky?

— Do cholery, przecież to było wczoraj. I postawiłbym sto tysięcy, że w promieniu stu kilometrów nie ma glin.

— Nie mamy stu tysięcy — rzuciła, odwracając się od niego.

Skręcił w lewo przy drogowskazie na kąpielisko, a potem jeszcze raz w lewo na potrójnym skrzyżowaniu we wsi. Biały tynk na kościele jaśniał tak mocno, że mimo okularów przeciwsłonecznych aż rozbolała go głowa.

Sto metrów dalej w poprzek drogi stał pick-up.

Przed nim tkwił mężczyzna w czapce baseballowej. Podniósł rękę.

Co, do cholery?

Opuścił szybę. Facet nachylił się w jego stronę.

— Co się dzieje?

— Przez drogę przechodzi duża rodzina łosi — odparł tamten. Jego dialekt brzmiał znajomo, niby zasłyszana gdzieś melodia, której jednak nie sposób umiejscowić.

— Nie widzę ani jednego łosia.

— Są kawałek dalej. Nie chcemy, żeby komuś stała się krzywda.

— Na pewno dobrze się na tym znacie.

— To nasza praca.

— Myślałem, że wasza praca polega na odstrzeliwaniu łosi — zaśmiał się krótko.

— To swoją drogą. — Mężczyzna wyprostował się z uśmiechem. — Ale o tej porze roku mamy tylko łosiowe safari.

— Wiem, wiem, są tablice.

— Widział je pan?

— Trudno ich nie zauważyć.

Przy dwóch wyjazdach ze wsi widział biało-niebieskie tablice z napisem „Łosiowe safari”, grubą strzałką i rysunkiem łosia.

— A widział pan kiedyś łosia? — spytał facet.

— Niejeden raz.

— Serio?

— Na zdjęciu — zaśmiał się znowu. — Ale nigdy w rzeczywistości.

Mężczyzna uśmiechnął się ponownie.

— Tutaj łatwo dałoby się to załatwić.

— Jak to?

— Wyjedziemy dzisiaj wieczorem, o zmierzchu. Gwarantuję, że zobaczy pan coś, czego pan nigdy dotąd nie widział. — Znowu się uśmiechnął. — W rzeczywistości.

— Eee, sam nie wiem... — Usiłował dojrzeć coś ponad pick-upem, jednak nie widział żadnych łosi. Gdyby je teraz zobaczył, łatwiej by mu było odrzucić tę propozycję, czy cokolwiek to było. — Na czym właściwie polega to całe losiowe safari?

— Ja i jeszcze kilka osób wiemy, gdzie w lesie są łosie. No i zabieramy ludzi, żeby im te miejsca pokazać. Żadne czary. — Facet znów się pochylił. — Oczywiście bierzemy ze sobą żarcie, piwo i gorzałkę. Mamy szałas, gdzie robimy grilla, kiedy zapadnie noc. — Uśmiechnął się znowu spod daszka baseballówki. Nie było widać jego oczu. — Zwykle jest dość sympatycznie.

Szałas, grill, las. Dzikie zwierzęta. Faktycznie pachniało to przygodą, wprawdzie zorganizowaną, ale zawsze przygodą. Piwo i gorzałka. Już wyszło mu w gardle, czuł suchość w ustach. Zobaczył sam siebie z kielonkiem przy ognisku. Dookoła sami faceci. Męski świat, do cholery.

— Mamy też pięciobój. To dość popularne. — Mężczyzna znowu się uśmiechnął. Miał ciemne zęby, chociaż może to kwestia cienia, jaki rzucał daszek czapki. — Z reguły dajemy czadu.

— Ile... to wszystko kosztuje?

— Pięćset. Ale w cenie jest tyle mięsa, ile dasz radę zjeść, i tyle alkoholu, ile dasz radę wypić. No i łosie!

— O której?

— Zaczynamy o siódmej. Zbiórka pod kościołem. — Facet ruchem głowy wskazał za niego. — Przy skrzyżowaniu.

— I dużo będzie osób?

— Jak na razie pięć, sześć, jeśli pan dołączy. To w sam raz, większa grupa ludzi niepokoi las.

Niepokoi las, powtórzył w myślach. Dobre wyrażenie. Jakby las miał własne życie. Może zresztą ma. Błyski, które widział poprzedniego wieczora — może to były oczy lasu.

— Wchodzę w to — powiedział.

Kiedy wrócił, dopiero co wyszła z wody.

— Bardzo przyjemnie — powiedziała.

— Mówiłem ci.

— Masz pieczywo?

— Jasne!

— Kurczę, ale jesteś nakręcony.

— Co w tym złego?

— Nic a nic.

— Może okazałabyś odrobinę wdzięczności, że pojechałem do miasta, żeby kupić świeże pieczywo i ciastka?

— Przecież to był twój pomysł.

— A więc chcesz powiedzieć, że to bez znaczenia?

— Czy ja powiedziałam coś takiego?

— Może równie dobrze mógłbym w ogóle nie jechać do miasta? — Zważył torebkę w rękę. Wydała mu się cięższa, niż kiedy wynosił ją z cukierni. — Może zwyczajnie chrzanić pieczywo na śniadanie?

— Nie wygłupiaj się, Bengt.

— Głupi? Jestem głupi? — Postąpił krok w jej stronę. — Mówisz, że jestem głupi?

Zobaczył, że odruchowo się odsuwa. Jakby miał jej przywalić. Owszem, zdarzyło mu się to wcześniej, ale wiedział, że zrozumiała, iż tamtego razu nie miał innego wyjścia. Czy raczej: rozumiała to za każdym razem. Bywało, że posuwała się krok za daleko i nie mógł powstrzymać pięści. Rozmawiali o tym. Załapała. Teraz zdał sobie jednak sprawę, że najwyraźniej nie do końca. Nazwała go głupim. W samym środku urlopu. I to w chwili, kiedy on

właśnie wrócił z zakupami, kiedy naprawdę się postarał. Kiedy właśnie zaczynał się relaksować.

Kiedy właśnie miał zobaczyć najprawdziwsze łosie. A może jeszcze mu powie, że to głupi pomysł?

Ważył torebkę w dłoni.

Cisnął nią najdalej, jak potrafił.

Była dostatecznie ciężka, żeby polecieć spory kawałek od brzegu.

Patrzył, jak przez chwilę unosi się na wodzie.

Słyszał, jak ona pociąga nosem, lecz się nie odwrócił. Tak to się kończy, kiedy się nie docenia cudzych wysiłków. Nie będzie świeżych bułeczek. Nie samym chlebem człowiek żyje.

Przy obiedzie się nie odzywała — i dobrze. Do jedzenia wypił tylko dwa piwa. Normalnie wypiłby jeszcze dwa kielonki, ale czekał go długi wieczór.

Powiedział jej o swoich planach, a ona pokiwała głową, jakby już o wszystkim wiedziała. Ogarnęło go dziwne uczucie. Powiedział jej o łosiowym safari, a ona kiwnęła głową, po czym odwróciła wzrok i popatrzyła na drugą stronę jeziora, tam gdzie w nocy błyskały światła. Jakby ktoś tam stał. Jednak ona tylko próbowała w ten sposób przełknąć to, co powiedział. Rozumiała przecież, że nie ma prawa protestować. Boże, to przecież chyba też jego urlop? Wolno mu chyba czasem zrobić coś fajnego?

— Czy to będzie... razem z nocowaniem? — zapytała po chwili.

— Nie, nie. Zwijamy obóz pewnie jakoś tuż po północy. — Lubił to wyrażenie: „zwijać obóz”. To było coś na serio, tylko dla mężczyzn. Zwijać. Obóz.

— A gdzie jest ten... szalas?

— Gdzieś tam. — Ruchem ręki wskazał otaczający ich las. — Nic więcej nie musisz wiedzieć.

Znów odwróciła wzrok.

Dopił piwo i wstał.

— No, teraz idę się wykąpać.

Wszedł prosto do wody, pozwalając, by ciało swobodnie się zanurzało.

Było znacznie cieplej niż rano. Nie odpływał od brzegu. Gdzieś słyszał, że niebezpiecznie jest pływać po jedzeniu, można utonąć niczym kamień. Nie chciał być kamieniem. Dość ich leżało już na dnie i na brzegu.

Zobaczył, jak wstaje i wchodzi do namiotu. Mniej więcej minutę później pokazała się z powrotem i poszła do zlewu, skąd wzięła plastikową miednicę na brudne naczynia. Gdyby wyluzowała chociaż na chwilę, mógłby zaproponować, że zajmie się zmywaniem. Teraz było za późno.

Położył się na plecach, unosił się na powierzchni z taką łatwością, jakby w wodzie była sól. Czuł zapachy lasu, a od brzegu zapach wody. To kąpielisko to prawdziwy raj. Dziwne było tylko to, że byli tu sami. Oczywiście wioska leżała na odludziu, ale w końcu był to czas urlopów. Wtedy odludne wsie zapełniają się ludźmi z całej Europy. W cukierni słyszał niemiecki. Niemcy powinni byli tu trafić. Droga była wyasfaltowana, a drogowskaz na kąpielisko wyraźnie widoczny. Na campingu powinno stać więcej namiotów. Całe szczęście, że nie stały, ale tak czy inaczej to dziwne. No i mieszkańcy wsi też powinni przychodzić tu się kąpać, w gospodarstwach muszą chyba być jakieś dzieci. W okolicy było sporo gospodarstw. Te cholerne buraki też powinny chyba przychodzić tutaj splukać z siebie brud po całym dniu pracy przy sianie.

Tymczasem nie było nikogo.

Może jest za duży upał, pomyślał. Może dzieciaki są na koloniach nad morzem. E, raczej nie. W takim razie miastowe dzieci powinny być tu na wakacjach. Dzieci lata. Zabawne wyrażenie — jakby dzieci istniały tylko latem, jakby tylko wtedy były dziećmi.

Ona była takim dzieckiem lata. Nie kojarzył już, kiedy mu to mówiła, może zresztą opowiadał mu o tym ktoś inny. Bo jako dziecko kilka razy spędzała chyba lato na wsi. Może w miejscowości podobnej do tej. Próbował sobie przypomnieć, ale nie pamiętał gdzie. Tak czy inaczej nie wyrosła z niej żadna gospodyni wiejska — jedyne, co jej zostało z tamtego okresu, to resztki jakiegoś obcego dialektu, pojedyncze słowa to tu, to tam. Dziwne — przypominały dialekt, którym mówił ten z czapką, facet od łosiowego safari. Może wszystkie wsioki brzmią podobnie, może to jakaś uniwersalna cecha.

Uśmiechnął się, unosząc się na wodzie.

Za pięć siódma zaparkował u podnóża pagórka z kościołem. Słońce nadal bardzo mocno świeciło. Zamknął samochód i ruszył w górę zbocza. Później wieczorem ona przyjdzie tu po auto; do campingu i kąpieliska było nie dalej niż trzy–cztery kilometry. Sama to zaproponowała. Ech, gdyby tylko częściej miewała takie dobre pomysły. W tym białym świetle kościół sam zdawał się świecić. Wszystko tu było białe: fasada świątyni, trawa i groby widziane pod słońce, i niebo wprost nad nim. Najlepsza pora dnia. Stanął przed żelazną furtką. Cmentarz po drugiej stronie był bardzo mały, ledwo ze dwadzieścia nagrobków dawało świadectwo istnienia tych nielicznych, którzy tu mieszkają — czy raczej mieszkali. Niewielu wiodło tu swoje życie, dlatego też niewielu tutaj umarło. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy on sam mógłby tu żyć. Odpowiedź na to pytanie była prosta: nie. Pewnie dałoby się, kiedy świeci słońce, ale co potem? To wyżyna, zimą temperatura musi spadać do minus trzydziestu. Na samą myśl prawie przeszedł go dreszcz. Znowu popatrzył na groby. A czy mógłby tu umrzeć? Nie bardzo. Bo jeśli się tu nie żyje, raczej się tu nie umiera, prawda? Uśmiechnął się. Za sobą usłyszał warkot silnika i odwrócił się. Pick-up wjechał na zwirowy podjazd, a facet w czapce z daszkiem wychylił się przez okno od strony kierowcy.

— Wskakuj pan! — zawołał.

Zszedł do samochodu, po czym usiadł na miejscu pasażera.

— A gdzie pozostali? — zapytał.

— Czekają w lesie.

— Myślałem, że mamy się zebrać tutaj?

— Przyszli wcześniej. Mój współnik zawiózł ich na miejsce.

Nie zadawał więcej pytań. Jechali tą samą drogą, którą on przyjechał. Przez otwarte okno wpadał ciepły powiew. Po prawej stronie widział pasące się krowy. Miały pełne wymiona. Niebawem pora udoju. Kowboje przyjadą na koniach przepędzać zwierzęta. *Movin', movin', movin'*. Wiele lat temu oglądał jakiś serial i tytuł tej piosenki zapadł mu w pamięć. Tamten serial mógłby rozgrywać się tutaj — okolica prawie niczym się nie różniła, poza

tym, że część koni zastąpiono pick-upami. Na polach jednak nadal było mnóstwo koni nadających się pod siodło.

Minęli zjazd do kąpieliska. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Nie było drogowskazu.

Odwrócił się.

Tak, to z całą pewnością ten zjazd. Rozpoznał rozdwojony świerk pięćdziesiąt metrów dalej w stronę jeziora. Zagadał do kierowcy:

— Drogowskaz zniknął.

Facet spojrział we wsteczne lusterko.

— Drogowskaz?

— No tak. Biało-niebieski. Zwyczajny znak, że tu jest kąpielisko.

— Mhm. Rzeczywiście, ma pan rację — odparł kierowca, ze wzrokiem nadal utkwionym w lusterku. — Faktycznie zazwyczaj jest tu taki znak.

— Już nie.

— Mhm. Może go zdjęli do naprawy albo co.

— W samym środku wakacji?

— E, nie wiem. — Facet spojrział na niego szybko. — A ma to jakieś znaczenie?

— Nie, chyba nie... Tylko że to cholernie dziwne.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nagle skręcił w leśną drogę, której jeszcze parę sekund wcześniej w ogóle nie było widać. Tam wisiał znak.

To właściwie nie była droga, tylko szeroka leśna ścieżka. Może to krajowa autostrada łosi, pomyślał. Spokojnie sobie tędy idą, niczego nie podejrzewając, tymczasem na ambonach siedzą te pieprzone buraki, czekają na nie i celują. Zerknął na kierowcę. Lepiej mieć się na baczności. Siedział obok cholernego wsioka. Niedobrze by było, gdyby się facet domyślił, co mu przemyka przez głowę. Wyglądał na twardego skurczybyka.

Dotarli do skrzyżowania trzech leśnych dróg. Nagle pomyślał o obiecany grillu. Gorzałka i piwo. Nie wypił swojej popołudniowej whisky, co powoli zaczynał odczuwać. Suszyło go w gardle, język zdawał się przeszkadzać w ustach. Nigdy więcej nie rezygnuj z popołudniowej whisky, postanowił po cichu.

Pick-up podjeżdżał pod górkę, kiwając się na boki. Las rzedł, a na szczycie całkiem zniknął. Kierowca zahamował, po czym przekreślił kluczyk w stacyjce.

— No to jesteśmy na miejscu — oznajmił i wysiadł z samochodu.

Miało się wrażenie, że stoją na dachu świata — albo przynajmniej województwa. Widok roztaczał się stąd na wiele kilometrów. Zupełnie jak na środku morza, ze świerkowym horyzontem. Słońce zaczęło wreszcie zniżać się nad widnokretem na zachodzie. Można by podążać za nim wzrokiem na sam dół, aż zapłonie złotem, a potem znowu w górę, gdyby stać dostatecznie długo.

Ale trzeba było ruszać w drogę.

— Tam są pozostali — powiedział mężczyzna w czapce.

W dole z lasu wyszło kilka osób. Doliczył się czterech. Mieli na sobie grube jeansy i kraciaste koszule, potężne kalosze i czapki, tak samo jak facet stojący obok niego. Wszyscy wyglądali na synów tej ziemi. Bengt nie wyglądał na syna tej ziemi. Ubrany był w niebieską lnianą koszulę wetkniętą w płócienną spodnie. Na nogach miał żeglarskie buty, niby dość ciężkie, ale i tak niepasujące do tutejszej mody. Nie miał czapki. Facet w baseballówce przedstawił go pozostałym, jakby był tam jedynym obcym. Może tak jest, pomyślał. Pięć stów — dla tych wsioków to pewnie kupa forsy, po stowie na łebka. Z kasą w garści będą mogli pojechać do miasta kupić sobie parę worków czego tam im się żywnie spodoba.

Jednak jak na razie nikt nie kazał sobie płacić, pomyślał.

— No to wobec tego zajmujemy stanowiska — zakomenderował facet w czapce.

Nazywał go facetem w czapce, chociaż przecież wszyscy mieli na głowach baseballówki. To dość dziwne wyrażenie: „Wobec tego zajmujemy stanowiska”. Facet w czapce obrał kierunek na coś w rodzaju wieży widokowej, która wyglądała na całkiem nową. W tej okolicy coś podobnego wydawało się właściwie niepotrzebne, ale może stamtąd jeszcze lepiej dało się obserwować łosie. Może to po to, żeby ich nie niepokoić.

Zaczęli wspinać się po potężnych stopniach.

Wieża okazała się wyższa, niż się wydawało z dołu, lecz zazwyczaj tak jest. Zawsze miał takie wrażenie, stojąc na szczycie trampoliny na basenie. Albo w ogóle na szczycie jakiejkolwiek wieży. Raptem ogarnęło go poczucie, że od bardzo dawna właściwie nic nie robił. Głównie egzystował, cokolwiek to znaczy. Nie wspinał się na ambony, jak w tej chwili. Nie palił ognisk. Pił gorzałkę, ale to można robić wszędzie. Zdawało mu się dotąd, że żyje w rzeczywistości, lecz rzeczywistość była dopiero tutaj.

Na górze czuł podmuchy wiatru.

Czuł się wielki i mały zarazem.

— Tam, w dole. — Usłyszał głos jednego z facetów.

Popatrzył w dół.

Wśród gęstwiny gałęzi coś się ruszało. Widział, jak liście się trzęsą, unoszą i opadają. Zobaczył coś brązowego albo czarnego — trudno było rozróżnić kolory, bo słońce zaczęło tonąć za horyzontem, a wraz z nim barwy ginęły w ziemi.

Zobaczył, jak w dole łosie zbliżają się do potrójnego rozwidlenia dróg, czy może ścieżek, po czym ciągną dalej na wschód. Łosie! Jego pierwsze łosie! Wyglądały jak rodzina, choć z tej perspektywy wszystkie były podobnej wielkości. Pojawiły się jak na zamówienie. Przez głowę przemknęła mu myśl, że są tresowane, by wychodzić, kiedy ludzie wejdą na ambonę, ale to zbyt nieprawdopodobny pomysł. Chociaż właściwie nigdy nie wiadomo. Tutejsi może porozumiewają się lepiej ze zwierzętami niż z miastowymi, ludźmi jak on.

Łosie szły dalej na wschód, bez pośpiechu. Przystanąły parę razy, żeby poszczypać gałęzie, jakby chciały sprawdzić ich świeżość i smak. Chociaż nieco kanciaste i trochę niezdarne, poruszały się z pewnym dostojeństwem. Królowie lasu, i królowe. Nagle zatęsknił za nią, zapragnął, żeby stała tu teraz przy nim. Ta myśl go zaskoczyła. Doszedł do wniosku, że wszystko mogłoby być inaczej. Mogłoby być rodziną, prawdziwą rodziną.

Jak łosie tam w dole.

Teraz odchodziły z powrotem w las. Wyjątkowa chwila minęła. Miał swoją chwilę, a teraz odeszła wraz z łosiami, niespiesznie maszerującymi na

wschód.

Rozejrzał się dookoła i zobaczył, że wszyscy go obserwują. Czekają na jego reakcję. Miał prawie stuprocentową pewność, że jest tu jedynym sponsorem, lecz nie grało to żadnej roli. Dostał swoją chwilę.

Stał się innym człowiekiem.

Chciał jej o tym powiedzieć, natychmiast. To było jednak niemożliwe — nie trafiłby z powrotem, nie doszedłby sam na camping, a ci faceci muszą dać mu towar, za który im zapłacił. Dla nich byłaby to sprawa honoru, obraziłby ich żądaniem, by go natychmiast odwieźli.

Facet w czapce znowu przejął dowodzenie i zaczął schodzić po drabince.

Gdy dotarł na dół, wytaszczył spod podstawy wieży dużą drewnianą skrzynię, po czym zaczął coś z niej wyjmować. On sam nie widział, co to takiego, ponieważ tamten był do niego odwrócony plecami.

Podszedłszy bliżej, zobaczył plansze, które facet porozkładał na ziemi: tarcze myśliwskie, służące do ćwiczenia celności strzałów. Przedstawiały łosie. Facet w czapce podniósł jedną z nich. Łoś wyglądał niemal jak żywy.

Jeden z pozostałych poszedł do pick-upa i teraz wracał z całym naręczem strzelb. Facet w czapce potrząsnął tekturowym łosiem.

— Teraz urządzimy sobie małe polowanie.

— Jak to...? — zapytał.

— Ustawiamy plansze na skraju lasu — odparł tamten z uśmiechem. — A potem do nich celujemy!

— Ale ja... nigdy nie strzelałem — powiedział.

— Wobec tego najwyższa pora spróbować.

Facet w czapce skinął głową na jednego z mężczyzn w kraciastych koszulach, a tamten podał mu strzelbę. Może to właśnie jest sztucer na łosie? Kiedyś słyszał takie wyrażenie. Wziął broń i poczuł jej ciężar. Raptem pomyślał o ciężarce torebki z bułkami, którą rano cisnął do jeziora. Żałował teraz, że to zrobił. Nagle żałował tego bardziej niż czegokolwiek innego w życiu. Gdy stał tak z tą przeklętą strzelbą w dłoniach, otoczony tymi pieprzonymi burakami, poczuł, że wyrzucenie pieczywa było czymś niewybaczalnym. Nie wiedział, skąd w tej sekundzie przyszła mu do głowy

ta myśl, jednak miał silne wrażenie, że robiąc to, przekroczył pewną granicę. Ostatnią granicę. Ostatnią granicę w ich związku. Przekroczył tę ostatnią granicę.

Kilka razy wcześniej chciała pójść swoją drogą, odejść od niego. Ku innej granicy. On jednak nie pozwolił jej zrobić nawet kroku. Wiedziała, co by się stało, gdyby spróbowała go rzucić.

— No to ustawiamy plansze — zarządził facet w czapce.

On sam chyba nie potrafił sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby próbowała go zostawić. Może wiedziała więcej niż on. Wiedziała o nim więcej niż on sam. Miała świadomość, co by jej zrobił, gdyby spróbowała. Boże, pomóż mi stąd odejść. Chcę stąd odejść, zanim będzie za późno. Zaraz będzie już za późno, pomyślał, zastanawiając się jednocześnie, skąd to przeczucie.

Stał w miejscu, kiedy faceci w kraciastych koszulach rozmieszczali plansze na skraju lasu, w różnej odległości od wieży. Jedne było widać, innych nie, jakby miał zwyczajnie strzelać prosto w ścianę drzew. On jednak nie zamierzał strzelać, dla niego przygoda z łosiami już się zakończyła. Chciał stamtąd odejść, wrócić do niej. Był teraz innym człowiekiem.

Mężczyźni stali wokół niego, trzymając w rękach strzelby. Sprawiali wrażenie, jakby urodzili się z bronią na ramieniu. Zresztą mniej więcej tak właśnie było w tych stronach.

Patrzyli na niego, jakby czekali, aż odda pierwszy strzał. Ten, kto pierwszy odda strzał, pomyślał i prawie parsknął śmiechem. Ale nikt mu nawet nie pokazał, jak to się robi. Nawet nie dostał nabojów, czy jak to się tam do cholery nazywa.

— Jedna plansza chyba się przewróciła. — Facet w czapce kiwnął do niego głową. — Może pan pójść ją podnieść?

— Ja? — Zdziwił się.

Tamten znowu skinął głową.

Ostrożnie odłożył strzelbę na ziemię, jakby była naładowana, po czym ruszył w stronę lasu.

Nie widział żadnej przewróconej planszy. Jeśli w ogóle taka kiedyś tam

była, to teraz znikła — zupełnie jak drogowskaz na kąpielisko.

— Dalej w lewo. — Usłyszał dobiegający gdzieś z tyłu głos faceta w czapce. — Za jałowcem.

I nagle rozpoznał ten dialekt.

To ta sama melodia, którą czasem słyszał u niej.

A więc to tutaj przyjeżdżała jako dziecko lata.

Tutaj.

Znała tych facetów.

Oni też byli tu dziećmi, i to nie tylko latem.

Czytała mapę.

Teraz wydało mu się, jakby to się działo sto lat temu.

Doprowadziła ich tutaj.

W rzeczywistości nie było żadnego campingu.

W tej chwili zobaczył planszę za krzakiem jałowca. Stała jak należy. Tekturowy łoś łypał na niego kątem oka, a może łypał na coś za jego plecami. Odwrócił się. Zobaczył kraciaste koszule, czapki, kalosze. Strzelby. Lufy były uniesione. Celowały w niego. Celujcie w łosia, do cholery, pomyślał, zanim zrozumiał. Naprawdę zrozumiał. Usłyszał ostry metaliczny trzask, którego dotąd nie znał. Wiedział jednak, co on oznacza. Pewne rzeczy rozpoznajesz za pierwszym razem, pomyślał.

Niebo za plecami strzelców płonęło złotem. Ambona wyglądała jak czarna sylwetka na tle ognia. Dostrzegł postać stojącą na szczycie. Chciał pomachać. Chciał krzyknąć, wszystko wytłumaczyć. Chciał popędzić na górę. Chciał polecieć.

Nagle podmuch wieczornego wiatru targnął jej spódnicą, rozpostarł ją niczym czarną chorągiew.

Inger Frimansson

I W NASZ CIEMNY DOM...

— Doktor Rosberg jest starym człowiekiem, tak starym, że właściwie nie powinien już przyjmować pacjentów — powiedziała Inga-Lisa. — Ale jakie to ma znaczenie? — Zaśmiała się głośno, aż makijaż prawie popękał jej na twarzy. — Właśnie dlatego do niego chodzę. Przepisuje mi, co tylko chcę. Wprawdzie najpierw strzela mały wykład, ale potem i tak wyciąga druczek na receptę.

Inge-Lisę poznała niedawno w Hovsjö. Była to kobieta koło pięćdziesiątki, impertynencka i hałaśliwa, lecz serce miała złote. Spotkały się w drodze z centrum: ten sam autobus na przedmieście, ta sama klatka schodowa.

— Ja pieprzę, ty też tu mieszkasz!

Kłęła jak szewc. I wszędzie miała znajomości. Dokładne przeciwieństwo Jannike. Pewnego wieczoru, kiedy w przytulnej kuchni Ingi-Lisy grały w dwuosobowego wista, opowiedziała jej o doktorze Rosbergu.

— Chodzę do niego od lat. Przepisuje mi, o co tylko poproszę. Wie, że mam cholerne problemy z zasypianiem przez te bóle, artretyzm i fibromialgię. Wszystkie te choroby dopadają stare baby. To jeden z nielicznych lekarzy, którzy wspierają kobiety. Ostatnio dał mi coś, co powaliłoby wołu, gdyby nie zachować ostrożności.

Jannike potem długo się nad tym zastanawiała. Powalić wołu. Nic nie było jeszcze pewne, nie miała żadnych planów ani wizji, ale może właśnie wtedy zaczęły się formować.

Teraz stała pod drzwiami gabinetu lekarza, mocno i długo naciskając

dzwonek — tak długo, że już prawie dała za wygraną. W końcu jednak usłyszała niepewne kroki, po czym drzwi się otworzyły. Ukazała jej się pokryta bruzdami, pomarszczona twarz.

— Panna Linder? Czy to pani?

— Tak — wymamrotała.

— Witam panią, panno Linder. Proszę do środka.

Dłonie miał smukłe i tak wychudzone, że wydawało się, jakby żyły biegle na zewnątrz skóry. Nie miała ochoty poczuć dotyku tych rąk na swoim ciele. Ale będzie musiała. Będzie musiała odegrać swoją rolę.

— Dzień dobry — powiedziała, nadając twarzy wyraz cierpienia. Starła się też oddychać ciężko i z wyraźnym wysiłkiem.

— Proszę usiąść, zaraz panią poproszę. — Wskazawszy ręką kanapę i parę foteli, mężczyzna oddalił się w głąb korytarza.

Jego gabinet zajmował część dużego mieszkania na Östermalm: ciężkie meble obite pluszem, poplamione poduszki. Inga-Lisa powiedziała, że o ile jej wiadomo, lekarz mieszka sam. Nigdy nie słyszała o żadnej pani Rosberg, nigdy nie widziała też żadnej pielęgniarki. Na kanapie leżał piesek, futro miał z szydełkowych pętelek z jedwabiu. Nos z czarnej, wytartej wełny prawie już mu odpadł. Pomyślała, że przychodzące tu dzieci na pewno przytulały go i zasłaniały się nim w obronie przed zapachem eteru, metalicznym szcękaniem narzędzi i tłumionymi okrzykami, jakie od czasu do czasu pewnie dobiegały z pokoju zabiegowego.

Odwiesiła sztuczne futro na wieszak i rozplątała długi pasiasty szalik owinięty wokół głowy, żeby grzał uszy. Mróz przyszedł już pod koniec listopada wraz z kilkudziesięcioma centymetrami śniegu, który, o dziwo, nie stopniał, tylko leżał jak na bożonarodzeniowej pocztówce. W pracy siedzą teraz pewnie przy kawie, rozmawiając o pogodzie. Punktem kulminacyjnym dnia jest moment, gdy wszyscy zbierają się w ciasnej jadalni. Pałają się dwie świece, bo właśnie minęła druga niedziela adwentu. Sylvia pewnie jak zawsze kupiła biały mech i świece. Poszła do piwnicy po świeczniki elektryczne i czerwony obrus w Mikołaje, który leży na stole przez cały grudzień i przeważnie jeszcze na początku stycznia, póki ktoś — z reguły

jest to Ewy — nie weźmie go do prania. Na pewno kupili też pierniczki i drożdżowy kołacz z szafranem, w kuchni nadal czuła chrzęst grudek dekoracyjnego cukru pod stopami. Choćby człowiek nie wiadomo jak się starał pięknie pokroić i ułożyć ciasto na talerzu, na podłodze zawsze znalazły się okruchy. Czasem ktoś poirytowany wieszał nad zlewem kartkę ze złośliwą uwagą: „Twoja matka tu nie pracuje. Posprzątaj po sobie!”.

Zwykle na jakiś czas pomagało.

Jannike opadła na jeden z foteli i sięgnęła po gazetę. Same tygodniki „Allers” i „Husmodern”, wszystkie jednak sprzed co najmniej piętnastu lat i kompletnie zaczytane. Oglądała zdjęcia gwiazd w niemodnych ubraniach i fryzurach. Pelisy na karku i watowane ramiona. Idiotycznie to wyglądało. Po chwili usłyszała zgrzyt zamka w drzwiach do gabinetu. Starszy pan odchrząknął.

— Panno Linder, pani kolej.

Tak jakby poczekalnia była pełna!

Wśliznęła się na krzesło za olbrzymim, sfatygowanym biurkiem. Leżały na nim stosy papierów i dokumentów, niemal całkiem zasłaniając lekarza; musiał pochylać się do przodu, żeby się jej przyjrzeć. Na lewo od niego na mniejszym stole stał zakurzony szkielet z plastiku albo z kości. Obnażone zęby szczyrzyły się do niej. Wzdrygnęła się.

— No, panno Linder, co panią do mnie sprowadza?

— Tak... namiary na pana doktora mam od przyjaciółki, Ingi-Lisy. — Nagle nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska, co ją zirytowało.

Z leżącej na biurku teczki wyjął plik papierów. Zobaczyła notatki robione chybotliwym, kanciastym pismem. Wtedy zaczęła płakać. Nie wiedziała dlaczego, lzy pojawiły się same niczym fala potężnej rozpacz. Zawstydzona, zasłoniła dłonią usta.

Lekarz podniósł na nią oczy — skóra pod nimi zwisała luźno, jakby gałki oczne miały w każdej chwili wypaść. Jannike zaczęła szukać chusteczki do nosa.

— Mam potworne bóle — wyszeptała.

Popatrzył na nią ze smutkiem.

— Gdzie panią boli?

— Tu... i tu. W całym ciele.

— Hm. — Ponownie przejrzał swoje papiery. — Była pani z tym u lekarza?

— Ni...eee.

— A dlaczego nie?

— Wydawało mi się, że... że tak musi być.

— Tak musi być?

— Tak, moja mama cierpi na to samo, moje ciotki i babcia ze strony mamy też. Powiedziały, że tak musi być, że kobiety tak mają. Coś z fibro... Nie ma nawet sensu próbować, powiedziały, lekarze się tym nie przejmują. Ale w końcu poznałam Inge-Lisę. Jesteśmy sąsiadkami. Powiedziała mi o panu, doktorze Rosberg, powiedziała, jaki pan jest życzliwy i troskliwy. Że nie chce pan, by ludzie cierpieli.

Odłożył papiery i wyjrzał za okno. Lekko drżały mu nozdrza.

— Muszę panią zbadać. Z pewnością pani rozumie.

— Oczywiście.

— Nie mogę wypisywać recept na prawo i lewo, nie wiedząc, co robię.

— Oczywiście, że nie.

— Jestem starym człowiekiem, niedługo zamknę gabinet.

— Aha — wymamrotała. — Szkoda.

— Tak. Szkoda. Ale prędzej czy później wszystko w życiu się kończy.

Poprosił, żeby rozebrała się do bielizny i położyła na kozetce. Przykrywający ją papier był pognieciony i podarty. Zobaczyła, że to koniec rolki. Marzła, ale rozebrała się, tak jak kazał, po czym się położyła. Lekarz odwrócił się tymczasem i dotykał szkieletu. Ścisnął mu ręce, aż grzechotało.

— Jest pani gotowa, panno Linder? — zapytał po chwili.

Leżała na plecach, na brzuchu dostała gęsiej skórki. Wziął stetoskop, mocno przycisnął go do jej piersi i słuchał.

— Hm — mruknął.

Zaczął dotykać jej ciała swoimi gładkimi, zimnymi rękami, ugniatał,

ściskał, szczypał. Stał tak blisko, że widziała grube włosy sterczące mu z dziurek w nosie i z uszu. Pachniał delikatnie acetonem. Poczowała lekki zawrót głowy.

— Taaa — powiedział. — Cierpienie to nic przyjemnego. Ból zatruwa człowiekowi życie.

Powoli skinęła głową. Łzy znów popłynęły, tym razem ku skroniom. Pogłaskał ją po głowie. Miał smutne, obwisłe policzki.

— Proszę się uspokoić, panienko. Proszę się uspokoić. Chyba coś na to poradzimy.

Wrócił za biurko, kiedy się ubierała. Nagle poczuła się niepewnie. Co, jeśli ją przejrzał?

Ale nie przejrzał.

— Wystawię pani receptę na lek o nazwie dextromordifen. Od razu muszę uprzedzić panią o ryzyku związanym z jego stosowaniem.

— Tak?

— Właściwie lek jest za mocny, żeby od niego zaczynać leczenie, ale ma pani chorobę w rodzinie, i to od kilku pokoleń, jeśli dobrze rozumiem. Zapiszę pani końską kurację.

Jannike wstrzymała oddech.

— Proszę jednak, żeby zachowała pani należyłą ostrożność i rozwagę.

Nie zrozumiała, co powiedział, ale skinęła głową.

Kiedy podawał jej receptę, z jego mrocznych oczu wyzierała czujność.

— Czy ma pani prawo jazdy, panno Linder? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Po tym medykamencie nie wolno prowadzić samochodu. To zabronione.

— Rozumiem.

Wbił w nią wzrok, miała wrażenie, że przejrzał ją na wylot.

— A co z alkoholem?

— Słucham?

— Nawet łyk alkoholu w połączeniu z taką tabletką może doprowadzić do stanów lękowych. Właściwie nie t y l e m o ż e d o p r o w a d z i ć, i l e

p r o w a d z i. Rozumie pani, co mówię? Ostry stan zagrażający życiu. Z początku pacjent niczego nie zauważa. Ale po mniej więcej półgodzinie... wtedy jest już przeważnie za późno. Działanie jest podobnie zdradliwe jak w wypadku trujących grzybów, tyle że szybsze. Szybsze.

Zamilkł, odwracając wzrok w stronę okna.

Jannike przełknęła ślinę.

— Rozumiem. Nigdy by mi się nawet nie śniło... Nie przepadam za mocnymi trunkami.

Jego wąskie wargi się wykrzywiły.

— To rozsądnie z pani strony. I jeszcze jedno: czy ma pani dzieci, panno Linder?

— Nie — wyszeptała.

— A ma pani kontakt z jakimiś dziećmi? Siostrzeńcy, bratankowie, dzieci sąsiadów?...

— Nie rozumiem? — wykrztusiła.

— Proszę trzymać lek pod kluczem. Dzieci pod żadnym pozorem nie powinny mieć do niego dostępu. Szczególnie że tabletki smakują wcale nie najgorzej.

Pojechała kolejką do Södertälje. Kiedy Artur ją zostawił, straciła mieszkanie. Jego mieszkanie, jeśli już czepiać się szczegółów. Jego mieszkanie własnościowe w Tantolunden. Dwupokojowe, z zapierającym dech w piersiach widokiem. Mniej lub bardziej dosłownie ją stamtąd wyrzucił. Jannike pojechała do mamy, gdzie przemieszkała kilka dni, potem jednak zaczęły działać sobie na nerwy. To matka załatwiła jej kawalerkę do wynajęcia w Södertälje.

„Ile masz lat, Jannike? Trzydzieści sześć, prawda? Czy ty nigdy nie dorośniesz na tyle, żeby stanąć na własnych nogach?”

Jannike wiedziała, że w głębi duszy matka odczuwa ulgę, że córka rozstała się z chłopakiem. Był muzułmaninem i jakby tego nie było dosyć, w dodatku czarnym. Jej matka zawsze miała problem ze wszystkim, co inne.

Popatrzyła na zaśniewane przedmieścia, przypominając sobie pierwsze

spotkanie matki z Arturem. Jej niespodziewaną agresję: „Czy też każesz jej nosić burkę?”. Artur przemilczał to pytanie, był spokojnym człowiekiem. Przeważnie znosił wszystkie docinki matki, ale w końcu nie wytrzymał. Odstawił wtedy filiżankę na stół z taką siłą, że uszko odpadło. Serwis kawowy babci Betty malowany w listki bluszczu.

Musiała popędzić za nim na dół, aż na podwórko. Błagać i zaklinać.

„Nie złość się, matce czasem zdarza się niezręczne zachowanie. Nie miała nic złego na myśli”.

W głębi duszy wiedziała jednak, że to nieprawda. Rozumiała, że jej samej pozostaje teraz dokonać wyboru. Artur albo matka.

Wybrała Artura. Był dla niej dobry i dbał o nią, pocieszał, kiedy była smutna. Był też świetny w łóżku, z nikim nie było jej tak dobrze jak z nim. A kiedy straciła pracę, pomagał jej, przynajmniej na początku. Kupował pyszności po drodze do domu. Rozpieszczał ją. Skontaktował się ze związkami zawodowym i zapytał, czy szwedzkie prawo pracy rzeczywiście dopuszcza zwolnienie dobrego pracownika ot, tak, bez żadnego powodu.

Przeprowadzono dochodzenie. I wtedy oczywiście wyszło na jaw, dlaczego musiała odejść z pracy. Stara Gunhild i jej kłamstwa. Artur i ona sama z jednej strony, Gunhild z drugiej, a pośrodku przedstawiciel związku zawodowego. Stara Gunhild zdjęła swoje brzydkie i niemodne okulary. Ręce jej drżały, wyraźnie było to widać. Można się było zastanawiać, kto tu właściwie ma problem alkoholowy.

— Przez ostatnich kilka miesięcy pańska dziewczyna była pod wpływem alkoholu niemal każdego dnia. Znosiliśmy to cierpliwie, bardzo cierpliwie. Ale teraz... mamy tego dosyć.

Jannike usłyszała, jak Artur bierze głęboki wdech.

— Przepraszam, ale wydaje mi się, że podaje pani nieprawdę. — Jak na imigranta dobrze mówił po szwedzku, czasem jednak coś mu nie wyszło. W tej chwili wołałaby, żeby milczał i się nie wtrącał.

— Aha... A co mówią koledzy z pracy? — Przedstawiciel związku zawodowego bawił się otwieraczem do butelek. Wydawał się znużony i niezainteresowany.

Gunhild, babsko, które było jej szefową, otworzyła teczkę i wyjęła z niej zwiniętą w rulon kartkę.

— Proszę — powiedziała.

Bardzo powoli, nie odrywając wzroku od Jannike, zaczęła ściągać gumkę z rulonu. Na papierze widniało wiele podpisów. Dziesięć. Jej koledzy z pracy. Nawet Marja, którą tak lubiła. Której się zwierzała.

Kolejka wjechała na stację w Södertälje. Jannike wstała i wysiadła. Wkładając plecak, myślała o tym, co kupiła w aptece Scheele: dwa opakowania, w sumie sto tabletek. Poczowała falę gorąca i ukłucie w piersi. Wszystko będzie dobrze. Już wkrótce przestanie cierpieć.

Mieszkała w suterenie i ponieważ z ulicy wszystko było widać, musiała mieć stale zaciągnięte zasłony. Czasami dzieciaki podbiegały, żeby walnąć pięścią w okno, czasami rzucały błotem i psim gównem. Zwracanie im uwagi nie miało żadnego sensu. Najlepiej było udawać, że się w ogóle nic nie zauważyło. Pod bramą stała piątka dzieciaków, żaden się nie ruszył, kiedy chciała przejść. Jeden pokazał jej język. Pomyślała o tabletkach, które „smakują nie najgorzej”. Przepchnęła się przez grupkę dzieci i otworzyła bramę. Lekko kręciło jej się w głowie.

W mieszkaniu musiała się natychmiast położyć. Serce waliło jej jak młotem, zalewał ją pot. Z jękiem zamknęła oczy. Po chwili wstała i poszła do kuchni. Nalała sobie szklaneczkę rumu, opróżniła ją. Nareszcie wokół niej zapanowała cisza. Ale obrazy wciąż wracały, obrazy ze spotkania ze związkowcem.

Długotrwałe nadużywanie alkoholu w miejscu pracy. Nic nie pomogło. Ani napomnienia, ani ostrzeżenia, ani poufne rozmowy z babskiem na stanowisku kierowniczym. W trakcie spotkania Artur robił się coraz bardziej milczący, jego milczenie wzmagало się jak chłód, zaczęła się bać.

Wieczorem, kiedy wrócili do domu, musiał wyjść do pracy. Siedział w budce z biletami w metrze na starym mieście, to jedna z najgorszych stacji. Na placyku obok przesiadywali skinheadzi. Czasem zachciewało im się rozróbny. Kiedy zwrócił się do niej, zobaczyła, że ma pobladłe wargi.

— Chcę, żeby cię tu już nie było, kiedy wrócę.

— Co? Co ty mówisz?

— Spakuj się i znikaj!

— Ale Artur, nie możesz...

Podniósł rękę i przez sekundę myślała, że ją uderzy.

— Skłamałaś mnie. To, co zrobiłaś, jest gorsze, niż gdybyś mnie zdradziła.

— To oni kłamią! — krzyknęła. — To ta cholerna baba wszystko wymyśliła, musisz mi uwierzyć, kocham cię.

Jego twarz była napięta i nieprzystępna.

— A lista z nazwami? — uciął dyskusję.

Nazwiskami, poprawiła go w myślach, ale tym razem wcale nie było jej do śmiechu. Czasami przekomarzała się z nim, kiedy zrobił jakiś błąd. On wtedy też się śmiał, przewracał ją na łóżko ze słowami: „Ty nicponiu, ja ci dam się ze mną droczyć”.

W mundurze pracownika sztokholmskiego metra wydawał jej się obcy. Wcześniej uważała, że wygląda w nim seksownie, teraz jednak czuła tylko rozpacz.

— Podrobiła te wszystkie podpisy, nienawidzi mnie. Stanowię dla niej zagrożenie, jestem znacznie młodsza. Nie może mnie ścierpieć.

Sięgnął po torbę. Wystawał z niej blok rysunkowy, Artur w wolnych chwilach lubił rysować.

— Już dosyć, Jannike.

Te same słowa usłyszała ostatniego dnia w pracy z ust tego starego pudła:

— Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy. Już dosyć.

Jannike wybuchła śmiechem, dziwnym, gulgoczącym śmiechem.

— Co dokładnie masz na myśli?

Na pomarszczonym dekolcie Gunhild pojawiły się czerwone plamy.

— Nie udawaj Greka.

— Nie udaję. Nie rozumiem, o czym mówisz, widzisz coś, co nie istnieje. Zmyślasz. Jesteś mitomanką, ot co.

Była zadowolona z tego słowa, przyszło w idealnym momencie.

— Możemy zaprosić tu pozostałe osoby, jeśli wolisz. Możemy zwołać zebranie. Obawiam się jednak, że nie byłoby to dla ciebie zbyt przyjemne.

Poczuła się silna i znowu niezależna. Śmiech urwał się jak nożem uciął.

— Powiedzieć ci coś? — zapytała, składając ręce. — W tej pracy nigdy nic nie było zbyt przyjemne. Nigdy. A jak pewnie sama doskonale wiesz, to szef nadaje tutaj ton.

I wyszła.

Papierowa torebka z apteki leżała na kuchennym blacie. Zawroty głowy ustały. Wyjęła oba opakowania i zaczęła je oglądać. Wściekle czerwone trójkąty ostrzegały przed niebezpieczeństwem. Dextromordifen. Wypowiedziała tę nazwę na głos, wyraźnie artykułując głoski. Ostrożnie otworzyła pierwsze opakowanie, po czym wyjęła z niego blister różowych podłużnych tabletek.

Połykać w całości, przeczytała.

Wyjęła z szafki dwie szklanki. Matka oddała jej swoje stare, obtłuczone. Chciała je wyrzucić, ale przydały się, kiedy Jannike musiała się przeprowadzić. Do jednej z nich nalała gorącej wody. Do drugiej odrobinę rumu. Wyłuskując dwie tabletki z folii ochronnej, poczuła suchość w ustach. Po jednej tabletkce do szklanki, zamieszać łyżeczką. Odczekać trochę, dwie minuty, dziesięć.

Yes!

Krzyknęła, stojąc w kuchni: YES! Zadziałało. Tabletki całkiem się rozpuściły, zarówno w wodzie, jak i w rumie. Nie do poznania, ani śladu osłonki.

Oczywiście, pomyślała. Jasne, że muszą się rozpuścić, bo jak inaczej organizm miałby je przyswoić?

Tej nocy dobrze spała, po raz pierwszy, od kiedy tu zamieszkała. Śniło jej się, że lata, że ona i Artur, odziani w długie białe szaty, szybują nad centrum Sztokholmu. Błogość.

Parę dni po tym, jak ją wyrzucił z mieszkania, poszła na stare miasto szukać go w budkach z biletami w metrze. Nie znalazła. Zapytała

pracującego tam chłopaka:

— Przepraszam, w jakich godzinach pracuje dziś Artur?

Posłał jej chłodne spojrzenie.

— Jego pytaj, a nie mnie.

Jannike kompletnie zatkało.

— Blokujesz kolejkę — powiedział. — Chcesz kupić bilet czy nie?

Miała ochotę przewrócić tę całą budę. Czyżby Artur przeszkolił swoich kolegów z pracy?

„Gdyby pytała o mnie taka chuda laska, nic jej nie mówcie”.

Czy tak właśnie było?

Jej złość skupiła się na Arturze, tłukła się w niej przez sekundę, by zaraz znów przenieść się na pracę, na Gunhild i pozostałych kolegów. Na listę z podpisami. Te ich ręce trzymające długopis, pospiesznie gryzmołone zawijasy. Wszystko za plecami, przeciwko niej.

Sama myśl o tym sprawiała jej ból. A więc nawet Marja. Jej nazwisko też tam widniało, na samym dole, jakby do końca miała wątpliwości, a jednak wreszcie zdecydowała się podpisać papier. Marja Hammendal. Marja, z którą czasem chodziła do kina. Marja, która wpadała do jej pokoju, żeby się wyplakać, kiedy pokłóciła się z mężem.

A ona była wtedy spokojna i po matczynemu troskliwa. Trzymała Marję za rękę, podawała jej chusteczki. „To minie — pocieszała. — Dzisiaj wieczorem się pogodzicie”.

Marja, która w końcu zaczynała się śmiać. „Jesteś taka mądra i dobra, moja kochana, co ja bym bez ciebie zrobiła?”

Nawet Marja.

Cztery razy chodziła na stację metra na starym mieście. Artura nigdy nie było. Przeniesiono go. Postanowiła systematycznie sprawdzać wszystkie stacje w mieście. Strategia była niepewna, bo Jannike nie wiedziała, w jakich godzinach pracuje. W końcu jednak się udało. Znalazła go przy Rådmandsgatan, za pięć w pół do trzeciej. Już na schodach widziała, że to on. Odczekała, aż hall opustoszeje. Potem podeszła, tak żeby mógł ją zobaczyć.

Jego piękna twarz, jego usta. Oczy, które dawniej patrzyły na nią z taką miłością. Już nie. Teraz już nie.

— Do jakiej stacji ma być bilet?

Jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

— Ale Artur, kochany... przecież to ja.

Wszyscy ją zawiedli. Opuścili. Gwałtownym ruchem podniosła szklanę i wylała jej zawartość do zlewu. To samo zrobiła z drugą. Porządnie splukała zlew.

W tej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. W pierwszym odruchu postanowiła nie otwierać, potem jednak pojawiła się szalona, dzika myśl, że to może być Artur.

To nie był on. To była Inga-Lisa. Miała na sobie czarny golf, który ją postarzał. Jej powieki połyskiwały metaliczną zielenią. Przypominała węża albo jaszczurkę.

— Cześć, słodziutka. Jesteś w domu o tej porze?

Jannike odsunęła się na bok, wpuszczając ją do środka.

— Chciałam się tylko dowiedzieć, jak ci poszło. Czy staruszek był dla ciebie miły?

— Tak. Dostałam to samo co ty, dextromordifen.

— Świetnie. To niedługo poczujesz się lepiej.

— Mam nadzieję.

— A może wpadniesz do mnie na kawę? Właśnie miałam nastawiać.

Jannike przyjęła zaproszenie. Mieszkanie przyjaciółki wyglądało jak po przejściu huraganu. Wszędzie stały pudła pełne ozdób choinkowych, świeczników, figurek Świętych Mikołajów, słomianych dekoracji i wybuchowych cukierków. Z jednego pudła wysypywały się wielokolorowe anielskie włosy.

Jannike zrobiła sobie miejsce na brzeżku kanapy.

— Co ty tu robisz? — zapytała.

— A, nic takiego, sortuję rzeczy. Człowiek zawsze obrasta syfem. Już nigdy w życiu nie urządzę świąt jak z *Fanny i Aleksandra*, o nie.

Sięgnęła po ceramicznego Świętego Mikołaja o wściekle czerwonych polikach i pokazała go Jannike.

— Widziałaś kiedyś podobne brzydactwo?

Jannike uśmiechnęła się niepewnie.

— Dostałam go od teściowej. Sto lat temu. Wszystko trzymam. Wyobrażasz to sobie? Ale teraz won!

— Co? Chcesz to wyrzucić?

— Znaczy się, myślałam, że dzieciaki będą chciały to mieć. Ale pieprzę to, nigdy nawet nie zadzwonią. Prawie już nie pamiętam, że w ogóle kiedyś rodziłam jakieś bachory.

Jannike słyszała to nie po raz pierwszy. Inga-Lisa miała dorosłe dzieci, syna i córkę. Najwyraźniej nieszczęśliwie im zależało na utrzymaniu kontaktu z matką.

Inga-Lisa splotła dłonie.

— Pieprzyć to. Nie będę cię zanudzać starymi smętami. Wyniosę cały ten kram na śmietnik. Wreszcie się tego pozbędę. Bo ty chyba nie chcesz sobie tego wziąć?

Później doszła do wniosku, że i to było częścią planu. Jakby jakiś boski reżyser wytknął spośród chmur swój sękaty palec. Zrób tak. Zrób tak. Podczas gdy Inga-Lisa podawała kawę, odpalając papierosa od papierosa, Jannike przeglądała pudła. Znalazła sporo rzeczy, które mogły się jej przydać. Drobiazgi łatwe do zabrania. I najlepsze ze wszystkiego: idealnie pasującą na nią suknię świętej Łucji, a do tego wieniec ze świecami elektrycznymi na głowę. Jej zapal udzielił się Indze-Lisie, przyniosła nową baterię. Wcisnęła jej wieniec na głowę i zapaliła jedną ze świec.

— No, świeci.

— Naprawdę mogę to wziąć? Jesteś pewna?

— Ależ jasne, słodziutka. Czego nie weźmiesz, wyląduje na śmietniku.

Nie spytała, po co Jannike to wszystko. Pod tym względem była fantastyczna: prawdziwa przyjaciółka i towarzyska. W przeciwieństwie do Marji i całej reszty.

Wczesnym rankiem w Dzień Świętej Łucji przygotowała glögg. Podgrzała go w garnku pożyczonym od Ingi-Lisy i przelała do dużego termosu. Też pożyczonego. Przypominał jeden z termosów, jakie mieli w pracy. Tamtemu kiedyś dla żartu domalowała oczy, tak że wyglądał jak szalony pingwin. Gunhild się to oczywiście nie spodobało. „Mamy mieć spotkanie zarządu! Chyba oszalałaś”.

Jakby stare pierniki z zarządu nie potrzebowały też się czasem pośmiać.

W weekend wyprała i wyprasowała suknię świętej Łucji oraz szeroką czerwoną szarfę. Ponoć symbolizowała krew świętej. Porządnie to wszystko poskładała i zapakowała do papierowej torby. W drugiej torbie ułożyła dziesięć małych prezentów pod choinkę. Były to rzeczy, które dostała od Ingi-Lisy, nic wielkiego, ale zawsze coś. Święte Mikołaje, świeczniki i słomiane gwiazdy. Naprawdę się postarała, żeby zrobić śliczne paczuszki z poskręcaną wstążką i karteczkami, na których najstaranniej, jak umiała, wykaligrafowała imiona byłych kolegów z pracy oraz życzenia wesołych świąt.

Termos z glöggiem wstawiła do plecaka i obłożyła ręcznikami, żeby się nie przekrzywił i nie zaczął przeciekać.

Kiedy później siedziała w kolejce, czuła się, jakby i ona jechała do pracy razem z tymi wszystkimi ludźmi. Zaspiane, poźółkłe twarze, korytarze pełne śniegowej brei. Było około zera i padał mokry śnieg. Wzięła darmową gazetę, a ponieważ wsiadła na pętli, miała miejsce siedzące. Nieuważnie wertowała strony, obok hałasowało kilkoro nastolatków z połyskliwymi łańcuchami na choinkę we włosach, pewnie bawili się przez całą noc. Uśmiechnęła się do nich. Sama była zupełnie trzeźwa.

Kod do bramy był ten sam co kiedyś, dzięki Bogu. Wjechała windą na ostatnie piętro, po czym weszła na schodki prowadzące do drzwi na strych. Tam, za maszynownią windy, przebrała się. W drodze z pociągu dygotała z zimna. Teraz już nie marzła. Upchnęła kurtkę do jednej z papierowych toreb i postawiła pod ścianą. Potem przewiązała się w pasie czerwoną szarfą

i nałożyła wieniec na świeżo umyte włosy. Przejrzała się w szybie w drzwiach do windy. Przekręciła jedną ze świec, wieniec zapłonął. Jak do tej pory wszystko szło zgodnie z planem. Odchrząknęła, a potem cicho zanuciła:

— I w nasz ciemny dom wkracza z płomieniem świec...

Następnie powoli zeszła ze schodów.

Na drzwiach wejściowych do jej dawnego miejsca pracy wisiał wieniec z bukszpanu. Śmierdział kocimi sikami. Tak samo było w poprzednich latach. Że też nie mogli się nauczyć, że też nie powiesili wieńca z borówek. One w ogóle nie pachną.

Była za piętnaście dziewiąta. Jannike mocniej chwyciła termos i zadzwoniła do drzwi.

Otworzyła jej Marja. Cień niepokoju pojawił się na jej twarzy.

— Kto... co? To ty?

— Ciii! — Jannike przyłożyła palec do ust. — Zaraz sobie pójdę, chciałam tylko...

Pokazała torbę z prezentami.

— Chciałam was wszystkich przeprosić — wymamrotała, przy czym udało jej się nadać głosowi odpowiednio łzawy i pokorny ton, tak jak zaplanowała. — Przyniosłam też glögg. Moja droga Marjo, pomóż mi, proszę.

Wyrzuty sumienia Marji widać było na kilometr. Jannike było to na rękę. Marja poszła po wszystkich, żeby zebrali się w sali konferencyjnej. Wszyscy się zebrali, w dziesięcioro, rzadko się to zdarzało, ale dziś akurat tak. Lepiej nie mogło się złożyć. Marja poszła też do kuchni po dziesięć filiżanek.

Jannike stała wyprostowana i spokojna. Zatrzymała się na chwilę na progu sali konferencyjnej, żeby popatrzeć, jak wszyscy siedzą, jej byli koledzy. Gunhild z chłodnym grymasem na twarzy, Sylvia w nowej fryzurze. Evy, jeszcze grubsza niż zwykle, oddychała z głośnym poświstem. Ktoś zapalił małe świece i dwie świece adwentowe. Pachniało kurzem i starymi papierami.

Jannike zamierzała wygłosić krótką przemowę, ale w końcu jakoś do tego nie doszło. Zresztą może to i dobrze. Może efekt był dzięki temu silniejszy.

Szła od krzesła do krzesła, nalewając glögg. Ręka jej nie drżała, nie rozlała ani kropli.

— Na zdrowie i wesołych świąt — powiedziała, patrząc, jak podnoszą i opróżniają filiżanki. Pomlaskiwali, zerkając na nią niepewnie.

— I przepraszam, że tyle było ze mną kłopotu.

Marja powiedziała:

— Ale jak to, moja droga, nie napijesz się z nami glöggu?

Spojrzała Marji prosto w oczy.

— Już nie piję, sama rozumiesz — wyjaśniła cicho.

Potem wzięła prezenty i rozdała je wszystkim po kolei.

— Życzę wam bardzo udanych i wesołych świąt — dodała i z pustym termosem w objęciach opuściła biuro.

Eva Gabriellsson

OSTATNIE LATO PAULA

Zbocze, na którym leżał cmentarz, było może trochę zbyt strome. Paul Bergström z uporem zaciskał jednak zęby, nie przestając iść powoli, zdecydowanym, chociaż nieco chwiejnym krokiem, wsparty na lasce. Żeby uświetnić ten dzień, założył najlepszą tweedową marynarkę i trencz z lat siedemdziesiątych, który zwykle wyjmował na lato.

— Jak ktoś nie ma w głowie, musi mieć w nogach, mawiało się za czasów mojej młodości. Teraz jednak zawodzą mnie i nogi, i pamięć. Niełatwo mieć osiemdziesiąt lat. U schyłku życia człowiek ma nadal pod górkę, to niesprawiedliwe — pomrukiwał.

Paul stąpał ostrożnie po zwirowej ścieżce, mocno ściskając w dłoni bukiet kwiatów. Do tego jeszcze człowiek źle widzi.

— Gdzie jest grób Emmy? — mruknął, wypatrując czerwonego granitu wśród niezliczonych lip. W zieleni nic nie wyglądało znajomo.

Przystanął, żeby odsapnąć i porządnie się rozejrzeć. Kamienny kościółek oślepił go bielą. Małe objawienie byłoby teraz mile widziane, westchnął z nadzieją.

* * *

W chłodzie zakrystii Louise Alm rozmyślała nad niedzielnym kazaniem. Zapaliła świeczkę, nawijała kosmyk długich włosów na środkowy palec, gryzła długopis, aż w końcu zaczęła zapisywać luźne myśli.

Kongregację tworzyło mieszane towarzystwo młodych i starych. Ostatnimi laty ich niepokój o przyszłość wyraźnie wzrósł. Więcej ludzi niż

zwykle przychodziło do niej i do diakona na osobiste rozmowy. Nastął czas kryzysów życiowych w każdym wieku i, co dość niesprawiedliwe, wydawało się, że wiele z tych kryzysów dopada naraz tego samego wyczerpanego człowieczka. Tak właśnie postrzegała samą siebie. Louise miała poczucie własnej słabości. Skończyła dopiero czterdzieści lat i daleko jej było do osiągnięcia doświadczenia życiowego starszych członków wspólnoty. Młodszy z kolei wiedli życie dla niej prawie niepojęte, chociaż sama miała dwoje dzieci. Bezustannie rozmyślała nad swoją rolą. Jak być pasterzem tego stada rozbiegających się na wszystkie strony jednostek? Być może to, co uważała za swoje powołanie, w tej epoce egoizmu stanowiło już tylko beznadziejny przeżytek.

Światło zamigotało gwałtownie, gdy w otwartych drzwiach stanął wyraźnie zagubiony starszy pan z bukietem kwiatów w dłoni. W oczach miał łzy.

— Mogę w czymś pomóc? — spytała Louise, odkładając długopis.

Mężczyzna wydawał się absolutnie zrozpaczony.

— Może pani ze mną pójść? — zaczął. Wyciągnął drżącą rękę, z której wypadły mu kwiaty. — Przepraszam, nazywam się Paul Bergström.

— Witam, nazywam się Louise Alm i jestem tu duszpasterzem. Spotkaliśmy się wcześniej, ale może w tej chwili pan sobie tego nie przypomina.

Wstała, podeszła do niego i podała mu rękę, a następnie podniosła kwiaty.

Razem poszli przez cmentarz do nagrobka z czerwonego granitu, na którym było miejsce na więcej imion niż te trzy już w nim wyryte. Tuż obok czerwonego kamienia stał pionowo mniejszy, czarny. Trwali chwilę w milczeniu. Louise czekała z zaciekawieniem, aż Paul coś powie. Oddychał szybko.

— Ostatnimi czasy odwiedzam więcej grobów niż żywych ludzi — odezwał się w końcu, kiedy trochę się pozbierał. — Mimo wszystko człowiek nie powinien chyba być zmuszony, by za życia przychodzić na własny grób?

— Nie rozumiem — odparła Louise.

— Ten czarny nagrobek tu obok — wskazał Paul. — Jest na nim moje nazwisko, ale bez daty.

— To musi być jakiś błąd. Bardzo dziwne. Może to zwykła pomyłka? — zgadywała Louise.

— Niemożliwe, bo niczego takiego nie zamawiałem — odpowiedział Paul.

Zebrał się na odwagę i stuknął laską w kamień, jakby chciał sprawdzić, czy naprawdę istnieje. Nagrobek stał nieporuszony, ciemny i przerażający.

— Ja przecież nawet nie tu będę leżał, kiedy przyjdzie pora — ciągnął. — Mam miejsce u Adele, mojej żony. Emma też leży tu, gdzie powinna, u męża i córki.

— Ale w takim razie co, na Boga, robi tu pana nagrobek? — zdumiała się Louise.

— Nie wiem. — Paul zaczął płakać. — Bardzo się przestraszyłem.

— Proszę, niech się pan uspokoi. Musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie. Mogę pana odprowadzić do domu. Na pewno uda się to wyjaśnić.

— Byłbym ogromnie wdzięczny — odparł Paul, po czym wytarł nos. — Bardzo miło z pani strony. Mogłaby pani dać mi kwiaty dla Emmy? W końcu po to tu przyszedłem.

Louise przystanęła, podziwiając drewniany dom Paula i ogród pełen jabłoni.

— Sam go zbudowałem w latach pięćdziesiątych — opowiadał staruszek. — Oczywiście musiałem pracować w czasie urlopu i weekendami. Potem ożeniłem się z Adele. Umarła dziesięć lat temu.

— Pamiętam pana z pogrzebu Emmy. Pamiętam też, że nie była pana żoną — odparła Louise.

— Nie, ale mieszkaliśmy razem przez pięć lat. Jej mąż i córka zginęli w wypadku samochodowym osiem lat temu. Zostały tylko wnuki. Sympatyczne dziewczynki. Może pani obejrzeć zdjęcia na komodzie

w dużym pokoju.

Na stole w kuchni leżał stos ulotek reklamowych, gazet i kilka niedużych plików listów — część z nich sprzed ponad miesiąca, sądząc po stemplach pocztowych. Na oknie stała smętna zapomniana pelargonja. Najwyraźniej w tym domu to Emma miała rękę do kwiatów. Louise odsunęła na bok stertę papierów, robiąc miejsce na kawę i bułeczki cynamonowe, które przyniósł Paul. Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Staruszek poszedł otworzyć, po czym wrócił do kuchni, niosąc kolejne listy i okazałą paczkę.

— To był Johan, listonosz. Zwykle sprawdza, czy jestem w domu, żebym nie musiał wychodzić do skrzynki, gdyby przyszła jakaś ciężka lub niewymiarowa przesyłka. Trudno cokolwiek nosić, kiedy człowiek chodzi o lasce i ma zawroty głowy.

— Cóż za obsługa! — powiedziała Louise, Paul tymczasem sortował pocztę: śmieci, aktualne reklamy, listy. Głównie rachunki. Paczka osobno.

Przy kawie staruszek dalej opowiadał o swoim sympatycznym listonoszu:

— To zabawne, Johan pytał o mojego lokatora, a przecież od śmierci Emmy mieszkam sam.

— Tak, pewnie teraz czas płynie panu znacznie wolniej. Jak się pan właściwie czuje?

— Rozmawiam przede wszystkim z ptakami w ogrodzie, o ile nie rozmawiam ze zdjęciem Emmy. To dość monotonne. Z Adele nie mieliśmy dzieci. Mam za to bratanków, a dopóki Emma żyła, często wpadały do nas dziewczynki.

— Może listonosz chciał zasugerować, że p r z y d a ł b y s i ę panu lokator, a nie że go pan ma? — zastanawiała się Louise.

— Nie, nie, powiedział, że na ten adres przychodzi poczta do kogoś, komu posyłają ją dalej.

— Nie miał na myśli korespondencji Emmy? — ciągnęła Louise.

— Też nie. Zapytałem, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. Na poczcie mają przecież teraz tyle pracy, że nie mogą wszystkiego spaamiętać.

Louise uznała, że Paul mimo wszystko źle zrozumiał listonosza, nie

dosłyszał albo zaczynała mu się demencja. To tłumaczyłoby też historię z nagrobkiem. Lepiej jednak, żeby sam podjął ten temat, kiedy będzie gotowy. Tymczasem mogą mówić o poczcie.

— Może otworzymy listy? — zasugerowała, sięgając po bułeczkę cynamonową.

— Możemy — odparł Paul. — Nazbierało się mnóstwo praktycznych spraw, którymi nie miałem siły się zająć, od kiedy Emma odeszła. I pomyśleć, że to stało się już trzy miesiące temu. Ależ ten czas płynie.

Znaleźli kilka rachunków, które należało zapłacić parę tygodni wcześniej, listy z prośbą o wsparcie z różnych funduszy dobroczynnych, kilka z kondolencjami od krewnych Emmy i jeden, którego adresatem był niejaki Carl-Edvard Palm.

— A nie mówiłem? — powiedział Paul pewnym głosem, odkładając list na bok. — Na poczcie mają dzisiaj za dużo pracy. To oczywiste. Carl-Edvard przecież tu nie mieszka.

— Kojarzę to nazwisko. Czy nie było go też na pogrzebie Emmy? — zapytała Louise.

— Owszem, Emma była jego teściową. Był mężem jej córki, która zginęła w wypadku samochodowym. Mieszka teraz ze swoją nową żoną na drugim końcu miasta. Najwyraźniej poczcie wszystko się pomieszało.

— No to przynajmniej jedna zagadka rozwiązana — powiedziała Louise.

Wzmocniony dwiema bułeczkami cynamonowymi i smolistą kawą ze śmietanką Paul był w wyraźnie lepszej formie. Poszedł do sypialni, skąd wrócił z teczką pełną kwitków i wyciągów bankowych. Ku jej zdumieniu zaczął mówić jasno i spójnie:

— No, jak pani widzi, nie ma tu żadnego zapomnianego rachunku za nagrobek. Pomyślałem, że może przejrzymy też tę teczkę, dla pewności. Ma pani czas?

— Oczywiście — odparła Louise, wciąż będąc pod wrażeniem skrupulatności Paula i odrzucając myśl o jego ewentualnej demencji, po czym zaczęła przeglądać całe roczniki sensownie poukładanych rachunków.

Po półgodzinie doszli do tego samego wniosku: w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy nie przyszła faktura za żaden nagrobek, a wyciągi z konta zgadzały się dokładnie z rachunkami w teczce. Nie było też niewyjaśnionych operacji bankomatowych ani opłat w wysokości około dziesięciu tysięcy koron, bo tyle powinien kosztować nagrobek.

— Hm, niewiele nam to wyjaśniło — stwierdził Paul.

— To naprawdę dziwne — odparła Louise.

— Dwa tygodnie temu nie było tam tego nagrobka — powiedział staruszek. — Ktoś musiał go więc zamówić stosunkowo niedawno. Ale jak już mówiłem, nie byłem to ja. I zdecydowanie nie ja za niego zapłaciłem.

— Co do tego jesteśmy zgodni. Tylko nie wiem, co dalej, ale jeśli pan chce, mogę sprawdzić, jakie firmy w mieście zajmują się dostawą nagrobków. Mam podzwonić i popytać?

— Niech panią Bóg pobłogosławi — powiedział Paul.

Louise po raz pierwszy zobaczyła, jak starszy pan się uśmiecha.

Dopiero kiedy wróciła do domu, uprzytomniła sobie, że list do Carla-Edvarda opatrzony był charakterystycznym logo biura meldunkowego. Kto jak kto, ale biuro meldunkowe nie powinno wysyłać poczty pod niewłaściwy adres. Przecież to oni sporządzają spisy ludności w całym kraju. Gdyby ludzie figurowali pod niewłaściwymi adresami, nie można byłoby od nich ściągać podatków, a do tego państwo za nic by nie dopuściło. Chyba powinna wykonać pewien telefon.

Dwa dni później Louise pojechała z powrotem do Paula. Nim zadzwoniła do drzwi, zatrzymała się przy skrzynce i wyjęła pocztę. Staruszek był w domu i jej oczekiwał.

— Dzień dobry — powiedziała. — I proszę. Oto plon dzisiejszego dnia, głównie reklamy.

— Dziękuję bardzo — odparł. — Proszę do środka. Mam nadzieję, że ma pani jakieś wieści.

W istocie, według biura meldunkowego Carl-Edvard Palm faktycznie był

od dwóch miesięcy zameldowany pod tym adresem. Zmiany dokonano na jego żądanie. Jednocześnie według listonosza, z którym Louise też rozmawiała, zamówił odsyłanie korespondencji ze swojego nowego adresu z powrotem do willi, gdzie mieszkał z żoną.

— Carl-Edvard nic mi o tym nie wspominał — zdziwił się Paul.

— Ja też tego nie rozumiem — odparła Louise. — Ale listonosz nie zrobił nic niewłaściwego poza tym, że list z biura meldunkowego dostarczył tutaj, a nie do willi Carla-Edvarda.

— Bardzo to wszystko zagmatwane. Najlepiej będzie, jeśli do niego zadzwonię — zdecydował Paul.

— Proszę poczekać — powstrzymała go Louise. — To jeszcze nie wszystko.

Na twarzy staruszka raptem odmalował się strach, a jego spojrzenie zaczęło niespokojnie uciekać. Louise odgadła, że myśl o nagrobku znów wytrąciła go z równowagi.

— Zrobię kawę — zaproponowała. — Niech pan nie wstaje.

Ale nie udało jej się go zmylić. Siedział sztywny, jakby połknął kij, i nie ruszył się dopóty, dopóki Louise nie wróciła do stołu. Wtedy wyjął z szafki w rogu kuchni niedużą butelkę wódki, położył kostkę cukru na dnie swojej filiżanki, wlał odrobinę alkoholu i dopełnił kawą.

— Dziś potrzebuję czegoś mocniejszego — powiedział. — Teraz może pani mówić dalej. — Podniósł filiżankę i upił z niej łyk. — Przepraszam, ależ jestem nieuprzejmy! Nalać pani trochę?

— Nie, dziękuję, sama kawa wystarczy — odparła Louise, chociaż w zasadzie jej też przydałoby się coś mocniejszego. To, czego się dowiedziała, przepełniało ją niesmakiem.

Zacząła ostrożnie przedstawiać mu swoje odkrycia. Ponieważ była duszpasterzem, pracownik zakładu kamieniarskiego rozmawiał z nią nad wyraz otwarcie.

— Piąty z kolei zakład kamieniarski, do którego zadzwoniłam, dostarczył na początku czerwca nagrobek z pańskim nazwiskiem. Życzenie, by nie umieszczać na nim daty, wydało im się tak niespotykane, że

doskonale pamiętali to zamówienie.

— A więc to rzeczywiście nie ja je złożyłem, prawda? Byłem trochę zdezorientowany... — przyznał Paul.

— Nie, nagrobek zamówiło i sfinansowało nieduże przedsiębiorstwo z siedzibą w mieście — wyjaśniła Louise, usiłując nadać swojemu głosowi uspokajający ton.

— Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

— Absolutnie nic, jak mi się zdaje — powiedziała Louise.

Z zakładu kamieniarskiego dostała kopie papierów, wszystko odbyło się zgodnie z procedurą. A jednak nic się nie zgadzało. Zastanawiała się, jak przekazać to Paulowi.

— Hmm — zaczęła. — Uważam, że powinien pan do kogoś zadzwonić i poprosić o pomoc.

— Zawsze mogę zwrócić się do moich bratanków — odparł Paul.

— Doskonale. Takie sprawy czasem okazują się bardzo kłopotliwe.

— Tak, ale dobrze byłoby to wyprostować — stwierdził staruszek.

Kiedy Paul wyszedł zadzwonić do przedpokoju, gdzie zgodnie ze staroświeckim zwyczajem trzymał telefon na komódce z drewna tekowego, Louise wyjęła kopertę. Włożyła do niej rachunek, potwierdzenie zapłaty z zakładu kamieniarskiego oraz kopię meldunku Carla-Edvarda pod adresem Paula. Później napisała krótki list objaśniający sytuację, a pod pozdrowieniami podała swój numer telefonu. Firma, która zamówiła nagrobek, okazała się biurem handlu nieruchomościami i Louise sprawdziła, kto jest jej właścicielem. Nie chciała jednak zdradzać tego Paulowi. Niech zajmą się tym jego bratankowie, nie ma sensu niepokoić i tak już mocno wytrąconego z równowagi starszego pana.

— Pójdę to wysłać, proszę tylko zaadresować kopertę — powiedziała, kiedy Paul wrócił.

— Dziękuję. Mój bratanek Gunnar się tym zajmie. Zawsze mogę na niego liczyć — odparł.

Kilka dni później Gunnar Bergström zadzwonił do Louise z pytaniem, co się właściwie dzieje. Jego stryj Paul nie umiał mu wytłumaczyć całej tej historii.

— Ja chyba też nie bardzo potrafię — powiedziała Louise.

— Tak czy siak dziękuję za list. Dość nieprzyjemna sprawa. Umówiliśmy się, że zakład kamieniarski zabierze dzisiaj czarny nagrobek, a potem niech się sami dalej kłóć z Carlem-Edvardem Palmem.

— Doskonale, nikomu nie będzie go brakowało — powiedziała Louise.
— Czy pan Paul wie, że to Carl-Edvard Palm zamówił nagrobek?

— Nie, powiedziałem mu tylko, że zaszła jakaś pomyłka — odparł Gunnar. — Zadzwoniłem też do biura meldunkowego z wyjaśnieniem, że pan Palm nie mieszka w domu stryja Paula ani w ogóle pod tym adresem. Niech oni teraz to załatwiają. Dzwoniłem też do samego Carla-Edvarda, ale nie udało mi się z niego wydobyć niczego sensownego. Zaserwował mi coś na kształt mowy pochwalnej na temat miłości Emmy i Paula. Kiedy poprosiłem, żeby wyjaśnił, co jego rzekoma troska o stryja Paula ma wspólnego z nagrobkiem i meldunkiem, zwymyślał mnie. No, ale dość już o tym. Przede wszystkim chciałem pani podziękować, że zatroszczyła się pani o mojego stryja.

— Nie ma za co. To bardzo dobry człowiek. Bądźmy w kontakcie — powiedziała Louise.

Niespełna miesiąc później Louise musiała przygotować pogrzeb. W jej świecie życie zaczynało się i kończyło na przemian. Paul odszedł, a jego bratankom zależało na tym, by to ona odprawiła nabożeństwo żałobne. Siedziała w zakrystii, gdy zadzwonił Gunnar Bergström. Był w trakcie opróżniania domu stryja.

— Wiem, że stryj Paul bardzo panią polubił. Jest pani tutaj jak najbardziej mile widziana, żeby wziąć sobie po nim jakąś pamiątkę, jeśli tylko pani chce — powiedział Gunnar.

— Chętnie. Przy okazji możemy w spokoju omówić ceremonię — odparła Louise.

Po południu siedziała z Gunnarem w znajomej jej kuchni. Z przyzwyczajenia zajrzała do skrzynki na listy, która jednak tym razem była pusta. Stół kuchenny za to był jeszcze bardziej niż zwykle zavalony papierami, pełniąc najwyraźniej funkcję składu wszystkich listów z ubezpieczalni, rachunków, abonamentów i prywatnych dokumentów, które Gunnar powyciągał z komód i szafek.

— To dziwne i jakby uroczyste uczucie być tutaj bez stryja Paula — zaczął Gunnar. — W taki dzień wydaje mi się stosowne podać kawę w odświeżonej porcelanie. Widzę, że stoi na samej górze w tej przeszklonej szafce. Mogłaby pani wyjąć filiżanki?

— Oczywiście. — Louise przystawiła sobie krzesło. — Trochę się chwiej — powiedziała, balansując z porcelaną w jednej i porządnie zaklejoną kopertą w drugiej ręce. — Znalazłam to wetknięte między talerze, lepiej niech pan się tym zajmie. Na kopercie jest napisane „Darowizna”.

— A, chyba wiem, o co chodzi, proszę położyć to razem z innymi papierami — odparł Gunnar.

Właśnie usiedli, zaczęli popijać kawę z kwiecistych filiżanek o połączonych uszkach i wybierać psalmy na nabożeństwo pogrzebowe, gdy w drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz. Do środka wkroczył Carl-Edvard Palm z aparatem fotograficznym w pogotowiu. Zdecydowanym krokiem skierował się do kuchni, ale na progu stanął jak wryty.

— Dzień dobry państwu — powiedział zaskoczony. — A więc tu sobie państwo siedzą?

— Dzień dobry — odparł Gunnar. — Tak, załatwiam z panią pastor różne sprawy po stryju Paulu.

— Dzień dobry, nazywam się Louise Alm — przywitała się, wyciągając rękę.

— Miło mi — odezwał się uprzejmie Carl-Edvard. — No, tak. W takich sytuacjach zwykle zbiera się mnóstwo papierkowej roboty. Szkoda twojego stryja. Przyjmij moje kondolencje.

Carl-Edvard stał w miejscu, niezdecydowany. Tamtych dwoje zamierzało

najwyraźniej siedzieć tu jeszcze długo. Cóż, zawsze może wrócić, kiedy sobie pójdą. Teraz należało zachować spokój. Ach, prawda: aparat fotograficzny.

— Ja wobec tego zajmę się tym, co mnie tu sprowadza — oznajmił, po czym zniknął w dużym pokoju.

Louise i Gunnar spojrzeli po sobie pytająco. Po chwili rozległo się szuranie przesuwanych mebli na przemian z sapaniem i postękiwaniem.

— Handluje nieruchomościami i najwyraźniej zabrał się do fotografowania domu — wyjaśnił Gunnar, kiedy z pokoju zaczął błyskać flesz. — Może zamierza wystawić go na sprzedaż?

— Trochę szkoda, że nikt z państwa nie chce przejąć tego pięknego domu.

— Mój brat wprowadzi się tu, jak tylko zakończy się podział spadku. To on doglądał domu, od kiedy stryj Paul zbyt szybko się postarzał, żeby dawać sobie radę w pojedynkę — powiedział Gunnar. — Właściwie nie rozumiem, co on ma tu do roboty.

Louise poszła z nim do dużego pokoju. Palm był pochłonięty wyszukiwaniem najlepszych ujęć, by wydobyć staroświecki urok domu.

— Co ty tu właściwie robisz? — zwrócił się do niego Gunnar.

— A, prawda... No cóż, zakładałem, że dom będzie wystawiony na sprzedaż — odparł Palm. — Uznałem, że w takim wypadku najlepiej przygotować się zawczasu. To znaczy, żebyście się za to wzięli od razu, póki jest ruch na rynku. Za miesiąc ceny jak zwykle pójdą w dół, bo wszyscy będą na wakacjach.

— Ach tak. Ale spotkanie z adwokatem w sprawie spadku mamy dopiero za dwa tygodnie, więc nic jeszcze nie jest postanowione — powiedział Gunnar.

— Aha. Cóż, chciałem tylko oddać wam przysługę. W końcu jesteśmy prawie rodziną. Albo byliśmy.

— Bardziej byś się nam przysłużył, gdybyś stąd wyszedł — uciął Gunnar.

— Aha, no tak. W końcu zawsze mogę tu wrócić. A tak przy okazji: kto zajmuje się podziałem spadku po Paulu? Ty, Gunnar?

— Nie, biuro adwokackie, które stryj sam wybrał — poinformował go Gunnar.

— Ach tak. Wolno spytać które?

Gunnar podał mu namiary i po raz drugi poprosił go, żeby wyszedł, co też Palm uczynił, wyraźnie niezadowolony. Gunnar i Louise usiedli znowu w kuchni.

— Palm zawsze wydawał mi się bardziej despotyczny niż pomocny w czymkolwiek — powiedział Gunnar. — Ale aż takiego tupetu nie spodziewałbym się nawet po nim. — Otworzył okno, a delikatny podmuch wiatru poruszył koronkowymi firankami, wpuszczając do wnętrza zapach kwitnących jabłoni. — Najwyraźniej zarekwirował klucz Emmy — odezwał się po chwili. — Powinienem mu go odebrać. Chociaż Bóg jeden wie, ile może mieć kopii.

— Mogę go zapytać, ale nie sędzę, żeby mi to zdradził — odparła Louise. Gunnar się zaśmiał.

Louise wyszła stamtąd w niedobrym humorze mimo dzbanuszką do śmietanki, który wzięła sobie na pamiątkę. Paul i ona używali go często podczas rozmów przy kuchennym stole.

Gunnar został jeszcze, żeby pozbierać i nieco uporządkować papiery po stryju. Potem zadzwonił do ślusarza i pojechał z wszystkimi dokumentami do firmy adwokackiej.

W tydzień po pogrzebie w kancelarii zajmującej się podziałem spadku zadzwonił telefonu, a ze słuchawki dobiegł zadowolony głos:

— Dzień dobry. Mówi Carl-Edvard Palm. Dzwonię w sprawie schedy po Paulu Bergströmie. Od jego bratanka Gunnara dowiedziałem się, że za kilka dni ma się odbyć spotkanie w sprawie spadku.

— Zgadza się, w następny wtorek — odparł prawnik.

— Tak, ale rzecz w tym, że nie dostałem wezwania — ciągnął Palm.

— To też się z całą pewnością zgadza — oznajmił prawnik neutralnym głosem. — Nie jest pan upoważniony do spadku, więc nie został pan wezwany na spotkanie. Za to pańskie córki tak.

— Co? Co takiego?! To musi być jakaś pomyłka! — wykrzyknął Palm. — Czy na pewno macie porządek w papierach? Przeszukaliście dom? Naprawdę dobrze szukaliście?

— Jak najbardziej. Wszystko odbywa się zgodnie z testamentem pana Bergströma.

— O nie, taki głupi to ja nie jestem, doskonale wiem, że to jakaś machlojka — zasyczał Palm ze złością. — Poczekaj pan, jeszcze się odezwę!

— Dziękuję za telefon — chciał się pożegnać prawnik, ale Palm już odłożył słuchawkę.

— Ale burdel! — powiedział na głos. — Najlepiej będzie, jeśli sam się rozejrzę.

Pod drzwiami domu Paula okazało się jednak, że jego klucz już nie pasuje do zamka.

W następnym tygodniu bratankowie Paula Bergströma i dwie wnuczki Emmy zebrali się w siedzibie firmy adwokackiej, by podzielić spadek. Gdy spotkanie dobiegło końca, Gunnar zadzwonił do Louise.

— Chciałem tylko powiedzieć, że dom przypada bratu i mnie, a dziewczynki dostają po pięćdziesiąt tysięcy koron.

— To chyba zgodnie z przewidywaniami? Wszyscy pewnie są zadowoleni? — zapytała Louise.

— Nie wszyscy. Nie obyło się bez dramatycznych scen. Okazało się, że dokument, który pani znalazła, zawierał inny testament, o którym nikt z nas nie słyszał. Według niego Carl-Edvard Palm miał sam odziedziczyć dom, a jego córki miały dostać po sto tysięcy koron. Wszystko wyglądało na poprawnie i właściwie poświadczony. Testament został sporządzony w tydzień po śmierci Emmy.

— Wydawało mi się wtedy, że pan Paul jest w bardzo kiepskiej kondycji. Nie byłby przecież w stanie podejmować w tym czasie tak ważnych decyzji — powiedziała Louise. — Czy rozumiał, co podpisuje, pozbawiając pana i pańskiego brata spadku?

— Sądzę, że nie bardzo, często jednak mówił, że zamierza dać

dziewczynkom pieniądze. Ale nic więcej.

— To już bardziej prawdopodobne — stwierdziła Louise. — Ale ten zapis o domu brzmi bardzo dziwnie.

— Bo był dziwny. Kiedy razem z bratem poszliśmy pokazać stryjowi Paulowi, że czarnego nagrobka już nie ma — tłumaczył Gunnar — stryj przypomniał sobie, że któregoś dnia Palm odwiedził go, nalegając, żeby podpisał papiery o darowiznach dla wnuczek Emmy. Szukaliśmy tych dokumentów, ale bezowocnie. Stryj Paul bardzo się zaniepokoił, że ten dokument gdzieś się zawieruszył. Skończyło się to tak, że poszedłem z nim do banku, gdzie sporządził nowy testament, po czym włożył go do swojej skrytki. Nie powiedział, co napisał, i tylko adwokat miał pełnomocnictwo, by otworzyć skrytkę, toteż dopiero dzisiaj poznałem jego treść. Podobnie jak nie miałem pojęcia o tym drugim dokumencie, zanim pani go znalazła, mimo że coś podejrzewałem. Pozostaje jednak faktem, że wysiłki Palma, by oszukać stryja, nie powiodły się jedynie przez przypadek. Czysty przypadek.

Gunnar i Louise zamilkli na dwóch końcach linii. Żadne nie miało siły, by dodać coś jeszcze.

Później tego samego dnia Louise przystanąła na schodach kościoła. W wieczornym słońcu dostrzegła świeży bukiet róż na grobie Paula. Ucieszyło ją, że ktoś o nim pomyślał. Była jakaś nadzieja w tych zauważalnych drobnych dowodach ludzkiej troski. Podeszła do grobu. Do bukietu dołączono niepodpisaną karteczkę. Przeczytała:

„Od kogoś, kto pomyślał o Paulu w przeciwieństwie do Jego zachłannych krewnych, którzy podważyli Jego ostatnią wolę”.

Louise przeczytała liścik kilka razy. Niepojęte. Czy pośrednik w handlu nieruchomościami wyobrażał sobie, że cmentarza można używać jako prywatnego pola bitwy? Raczej nie mógł tego napisać nikt inny. Teraz miarka naprawdę się przebrała. Podarła karteczkę, pospiesznie odeszła od grobu i zatrzymała się przy cmentarnej bramie, ściskając w dłoni strzępki papieru. Serce waliło jej z wściekłości. Śmieci wylądowały w koszu na przystanku, zanim pojechała autobusem do domu. Wciąż wzburzona, stała

przez chwilę przed wejściem.

Dotarło do niej, że ta historia prędko się nie skończy.

Pod wpływem nagłego impulsu wróciła do kościoła. Wygrzebała strzępki papieru z kosza. Kiedy weszła do zakrystii, poczuła się zagubiona. Co miała tu do roboty?

Zapaliła świeczkę, żeby się uspokoić. Kawalki papieru leżały rozłożone przed nią, niemal nieczytelne — ubrudziły się od wilgotnych resztek owoców i lepkich papierków po lodach. Długo się im przyglądała. W gruncie rzeczy ten brud pasował do ohydnej treści listu.

Rozmyślała o grzechach śmiertelnych i o tym, że święte teksty przestrzegały kolejne pokolenia przed tym, ile niepohamowana żądza może kosztować całe społeczeństwo oraz poszczególnych ludzi. To ostrzeżenie nigdy się nie dezaktualizuje.

Skinęła głową, sama sobie przytakując. Płomień świecy zadrżał w przeciągu, kiedy wzięła długopis, żeby napisać następne kazanie. Powie w nim o chciwości.

Carl-Edvard Palm siedział w altanie w swoim ogrodzie, czerwony od słońca i z wściekłości. Równie zła, lecz nie aż tak czerwona na twarzy, była jego nowa żona. Używała kremu do opalania. Jedynymi osobami świergoczącymi z radości były jego córki.

— Wiesz, co dziewczynki opowiedziały dzisiaj przy obiedzie? Ten cholerny dziad napisał nowy testament zaledwie kilka tygodni po tym, jak mu wszystko załatwiłem.

— Ale jak mógł to zrobić? — odparła żona podejrzliwie.

— Człowiek wysila się, żeby uporządkować sprawy po sklerotycznym bezdzielnym staruchu, a tu wszystko tak właśnie się kończy.

— A ty tak się narobiłeś! — zgodziła się żona, nie kryjąc oburzenia.

— Same wydatki, mnóstwo pracy i co człowiek z tego ma? — gderał Carl-Edvard. — Chrzanioną figę z makiem, ot co.

— To naprawdę niesprawiedliwe.

— Nie dostanę nawet wynagrodzenia za sprzedaż domu. Jeden z nich najwyraźniej zamierza tam mieszkać. Wyobrażasz to sobie? Wszystko

przepadło — zakończył z goryczą.

Coś może jednak dałoby się jeszcze uratować. Pojechał do swojego biura, skopiował fakturę z firmy kamieniarskiej i potwierdzenie zapłaty za czarny nagrobek, po czym wystawił rachunek. Do sumy końcowej dorzucił najwyższe na rynku oprocentowanie bankowe. Wyszła z tego całkiem pokaźna liczba. W drodze do domu wysłał rachunek do prawnika zajmującego się spadkiem po Paulu Bergströmie.

Anna Jansson

PIERŚCIEŃ

Kiedy spostrzegł krążek połyskujący w kałuży pod cienką warstewką lodu, zrozumiał, że to pierścień władcy. W magicznym świetle latarni tajemnica objawiła mu się tak jak wtedy, kiedy Elrond był władcą Rivendell, a Gandalfa nadal zwano Szarym. Gdzieś w głębi swojego chłopięcego serca przeczuwał, że coś podobnego w końcu się wydarzy.

— Dzisiaj, we wtorek dwunastego grudnia, Fredrik Bengtsson zostaje wyznaczony, by nosić pierścień — mówi do siebie.

Gdzieś na peryferiach świadomości słyszy dzwonek, po raz drugi wzywający na lekcję. Dziedziniec szkolny jest pusty. Pierścień wygląda niepozornie, póki spoczywa zamknięty w swej lodowej trumnie, a przecież mimo to niebawem zmieni świat.

Koło stojaka na rowery leży szpiczasty patyk. Fredrika nadal boli miejsce po uderzeniu — na pierwszej przerwie Torsten dźgnął go kijem w plecy, wrzeszcząc: „Zesraj się w gacie!”, tak żeby usłyszały to dziewczyny z klasy. Ten drewniany miecz jest mu potrzebny. Wyzwoliciel pierścienia. Jeden cios otwiera dostęp do nieocenionej mocy. Fredrik bierze pierścień do ręki, po czym wsuwa go na palec w imię Gandalfa, elfów i opryskliwych krasnoludów. Nie odczuwa nic nadzwyczajnego, przynajmniej na początku. Po chwili jednak, kiedy ponad stojakiem jego wzrok pada na nowiutki fajowy rower Torstena, z hamulcem ręcznym, dwudziestoma przerzutkami i na podwójnych resorach, zachodzą w nim pewne zmiany. Zęby stają się ostrzejsze, a oczy zwężają się w rozżarzone szparki. Na rękach kłębią się sztywne czarne włosy, paznokcie zmieniają się w pazury. I oto nosiciel pierścienia robi coś, na co Fredrik Bengtsson z klasy 1A nigdy by się nie

odważył. Kradnie rower.

Z górki jedzie zdecydowanie za szybko. Prawdziwy tor lodowy. Słupy latarni śmigają w niebezpiecznym tempie. Fredrik usiłuje zahamować, ale tylko pedałuje do tyłu, aż wreszcie w panice zaciska hamulec ręczny i się przewraca. Rękawiczki chronią ręce przed obtarciem o asfalt, ale rozcina sobie kolano. Przedni błotnik jest wygięty, lakier porysowany. Gdyby nie miał pierścienia, na pewno płakałby teraz z bólu i strachu — nic takiego jednak się nie dzieje. Nosiciel pierścienia spogląda przed siebie. Kusi go leśna droga. W oszronionych koronach drzew słychać szept. Szum prastarych sag. Dosiada metalowego rumaka i puszcza się w głąb labiryntu czarnych pni. Nad zamarzniętym potokiem leży osada szarych chat o dachach krytych torfem. Dalej w stronę łąki widać porośniętą trawą pagórek, a w nim niskie drzwi ze zmurszałego drewna. Tak wyglądają domy hobbitów. Teraz musi uważać. Fredrik przykuca za górką kompostu, przyciąga do siebie rower. Między świerkami kryją się cienie. Czarni jeźdźcy. Należy zachować czujność. Dokładnie w chwili, kiedy Fredrik zdejmuje pierścień i wsuwa go do kieszeni spodni, drzwi w zboczu trawiastego pagórka otwierają się, wychodzi z nich czarna postać, po czym oddala się w stronę lasu. Widać jej twarz. Jest zła czy dobra? Wróg czy przyjaciel? Chłopiec czeka całą wieczność rozdygotanych sekund. Poranne słońce przedziera się przez gałęzie i pożera cienie. Wspierając się na rowerze, Fredrik z trudem podchodzi do ziemianki, żeby zajrzeć do środka. Drzwi są uchylone. Ani śladu przyjaznych obłych kształtów, typowych dla chat hobbitów. W środku ściany są chropowate, chłód oblepia ciało. Chłopiec posuwa się na oślep do przodu, aż potyka się o coś leżącego na podłodze. Przypomina to worek ziemniaków, a jednak nie do końca. Po omacku wyciąga z kieszeni zapalniczkę, którą rano zabrał z kurtki starszego brata. Ze słabym płomykiem w dłoni pochyla się, by przez obłoczek pary własnego oddechu spojrzeć prosto w bladożółtą twarz. Oczy wpatrują się w niego szkliście. Rozdziawione usta zieją pustą górną szczęką. Zęby wypadły, ukazując nazbyt różowe dziąsła. Zahipnotyzowany, stoi w miejscu przez parę lodowatych sekund, a potem puszcza się pędem ku światłu. Kiedy gna

przez las, jego myśli mkną jak wystraszone ptaki.

— Znowu się spóźniłeś, Fredriku Bengtssonie. — Między brwiami nauczycielki rysuje się szczególnie surowa zmarszczka. Uwaga całej klasy kieruje się na drzwi. Oskarżycielskie spojrzenia odprowadzają go do ławki.

— Byłem w toalecie.

— Zesraj się — syczy Torsten ze swojego kąta przy półce z książkami.

Inspektor kryminalny Maria Wern patrzy, jak drobne ciało kobiety znika w czarnym plastikowym worku. Technik zasuwa zamek błyskawiczny, po czym z trudem wstaje, uciskając sobie ręką krzyż. Od dłuższej chwili nie padło ani słowo. Panująca w lesie cisza sprawia, że miejsce przypomina zagajnik pamięci. Byłaby to idealna sceneria oddająca przemijanie, gdyby nie brunatnoczerwona plama na cementowej wylewce i na dziecięcym rowerze porzuconym przed wejściem do ziemianki.

— Jakaś kobieta chce się z tobą widzieć, Wern.

Asystent policyjny Ek wskazuje białego saaba, który zwirową drogą podjechał do taśmy ogradzającej teren.

— Nazywa się Sara Skoglund, rozmawiałaś z nią dzisiaj przez telefon.

Maria bierze głęboki wdech, próbując odpędzić od siebie ostatnie obrazy i odzyskać spokój, zanim wsiądzie do samochodu roztrzęsionej starszej pani.

— Ellen Borg. — Sara wskazuje domek należący do zmarłej. — Mieszkała w tej samej klatce co ja. W poniedziałki grałyśmy w brydża. Wczoraj wieczorem spytała, czy podrzucę ją na działkę. Od kilku miesięcy przyjeżdżała tu co poniedziałek po brydżu. Uzgodniłyśmy, że wpadnę po nią dzisiaj o drugiej po południu, ale trochę się spóźniłam. Ellen nie ma tu telefonu, więc nie mogłam zadzwonić.

— O której pani przyjechała? — pyta Maria, wyjmując notes.

— Pewnie dochodziła trzecia. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc weszłam. Zawołałam ją... ale mi nie odpowiedziała. Klucz do domku zostawia zwykle pod doniczką na schodach, jeśli idzie do wsi. Tym razem

jednak klucz był w drzwiach. Potem zauważyłam ten rower rzucony obok ziemianki na kartofle. Wydało mi się to dziwne, więc podeszłam. A tam...

Twarz kobiety kurczy się z emocji. Maria odczekuje chwilę, żeby starsza pani ochłonęła, po czym kontynuuje przesłuchanie.

* * *

Nadchodzi noc. Fredrik leży w łóżku, słuchając cichnących z wolna odgłosów domu. Milknie telewizor, ale jeszcze przez chwilę dobiegają dźwięki muzyki z pokoju Lea, starszego brata. Przez ścianę przedziera się ochryply głos. Gitara elektryczna skrobie o tapetę, chropawa, nostalgiczna i piękna. Leo jest zakochany. Dlatego słucha rockowych ballad z twardym jak kamień pulsem basu. *Love hurts*, mówi, po czym pada na łóżko i gapi się w sufit, a Fredrik usiłuje zrozumieć, dlaczego miłość tak bardzo boli. Oczywiście najlepiej by było, gdyby zakochali się jednocześnie, kiedy obaj chorowali na ospę wietrzną. Podobało mu się, gdy Leo czytał mu na głos *Władcę Pierścieni*. Fredrik czuje się bardzo samotny, zwłaszcza kiedy jest ciemno, a mamy nie ma w domu. Leo jednak chce, żeby go zostawić samego z jego cierpieniem. Wyraźnie dał to do zrozumienia kilka minut temu, ciskając puszką po coli w głowę młodszego brata. W oknie świeci gwiazda adwentowa. Zawsze to jakaś pociecha, no i niedługo będą w szkole obchodzić dzień świętej Łucji. Fredrik ma się nauczyć na pamięć wiersza. Powtarza go tak długo, aż tekst chodzi mu po głowie na okrągło. Pograżając się we śnie, wypuszcza z rąk rzeczywistość. Pod łóżkiem siedzą jamniki, czarne oślizłe duchy zdechłych jamników. Jeśli Fredrik wystawi stopę za krawędź łóżka, pogryzą go i zostanie śmiertelnie zakażony. Dlatego biegnie przez las bez wytchnienia. Psy kłapią zębami tuż koło jego nogawek. Kopie, żeby się od nich uwolnić. Wbiega do czarnego, zimnego strumienia, a potem przemieszcza się z prądem, skacząc z kry na krę. I raptem widzi pod lodem twarz. Siwe włosy unoszą się niby pylista aureola, a spod żółtego czoła oskarżycielsko wpatruje się w niego para podstępnych oczu. Fredrik próbuje krzyknąć, ale głos zamarł mu w płucach. Kawalek od brzegu, gdzie jest

ratunek, stoi Torsten, przytrzymując ręką swój zepsuty rower. Strach staje się nie do wytrzymania. Fredrik daje za wygraną, ześlizguje się z powrotem do wody i porwany nurtem lodowatego strumienia sunie w stronę rozlewiska. Budzi się przeraźliwie zmarznięty. Czuje się bardzo samotny i mokry.

— Leo! Obudź się, Leo! — Fredrik chwyta brata za ramię i potrząsa.

— Co się dzieje?

— Jamniki nasiusiały mi do łóżka i jest mi bardzo zimno.

Maria Wern siedzi zgarbiona przy oknie w swoim gabinecie. Niewidzącymi oczami patrzy na padający śnieg, głęboko pogrążona w myślach. Co Ellen Borg robiła w swoim domku w lesie w poniedziałkowe noce? W chatce nie ma wygod. Żeby napić się kawy, musiała wykuć otwór w lodzie, przynieść wody i napalić w piecu. Pościel była zawilgnięta, a podłoga lodowata. Może i uroczo jest mieszkać tam latem, ale tak w środku zimy? W swoich rozważaniach nie posuwa się dalej, bo właśnie słyszy energiczny głos Eka.

— Masz gościa.

Wysoki chudy mężczyzna w czarnym płaszczu przedstawia się jako Ludvig Borg. Rzadkie włosy dzieli przedziałek na środku głowy, a zerkające zza okularów w metalowych oprawkach oczy są ciemnoniebieskie. Arvidsson i Ek wczoraj wieczorem przekazali mu smutną wiadomość o śmierci matki. Co zaskakujące, zastali Borga w jej mieszkaniu. Był w mieście przejazdem i otworzył drzwi własnym kluczem.

Maria prosi, żeby usiadł, po czym przynosi dwa kubki kawy. Ludvig dziękuje za mleko i cukier. Żeby się rozgrzać, chwyta kubek chudymi dłońmi. Mimo wełnianego płaszcza wydaje się marznąć.

— Czy została zamordowana? — brzmią jego pierwsze słowa, kiedy wreszcie jest w stanie mówić.

— Tak, co do tego nie ma wątpliwości. Dostała ciężkim przedmiotem w tył głowy.

— Włamywacz?

— Może. Wie pan, czy w domku było coś, co mogłoby zainteresować złodziei?

— Trudno mi to sobie wyobrazić. Matka nie była zamożną kobietą. Żyła z emerytury. Nie była to duża kwota, bo całe życie przepracowała w okienku na pocztę. Ledwo jej starczało pieniędzy, odkąd dwa lata temu dwukrotnie podnieśli podatek od nieruchomości. Za nic nie chciała sprzedać domku. Rozważała nawet wyprowadzkę ze swojej tyciej kawalerki w mieście. Nie mam pojęcia, jak wiązała koniec z końcem.

— Pamiętam. Czytałam w gazecie o nowych podatkach. Czyste szaleństwo. Wiele starszych osób musiało wszystko posprzedawać. Czy ktoś tam jeszcze mieszka na stałe, czy są to już tylko domki letniskowe?

— W dzisiejszych czasach tylko bardzo dobrze sytuowani ludzie mogą sobie pozwolić na mieszkanie w Bäckalund. Ostatnią osobą, która się stamtąd wyprowadziła, była żona sklepikarza. Nie sądzę, żeby sprzedała swój domek, raczej go wynajmuje, od kiedy przeniosła się do domu opieki. Latem mieszka tam chyba jedna pielęgniarka. Zimą to kompletne odludzie.

— Zamorduję tego, kto mi zniszczył rower — mówi Torsten powoli, omiatając wzrokiem stłoczoną grupkę gwiazdnych chłopców.

Stoją na dziedzińcu szkolnym odziani w białe koszule do kostek, papierowe stożki trzymają w rękach, żeby im wiatr ich nie zwał z głów. Mrużąc oczy, Torsten niespieszenie przenosi wzrok na kolejnych chłopców, przygryza przy tym dolną wargę w złowrogim grymasie. Fredrik czuje, jak coś rusza mu się w brzuchu, chociaż próbuje to zignorować. Nie zdołał zjeść śniadania, wypił tylko trochę wody. W jego brzuchu mieszka potwór, który za nic nie chce przełknąć ludzkiego pożywienia.

— Ten, kto wziął mój rower, dostanie od mojego taty taki wpierdol, że przez dwa tygodnie nie będzie mógł usiąść na dupie. Odciski palców są zdjęte! — mówi Torsten, podnosząc do góry kciuk. — Nikt się nie wywinie!

Przychodzi pani ze świętą Łucją i jej druhnami. Już pora. Dziewczynki wyfruują w swoich długich białych koszulach, a ich brokatowe wieńce we włosach i przepaski w talii migoczą w świetle księżyca. Ida wygląda jak

królowa elfów, kiedy rozpuści swoje długie, falujące włosy. Są na pewno bardzo miękkie. Fredrik chciałby dotknąć tych jasnych pukli, ale nie ma odwagi. W wieńcu z borówkowych gałązek Ida niesie na głowie zapalone świece. Wychowawczyni ma siedzieć w pierwszym rzędzie z wiadrem wody w pogotowiu. W zeszłym roku święta Łucja podpaliła draperię.

Aulę wypełnili rodzice i dzieci. Lecz mama Fredrika nie może przyjść. Znowu pracuje na nocną zmianę. Fredrik wysoko podnosi patyk z gwiazdą na czubku i śpiewa, chociaż głos mu się łamie z nerwów. Zapada cisza. Teraz jego kolej. Pani daje znak skinieniem głowy. W ciemnej sali połyskują czarne oczy. Fredrik otwiera usta, jednak słowa nie przychodzą. Torsten, chichocząc, szturcha go laską gwiazdznego chłopca. Pani usiłuje podpowiadać mu na migi. Fredrik sztywnieje na całym ciele. Szaleńczo chce mu się siusiu. Teraz to czuje. Gwiazda na lasce Torstena łaskocze go pod pachą. W sali panuje cisza jak makiem zasiał, wszyscy słyszą, jak coś pluska o parkiet na scenie.

Marię Wern budzi o świcie śpiewana na dwa głosy pieśń świętej Łucji. Krister znajduje okulary. Owija się kołdrą, po czym otwiera drzwi wejściowe. Emil i Linda przydreptali do przedpokoju, z nabożeństwem słuchają uczniów Kristera, którzy po zakrapianej nocy ledwo wtaczają się do środka. Maria nastawia dla nich kawę. Większości bardzo się to przyda po nieprzespanej nocy. Któryś młody człowiek zwymiotował na klatce schodowej, dwie dziewczynki zasnęły zamknięte w toalecie, trzecia odmroziła sobie palce w cienkich czółenkach.

— Czy w ogóle jest sens prowadzić lekcje trzynastego grudnia? — pyta Maria swojego męża, kiedy pochód świętej Łucji już się oddalił, żeby nawiedzać kolejne ofiary z grona pedagogicznego.

— Ktoś przecież musi się nimi zająć. Wiele z tego, co dzieje się w Noc Świętej Łucji, wymaga potem porady duszpasterskiej i przedyskutowania w świetle dnia. Na jaw wychodzą konflikty, nieszczęśliwe miłości, bójki i pijaństwo. Jak u ciebie w pracy. Dzisiaj pewnie będziesz miała sporo roboty — mówi Krister, gładząc Marię po policzku.

— Na pewno.

Maria pomaga dzieciom się ubrać, ogarniając jednocześnie salon. Zbiera całą górę zapomnianych ubrań, do tego jeden discman, paczkę chipsów i mnóstwo skórek po mandarynkach. Emil ma być piernikowym dziadkiem, a Linda Łucją. W przedszkolu wszystkie dziewczynki mogą być Łucjami. Wieniec jest trochę za duży. Kiedy Linda zsuwa go na tył głowy, bardziej przypomina jelenia lub łosia niż królową światła. Emil ma świeczkę na baterie. Wkłada ją do buzi i wtedy jeden z policzków świeci mu na czerwono. Linda próbuje zrobić to samo ze świeczkami ze swojego wieńca, wpycha je sobie do gardła, po czym wymiotuje na świeżo wyprasowaną białą koszulę. Na gwałt i mimo jej gorących protestów zostaje przebrana za Świętego Mikołaja. Maria układa stroik dla personelu, pakuje pranie do pralki, daje kotom jeść i włącza zmywarke, nim wszyscy razem wyruszą w ciemność.

Inspektor kryminalny Hartman puszcza w obieg talerz pełen bułeczek szafranowych i pierniczków. Noc była wyjątkowo spokojna. Żadnych wypadków drogowych. Jednego faceta, który zasnął po pijaku z papierosem, przewieziono do szpitala z oparzeniami. Dwóch wyrostków trzeźwieje w areszcie. Rodziców już powiadomiono. U jubilera Bredströma ktoś rozbił szybę, ale niczego nie ukradli. Ogólnie rzecz biorąc, spokojna Noc Świętej Łucji. Ek z rozmachem opada na kanapę w pokoju dla pracowników, a podskakujące poduchy sprawiają, że Maria o mało nie upuszcza kubka z kawą. Ek wygląda na zmęczonego. Pewnie ma za sobą ciężką noc.

— Jak wyglądało mieszkanie Ellen Borg? — pyta Maria, stawiając kubek z kawą w bezpiecznej odległości od Eka.

— Ładne i zadbane. Mnóstwo bibelotów. No wiesz, haftowane poduszeczki na kanapie i takie tam. W sypialni rozstawiony statyw z lornetką skierowaną na okno sypialni w mieszkaniu naprzeciwko, pewnie wszystko wiedziała o swoich sąsiadach. I znaleźliśmy pieniądze. Miała gotówkę pochowaną po całym mieszkaniu, w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Grube pliki banknotów, będzie tego ze sto

tysięcy.

— Według syna żyła na granicy ubóstwa... A badanie techniczne w Bäckalund jest już gotowe? — pyta Maria.

— Tak. — Hartman stoi z termosem w ręku. — Chcesz tam pojechać?

— Tak, dzisiaj przed południem.

Leśna droga jest czarna i ponura. Śnieg, który nocą usypał puszyste zasy, utknął w koronach drzew i na ziemi zostały gołe placki. Kontrasty dodają miejscu tajemniczości. Maria wysiada z samochodu, osłania dłonią oczy przed wstającym słońcem. Dlaczego Ellen Borg nagle w połowie października zaczęła jeździć do swojego domku w lesie w poniedziałkowe wieczory, skoro nigdy wcześniej tego nie robiła? Spotykała się z kimś? Według Sary Skoglund Ellen nie miała zbyt wielu znajomych, ale urodziła się i wychowała w tych stronach. Może w mieście zostali jacyś jej przyjaciele, o których sąsiadka nie wiedziała. „Była dość specyficzną osobą”, powiedziała Sara. Z synową nie umiała się dogadać. Ludvig zawsze przyjeżdżał sam. Jakie to uczucie: zakończyć pracę na poczcie, gdzie wszystko o wszystkich wiesz, i przejść na emeryturę? Siedzieć potem już tylko w swojej kawalerce z gazetą codzienną i wieść ograniczone życie towarzyskie?

Maria ma właśnie przejść nad policyjną taśmą, kiedy dostrzega ruch za firanką w sąsiednim domku. Ludvig powiedział, że należy do sklepikarza, jest nieco większy, z bali, no i ma werandę. O furtkę stoi oparty damski rower. Maria podchodzi do domu i puka. Kryształki lodu iskrzą w zmarzniętym śniegu. Chrząści pod stopami. Drzwi otwiera śliczna blondynka, na oko ma trochę ponad dwadzieścia pięć lat. Otula ją ciepło. Maria słyszy trzaskanie drewnien w piecu.

— Maria Wern, powiatowy inspektor kryminalny. Mogę pani zadać kilka pytań?

— Lovisa Gren, pielęgniarka szkolna. — Kobieta podaje jej rękę w mocnym uścisku. — Zimno dzisiaj, niech pani wejdzie. Domyślam się, że chodzi o ten koszmar z panią Ellen.

— Zgadza się.

Maria otrzepuje buty ze śniegu i wchodzi do środka. Siadają przy kuchennym stole koło pieca. Niemalowany rozsuwany stół zdobi cynowy puchar z suchymi gałązkami jarzębiny. Na ścianie nad nim wisi makatka obramowana błękitną taśmą. Pieczołowicie wyhaftowane litery układają się w przysłowie: „Z małej chmury duży deszcz”.

— Kiedy po raz ostatni widziała pani panią Borg?

Lovisa opiera głowę na dłoniach i myśli.

— Trudno powiedzieć. Chyba jakoś latem. Tak, w noc świętojańską.

— A kiedy była pani tutaj po raz ostatni?

— Właśnie w okolicy nocy świętojańskiej, potem wyjechałam za granicę. Strasznie wtedy padało.

— Czy ktoś oprócz pani korzysta z tego domu?

— Nie, to chyba niemożliwe. Wynajmuję go przez cały rok.

Maria rozpina kurtkę, a ciepło ogarnia jej ciało. Dłonie ma czerwone z zimna. Przyjemnie wyciągnąć je w stronę ognia.

— Jak opisałyby pani Ellen Borg? Jaka była? — pyta.

— Ze mną rozmawiała głównie o chorobach. Czasem wręcz żałowałam, że jej powiedziałam, że jestem pielęgniarzką.

— Domyślam się. A dlaczego pani tu jest?

— Przeczytałam w gazecie o tym morderstwie i chciałam się upewnić, że nikt się tu nie włamał.

— I wszystko jest jak zawsze? — Maria rozgląda się życzliwie dookoła. Jej wzrok prześlizguje się przez sypialnię z niepościelonym łóżkiem.

— Tak, nocowałam tu dzisiaj — tłumaczy się Lovisa. — Nie zdążyłam pościelić.

— Odważna pani jest. Czy spotkała pani kiedyś syna Ellen?

— Ludviga? Był tu na wiosnę. Zwykle sadzi pani Ellen ziemniaki. Ona już od dawna nie miała siły grzebać w ziemi, ale na noc świętojańską zawsze koniecznie chciała mieć młode ziemniaczki.

— Co pani o nim sądzi?

— Sama nie wiem.

— Proszę powiedzieć szczerze — mówi Maria. — Przecież słyszę ton

pani głosu.

— Chyba trochę zadziera nosa. — Lovisa się śmieje. — Najdroższy samochód, rozumie pani. Chętnie pokazuje, że mu się powodzi. Jest jakimś geniuszem finansowym.

W domku Ellen Borg panuje porządek. Opatrzone ręcznie wypisanymi etykietkami doniczki na zioła stoją w równych jak od linijki rzędach. Ręczniki za haftowaną zasłonką mają zapraski. Murowany wyciąg nad kominkiem jest kredowobiały, jakby palenisko nigdy nie było używane. Wszystko jest w idealnym porządku oprócz jednego szczegółu. Na stole w kuchni leży lornetka, krzywo rzucona na obrus. Czyżby Ellen siedziała tu latem, szpiegując sąsiadów? Maria podnosi lornetkę, żeby sprawdzić zasięg. Z okna w kuchni widać aż po lokalną szosę. Nieźle. Ponieważ domek Ellen stoi na skraju osiedla, z okna jest widok na całą okolicę. Maria obchodzi dom, po czym wraca do kominka w dużym pokoju. Czy nie powinno się korzystać z wszystkich możliwych źródeł ciepła, kiedy jest tak zimno? Maria ulega impulsowi i wkłada rękę do paleniska. Obmacuje cegły. Jedna jest obluzowana. Daje się wyciągnąć. Podchodzi z nią do okna. Od spodu zauważa przywiązany sznurkiem czarny notes.

Fredrik chowa swoje zmoczone ubranie pod wanną, cicho, cicho, żeby nie obudzić mamy śpiącej w pokoju obok. Rumieniec wstydu nadal pali mu policzki. Może to oparzenie zostanie mu już do końca życia. Jak mógłby dalej chodzić do szkoły po czymś takim? Czy ma szansę na nauczanie indywidualne w domu ktoś, kto posusiał się w spodnie? Tak powinno być. Jeden chłopak z trzeciej klasy uczył się w domu, kiedy złamał nogę. Posusiać się w spodnie jest znacznie gorzej. Ma się poczucie wielkiej samotności. Fredrik wkłada rękę do kieszeni suchych spodni, wyczuwa pod palcami zimną powierzchnię pierścienia. W pewnym sensie jego sytuacja jest wyjątkowa. Dlatego wsuwa go na palec. Zło nie pojawia się od razu. Właściwie prawie nie zauważa, jak powoli się w niego wkrada, podczas gdy on zastanawia się, co dalej. Myśli biegną w zakazanym kierunku, za

zamknięte drzwi do pokoju Lea. Po chwili stoi już nieruchomo w duszącym zapachu dezodorantu, oglądając nowy plakat, który pojawił się na ścianie. Dziewczyna w stringach siedząca na motorze. Fredrik uważa, że to zdjęcie jest zabawne. Ona wygląda jak olbrzymie niemowlę w za małym pampersie. Półprzymkniętymi oczami patrzy na niego przez ramię, lekko rozchyłając odęte usta, jakby ktoś właśnie zabrał jej smoczek.

Komórka Lea leży na akwarium. W pokrowcu imitującym tygrysią skórę. Fredrik sięga po nią, waży w dłoni i czuje się prawie dorosły. *Hello, this is Bengtsson speaking, Fredrik Bengtsson.* W spisie numerów wyszukuje imię jakiejś dziewczyny. Fredrik bezwiednie naciska zieloną słuchawkę i nagle ktoś odbiera. Zupełnie jak w horrorze. Ona go nie widzi. On jest wcielonym złem. Zło dyszy w słuchawkę, żeby ją wystraszyć. Widział to w telewizji.

— Halo? Kto dzwoni? — W jej głosie faktycznie pobrzmiewa strach.

Fredrik oddycha szybko, aż ciarki go przechodzą na myśl o tym, jaki jest przerażający. Straszanie kogoś sprawia mu przyjemność, daje poczucie władzy. Rozbudza apetyt. Kiedy pierwsza dziewczyna rzuca słuchawkę, wybiera następny numer i następny, i tak aż do chwili, gdy zostaje już tylko numer babci. Wtedy się powstrzymuje i odkłada telefon na akwarium, nie patrząc dokładnie gdzie. W miejscu, gdzie powinno być szkło, jest pusto i telefon opada powoli na dno niczym rekin tygrysi na polowaniu. Fajnie to wygląda. W tym momencie rozlega się dzwonek do drzwi.

Pani Viktorsson idzie z mamą do kuchni. Zamykają za sobą drzwi. Fredrik patrzy na zegarek. Dziesiąta. Mama spała dwie godziny po nocnym dyżurze. Niedobrze. Wie to z doświadczenia. Przykłada ucho do drzwi i nasłuchuje. Mamę ledwo słyhać. Mówi nocnym głosem, łagodnym, szepczącym głosem, jakiego używa się w szpitalu. Nauczycielka za to mówi głośno i wyraźnie. Używa takich słów, jak „trudności” i „zaniepokojoła”. Potem mówi „chory” i „pielęgniarka szkolna”. Tyle mu wystarczy. No bo co się robi u szkolnej pielęgniarki? Dostaje się zastrzyki albo liczą człowiekowi jądra. Nie wiadomo, co straszniejsze. Niepojęte, że można coś takiego robić dzieciom: ustawiać je w szeregu i liczyć im jądra. A gdyby to samo zrobić

dziadom w sejmie, ustawić ich w porządku alfabetycznym i... chyba napisaliby o tym w gazecie. Jak o morderstwie. Fredrik nie chce myśleć o martwej staruszce. Ani o rowerze. Ani o tym, kto wyszedł z ziemianki. Potwór w brzuchu znowu zaczyna się wiercić. Nie chce słuchać takich myśli. Mdłości nadchodzą tak nagle, że Fredrik nie dobiega do toalety na czas. Wymiotuje na jasnoniebieski dywan w przedpokoju. Pojawia się tylko trochę kwaśnej żółtej wody. Otwierają się drzwi do kuchni. Nie może tu zostać. Błyskawicznie łapie kurtkę i wskakuje w kalosze.

— Fredrik. Freedrik! — głos mamy odbija się echem na klatce.

Ale on nie zawraca. Stopy ledwo muskają ziemię, gdy pędzi do lasu. Wszedłszy w mrok, zdejmuje pierścień. Jest zimno. Nie wziął rękawiczek ani czapki. Prościej byłoby iść drogą. Ale tam ktoś mógłby go zobaczyć. Lepiej posuwać się między drzewami, jest się gdzie schować. W cienkich kaloszach stopy bolą go z zimna. Z jednego z kominów w starej wsi unosi się cienka strużka dymu, ale nikogo nie widać. Ogarnia go nieprzeparta tęsknota za ciepłem. Fredrik pędzi do domku z werandą. Drzwi są zamknięte. Tu jednak nikt nigdy nie zamyka naprawdę drzwi na klucz, chodzi tylko o to, żeby goście wiedzieli, czy ktoś jest akurat w domu, czy nie. Klucz leży pod gałązkami jałowca na schodach. Kiedy chłopiec po cichu wślizguje się do przedpokoju, uderza go fala ciepła. Przez chwilę stoi całkiem nieruchomo, nasłuchując. Potem przemyka się do pokoju. Na krześle leży zwinięty śpiwór. Fredrik mości sobie z niego gniazdo pod łóżkiem.

Inspektor kryminalny Maria Wern spina długie jasne włosy w koński ogon, po czym wsiada do radiowozu. Hartman już siedzi za kierownicą.

— Co dalej? — pyta ze wzrokiem wbitym w lusterko wsteczne. Szkoła w Bäckalund maleje, w miarę jak samochód przyspiesza, aż w końcu całkiem znika za drzewami.

— Zostało nam jeszcze dwóch nieobecnych uczniów. Bracia Bengtsson. Jeden z gimnazjum, drugi dopiero zaczął szkołę. Starszy jest w domu z powodu przeziębienia, młodszy zniknął podczas obchodów świętej Łucji. Grypa żołądkowa, jak przypuszcza jego nauczycielka. Trafisz na

Lingonstigen?

— Trafie. Rozmawiałem rano z technikiem. Jest zdumiewająco mało materiału. Żadnych odcisków palców. Żadnego narzędzia zbrodni. Ziemia wokół ziemianki była zamarznięta. Śnieg spadł dopiero po południu dwunastego grudnia. Jedyne ślady stóp należą do Sary Skoglund i potwierdzają to, co powiedziała. Ustalono, że zgon nastąpił tuż po ósmej rano. A co z notesem, który znalazłaś? Co w nim było?

— Liczby. Same liczby. Przypuszczam, że mogą to być daty, godziny i minuty. Najwyższa liczba to trzydzieści jeden. Oprócz tego są w nim jakieś symbole. Prawie takie jak przekleństwa w *Kaczorze Donaldzie*, jeśli wiesz, co mam na myśli.

— Czy jakieś liczby da się przypisać do dziewiątego grudnia?

— Chyba tak. Za godzinę powinniśmy dostać dokładną analizę. Słuchaj, Hartman, jeden szczegół mi się nie zgadza. Może okazać się bez znaczenia, ale nie mogę przestać o tym myśleć. Jedziemy do Bäckalund.

Fredrika budzi dźwięk głosu Lea. W pierwszej chwili myśli, że jest w domu, w swoim łóżku, ale zapach nijak mu nie pasuje. Pachnie wilgocią, mysimi bobkami, żywicą i jeszcze czymś obcym, zimnym. Zanim odpowie bratu, rozgląda się dookoła. Widzi dwie pary stóp stojące bardzo blisko siebie.

— Nie wolno ci do mnie dzwonić. Tak się umawialiśmy — mówi ona z wściekłością, wykrzywiając prawą stopę.

— Ale ja nie dzwoniłem! — odpowiada Leo ze zdumieniem.

— A więc to nie ty? Kto wobec tego dyszał mi do słuchawki, kiedy na ekranie pokazał się twój numer? — syczy kobieta.

— Nie wiem. Nie miałem dzisiaj ze sobą telefonu, zapomniałem go wziąć. Cały dzień naprawiałem samochód w garażu. Może Fredrik wszedł do mojego pokoju?

— Nie możemy się już widywać. Sam rozumiesz — odpowiada mu kobieta.

— Nie mogę bez ciebie żyć. Kocham cię, Lovisa — jęczy Leo głosem,

jakiego Fredrik nigdy wcześniej nie słyszał.

Małe stopy się cofają. Większe ruszają za nimi.

— Jesteś na mnie napalony. Przejdzie ci. A teraz znikaj i zapomnij o mnie.

— Nie mogę.

— Musisz. Pielęgniarka szkolna nie może mieć romansu z uczniem.

— Powiedziałaś, że mnie kochasz — mówi Leo z rezygnacją w głosie.

— Może tak było, ale teraz już nie jest. Ellen Borg nas widziała. Ilekroć się spotykaliśmy, robiła notatki w czarnym notesie. Chciała pieniędzy w zamian za milczenie.

— Ale przecież nie żyje.

— Właśnie. Jeśli piśniesz komuś o tym choćby słowo, powiem, że to ty ją zabiłeś. W bezpiecznym miejscu trzymam młotek z twoimi odciskami palców i krwią Ellen. Jeśli tylko zechcę, mogę go wyjąć i zawiadomić policję. Potem i tak nikt już ci w nic nie uwierzy.

— Nie możesz. Nie miałem pojęcia... Skąd masz moje odciski palców na młotku?

— Pomagałeś mi zawiesić makatkę.

— Jak mogłaś ją ot, tak po prostu... zabić?

— Nawet nie wiesz, do czego jeszcze jestem zdolna.

Stopy należące do Lea przesuwają się po podłodze. Po całym domu roznosi się odgłos zatraskiwanych drzwi. Fredrik usiłuje być cicho, ale duszony w gardle płacz wrywa mu się głośnym szlochem. Czyjaś ręka łapie go za włosy i wyciąga spod łóżka, gdy tymczasem warkot samochodu Lea cichnie w oddali. Kobieta łapie go za kark, zupełnie jak gdyby był kociakiem. Z ust szkolnej pielęgniarki płynie potok słów, których nie potrafi zrozumieć w huku gigantycznego wodospadu, który tryska w jego głowie. Bezwolnie podąża za nią i przez dziurę w podłodze daje się sprowadzić w zimny i wilgotny mrok piwnicy. Słyszy, jak w zamku nad nim obraca się klucz. Zapada całkowita ciemność. I chłód. I cisza.

Inspektor kryminalny Maria Wern po raz drugi puka do drzwi.

Odczekuje. Hartman cofa się o krok, zacierając ręce dla rozgrzania. Z komina szarego domku z werandą unosi się dym.

— Czego chcecie? — pyta Lovisa, otworzywszy drzwi.

Płoną jej policzki.

— Czy przychodzimy nie w porę?

— Ależ skąd.

Lovisa idzie przodem. Maria dostrzega nerwowość w jej sztywnych ruchach. Siadają przy stole w kuchni. Lovisa przygryza dolną wargę. Maria odczekuje chwilę bez słowa.

— O co chodzi? — pyta Lovisa piskliwym głosem.

— Czy to pani zebrała tę jarzębinę?

— Tak. A co to ma do rzeczy? Czego chcecie?

— Wcześniej mówiła pani, że nie była tu pani od nocy świętojańskiej.

Czy to prawda?

Lovisa wbija wzrok w stół, pocierając uda rękami. Potem spogląda Marii prosto w oczy.

— Może wpadłam na moment w październiku. Nie pamiętam dokładnie.

Maria milczy. Hartman też nic nie mówi. Lovisa spuszcza wzrok.

— Coś jeszcze? — pyta z wymuszonym uśmiechem.

— Na razie to wszystko. Ale pewnie będziemy mieli powód, żeby jeszcze tu wrócić.

Maria powoli wstaje. Rzuca okiem na oszronione drzewa za oknem. Na śniegu leży nadgryzione czerwone jabłko, porzucone przez sroki. Z dachu zwisają długie sople. Potem odwraca się i skinieniem głowy daje znak Hartmanowi, który wychodzi za nią do przedpokoju. Lovisa nie wstaje. Nagle podskakuje na krześle. Dokładnie pod ich stopami rozlega się skrobanie. Słaby głosik woła mamę.

— Jeśli będzie ci łatwiej opowiadać, możesz włożyć pierścień i stać się niewidzialny — mówi Maria Wern, włączając dyktafon.

— A jeśli wtedy ucieknę?

— Ufam ci — odpowiada Maria, a jej przyjazne oczy patrzą na niego

z wielką powagą.

— Chyba nie chcę już go nosić — decyduje Fredrik. — Niech teraz pani go weźmie.

Åsa Larsson

SANIE POCZTOWE

Po tamtym wydarzeniu pomocnik Bäckströma już nigdy nie był taki jak dawniej. Przedtem należał do tych zawsze uśmiechniętych. Takich, co to podśpiewują przy pracy. Zarzucał na plecy stukilowy worek, a jednocześnie puszczał oko do panien i wsuwał pod wargę snus. Ale potem spoważniał. Stał się wręcz opryskliwy. Nigdy już nie żartował z dziewczętami ze sklepu Hannuli, kiedy odbierał towar. Zaczął przepuszczać w karty połowę wypłaty. Przywoził samogon od handlarzy z Malmberget i sprzedawał górnikom z kopalni, młodym chłopakom, którzy mieli więcej pieniędzy w kieszeniach niż rozumu w głowie.

Ale wracając do tamtego wydarzenia... To było czternastego grudnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku. Wozak Bäckström i jego pomocnik jechali do Gällivare. Ich sanie były wypakowane pardwami, które potem miały wyruszyć pociągiem do Sztokholmu. Pociąg między Kiruną i Gällivare nie kursował, bo tory były zasypane śniegiem. Sypało intensywnie bez przerwy przez trzy dni, dopiero teraz opady trochę osłabły. Ale restauratorzy w Sztokholmie nie chcieli czekać.

Bäckström zachwycał się tym zimowym wieczorem. Duże, miękkie gwiazdki powoli opadały z nieba. Jakby sennie kładły się jedna po drugiej na końcówkach włosia jego wilczego futra. Zbierały się na futrzanej czapie, tworząc biały pagórek.

Pomiędzy śniegowymi chmurami połyskiwał księżyc. Nie było też specjalnie zimno. Pomocnik był oczywiście przemarznięty, bo miał na sobie tylko ubranie z wełnianego samodziału i dzianiny. Ale narzucił na plecy skórę z renifera i zaraz zaczął wykrzykiwać najprawdziwsze miłosne

zakłęcia do ich klaczy, najlepszej na świecie. Lintu po fińsku oznacza ptaka. A czyż ona nie wyglądała jak żuraw o długiej szyi? Przepiękna! Czasami tylko śmignął ją od niechcenia batem, kiedy zbaczała z wydeptanego traktu, ryzykując utknięcie w kopnym śniegu. Sanie utrzymywały się na powierzchni. Ale świeżo spadły śnieg utrudniał posuwanie się naprzód. Koń parował z wysiłku, choć ładunek nie był ciężki.

Wozak Erik Bäckström śledził wzrokiem drogę śniegowych płatków do góry, aż po samo niebo. Uśmiechnął się do siebie i pomyślał, że może anioły były grupą kobiet zajętych robótkami ręcznymi. Niewiele różniły się od jego zmarłej matki i kobiet z rodzinnej wioski. Może siedziały tam w izbie u Pana Boga, zajęte szydełkowaniem, w swoich długich spódnicach, a na upięte w kok włosy nałożyły chustki. Na pewno zajmowały się takimi robótkami także za życia. Choćby zrobiły nie wiadomo ile skarpet i swetrów, czapek i szalików, zawsze czegoś brakowało. Przędły, dziergały, tkwały i cerowały. Ale teraz mogły beztrąsko siedzieć sobie w niebie i robić szydełkiem płatki śniegu. Sękatymi dłońmi, które nosiły ze studni wodę dla krów w mroźne zimowe poranki i płukały bieliznę w przeręblach, wyrabiały teraz te wszystkie gwiazdki, a potem jakby w roztargnieniu upuszczają je na podłogę.

Która zresztą wcale nie jest podłogą, pomyślał woźnica filozoficznie, tylko sklepieniem nad naszymi głowami.

— Z czego szef tak się cieszy? — wydyszał pomocnik.

Wyskoczył z sań i teraz brodził w śniegu obok klaczy, swojego oczka w głowie i największej dumy, żeby jej pomóc na wzniesieniu. Dał jej kawałek cukru, który trzymał w kieszeni.

— Z niczego — odparł Bäckström i z radością pomyślał, że przynajmniej w wyobraźni człowiek jest wolny. Choć był pracującym, poważnym mężczyzną, właścicielem firmy przewozowej, mógł bez żadnego ryzyka oddawać się najbardziej płochym, dziewczęńskim myślom.

Pomocnik znów wskoczył do sań. Otrzeptał spodnie ze śniegu. Owinął się szalikiem po same uszy.

Oprócz pojedynczych parsknięć konia nie było słyhać nic, panowała ta

jedyna w swoim rodzaju cisza, jaka potrafi być tylko w zimowym lesie, kiedy pada śnieg. Płozy sunęły bezszelestnie po świeżo spadłym, miękkim śniegu. Dopiero gdy tamte sanie pojawiły się tuż przed nimi, usłyszeli dzwoneczki.

Bäckström i jego pomocnik od razu wiedzieli, że oto zbliża się rozwoziciel poczty.

Głośnymi okrzykami pozdrowili pocztyliona, z którym byli w dobrych stosunkach.

— Hej tam, Johansson!

Nie było odpowiedzi. Elis Johansson siedział w swoich saniach, mocno pochylony do przodu, i nie odzywał się, choć obaj mężczyźni wołali najgłośniej, jak mogli.

Koń pocztowy poczłapał spokojnie w przeciwną stronę, a Bäckström i jego pomocnik jechali dalej ku Gällivare.

— Pijany był czy co? — zapytał pomocnik, oglądając się przez ramię.

Jednak nie mógł już dostrzec sań pocztowych. Tylko czarne sylwetki drzew w słabej poświacie księżyca, która przebijała się przez śniegowe chmury.

— Bzdury! — prychnął ze złością Bäckström. — Johansson pijany?

Elis Johansson był głęboko wierzącym laestadianinem i stronił od alkoholu.

— Może był pogrążony w modlitwie? — podsunął żartobliwie pomocnik.

Erik Bäckström nie odpowiedział. Był tak zawstydzony z powodu swoich własnych bajkowych wyobrażeń na temat Boga, że nie potrafił stanąć w obronie Johanssona, jak należało. Ale wiedział, że Johansson jest solidny i pracowity. Jego wiara była mocna i oparta na lekturze Pisma. Nigdy nie przyszłyby mu do głowy takie fantazje na temat nieba, jak Bäckströmowi przed chwilą.

Poza tym Johansson nie obnosił się ze swoją wiarą. Nic nie mówił, kiedy jeden czy drugi czasem wychylił kieliszek. Choć jego współwyznawcy pozwalali sobie na komentarze. Siedzieli u kogoś w gościnie i odmawiali picia wódki, a potem patrzyli z niechęcią na tych, którzy sobie golnęli. „Ten pierwszy kieliszek czuje się samotny — mówili. — Chce mieć towarzystwo,

kogoś do pary. Zaraz się pokłóćą i trzeba im będzie posłać na dół trzeciego, żeby ich pogodził. A to już pijaństwo”. Nie, Johansson taki nie był. Zostawiał ludzi w spokoju. Bäckström miał ochotę przyłożyć swojemu młodemu pomocnikowi za tę gadaninę.

Chłopak tymczasem znów się rozgadał. Wyśmiewał się z laestadian, że także wśród nich trafiają się kłamcy, oszuści i pijacy. Przecież każdy to wie. Niektórzy chodzą w niedzielę na modły i proszą Boga oraz braci o przebaczenie tylko po to, żeby w poniedziałek znów zacząć grzeszyć od nowa. A tak poza tym, co innego oprócz mocnego napoju mogłoby sprawić, że człowiek siedzący w saniach zasnąłby tak głęboko?

Przerwał swoje wywody, kiedy klacz znienacka stanęła w miejscu. I zaraz cofnęła się o krok. Wyciągała przy tym szyję i wywracała oczami.

— Spokojnie — próbował przemówić do konia pomocnik.

— A tej co do łba strzeliło? — zapytał Bäckström i strzelił batem.

Koń się nie poruszył. Rozdał chrapy. Parsknął. Mięśnie pod skórą napięły się jak stalowe liny.

Pomocnik położył dłoń na rękę Bäckströma, gotowego jeszcze raz smagnąć zwierzę.

— Lintu jest taka posłuszna — powiedział ściszym głosem. — Nie bijcie jej w gniewie. Jeśli się zatrzymuje, musi być jakiś powód.

Miał rację. Erik Bäckström wypuścił z ręki bat i zaczął szukać pod kozłem strzelby. Wilki, pomyślał. Albo niedźwiedź, któremu ktoś zakłócił sen.

Był przygotowany na to, że klacz nagle zerwie się z dyszla. Zawróci i poniesie. Może nawet wywróci sanie. A gdyby wypadł z sań i został tam na pastwę wilków, dobrze byłoby mieć przy sobie strzelbę.

— Czy tam coś leży? — zapytał pomocnik, wpatrując się przymrużonymi oczami w padający śnieg.

— Co? — powiedział Bäckström, który niczego nie mógł dostrzec.

— Tam leży człowiek! Czekaście!

Pomocnik wyskoczył z sań i podbiegł kawałek do przodu. Teraz i Bäckström widział, że coś leży na drodze.

Pomocnik biegł, ale na ostatnim odcinku dzielącym go od człowieka leżącego w poprzek drogi zwolnił i podszedł do niego ostrożnie.

— Kto to jest?! — zawołał Bäckström.

Ciało było ułożone na brzuchu, z twarzą w śniegu. Pomocnik nachylił się i popatrzył z boku.

— To Oskar Lindmark! — krzyknął do Bäckströma, który stanął w saniach, wyciągając szyję. — Wygląda na to, że jest martwy.

Oskar Lindmark był dwunastoletnim parobkiem pocztyliona.

— Co ty mówisz?! — zawołał Bäckström. — Wypadł z sań i skręcił kark, czy co mu się stało?

— Nie, wydaje mi się, że...

Pomocnik nachylił się nad ciałem i umilkł. Czy to czarne to była krew? W słabym świetle księżycy zniknęły wszystkie kolory. Płatki śniegu spadały na ciemną plamę i rozpływały się.

— Co z tobą? — Położył rękę na plecach Oskara Lindmarka.

Potem zdecydowanym ruchem odwrócił ciało. Pociągnął za ramię i przekręcił chłopca na plecy. Nadal myślał, że może żyje, tylko potrzebuje powietrza.

Twarz Oskara była biała jak śnieg. Oczy otwarte, usta też.

Czy to krew? — zastanawiał się pomocnik woźnicy. Zdjął rękawicę i dotknął czarnej smugi na czole Oskara.

Tak. Chyba tak. Popatrzył na wilgotne opuszki palców. Potarł nimi o kciuk.

Nagle pojawił się obok niego Bäckström.

— Czy on nie żyje? — zapytał go pomocnik. — Tak myślę, jak sądzicie?

— Na Boga — odezwał się Bäckström ochryple. — Jasne, że nie żyje. Nie widzisz, że ma rozwaloną głowę?

Dopiero wtedy pomocnik to zauważył. Poderwał się szybko. Odsunął się od zwłok.

Bäckström odwrócił się w stronę Jukkasjärvi.

— Johansson! — krzyknął z rozpaczą w las.

Śnieg wchłonał jego głos. Wołanie nigdzie nie dotarło. Mogli tam stać

i krzyczeć w lesie, ile chcieli.

— Zanieś chłopaka do sań — powiedział do pomocnika, który dygocząc z przerażenia, trzymał się brzozy, żeby nie upaść.

— Nie mogę — wydusił pomocnik, szcękając zębami. — Jest cały we krwi. Nie mogę go dotknąć.

— Weź się w garść, chłopcze! — ryknął Bäckström. — Musimy zawrócić i dogonić sanie pocztowe.

Razem podnieśli martwego chłopaka i ułożyli go w saniach na workach z pardwami. Bäckström pomyślał, że krew przesiąknie przez tkaninę i poplamia białe ptaki. A potem uświadomił sobie, że przecież restauratorzy w Sztokholmie nie muszą wiedzieć, czyja to krew.

Na posterunku policji w Kirunie komisarz Björnfot i starszy posterunkowy Spett siedzieli każdy po swojej stronie biurka. Za oknem w świetle elektrycznych latarni wirowały płatki śniegu. Posterunek był wyposażony w prawdziwy kaflowy piec, a Spett naładował brzozowych polan na cały dzień. Na gałgankowym dywaniku na podłodze leżał jego pies, suka imieniem Kajsja, obgryzając kawałek szczęki łosia.

Komisarz Björnfot zapisywał bieżące wydarzenia w dzienniku dyżurów. Dużo pracy nie miał. Był starszy od posterunkowego, wiele lat służył w Sztokholmie, gdzie poznał swoją żonę, i zaledwie przed rokiem razem z nią i dwiema córkami wrócił do Kiruny. Był zrównoważonym człowiekiem i nie miał nic przeciwko pisaniu protokołu czy spisywaniu zeznań świadków, co było trochę zaniedbywane, kiedy Spett samodzielnie urzędował na posterunku.

Spett, który był kawalerem, siedział teraz zajęty cerowaniem skarpet. Na piecu suszyła się jeszcze jedna para. Björnfot przymykał na to oko. Kiedy objął stanowisko w Kirunie, Spett mieszkał z Kajsą na posterunku. Więc dla świętego spokoju tolerował niektóre przyzwyczajenia kolegi z tamtych czasów.

Obaj byli postawnymi mężczyznami o szerokich ramionach i wyrobionych mięśniach. Spett był bardziej żyłasty, podczas gdy Björnfot

miał wzbudzający respekt wydatny brzuch. „Umiejętności dyplomatycznych oraz krzepy” — tego właśnie szukała u swoich pracowników kompania węglowa, opłacająca stróżów prawa w mieście. Czyli umiejętności rozdzielania awanturników. A tych w Kirunie nie brakowało. Byli wśród nich socjaliści i komuniści, agitatorzy i bojownicy o prawa robotnicze. Nawet na religijnych mieszkańcach nie można było polegać. Laestadianie i kaznodzieje innych wyznań, zawsze na granicy ekstazy i szaleństwa. W Kautokeino grupa niedawno nawróconych laestadian, ogarnięta zapalem do walki z grzechem i sprzedażą alkoholu, zatłukła zarówno posterunkowego, jak i handlarza, podpaliła plebanię oraz pobiła pastora wraz z żoną. To wszystko działo się jeszcze przed przyjściem komisarza na świat, ale mimo to ciągle mówiło się o zamieszkach w Kautokeino. No i byli tu jeszcze ci wszyscy młodzi mężczyźni, robotnicy torowi i górnicy, właściwie smarkacze, którzy zjechali się nie wiadomo skąd. Daleko od matki i ojca, przepuszczali cały zarobek na wódkę, a potem zachowywali się tak, jak można się było spodziewać. Ale teraz cela, znajdująca się w rogu posterunku, była pusta, więc Björnfort zamknął dziennik i pomyślał o żonie, która czekała na niego w domu.

Kajsa zerwała się z miejsca i zaczęła szczeukać. Sekundę później rozległo się pukanie do drzwi i wozak Erik Bäckström wszedł do środka. Nawet się nie przywitał.

— Mam w saniach pocztyliona Johanssona i Oskara Lindmarka, obaj zabici na śmierć.

Na dziedzińcu stały sanie pocztowe i drugie, należące do Bäckströma. Pomocnik Bäckströma nakrywał konie derkami. Johansson leżał w saniach pocztowych, a chłopak w tych drugich. Spett przegonił kilku gapiów, którzy zatrzymali się przy wjeździe na dziedziniec.

— Tu nie ma na co patrzeć! — ryknął. — Wynoście się, zanim się zdenerwuję!

— No więc kiedy znaleźliśmy Oskara Lindmarka, jak leżał w śniegu, to zrozumiałem, że coś się musiało stać Johanssonowi — mówił Bäckström. —

Położyliśmy chłopaka na saniach i zawróciliśmy, żeby dogonić Johanssona. Jego koń szedł sam. Drogę zna przecież na pamięć. Boże wielki... Kiedy go zatrzymaliśmy i zobaczyliśmy, że Johansson został zastrzelony...

Potrząsnął głową. Spojrzał na swojego pomocnika, który stał obok, bły jak papier, i trzymał lejce Lintu. Klacz chuchała na niego uspokajająco, jakby był jej niedorosłym źrebakiem. Nie bój się, chłopcze.

— Potem przywiązaliśmy sanie pocztowe do naszych — ciągnął Bäckström — i natychmiast tu przyjechaliśmy.

Komisarz Björnfot wszedł do sań pocztowych i dokładnie obejrzał zwłoki Johanssona. Potem go odwrócił.

— Ktoś mu strzelił w plecy — powiedział zamyślony. — Ale siedział, kiedy go znaleźliście.

— Tak.

— A młodego Lindmarka na drodze?

— Tak. Z twarzą w śniegu.

Björnfot sprawdził kieszenie Johanssona. Potem przeszukał sanie.

— Gdzie jest jego pistolet? — zapytał. — Wprawdzie był człowiekiem wielkiej łagodności, ale musiał mieć broń, skoro jechał służbowo.

Bäckström wzruszył ramionami.

— Nie widzieliśmy pistoletu — powiedział.

— Drzwiczki skrytki są wyłamane — ciągnął komisarz Björnfot. — A więc to był rabunek. Dziwne tylko, że ktoś zastrzelił go z jego własnego pistoletu.

Przeszedł do drugich sań i obejrzał obrażenia głowy Oskara Lindmarka. Nachylił się nad chłopcem i przysunął lampę bardzo blisko do jego twarzy.

— Pada śnieg — powiedział. — Czy widzieliście jakieś ślady?

— Nie — odparł Bäckström. — Ale przecież jest ciemno. Poza tym byliśmy zdenerwowani.

— Chodź, zobacz — zwrócił się Björnfot do Spetta.

Spett podszedł bliżej.

— To przecież wygląda jak zamrożone łzy — powiedział Björnfot i dotknął palcem twarzy Oskara Lindmarka. — Zwróć też uwagę na jego

szalik, chłopak jest tak cienko ubrany, że powinien osłonić nim twarz.

— Ach tak? — rzucił Spett.

— Moim zdaniem było tak — zaczął Björnfot. — Prawdopodobnie morderca zastrzelił Johanssona, a chłopak zaczął uciekać. Płacząc. I odsunął szalik, żeby mu było łatwiej oddychać w biegu.

— Niewykluczone — przyznał w zamyśleniu Spett. — Ale dlaczego nie został zastrzelony?

Björnfot przesunął dłonią po twarzy ruchem, który mówił, że się nad czymś zastanawia. Jego palce gładziły gęstego wąsa nad górną wargą. Kciuk i palec wskazujący przejechały z obu stron po linii szczęki i spotkały się na podbródku.

— Musimy porozmawiać z naczelnikiem poczty — powiedział. — Dowiedzieć się, jakie wieźli przesyłki. Musimy też zawiadomić wdowę po Johanssonie. I rodziców Oskara Lindmarka.

Spett popatrzył na niego w milczeniu. Nawet Kajsa przestała węszyć wokół płóz sań, usiadła na śniegu i zaczęła się wpatrywać w Björnfota. Ogonem wybijała o ziemię błagalny rytm. Komisarz dobrze wiedział, co oznaczają te spojrzenia. Nie chcieli iść z tą straszną wiadomością do zapłakanych rodzin. Chcieli śledzić gorący trop.

— No dobrze — westchnął Björnfot, zwracając się do Kajsy. — Ty idź do naczelnika poczty, a ja zawiadomię bliskich.

Na te słowa Kajsa wydała z siebie radosny szczelek. Zerwała się na cztery łapy i podbiegła do bramy. Na ulicy odwróciła się i popatrzyła wyczekująco na swojego pana. Jej spiczaste uszy były postawione na sztorc.

No chodź już wreszcie, zdawała się mówić. Mamy pracę do wykonania.

Wozak Bäckström nie mógł powstrzymać uśmiechu, mimo tragicznych wydarzeń wieczora.

— Niedługo zaczniesz ci prasować koszule — powiedział do Spetta.

— Jest na to za mądra — skomentował Björnfot i odprowadził wzrokiem młodego podwładnego, który wyszedł na ulicę w ślad za swoim psem.

W mieszkaniu było ciemno, kiedy komisarz Björnfot wrócił do domu

krótko po jedenastej wieczorem. Zastał żonę siedzącą przy kuchennym stole.

— Witaj — powiedział ostrożnie. — Siedzisz tak po ciemku?

Od razu poczuł się głupio. Przecież widział, że siedzi po ciemku. Często tak robiła. Mówiła, że oszczędza naftę, bo jest droga. Teraz powoli zwróciła do niego twarz. Uśmiechnęła się, jakby uznała, że tak wypada.

Björnfotowi przyszedł na myśl Spett z Kajsą. Jakże proste wydało mu się kawalerskie życie. Zapalił lampę pod sufitem i drugą na stole.

Żona nie odpowiedziała na jego pytanie. Za to sama zapytała:

— Chcesz coś zjeść?

Wyjęła chleb i wędlinę. Rozpaliła też ogień w piecu. Rozdrażniło go to. Jakby uważała, że dla siebie samej nie warto palić. Zapytał o dziewczynki. Odpowiedziała, że śpią.

— A co to takiego? — Björnfot wskazał ruchem głowy paczkę leżącą na kredensie.

— Nuty od matki — wyjaśniła, nawet nie patrząc w tamtą stronę.

— Nie otworzysz?

— Nie mam gdzie grać — odparła lekkim tonem. — Nie rozumiem, dlaczego mi je wysłała. Wystarczą ci trzy kromki?

Potwierdził skinieniem; nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Chciał jej przypomnieć, że może przecież korzystać z pianina w Domu Ludowym, kiedy chce. Tak samo pianino w szkole górniczej jest do jej dyspozycji. Ale co by to dało? Miała odpowiedzi na wszystko, a on nie miał już siły ich wysłuchiwać. Jedno pianino było rozstrojone, więc się nie nadawało. Drugiego zazdrośnie pilnowała żona kierownika szkoły, która zawsze zjawiała się akurat wtedy, gdy pani Björnfot siadała do instrumentu. A ponieważ żona kierownika grywała na uroczystościach szkolnych i udzielała lekcji, więc to ona miała pierwszeństwo. Zawsze.

— Mogłabyś przynajmniej otworzyć i je obejrzeć — próbował dalej. — Nie jesteś ciekawa, co to takiego? Na pewno twoja matka napisała też list.

— Otwórz, jeśli chcesz — odparła tym samym obojętnym głosem. Łamliwym jak jesienny lód nad ciemną, zimną wodą.

Björnfot spojrział na przesyłkę. Czyżby miała tak leżeć przez całe święta

i psuć nastrój? Nagle poczuł, że najchętniej cisnąłby ją w ogień.

Zamiast tego niechętnie przeżuwał kanapki. Żona przyglądała mu się wzrokiem pozbawionym wyrazu. Nie niezyczliwie. A jednak miał wrażenie, że chce go ukarać. Nie wiedział tylko za co. Pomyślał o wdowie po Elisie Johanssonie, do której dzisiaj zaszedł. O milczeniu kobiety, kiedy przekazał jej tę straszną wieść. Szóstka dzieci w dwóch pokojach z kuchnią. Te, które były na tyle duże, żeby coś rozumieć, zgromadziły się wokół matki. Patrzyły na niego, wszystkie w ciemnych ubraniach, jakie zwykle noszą laestadianie. Oczy miały jak czarne studnie, kiedy powiedział, z czym przyszedł. Pani Johansson stała przed nim, także skromnie przyodziana, w długą szarą spódnicę, chustkę i prosty kaftan. Żadnych błyskotek. Żadnych falbanek. Dom też był tak samo skromnie urządzony, nie było firanek ani obrazów na ścianach. Kobieta nie płakała. Ale widział, że jej usta i nozdrza rozszerzają się ze zgrozy.

Co ona teraz pocznie? — pomyślał. Czy zdoła samodzielnie utrzymać dzieci? Może będzie musiała któreś oddać? Nie mogła tu dłużej mieszkać, bo mieszkanie należy do zarządu poczty. zaproponowała mu kawę, ale podziękował. Nie mógł wytrzymać spojrzenia jej przerażonych oczu. A w uszach jeszcze dźwięczał mu płacz rodziców Oskara Lindmarka.

Zatęsknił do domu, do Emilii i córek.

A teraz żałował, że nie wrócił wcześniej. Zanim dziewczynki poszły spać. One przynajmniej ożywiały atmosferę.

Dlaczego nie umiesz być szczęśliwa? — chciał zapytać żonę.

Dziewczynki były zdrowe. Nie brakowało im jedzenia. Miała sukienki szyte na miarę. Niedawno kupiła koronkowe firanki.

Jak mogła przez cały czas czuć się taka nieszczęśliwa? Kiedy członkinie Koła Odczytów dla Pań złożyły jej kurtuazyjną wizytę i zaproponowały, aby do nich dołączyła, odmówiła pod jakimś pretekstem, którego nawet nie mógł sobie przypomnieć.

„Nie jestem typem osadniczki”, oświadczyła przy jakiejś okazji.

Ty nie masz pojęcia o życiu osadników, tak chciał jej odpowiedzieć. Tutaj w mieście jest uliczne oświetlenie, są sklepy. Łaźnia! Ale wolał milczeć.

Coraz mniej słów padało między nimi.

Kiedy się położyli, długo nie mógł zasnąć. Wpatrywał się w ciemny sufit i myślał o roztrzaskanej głowie Oskara Lindmarka. O wdowie po zamordowanym pocztulionie. Zapraǳnął zbliżyć się do swojej żony, ale nie zrobił tego ze strachu przed odrzuceniem.

— Śpisz? — zapytał.

Nie odezwała się. A przecież poznawał po jej oddechu, że nie spała.

Kiedy się obudził, na dworze było jeszcze ciemno. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co go wyrwało ze snu. Ktoś rzucał śnieżkami w okno. Zegarek na nocnym stoliku pokazywał kwadrans po piątej.

Pod oknem stał Spett z Kajsą. Był też z nimi wozak Bäckström.

— Ubierz się i chodź z nami! — zawołał Spett. — Bäckström chce nam coś pokazać.

Szli razem przez miasto w padającym śniegu. Kajska to ich wyprzedzała, to zostawała z tyłu. Ryła ostrym nosem w śniegowym puchu. Co jakiś czas prychała i podskakiwała z radości.

Björnfot marzył mimo zimowego uniformu i palta. A przecież nie było aż tak zimno, jak czasem bywało grudniową porą.

W wielu mieszkaniach paliło się już światło. Kobiety wstały i roznieciły ogień pod kuchnią. Teraz przygotowywały śniadanie i kanapki do pracy dla mężów. Potem szły do swojej roboty. Szyby kuchennych okien zachodziły od wewnątrz parą.

Kiedy dotarli do zabudowań Bäckströma, ten od razu zaprowadził ich do wozowni. Wskazał sanie stojące wśród kilku innych.

— Godzinę temu jedna z moich kłaczy sama wróciła do domu z tymi saniami. Ktoś cichaczem ją wziął, a potem gdzieś porzucił. Ale ona umiała znaleźć drogę do domu. Stała przed stajnią na mrozie i czekała, aż ktoś ją wpuści. A kiedy obejrzałem sanie...

Zamiast dokończyć zdanie, wskazał na podłogę w saniach.

Siekiera. Spett schylił się, żeby ją podnieść. Obuch siekiery był pokryty krwią i włosami.

— Kto byłby w stanie coś takiego zrobić? — powiedział Bäckström. — Poza tym znalazłem jeszcze to. — Wyciągnął otwartą dłoń i pokazał okruchy czerwonego laku ze złamanej pieczęci.

— Pocztowa? — zapytał Spett.

— Weźmiemy to i sprawdzimy — powiedział Björnfot. — Rozmawiałeś z naczelnikiem poczty?

— Tak — przyznał Spett. — Mówił, że Johansson wioził przesyłkę o dużej wartości. Była ubezpieczona na dwadzieścia cztery tysiące koron. Musiała być warta dwa razy więcej. Miał też broń. Naczelnik był tego całkowicie pewien.

— Ktoś zgonił klacz do granic możliwości — stwierdził Bäckström. — Miała obite boki i tak się spociła, że jej sierść była pokryta cienką warstwą lodu. Parobek wytarł ją i okrył derką. Będzie dobrze, jeśli się nie pochoruje i mi nie padnie.

— Właśnie — mruknął Björnfot w zamyśleniu. — Konie dużo wczoraj widziały. Szkoda, że nie potrafią mówić.

— Potrafią — stwierdził wozak Bäckström. — Tylko raczej nie o takich rzeczach.

W tej samej chwili otworzyły się wrota wozowni i jakiś chłopiec wsunął głowę do środka. Mógł mieć najwyżej dziesięć lat. Był ubrany w za duży kozuch. Z szarego dzierganego szalika sterczał zasmarkany nos. Grudki śniegu jak kulki oblepiały rękawice z jednym palcem.

— A, tu pan jest — zwrócił się do komisarza Björnfota, po czym wykonał coś, co miało przypominać szastnięcie nogą. — Żona komisarza mi powiedziała... byłem u was w domu i zaraz przybiegłem tutaj... Złapali złodzieja, panie komisarzu. Czekają na was przed posterunkiem.

Na ulicy przed posterunkiem czterech mężczyzn czekało na komisarza Björnfota i starszego posterunkowego Spetta. Wszyscy w wieku około dwudziestu lat. Trzech miało na sobie porządne zimowe okrycia. Jeden był ubrany tylko w koszulę i spodnie. Dwóch ciepło ubranych trzymało w mocnym uścisku rozebranego nieszczęśnika. Jeden wylaamywał mu ramię

na plecy. Drugi zdjął rękawicę i żelaznym uchwytem złapał go za kark.

Trzeci, gdy tylko zobaczył, że Björnfot i Spett nadchodzą, zawołał:

— A oto przedstawiciele władzy! Mamy dla panów przesyłkę.

Mężczyzna ów był wysoki, mógł się mierzyć wzrostem ze stróżami prawa. Miał jasne włosy, a jego oczy lśniły błękitem jak wiosenny śnieg.

Pojmany był drobnym, niemal chudym mężczyzną o spadzistych ramionach. Jego włosy były brązowe i gładkie, spojrzenie ciemne, przerażone. Jak bagienna woda w sinej od mrozu twarzy. Miał rozbitą wargę. Jedno oko było całkiem spuchnięte, a nos nabrzmiały i zakrwawiony. Widocznie używał rękawa koszuli, żeby zatamować krwawienie z nosa, bo biały materiał był poplamiony aż do łokcia.

— Macie swojego mordercę — oświadczył wysoki chłopak i przedstawił się, wyciągając dłoń. — Nazywam się Per-Anders Niemi. Pracuję na poczcie. Naczelnik opowiedział nam, co się stało wczoraj wieczorem. Wystarczyło się tylko chwilę zastanowić. Kto wiedział o przesyłce z pieniędzmi? A kiedy Edwin Pekkari nie pokazał się dzisiaj rano w pracy, pomyślałem, że... a może by tak złożyć mu niespodziewaną wizytę?

— Czy to pan nazywa się Pekkari? — zapytał Björnfot pojmanego.

— Odpowiadaj! — krzyknął ten, który trzymał nieszczęśnika za kark, i wolną ręką trzepnął go w skroń.

Pekkari nie odpowiedział.

— Tak, to on — potwierdził Per-Anders Niemi. — Pracuje na poczcie. Wiejski listonosz. Wiedział o tej przesyłce. A w jego mieszkaniu znaleźliśmy to.

Wydobył z kieszeni pistolet i podał go Björnfotowi.

— Należał do Johanssona — wyjaśnił. — Poznaję go.

— A co z pieniędzmi? — zapytał Björnfot.

— Nie znaleźliśmy — odparł Per-Anders Niemi. — Ale też nie szukaliśmy zbyt dokładnie. Chcieliśmy go jak najszybciej oddać w ręce policji.

— Stawiał opór? — zapytał Spett, przyglądając się zmasakrowanej twarzy Pekkariego.

Per-Anders Niemi i jego dwaj kompani wymienili krzywe uśmiechy i wzruszyli ramionami.

— Zamkniemy go w areszcie — powiedział Björnfort. — A potem przeszukamy jego mieszkanie.

Pekkari spojrzał na niego przerażonym wzrokiem.

— Nie możecie mnie aresztować — wykrztusił. — Jestem niewinny.

Per-Anders Niemi błyskawicznie się odwrócił i wymierzył mu cios w brzuch.

— Stul pysk! — wrzeszczał. — Przeklęty morderco!

Pekkari osunął się w śnieg na kolana.

— Możemy też trzymać przy nim straż — zaproponował Björnfortowi Per-Anders Niemi.

— Nie potrzebujemy żadnych strażników — odparł zdecydowanie Spett i szarpnął Pekkarię, jakby był workiem kartofli.

Otworzył posterunek i wszedł do środka, prowadząc chłopaka za kołnierz. Kajsza zajęła pozycję przed budynkiem. Po chwili Spett wyszedł. Zamknął drzwi na klucz, który demonstracyjnie schował do kieszeni.

— Najlepiej go od razu powiesić i po krzyku — powiedział głucho Per-Anders Niemi.

— Jeśli ktoś spróbuje choć tknąć te drzwi, kiedy nas nie będzie... — zaczął ostrzegawczo Spett.

— Otóż to, panowie — odezwał się dyplomatycznie komisarz Björnfort. — Teraz wolałbym się zająć oględzinami mieszkania Pekkarię, zamiast wymierzać takim przykładnym obywatelom jak wy karę grzywny za niesubordynację wobec władzy. Więc gdybyście łaskawie mogli...

Zakończył przemowę uprzejmym gestem sugerującym, żeby się oddalili. Młodzi mężczyźni pożegnali się burkliwie i poszli sobie.

Edwin Pekkari mieszkał na piętrze drewnianego domu przy Järnvägsgatan. Kiedy Björnfort i Spett weszli do środka, uderzył ich zaduch; w powietrzu czuć było gotowane mięso renifera, dym i wilgotną wełnę.

— To tutaj — gospodyni pokazała im mały pokoik na poddaszu

o spadzistym suficie. Spojrzała na Kajsę z wyraźnym niezadowoleniem, ale nic nie powiedziała.

— Mieszkał z kimś? — zapytał Björnfot.

— Mieszkał sam — wyjaśniła gospodyni. — Specjalnie sobie to zastrzegł, kiedy wprowadzał się w październiku. A że szyba rozbita i okno jest tylko załatane, płacił niższą cenę. Nie, nie ma znajomych i mieszka sam. Czy to prawda, że zabił Johanssona i jego parobka? To nie do pomyślenia. Zawsze był taki spokojny. Komorne płacił na czas.

Łóżko, biurko, małe krzesło i lusterko do golenia. Więcej nie mieściło się w tym pokoju. Przeszukanie nie zajęło im dużo czasu. Björnfot obejrzał biurko, wyciągając po kolei wszystkie szuflady. Sprawdził dokładnie płaszcz wiszący na haczyku w ścianie, wsunął dłonie do kieszeni. Spett butem odsunął szmaciane dywaniki na podłodze, żeby się przekonać, czy przypadkiem nie kryje się pod nimi obluzowana deska, pod którą można schować plik banknotów. Nic nie znaleźli.

— Niech to diabli wezmą — rzucił Spett, kiedy wyszli na korytarz.

— Czy już panowie skończyli? — zapytała gospodyni. — To niech mu powiedzą, że zaraz szukam nowego lokatora.

— A co tam jest? — zainteresował się Björnfot, wskazując właz na strych.

— Nic — odparła kobieta. — Pusty strych.

— Chcemy obejrzyć to pomieszczenie — oświadczył Björnfot.

Spett przyniósł krzesło z pokoju Pekkariego, postawił je pod włazem, otworzył go i rozłożył drabinę znajdującą się z drugiej strony klapy. Kiedy poprosili gospodynię o jakieś światło, przyniosła zwykłą oliwną lampkę. Björnfot pierwszy zaczął wchodzić po drabinie z lampką w dłoni. Kiedy był już w połowie drogi i postawił lampkę na podłodze strychu, na górze coś nagle zachrobotło.

Po dłoni, którą opierał się o krawędź włazu, przemknęła mu mysz. Słyszał teraz, jak w całym pomieszczeniu coraz więcej gryzoni zaczyna gonić we wszystkie strony. Z ciemności dobiegały ich ostre popiskiwanie. Komisarz szybko wycofał się na dół.

— Myszy! — krzyknął. — Co za diabelstwo!

Gospodyni uśmiechnęła się, ubawiona. Żeby bać się myszy! Taki duży mężczyzna.

— Odsuń się — powiedział Spett. — Wsadzimy na górę Kajkę.

Spett wziął sukę pod pachę i wniósł po drabinie. Potem wypuścił zwierzę w ciemnościach. Sam czekał przy włączniku, trzymając lampkę, żeby się nie przewróciła.

Na strychu rozpoczęło się polowanie. Słyszeli tupot myszy po deskach podłogi. I ciężkie, a mimo to szybkie susy Kajki. Nagle rozległ się śmiertelny pisk, kiedy schwytała mysz i przegryzła jej kręgosłup, a potem zrobiło się cicho. Słyszeli tylko chrupotanie i mlaskanie Kajki, która szybko pożarła zdobycz. Pozostałe myszy się pochowały i z pewnością przez dłuższy czas nie odważą się wystawić swoich szpetnych mordki.

Teraz na strychu wspięli się policjanci. Kajka zaczęła ich radośnie obskakiwać, merdając ogonem, dumna z pochwał.

— Dobry pies, można na tobie polegać — powiedział Spett, ale nie dał się polizać po twarzy. W końcu przed chwilą zjadła mysz.

Björnfot oznajmił, że jutro każe uszyć dla niej policyjny uniform.

Zabrali się do przeszukiwania strychu. Tym razem nie szukali na próżno.

— Najwyższy czas się przyznać!

Komisarz Björnfot stał przed celą i rozmawiał z Edwinem Pekkarim. W dłoni trzymał bawełniany worek z pocztowym godłem.

— Znaleźliśmy to na strychu nad twoim pokojem — ciągnął. — W środku jest pięć tysięcy koron. Czy możesz wytłumaczyć, skąd się tam wzięły?

Edwin Pekkarim nie odpowiadał. Siedział na pryczy w najdalszym kącie celi.

— Możesz poprawić swoją sytuację, jeśli zaczniesz z nami współpracować — dodał Björnfot. — Jutro przyjeżdża sędzia śledczy. Jeśli oddasz łup i przyznasz się do wszystkiego, może to złagodzić wymiar kary. W worku miało być pięćdziesiąt tysięcy. Gdzie jest reszta pieniędzy?

— Słuchaj pana komisarza — wtrącił starszy posterunkowy Spett. Stał

zwrócony plecami do celi i zdejmował z pieca skarpety, po czym upychał je po kieszeniach. — Jaki będziesz miał pożytek z tych pieniędzy, jeśli oddziela ci głowę od tułowia?

— Jestem niewinny — powiedział cicho Pekkari. — Przecież mówiłem, że...

Starszy posterunkowy Spett odwrócił się nagłym ruchem. Kajsza zerwała się i zaczęła ochryple szczeakać.

— Johansson miał sześcioro dzieci! — krzyknął. — Bóg jeden wie, co się z nimi teraz stanie. Oskar Lindmark miał dwanaście lat. Pistolet Johanssona był w twoim mieszkaniu. Worek z częścią łupu znaleźliśmy u ciebie na strychu. Wiedziałaś o przesyłce z pieniędzmi. Chcę, żebyś mi wszystko powiedział... Opowiedz, jak wykradłeś sanie wozaka Bäckströma, jak zastrzeliłeś Johanssona jego własnym pistoletem, jak zabiłeś Oskara Lindmarka siekierą. Nie mam ochoty słuchać twoich podłych kłamstw, więc dopóki się nie przyznasz, lepiej stul pysk.

Zerwał z wieszaka płaszcz i futrzaną czapkę.

— Wychodzę — rzucił do komisarza Björnfoto. — Trzeba mi świeżego powietrza.

Gdy otwierał drzwi, człowiek, który stał po drugiej stronie i właśnie zamierzał zakołatać, z impetem wpadł do środka. Spett złapał przybysza w ramiona, żeby nie upadł na podłogę. Był to wysoki mężczyzna z imponującym wąsem. Borg Mesch, miejski fotograf.

— Ależ panie starszy posterunkowy! — wykrzyknął fotograf. — Brakuje nam tylko muzyki! Kto prowadzi? Pan czy ja?

Zły humor Spetta rozwiązał się natychmiast, policjant wybuchnął serdecznym śmiechem. Odwiesił z powrotem płaszcz i wypuścił Kajsę, która musiała samotnie odbyć wieczorny spacer. Pan Mesch przytaszczył dwie ciężkie torby, wypełnione sprzętem fotograficznym. Wsunął dłoń pomiędzy kraty celi i przywitał się z Edwinem Pekkarem.

— Czy będzie mi wolno pana sfotografować? — zapytał.

Pekkari natychmiast cofnął rękę.

— Nie — powiedział. — Jestem...

Rzucił okiem na Spetta i umilkł.

— Mogę panu pokazać kilka zdjęć — rzucił usłużnie Borg Mesch, usiłując jakoś zagadać ciszę.

Otworzył aktówkę i wyjął plik czarno-białych fotografii. Każda była starannie owinięta w bibułkę, po kolei pokazywał je aresztantowi. Zawsze najpierw zawijał z powrotem zdjęcie, zanim podsunął mu następne.

— Proszę — mówił — niech pan popatrzy... To król Oskar II uroczyście otwiera linię kolejową do granicy. A to jest z kolacji króla z dyrektorem Lundbohem. Wybitne osoby. Fotografuję samych ważnych ludzi. To mój zawód. No, co by tu jeszcze pokazać... o, tutaj... proszę... Związek Atletów w Kirunie...

Teraz nawet Spett i Björnfort się zbliżyli, żeby popatrzeć na siłaczy ze Związku Atletów. Zawodnicy pozowali ze skrzyżowanymi ramionami, w czarnych podkoszulkach i białych trykotach opinających łydki, ściśnięci w talii szerokimi pasami ze skóry. Na podłodze przed nimi ułożone były sztangi oraz ciężkie kule.

— Ten tutaj, co ma tyle medali, to Herman Turitz — wyjaśniał fotograf Mesch. — Pomyśleć tylko, że mamy w mieście tak znamienitego i wszechstronnego sportowca...

Urwał i z uwagą zaczął się przyglądać Pekkariemu.

— Pan jest nawet trochę do niego podobny. Czy byłby pan tak uprzejmy i lekko odwrócił głowę... Nie, w drugą stronę... Czy panowie to widzą? Co za podobieństwo!

Fotograf nie przestawał mówić, a równocześnie z podziwu godną sprawnością rozpakowywał swój sprzęt.

— Przede wszystkim w okolicy czoła. Linia szczęki także. Ma pan bardzo interesujące czoło, z frenologicznego punktu widzenia, panie Pekkari. Pańskie czoło wyraża siłę charakteru, wiedział pan o tym? Powiedziałem to też panu Turitzowi, kiedy go portretowałem. Że człowiek spodziewałby się u niego raczej potylicy wysklepionej jak u Herkulesa. Jak u większości ludzi obdarzonych fizyczną siłą. Ale nie, u niego to jest czoło. Ech, szkoda, że nie wziąłem ze sobą tych portretów. Na pewno uznaliby je panowie za

interesujące. Może następnym razem. Powiedziałem panu Turitzowi, że siła charakteru jest dla atlety nawet ważniejsza niż warunki fizyczne. Gdyż to ona sprawia, że potrafi on wytrwale ćwiczyć, ponosić ofiary, jakich wymagały te wszystkie medale. Niedawno słyszałem, że przebiegł w głębokim śniegu aż do Kurravaary, taki bieg treningowy. Gdyby pan... jeśli wolno mi zrobić zdjęcie... mógł podejść troszkę bliżej do krat. Tak, właśnie tak. Nie, proszę tu nie patrzeć, niech pan nadal trzyma oczy lekko spuszczone, tak jak przedtem. Widzę w pana wyrazie twarzy pewną melancholię, mam nadzieję, że będę umiał ją oddać. A teraz się nie ruszamy...

Fotograf podпалиł magnezję, która rozbłysła jasnym światłem.

Potem wymienił szklaną płytkę i dosypał do zasobnika więcej magnezjowego proszku.

— A teraz może mógłby pan zbliżyć się jeszcze trochę — nie przestawał mówić. — Chciałbym zobaczyć pańską twarz między prętami. O, właśnie. Mógłby pan złapać za kraty, jak pan myśli? Jedna ręka wyżej, druga niżej. Tak jest dobrze. Jestem przekonany, że mógłby pan zostać aktorem, gdyby pan tylko zechciał, panie Pekkari. Chwileczkę...

Fotograf Mesch podbiegł do Pekkariego i opuścił rękaw jego koszuli, tak żeby plamy krwi były wyraźnie widoczne.

— A teraz niech pan szerzej otworzy oczy. Tak! Wspaniale. Pan czyta w moich myślach, panie Pekkari!

Komisarz Björnfort przyglądał się uwiecznieniu pana Pekkariego.

A on teraz naprawdę pozował przed aparatem fotografa. Wyglądał, jakby chciał się wyrwać z celi. Z szeroko otwartymi oczami i dłońmi zaciśniętymi na kratkach, jakby chciał nimi potrząsnąć. Z krwią na koszuli, podbitym okiem i spuchniętą wargą.

Kajsa zaszczekała za drzwiami. Kiedy Spett ją wpuścił, pies natychmiast odszukał swoją kość, ułożył się pod piecem i zaczął ją obgryzać. Fotograf Mesch częstował wszystkich tureckimi papierosami.

— A to kto tym razem? — zdziwił się Spett, kiedy usłyszeli kołatanie do drzwi. — Diabelny ruch tu dzisiaj panuje.

Fotograf Mesch wyjrzał przez okno. Zaczynało się robić ciemno. O tej porze roku jasno było jedynie przez krótką chwilę w środku dnia, a słońce nawet nie wyglądało zza horyzontu.

— Pilnuj swojego języka — powiedział i mrugnął porozumiewawczo. — Oto nadchodzą służby Pana.

Kaznodzieja wschodniego odłamu laestadian, Wanhainen, miał na sobie prosty strój, składający się z czarnych spodni, czarnej kamizelki i wełnianego paltota. Nie bał się ciężkiej pracy, za dnia był miejskim woziwodą. Kaznodzieja nie był jak pastory, który utrzymują się z ofiarności współbraci. Nie, laestadiański kaznodzieja sam zarabiał na swoje utrzymanie. Nie wywyższał się, nie obciążał kieszeni współwyznawców, nie zajmował się tylko wertowaniem Pisma wydelikacjonymi palcami, szukając słów słodkich niczym maliny, jak to czynili pastory Kościoła państwowego.

Wkroczył na posterunek, a za nim wszedł ojciec zamordowanego parobka, Oskara Lindmarka.

Wanhainen przywitał się z wszystkimi na sposób laestadiański, lewym ramieniem obejmując drugą osobę i ściskając jej dłoń, jak to jest przyjęte w Szwecji.

— *Jumalan terve.*

Pozdrowienie Boga.

Björnfot i Spett zeszywnieli zakłopotani, gdyż kaznodzieja, jak zwykle, długo nie wypuszczał dłoni z uścisku, spoglądając delikwentowi prosto w oczy, jakby miał boską zdolność prześwietlania wzrokiem. A kończył powitanie nieco za silnym klepnięciem w plecy. Borg Mesch nie stracił dobrego humoru, a nawet odpowiedział tą samą frazą, choć Spett miał wrażenie, że raczej mruknął żartobliwie: *Jumalalle terveisiä*, pozdrowienia dla Boga.

Ojciec Oskara Lindmarka też się przywitał, ale oczy przeważnie miał spuszczone. Następnie kaznodzieja zwrócił się do Pekkariego.

— Ojciec chłopca, którego zamordowałeś, przyszedł tu, aby ci wybaczyć.

Położył dłoń na plecach mężczyzny i lekko popchnął go w stronę krat.

— Jako mnie przebaczone — odezwał się ojciec Oskara Lindmarka schrypniętym głosem — tako i ja ci przebaczam twoją winę.

— Czy jesteś gotów? — zapytał kaznodzieja z namaszczaniem. — Czy chcesz porzucić beztroskie życie i przyjąć odpuszczenie grzechów od twojego brata? To, co jest związane na ziemi, będzie związane i w niebie, a co jest rozwiązane na ziemi, będzie rozwiązane w niebie.

Coś przyciągnęło Edwina Pekkariego do krat, jakaś siła, której nie był w stanie się oprzeć. Być może w pełnym łez spojrzeniu starego Lindmarka zobaczył obraz Ojca Niebieskiego. Poczuł, że musi ująć sękatę dłoń ojca Oskara. A kiedy je ścisnął, twarze obu zalały się łzami.

Borg Mesch ustawił aparat i uwiecznił tę chwilę.

— Akt bożej łaski — oświadczył kaznodzieja i także wsunął dłoń między kraty, by dotknąć rąk Pekkariego.

W tej samej chwili znów otworzyły się drzwi. Do środka wszedł kaznodzieja laestadian zachodnich, Jussi Salmi. Wschód i zachód nie były nastawione przyjaźnie wobec siebie, odkąd wspólnota laestadiańska uległa rozpadowi. Kaznodzieja Jussi Salmi w jakiś sposób musiał się dowiedzieć, co się dzieje w policyjnym areszcie, więc szybko przyprowadził wdowę po pocztylonie, która należała do jego wspólnoty. Zarumienione policzki Salmiego oraz to, że nie miał rękawic, świadczyły o wielkim pośpiechu. Przywitał się takimi samymi gestami i takim samym boskim pozdrowieniem. Wdowa także je wymamrotała. Spett zwrócił uwagę, że wykazywała takie samo zainteresowanie deskami podłogi jak ojciec Oskara Lindmarka.

— *Jumalan terve* — powiedział kaznodzieja Wanhainen i starannie wytarł chustką łzy z policzków. — Dziś wieczorem Pekkari doznał łaski odpuszczenia grzechów.

Jussi Salmi zazgrzytał zębami na tę wieść. To było bolesne, zjawił się jako drugi i w dodatku przegrał wyścig o zbawienie Pekkariego. Jednak postanowił, że tak łatwo się nie podda. Zrzucił z siebie palto i wskazał palcem wdowę po Johanssonie.

— Ta oto matka — zwrócił się do Pekkariego wibrującym głosem — ta

kobieta, która straciła męża, matka sześciorga dzieci, teraz pozbawionych ojca, przyszła tutaj, aby ci wybaczyć. Nie przyjechała po pańsku w saniach z dzwoneczkami...

W tym momencie zrobił krótką przerwę, a jego oponent Wanhainen poczerwieniał ze złości. Razem z ojcem Lindmarka przyjechał konnymi saniami. Prawdą było też, że koń Lindmarka miał przy uprzęży dzwoneczki. Co za pycha. Marność nad marnościami!

— ...lecz tego wieczora zostawiła swój drobiazg w domu i pieszo wyruszyła w drogę ciemnymi ulicami...

Potem nastąpiło poruszające kazanie o wdowie pozbawionej źródła utrzymania. Która musiała zaufać zarówno Bogu, jak i współbraciom w wierze. W swojej przemowie przywołał wdowi grosz oraz wielbłąda z uchem igielnym, przypomniał, że niektórzy we własnych oczach są zbyt wielcy, by trafić do nieba, ale prawdziwy Bóg jest Bogiem ubogich, tak, Bogiem wdów. Dlatego ona tu przyszła.

Kaznodzieja Wanhainen sprawiał wrażenie, jakby nie marzył o niczym innym, jak tylko o wyrzuceniu zachodniego kaznodziei wraz z wdową na śnieg. Ach, gdybyż tylko przyszli pieszo, jak na pielgrzymów przystało.

— Gdy człowiek traci jedyne syna... — zaczął.

Ale jego słowa nie wywołały żadnej reakcji, jakby padły na skałę. W tej chwili także dłonie wdowy i mordercy dotykały się przez kraty.

Pekkari poprosił ją o wybaczenie. Wdowa wyszeptała, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy, że jeśli jego skrucha jest szczerą, to ona mu wybacza. Potem oświadczyła kaznodziei, że dzieci są same w domu i ona musi do nich wracać.

Kiedy kobieta wyszła na ulicę, starszy posterunkowy Spett wyjrzał przez okno. W świetle latarni widział, jak się pochyliła, zanurzając dłonie w śniegu, jakby chciała zmyć z nich brud. Potem szybko poszła w swoją stronę.

Pod całą kaznodzieję wdali się w dysputę na temat marności tego świata oraz faktu, że kobiety ze wschodniej wspólnoty laestadian mogą nosić kapelusze.

Spett odwrócił się do nich.

— Wychodzić! — krzyknął. — Pora spać, zarówno dla nawróconych, jak i dla grzeszników. Możecie wrócić jutro po rozprawie.

Kiedy wszyscy goście opuścili posterunek, Spett zbliżył się do kraty i powiedział do Pekkariego:

— Dostałeś odpuszczenie win od Boga, to może powiesz nam wreszcie, gdzie jest reszta łupu.

Björnfort, który był zajęty glansowaniem butów przed jutrzejszym przesłuchaniem na rozprawie, przestał pocierać skórę i podniósł na nich wzrok.

Ale młody Pekkari nie odpowiedział. Znów wycofał się w kąt celi i legł na pryczy, odwrócony plecami do obu policjantów.

Następnego ranka rozpoczęła się rozprawa. Śnieg przestał padać, ale w nocy zaczęło wiać i teraz rozpętała się prawdziwa wichura. Zawierucha niosła ze sobą masy sypkiego śniegu i miotła nim wściekle w górach i po ulicach miasta. Nie było nic widać na odległość wyciągniętej ręki. Wiatr niemal zapierał dech.

Mimo to ludzie tłumnie przybyli do sądu. Wieść o zbrodni szybko rozeszła się po mieście. Każdy chciał choć popatrzeć na mordercę. A także usłyszeć szczegóły tego strasznego czynu. I obejrzeć najbardziej błyszczące guziki, mundury i miastowe trzewiki przedstawicieli aparatu sprawiedliwości. Takie buty, o jakich biedni ludzie mogli tylko pomarzyć. Prosty lud nosił wielkie buciory uszyte ze skóry renifera, wypchane sianem.

Przewodniczący sądu Manfred Brylander rozejrzał się po sali. Była pełna widzów, tłoczyli się nawet w sieni. Sala oczywiście szybko się nagrzewała. Woźny przez cały ranek palił w piecu. Parowały wilgotne wełniane płaszcze i kożuchy. Śnieg topniał, tworząc na podłodze niewielkie kałuże. Skórzane buty czuć było zjełczałym tłuszczem. Kilka psów ułożyło się u stóp swoich właścicieli, a woń ich sierści potęgowała zapach biedoty wypełniający lokal. Manfred Brylander otarł pot z czoła, stuknął parę razy drewnianym młotkiem sędziowskim i nakazał opuścić salę kobietom, dzieciom

i młodzieży. Tak też się stało, ale tłok wcale nie zmalął. Do środka zaczęli wpychać się ludzie stojący w sieni. Kobiety i dzieci zostały za drzwiami, poza zasięgiem sędziowskiego wzroku.

Brylander powiódł spojrzeniem po zebranych. Tu i ówdzie siedziały grupki laestadian jak ponure kruki na świerku. Ci ze wschodu łypali niechętnie na braci zachodnich, i na odwrót. Siedzieli tam wzburzeni Lapończycy, Szwedzi i Finowie, którzy tylko czekali, kiedy morderca zapłaci życiem za swój czyn.

W pierwszym rzędzie siedział Per-Anders Niemi wraz z kompanami. To oni pojмали zbrodniarza, więc wszyscy patrzyli na nich z podziwem i poklepywali po plecach. Ktoś nawet obdarował ich monetą, ktoś inny wcisnął kawałek suszonego mięsa.

— Kiedy się wreszcie zacznie?! — zawołał Per-Anders Niemi, który doskonale wiedział, że nikt nie odważy się wyrzucić go z sali.

Kiruna, pomyślał sędzia śledczy Brylander. Miasto wicherzycieli i agitatorów. Salę wypełniał pewien rodzaj elektrycznego napięcia. Coś wibrowało w powietrzu i musiało się wyładować. Widział to w płonących oczach ludzi. Obawiał się, że pojawienie się oskarżonego może doprowadzić tłum do wybuchu. Popatrzył na komisarza Björnfota i starszego posterunkowego Spetta. Stali w mundurach, służbiście wyprostowani, wypucowani do połysku i wyszczotkowani. Komisarz jakby od niechcenia położył dłoń na służbowym pistolecie.

— Jeszcze jedno zakłócenie i każę opróżnić salę — ostrzegł Brylander, choć nie patrzył przy tym na Pera-Andersa Niemiego.

Funkcję oskarżyciela pełnił komornik Svanström. Adwokata nie było. Wszak oskarżony oświadczył, że przyzna się do winy.

Wprowadzono aresztowanego, ręce i stopy miał skute. Pobrzękując łańcuchami, zajął miejsce za barierką. W za dużej odzieży więziennej sprawiał wrażenie jeszcze drobniejszego niż zwykle.

Zacząło się przesłuchanie. Komornik Svanström przedstawił ciężkie dowody przemawiające przeciwko Pekkariemu — należący do Johanssona pistolet, znaleziony w jego pokoju oraz worek pocztowy z częścią pieniędzy,

który ukrył na strychu.

— Czy przyznaje się pan do winy? — zapytał przewodniczący sądu. — Przyznaje się pan, że w dniu czternastego grudnia wykradł sanie z wozowni Bäckströma, a następnie wyruszył w stronę Gällivare, z zimną krwią zastrzelił pocztyliona Johanssona i zatłukł siekierą jego parobka Oskara Lindmarka? Że włamał się pan do skrytki i zabrał przesyłkę pieniężną?

Pekkari niesłyszalnie wyszeptał coś w odpowiedzi.

— Głośniej! — upomniał go sędzia.

Pekkari milczał. Wtedy z miejsca podniósł się jeden z widzów. To był ojciec Lindmarka. Nic nie mówił. Patrzył tylko na Pekkariego, aż sędzia nakazał mu usiąść.

Wtedy z ust oskarżonego wydobyła się odpowiedź.

— Przyznaję się — powiedział mocnym głosem.

— Jako że jest to niewątpliwie bardzo poważna zbrodnia, muszę panu przypomnieć, że w sądzie należy mówić całą prawdę i tylko prawdę — uświadomił go przewodniczący Brylander. — Czy pan sam dokonał tej zbrodni?

— Tak — padła odpowiedź.

— Nikt inny nie towarzyszył panu w saniach?

— Nikt oprócz samego diabła!

Wśród publiczności rozszedł się szmer. Ktoś wysmarkał nos, ktoś inny machnął gwałtownie ręką. Jeszcze inny zachnął się, zdumiony, i omal nie zerwał się z ławki. Jakby powiew wiatru przegonił tuman śniegu po zmarzniętej polaci. Przewodniczący sądu Manfred Brylander słyszał o religijnej ekstazie laestadian, zwanej *liikutuksia*. Lecz nigdy nie widział tego na własne oczy. Co musiało się zdarzyć, żeby coś takiego ogarnęło stado kruków? Czyżby się zaczynało? Uniósł sędziowski młotek, ale nie zastukał.

— Czy nie było z panem nikogo? — zapytał ponownie.

— Nikogo oprócz diabła — powiedział znów Pekkari.

Jego głos nabierał mocy, chłopak już niemal wykrzykiwał zza barierki jak kaznodzieja.

— Uległem jego woli. Przy Tuolluvaarze chciałem zawrócić. Ale on

szeptał mi do ucha. Kazał jechać dalej. Jeszcze nie znałem łaski krwi Baranka.

W stadzie czarnych kruków rozległ się szloch. Ludzie zaczęli rzucać się sobie w objęcia. Przekazywali znak pokoju sąsiadom.

— Uczyniłem to! — wołał Pekkari i w geście rozpaczony wznosił skute kajdankami dłoń ku niebu. — Młody Lindmark. Padł przede mną na kolana w śnieg i błagał o darowanie życia. Mówił o matce. Splatał ręce. Zwracał do mnie twarz, a ja go zabiłem.

Komisarz Björnfort nachylił się do starszego posterunkowego Spetta.

— Wychodzimy na chwilę — rzucił krótko.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Björnfort przyśpieszył. Wichura uderzyła w nich z całą mocą. Wiatr gnał ulicami. Usta Spetta natychmiast wypełniły się śniegiem, kiedy chciał krzyknąć do Björnforta, żeby zwolnił i zaczekał. Męczył się okropnie z postawieniem kołnierza i zapięciem płaszcza. Śnieg wciskał się pod ubranie przy szyi i pomiędzy guzikami. Kajsza szła z tyłu, chroniona przed wiatrem przez nogi pana.

— On tego nie zrobił! — krzyknął Björnfort.

Choć byli bardzo blisko siebie, wiatr zagłuszał jego głos. Spett musiał się wysilać, żeby coś usłyszeć.

— Co powiedziałeś?! — zawołał w odpowiedzi.

Björnfort wciągnął Spetta do pobliskiej bramy. Tutaj mieli ochronę przed wiatrem. Na ich ubraniach śnieg zdążył już utworzyć twardą skorupę. Kajsza gryzła łapy, żeby uwolnić je od śniegowych bryłek.

— Pekkari jest niewinny — powiedział zdyszany Björnfort. — Sam przecież widziałeś Oskara Lindmarka. Miał rękawice z jednym palcem. Nie mógł klęczeć, splatać dłoni i mówić o matce.

— Może go trochę poniosło, zmyśla, bo cieszy go to całe zainteresowanie, kiedy...

— Otóż to — przerwał mu Björnfort. — Cieszy go zainteresowanie, jak to ująłeś. Oskar Lindmark miał zmiażdżony tył głowy. Został uderzony od tyłu. Gdyby klęczał z twarzą zwróconą do zabójcy, wtedy jego czaszka byłaby

rozbita w tym miejscu.

Wskazał palcem własne czoło.

— Pekkari kłamie. Dlaczego nie powiedział, gdzie jest reszta łupu?

— Na pewno schował gdzieś te pieniądze i ma nadzieję, że uda mu się dostać dożywocie. Może potem spróbuje uciec...

Björnfot potrząsnął głową, aż sople lodu na jego wąsach lekko zagrzechotały.

— On tego nie wie. To jedyne wyjaśnienie.

— W takim razie dlaczego miałby się przyznawać? — dociekał podejrzliwie Spett.

— To mnie wcale nie obchodzi! — prychnął Björnfot. — Kto jeszcze wiedział o transporcie pieniędzy? Kto...

— Kto znalazł broń w pokoju Pekkariego? — dodał Spett z namysłem. — Per-Anders Niemi.

Przypomnieli sobie, jak Per-Anders Niemi wraz ze swoimi kompanami przyprowadzili pobitego chłopaka na posterunek.

— Ukręcę mu łeb przy samej szyi — warknął Spett. — Wyznanie winy przyniesie mu ulgę. A ta jego potakująca kompania...

— Może jednak najpierw zajrzemy do jego mieszkania — zaproponował Björnfot i nacisnął klamkę.

Wiatr natychmiast wyszarpnął mu skrzydło bramy. Kajsza popatrzyła na mężczyznę. Jej spojrzenie mówiło: czy znów musimy wychodzić w taką pogodę?

Urządник pocztowy Per-Anders Niemi mieszkał w nieotynkowanym ceglany budynku na Kyrkogatan.

— Dzieli pokój z kolegą — powiedziała gospodyni, która wpuściła policjantów.

— Czy Niemi był w domu przedwczoraj wieczorem? — zapytał Björnfot, wchodząc do pokoju.

— Nie wydaje mi się — odparła kobieta. — Przeważnie siedzi u narzeczonej. Ona wynajmuje samodzielne mieszkanie.

Tu posłała mężczyznom wymowne spojrzenie.

Dywaniki na podłodze zachodziły jeden na drugi, żeby lepiej chronić przed zimnem. Zasłona z bawełnianego płótna oddzielała dwa łóżka. Poza tym w pokoju była jeszcze komoda do mycia z miednicą i dzbankiem. Nad nią na ścianie znajdowało się lustro w beżowej oprawie, a obok portret króla Oskara II. Przy każdym łóżku stał wieszak typu lokaj. Po stronie Pera-Andersa Niemiego wisiły pościółki podkoszulek i para skarpet.

Spett i Björnfort zerwali pościel z łóżek. Podnosili poduszki i odwracali włosiane materace. Odsuwali dywaniki, żeby sprawdzić deski podłogowe, tak samo jak w pokoju Pekkariego. Kiedy już wszystko obejrzel, poszli na strych. Ale i tam niczego nie znaleźli.

— Czy panowie skończyli? — zapytała gospodyni, spoglądając z irytacją na bałagan w pokoju. — Mogę z powrotem pościelić łóżka?

Björnfort zdawał się jej nie słyszeć. Wyglądał przez okno, za którym szalała zamieć. Był przecież pewny. Teraz jednak ogarnęły go wątpliwości. Może Pekkari mimo wszystko był winny? Może nie chciał się przyznać, że uderzył Oskara Lindmarka od tyłu? To było takie niskie. Może chciał bardziej udramatyzować przebieg wydarzeń?

Kajsa położyła się na podłodze i westchnęła znużona.

— Chyba powinniśmy zajrzeć do jego kamratów — zaproponował Spett.

Björnfort potrząsnął głową.

— Nie sądzę, to nie jest człowiek, który zaufałby kolegom...

Potem zwrócił się do gospodyni:

— A jak nazywa się jego narzeczona? Gdzie mieszka i gdzie pracuje?

Majken Behrn, narzeczona urzędnika pocztowego Pera-Andersa Niemiego, miała dziewiętnaście lat. Była puciołowatą dziewczyną o kręconych włosach, przyciągającą klientów do sklepu towarów mieszanych Hannuli, w którym była sprzedawczynią. Gdy tylko Björnfort i Spett poprosili ją, by wzięła czapkę i płaszcz i poszła z nimi, wiedzieli już, że są na dobrym tropie. Dziewczyna nawet o nic nie pytała. Szybko włożyła płaszcz. Nawet nie chciała tracić czasu na zdjęcie fartucha.

Jak gdyby dzięki temu żona właściciela sklepu mogła szybciej

zapomnieć, że jej pracownicę zabrała policja.

— Pewnie się panienka domyśla, o co chodzi — zaczął Björnfot, kiedy wyszli na ulicę.

Ale nie mogło im pójść aż tak łatwo.

Majken Behrn kilka razy owinęła się szalem, by osłonić się przed śnieżną zamiecią, a potem potrząsnęła przecząco głową.

— Czy panienki narzeczony, Per-Anders Niemi, był przedwczoraj wieczorem u panienki w domu? — Björnfot usiłował przekrzywić wicher.

— Tak — odkrzyknęła dziewczyna. — Mogę za to ręczyć.

Potem dodała szybko:

— A o co chodzi?

— Chodzi o podwójne morderstwo — powiedział ostrym głosem Spett.

— Proszę, żeby panienka o tym pamiętała.

Umilkli i walcząc z wiatrem, szli do mieszkania panny Behrn.

* * *

Przytulnie urządzonego pokój, stwierdził Björnfot, kiedy się rozejrzył w pomieszczeniu. Tkane zasłony z frędzlami. Między podwójne okna, dla ochrony przed wilgocią, Majken Behrn włożyła kępkę chrobotka. W porostach siedziały małe ozdobne skrzaty. Na ścianie nad łóżkiem wisiał świąteczny obrazek przedstawiający ogrodowego krasnala, który karmi kucyka czerwonymi jabłkami.

Po obu stronach składanego stolika, nakrytego czystą haftowaną serwetą, znajdowały się dwa drewniane krzesła. Na żeliwnym piecyku z płytą do gotowania stał dzbanek do kawy. Z rączki dzbanka malowniczo zwieszała się szydełkowa łapka do garnków.

Kajsa otrzepała się ze śniegu najlepiej, jak mogła. Potem znalazła miednicę z wodą, stojącą na podłodze w alkowie, i zaczęła głośno chleptać. Spett i Björnfot zabrali się do przeszukiwania pokoju. Przeglądali szuflady i wszystkie inne potencjalne kryjówki. Nic.

Nawet nie pyta, czego szukamy, pomyślał Björnfot. Już wie.

Spett zawołał Kajkę. Kiedy nie posłuchała wezwania, sam poszedł do niej.

— Co ona tam tak chłepce? — zapytał.

Zobaczył, że w miednicy moczy się jakieś ubranie.

— Mam nadzieję, że panienka nie dodała ługu do wody — powiedział.

— Nie, nie — zapewniła Majken Behrn i nagle się zarumieniła. — To tylko... To nic takiego.

— Co to za ubranie? — spytał Björnfort, widząc kolory występujące jej na twarzy.

Spett wyciągnął z wody mokrą rzecz, która okazała się męskimi spodniami. Choć były przesiąknięte wodą, na nogawkach poniżej kolan dało się zauważyć plamy krwi.

Björnfort odwrócił się do Majken Behrn. Jeszcze przed chwilą zaczerwieniona na twarzy, teraz zbladła jak płótno.

— To z pewnością spodnie narzeczonego panienki — powiedział surowo. — A to jest krew Oskara Lindmarka.

Majken Behrn zaczęła ciężko oddychać. Wyciągnęła rękę, jakby szukała w powietrzu oparcia.

— Niech nam panienka wszystko opowie — rzucił Spett. — Jeśli panienka to zrobi, jeszcze będzie mogła wyjść z tego cało. Inaczej zostanie pani skazana za pomoc w przestępstwie, ostrzegam.

Majken Behrn nie odezwała się. Za to odwróciła się powoli i wskazała rurę wychodzącą z piecyka.

Spett upuścił mokre spodnie na podłogę. Podszedł szybko do piecyka i wielkimi dłońmi objął żelazo.

— Jak? — zapytał.

Majken Behrn potrząsnęła głową.

— Nie wiem.

Spett szarpnął i środkowy kawałek rury został mu w ręce.

— Coś tu jest — powiedział, zajrzawszy do środka.

Dziewczyna gwałtownie odwróciła się do Björnforta.

— Tylko niech panowie nie mówią Perowi-Andersowi. On by mnie zabił.

— On już nikogo więcej nie zabije — powiedział spokojnym tonem

Björnfot, podczas gdy Spett usmolonymi dłońmi otwierał paczkę banknotów.

Majken Behrn stanęła przy oknie. Spoglądała na swój pierścionek zaręczynowy. Na paprocie wymalowane przez mróz na szybie.

Można wiedzieć, a jednak nie wiedzieć, myślała. Jak dałoby się to wytłumaczyć? Przedwczoraj obudziła się w środku nocy. Per-Anders stał przy piecyku. Skręcał części rury odprowadzającej dym. „Co robisz?“, zapytała go. „Śpij sobie“, odparł. Potem wsunął się do niej do łóżka. Był przemarznięty. Dłonie miał jak dwa zimowe szczupaki.

„Już niedługo — wyszeptał jej do ucha, zanim zasnęła na nowo. — Już niedługo kupię ci futro”.

Rano wstał pierwszy. Zabronił jej rozpalić ogień na kawę. Nie mogła dotykać piecyka przez kilka dni, jak powiedział. Jego spodnie były poplamione. Poprosił, żeby je wyprała. „Pomagałem szewcowi zabić wieprzka na święta — wyjaśnił. — Ależ mnie upaprał krwią. Łeb zamówiłem dla ciebie”.

Zaśmiała się, udając przerażenie. Potem, kiedy usłyszała o podwójnym morderstwie, już jej nie było do śmiechu. Ale nic nie mówiła. Nie rozumiała. Może nie chciała rozumieć. W piecyku nie paliła.

— Ale tamten, Edwin Pekkari — powiedziała sama do siebie, jakby zapominając o obecności Spetta i Björnfota — był taki nieprzyjemny. Nigdy się nie odzywał. Nawet żadnego pozdrowienia, gdy się przychodziło na pocztę. Tylko się gapił, kiedy myślał, że nie patrzę. Tak dziwnie. Tymi żółtymi białkami oczu. To mógł być on. To powinien być on.

Komisarz Björnfot otworzył drzwi do sali sądowej. Przewodniczący Manfred Brylander urwał w połowie zdania. Ludzie odwracali głowy ku przybyszom.

— Pekkari jest niewinny! — zawołał Björnfot, idąc prosto do barierki dla świadków. — Puśćcie go!

— Co pan mówi?! — wykrzyknął zdumiony Brylander.

Zezłościł się i zdenerwował, gdy wcześniej Björnfot i Spett opuścili salę

rozpraw. Jego cienkie włosy były przyklejone do czaszki i lepkie od potu. Z trudem łapał powietrze, jak schwytany miętus.

— Mam w ręce pieniądze z napadu! — zawołał Björnfort i pokazał paczkę znaną w rurze od piecyka u Majken Behrn.

— A tutaj — ciągnął, podnosząc do góry drugą rękę — mam spodnie mordercy. Poplamione krwią Oskara Lindmarka.

Zebrani jak jeden mąż wstrzymali oddech. Wszystkich ogarnęła taka sama zgroza na widok spodni, które pokazywał Björnfort. Niewykluczone też, że dodatkowe wrażenie zrobiła świadomość, jak ogromna suma pieniędzy znajduje się w paczce.

Per-Anders Niemi zerwał się z miejsca. Zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać, czy też w ogóle zrozumiał, że powinno się go zatrzymać, w kilku susach znalazł się przy bocznych drzwiach, przez które zaledwie godzinę wcześniej wprowadzono Pekkariego.

— Stać! — ryknął komisarz Björnfort, ale Per-Anders Niemi już zdążył uciec. Jednak za drzwiami nadział się wprost na twardą pięść starszego posterunkowego Spetta. Trwało to zaledwie parę sekund. Po chwili Spett wszedł do sali, trzymając Pera-Andersa Niemiego w mocnym uścisku.

Björnfort rozejrzał się po zebranych w poszukiwaniu mężczyzn, którzy wraz z Niemim przyprowadzili wtedy na posterunek Edwina Pekkariego. Jeden z nich skulił się na ławce, jak grzesznik przed ołtarzem. Björnfort złapał go za włosy i postawił na nogi.

— Wszystko powiem — wyjącał nieszczęśnik.

— Masz milczeć! — krzyknął Per-Anders Niemi, próbując uwolnić się z uchwytu Spetta.

— Nie! — zawołał rozpaczliwie jego kompan. — Chcę mówić! Nie spałem ani chwili od tamtego czasu. Per-Anders opowiedział mi o transporcie pieniędzy. Zaproponował napad. Tylko napad. Nic nie mówiłeś o mordowaniu ludzi. Wzięliśmy sanie, kiedy wozaka nie było. Stanęliśmy przy Luossajokki, przewróciliśmy sanie, żeby wyglądało, że nam odpadła płoza. Mieliśmy na twarzach szaliki i czapki nisko nasunięte na czoło. Nigdy by nas nie rozpoznali, nie musieliśmy wcale... Per-Anders schował się za

drzewem, bo pocztylion go znał. Zatrzymali się, żeby nam pomóc. Oskar wyskoczył z sań i zaczął oglądać płożę. Johansson został i przytrzymał konia, który chciał iść dalej. Wtedy Per-Anders wypadł ze swojej kryjówki, wskoczył na sanie i strzelił Johanssonowi w plecy.

— Z pistoletu Johanssona? — zapytał Björnfot.

— Nie, własnego. Pistolet Johanssona znaleźliśmy później i tylko udawaliśmy, że był ukryty w pokoju Pekkariego, kiedy do niego wpadliśmy. Pekkari zresztą też myślał, że był w jego szufladzie. Próbował nam tłumaczyć, że ktoś musiał mu go podrzucić, zakraść się, kiedy spał.

— A co było potem? — dociekał Björnfot. — W lesie. Po zastrzeleniu pocztyliona.

— Konie wystraszyły się strzału. Nasz stanął dęba i chciał uciekać, ale trzymały go przewrócone sanie. A koń pocztyliona poniósł. Per-Anders Niemi stał na saniach, musiał się jakoś utrzymać, zawołał do mnie jeszcze: „Chłopak! Zajmij się chłopakiem!”.

Towarzysz Pera-Andersa Niemiego się zachwiał. Tamte sceny znów rozgrywały się przed jego oczami. Komisarz musiał go trzymać, żeby nie upadł.

Twarz Oskara Lindmarka majaczy sino w świetle księżyca. Ukląkł w śniegu, żeby obejrzeć zepsutą rzekomo płożę. Ma szeroko otwarte oczy. Nie rozumie, co się stało, choć padł strzał i koń pocztyliona pognął przed siebie. Pocztowy koń pędzi, choć w miękkim śniegu nie porusza się tak szybko. Na saniach stoi Per-Anders Niemi i woła: „Muszę wyłamać drzwiczki i zabrać pieniądze. Chłopak! Łap go! Nie pozwól mu uciec!”.

Patrzę teraz na siebie, kompan Pera-Andersa Niemiego i Oskar Lindmark. Obu mrozi lęk przed czynem, który ma zaraz nastąpić. Coś w głowie dorosłego krzyczy: nie potrafię!

Ich koń staje na tylnych nogach, usiłuje się zerwać. W jednej chwili Oskar Lindmark otrząsa się z odrętwienia. Wstaje i rzuca się do ucieczki. Potyka się, ale nie upada. Ucieka w blasku księżyca jak zając.

„Łap go! — ryczy Per-Anders Niemi. — Jeśli zniknie w lesie, to po nas”.

Kamrat Niemiego bierze siekierę. Puszczą się biegiem za chłopcem.

Płatki śniegu tak ładnie wirują w powietrzu. Jakby nie mogły się zdecydować, czy chcą opaść, czy wolą wznosić się do góry. Chmury zasłaniają księżyc. Jest jak babski zadek w saunie, tłusty i jaśniejący. Odkrywa i zasłania swoją nagość jak w tańcu z welonem. Cienie drzew na śniegu raz są ostre i czarne, a raz rozmyte, ledwo widoczne. Nawet jeśli księżyc cały okryje się chmurami, Oskar Lindmark i tak nie ucieknie. Z łatwością da się odnaleźć jego ślady na śniegu. Mimo to kompan Pera-Andersa Niemiego biegnie, aż czuje w ustach smak krwi. Jego stopy zapadają się, ale ponieważ może biec po śladach Oskara, zaczyna go doganiać. Przecież to tylko mały chłopiec. Boże miłościwy. Kompan zaraz go dopadnie. Unosi siekierę i uderza uciekającego chłopca w głowę, zanim ten zdąży się odwrócić. Chłopak nie może na niego patrzeć, tego by nie wytrzymał. Teraz Oskar Lindmark leży na śniegu twarzą do dołu. Jego nogi drgają jeszcze jak u śpiącego psa.

Mężczyzna uderza jeszcze kilka razy, właśnie z powodu tych nóg.

Wspólnik Pera-Andersa Niemiego nie spuszczał wzroku z twarzy Björnfoto.

— Lindmark biegł. Ale szybko go dogoniłem. Uderzyłem go w głowę obuchem. Padł martwy na śnieg. Wróciłem do sań i postawiłem je na drodze. Trzymałem konia, aż Per-Anders wrócił z pieniędzmi, brnąc przez zasy. Miał też pistolet Johanssona. Na moich spodniach było pełno krwi. Omal nie oszalałem z tego powodu, więc Per-Anders powiedział, że możemy się zamienić. On włożył moje zakrwawione spodnie, ja wciągnąłem jego czyste. Pod miastem zsiadliśmy z sań, zacięliśmy konia batem i każdy wrócił do swojego domu. Zaczęło jeszcze mocniej sypać. Wiedzieliśmy, że wkrótce ślady znikną całkowicie.

Trzeci mężczyzna, który zjawił się wtedy na posterunku z Pekkarim, zerwał się z miejsca.

— To nieprawda! — wykrzyknął i z przerażeniem popatrzył na Pera-Andersa Niemiego oraz drugiego kompana, który właśnie wyznał straszną

zbrodnię. — Przeklęte łotry! A ja wam wierzyłem. Kiedy przyszlście do mnie i powiedzieliście, że musimy przeszukać pokój Pekkarięgo. Kiedy mówiliście, że go podejrzewacie. Przeklęte łotry!

W sali zapadła śmiertelna cisza. Potem głos zabrał Spett.

— Opuścić salę! — zawołał. — Jutro odbędzie się nowa rozprawa. A teraz wychodzić! No, już!

Ludzie jak ogłuszeni zaczęli podnosić się z ławek.

Nikt nic nie mówił. Uświadomili sobie, że życzyli śmierci niewinnemu człowiekowi. Poczucie winy jak gruby koc okryło zebranych. Laestadianie, zakłopotani, nie odrywali wzroku od podłogi, nikt nie patrzył na Edwina Pekkarięgo.

A Pekkari, który nadal stał przy barierce, ciągle skuty, zawołał:

— Ale to ja zrobiłem. Nie słyszeliście? Ja jestem winien! JESTEM WINIEN!

Zamieć śnieżna trwała trzy dni. Potem poszła dalej, żeby pustoszyć inne okolice, i zostawiła Kirunę, leżącą spokojnie pod miękką białą kołderką. Konie ciągnęły po ulicach pługi śnieżne, płoty uginały się od zasp. Pod ciężarem śniegu gałęzie brzoź zwieszały się aż do ziemi.

Björnfot i Spett byli akurat przy stacji kolejowej, kiedy zobaczyli, jak Edwin Pekkari wsiada do pociągu jadącego na południe kraju. Kompania węglowa wysłała robotników do odśnieżania torów. Na stacji ludzie przemieszczali się w tę i we w tę. Pasażerowie i transporty towarów.

Pekkari miał przygarbione ramiona. Na głowie wełnianą czapkę. W walizce niósł cały swój dobytek. Nikt go nie odprowadzał. Nikt nie przyszedł się z nim pożegnać.

— A więc wyjeżdża — stwierdził Spett.

Björnfot kiwnął głową.

— Po kiego czorta się przyznawał? — zapytał Spett.

— To jest pytanie — przyznał Björnfot. — Chciał zwrócić na siebie uwagę? — zgadywał. — Wszak przez tę jedną noc stał się sławny. Wcześniej był tylko samotnym dziwakiem, którego nikt nie chce znać.

Pomyślał o tym, kiedy przeszukiwali rzeczy Pekkariego. Ani jednego listu w szufladach. Żadnego zdjęcia.

— Przecież mogli ściąć mu głowę — obruszył się Spett. — To szaleństwo.

— Dowody przemawiały przeciwko niemu. Może sam zaczął sobie wyobrażać, że to zrobił. Że było tak, jak wszyscy twierdzili. Cóż my możemy wiedzieć?

Spett wydał z siebie nieufne prychnięcie, a potem zaczął się śmiać z Kajsy, która zaczepiła konduktora i usiłowała wciągnąć go do zabawy. Wykonała kilka szalonych podskoków, aż obsypała go śniegiem.

— Tak — powiedział Björnfot, gładząc się po wąsach. — Mówi się o tajemnicy Boga. Ale człowiek może być tak samo wielką tajemnicą.

— Myślałem, że to się odnosi tylko do bab — mruknął Spett.

W odpowiedzi na uwagę o kobietach komisarz Björnfot spojrział na zegarek. Miał się spotkać ze swoją żoną o godzinie pierwszej. Najwyższy czas się zbierać.

— Ale czy to nie jest dziwne? — zapytał jeszcze Spett, zanim Björnfot się oddalił. — Na przykład ci laestadianie. Mogli wybaczyć Pekkariemu, że z zimną krwią zamordował człowieka. Ale nie byli w stanie mu darować, że okazał się zwykłym kłamcą.

— Człowiek jest wielką tajemnicą — powiedział Björnfot i poszedł.

Stała już na rogu i czekała, kiedy zbliżał się, zasapany. Szerokie, ciemne brwi pod gronostajową czapką. Dłonie ukryte w białej mufce. Długi czarny płaszcz, na dole obramowany śniegiem.

— Jesteś już! — wykrzyknął Björnfot radośnie, biorąc ją pod ramię.

Potrzebowali zaledwie trzech minut, żeby dojść do nowego pawilonu muzycznego. Miał ze sobą pożyczony klucz. Na środku sceny stał fortepian Steinwaya.

— W każdy czwartek między drugą i wpół do czwartej jest tylko twój — oświadczył. — Wtedy nikt nie będzie ci przeszkadzał.

Spojrzała na fortepian. Poczula się zwabiona w zasadzkę.

Przypomniała jej się ich pierwsza podróż do Kiruny. W Gällivare podszedł do niej konduktor i zapytał, czy ma kogoś, kto za nią odpowiada.

— Co pan ma na myśli? — zapytała.

— Pani nie może sama jechać do Kiruny — wyjaśnił konduktor. — Musi pani mieć przy sobie jakiegoś mężczyznę, który się panią zaopiekuje. Albo zaświadczenie, że ktoś na panią czeka na stacji.

— Ktoś ma za mnie odpowiadać?! — wykrzyknęła, ale w tej samej chwili do przedziału wrócił Albert z dziewczynkami. Podczas postoju wysiedli, by przejść się po peronie.

Konduktor przeprosił, sprawdził im bilety i poszedł dalej.

A Albert wziął go w obronę.

— Tu nie jest tak jak w Sztokholmie. To górnicza osada. Ale nie chcą, żeby tu było jak w MalMBERGET, gdzie panuje pijaństwo i...

Urwał i popatrzył na dziewczynki, które z zainteresowaniem przysłuchiwały się rozmowie.

— ...i kobiety oferują najróżniejsze usługi — dokończył. — Tego rodzaju kobiet sobie tu nie życzą. Nie musisz się czuć dotknięta.

— W Finlandii kobiety mogą głosować — odparła. — A tu nie wolno nam nawet jeździć pociągiem.

Kiruna była miastem mężczyzn. Tutaj robili interesy. Zwykle też zapraszano pana komisarza, kiedy trzeba było przedyskutować pewne sprawy. Ależ on pucował swoje buty, kiedy miał iść do dyrektora Lundbohma. Pluł i polerował. Natomiast sam dyrektor często zjawiał się na spotkaniu ubrany jak robotnik torowy.

Nie tego spodziewała się po owym mieście przyszłości. Oczekiwała czegoś nowoczesnego. Ale tutaj kobiety mogły jedynie nabożnie wzdychać pod ołtarzowym obrazem namalowanym przez księcia Eugeniusza.

Źle znosiła widok nędzy. Te wszystkie kobiety i dzieci, którym kości policzkowe sterczały jak górskie grzbiety. Życie z dnia na dzień. Te kobiety, których mężowie zginęli w kopalni lub zostali kalekami. Aukcje sierot. W Sztokholmie też tego nie brakowało. Ale tutaj to wszystko było tak blisko.

Przygnębiało ją to.

Albert podpisał kontrakt na pięć lat. Nie wyobrażała sobie, jak to wytrzyma. Teraz już nawet męża prawie nie mogła znieść. Jego ciężkiego oddechu podczas snu. Jego zachowanie przy stole też zaczęło ją irytować. Wstydziła się tego. Ale to nie pomagało. Czasami marzyła, żeby zapaść na jakąś chorobę. Wtedy nie musiałyby tu być.

Albert rozpiął płaszcz i wyjął z wewnętrznej kieszeni paczkę z nutami od jej matki.

— Nie mogę — zaprotestowała — palce mi zeszywniały z zimna.

Puścił nuty i ujął jej dłonie.

— Nie chcesz grać? — spytał błagalnie. — Nie masz już dla mnie żadnych uczuć?

Poddała się. Wyszwoleciła się z jego uścisku i usiadła przy fortepianie. Zagrała akord. Miała nadzieję, że instrument będzie rozstrojony. Ale nie był.

Ja tonę, pomyślała.

W tej samej chwili palce znalazły się na klawiaturze.

Ułożyły się w początkowy akord do *Zatopionej katedry* Debussy'ego.

* * *

Przy Debussym fortepian nie potrafi kłamać. Pierwsze dźwięki mają zabrzmieć osobno. I już od samego początku fortepian nie zawodzi oczekiwań.

W głębi oceanu rozbrzmiewają katedralne dzwony. Uderza pojedynczo w klawisze. Ach, te dźwięki. Sztorm burzy powierzchnię wody. Fale wznoszą się wysoko. Dzwony na dnie biją i biją.

Teraz ona uderza mocno i wyzywająco. Gniewnie.

Jej palce nie są dość długie. Ramiona nie sięgają wystarczająco daleko. Rękawy płaszcza są ciasne jak kaftan bezpieczeństwa. Zaczyna się pocić. Kiedy się prostuje, czuje w plecach ból.

Wtedy spogląda na Alberta. Na jego twarzy widnieje uśmiech, ale gdzieś pod spodem czai się niepokój. On nie rozumie tej muzyki. Ona budzi w nim

lęk. Lęka się też swojej żony, kiedy ujawnia tę stronę swojej osobowości.

Nagle kobieta przerywa grę. Dłonie lądują na kolanach. Prawie chciałyby na nich usiąść.

— Graj dalej — mówi Albert.

Ale po co? — chciałyby zapytać. Przecież ty nie rozumiesz.

Wtedy on, zupełnie jakby przejrzał ją na wylot, mówi:

— Jestem prostym człowiekiem...

Głos zaczyna mu się łamać. Ona boi się, że mąż się rozplacze.

— ...ale gdybyś wiedziała, jak bardzo jestem z ciebie dumny, moja turkaweczko. Kiedy grasz. Chciałbym wtedy... Naprawdę próbuję...

Nie jest w stanie mówić dalej. Jego usta się zaciskają, mięśnie wokół nich zaczynają drgać.

Ona wygląda przez okno. Wiewiórka przebiega po gałęzi. Śnieg osypuje się na ziemię. Na dworze jest jasno. Gdzieś za całą tą bielą różowieje niebo.

Już nie czuje tego ciężaru w sercu.

Spróbuję się cieszyć, postanawia. Czwartki między drugą i wpół do czwartej. Może właśnie tego potrzebuję.

Uśmiecha się do niego. Potem kładzie ręce na klawiaturze i zaczyna grać. Wybiera Schuberta *Impromptu Ges-dur*. To liryczny utwór, wie, że jemu bardzo się podoba. Patrzy na niego z uśmiechem. I dalej wygrywa melodię, którą on tak lubi.

Teraz i on odpowiada jej radosnym uśmiechem. Jakby była słońcem, które powróciło.

To dobry człowiek, myśli ona. Zasluguje na coś lepszego.

Ona nie znosi Kiruny. Czasem myśli, że zaraz tu oszaleje.

Ale on jest dobrym człowiekiem. I wkrótce przyjdą święta.

Stieg Larsson

SUPERMÓZG

Mr Michael November Collins
Sector 41
Aldedo Street
8048 NEW YORK 18-A-34

Mr Michael November Collins to ja, a list z moim nazwiskiem na kopercie i adresem przyszedł pewnego ranka pocztą pneumatyczną i przy śniadaniu wylądował na stole.

Judith — moja żona — wyjęła go z koszyka, sprawdziła adresata i podała mi kopertę. Zanim ją otworzyłem, zwróciłem uwagę, że nie jest to zwyczajny list. Stempel, którym był opatrzone, świadczył o tym, że wysyłkę opłacił rząd — czy też podatnicy, jak kto woli. Raczej rzadko dostaję listy od rządu. Coś takiego przydarzyło mi się przedtem tylko raz, dwa lata temu, kiedy udało mi się zdobyć złoty medal olimpijski w biegach — otrzymałem wtedy gratulacje od prezydenta. To było w 2172 roku, teraz mieliśmy 2174, a rekord świata nadal należał do mnie.

Rozciąłem kopertę.

„Michael November Collins 46-06-18

Pan Collins jest proszony o stawienie się w dniu 24.08.74 w Państwowym Wydziale Badawczym Uniwersytetu Bostońskiego u dr. Marka Westera w celu przeprowadzenia badań lekarskich na polecenie rządu”.

To była cała zawartość listu, może oprócz nieczytelnego podpisu nad słowem „sekretarz”.

Kiedy ze zdumieniem wpatrywałem się w kartkę papieru, Michael Junior i Tina przybiegli się przytulić, żeby zaraz popędzić do szkolnej windy. Gdy ich obejmowałem, weszła Judith i wyjęła mi list z ręki, korzystając z tego, że byłem zajęty dziećmi.

— O co im może chodzić? — zapytała.

— Nie mam pojęcia, kochanie. Chyba będę musiał tam pojechać i wtedy się dowiem.

— Ale dlaczego chcą cię poddać badaniom lekarskim?

Przyciągnąłem ją do siebie, obdarzyłem uśmiechem i całusem.

— Może to ma coś wspólnego z moją kondycją. Jak pewnie wiesz, mam na swoim koncie kilka rekordów świata.

— Ale dlaczego na polecenie rządu?

— Skąd mógłbym wiedzieć. — Wzruszyłem ramionami. — Ale wkrótce na pewno wszystko się wyjaśni!

— Doktor Mark Wester — powtórzyłem.

Stałem przy punkcie informacyjnym w centralnym holu Uniwersytetu Bostońskiego i rozmawiałem z recepcjonistką.

— Gdzie mogę go znaleźć? — zapytałem niecierpliwie.

— Zadzwoń do jego sekretarki. To może chwilę potrwać. Może pan tego nie wie, ale Uniwersytet Bostoński nie jest zwykłą uczelnią, tylko państwowym centrum badawczym, formalności mogą zająć kilka minut.

— Nie, tego nie wiedziałem. A może mi pani wyjaśnić, dlaczego zostałem tu wezwany?

— Na badanie lekarskie. Przecież tak jest napisane w liście.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer.

— Mary? Cześć, tu informacja. Spodziewacie się dzisiaj wizyty pana Michaela Novembera Collinsa. Właśnie przyszedł.

Cisza.

— Oczywiście. Już go wysyłam na górę.

Uśmiechnęła się do mnie i wskazała mężczyznę w mundurze, który siedział w szklanej budce.

— Niech pan do niego podejdzie. Przekażę mu telefonicznie, żeby pana zaprowadził do doktora Westera. — Znów sięgnęła po słuchawkę, a ja ruszyłem na ukos przez hol i zanim pokonałem połowę drogi, zobaczyłem, że rozmowa dobiegła końca. Mężczyzna w mundurze wstał, wyszedł ze swojej budki i powitał mnie uściskiem dłoni.

— Pan do doktora Marka Westera, o ile dobrze zrozumiałem?

— Zgadza się.

— Świetnie, pokażę panu drogę. Proszę ze mną.

Idąc z nim korytarzami, czułem narastający niepokój. Moja wyobraźnia podpowiadała mi, że coś jest nie tak. Nie potrafiłem dokładnie powiedzieć, skąd się brało to wrażenie, toteż ten dziwny niepokój był lekko zabarwiony irytacją. Dwukrotnie musieliśmy się zatrzymać, kiedy umundurowani strażnicy żądali okazania przepustek, ale za każdym razem mój towarzysz zbywał ich, mówiąc: „Ten pan jest umówiony z doktorem Westerem”.

Byłem coraz bardziej zdezorientowany, w końcu nie wytrzymałem i zapytałem go, po co mam się spotkać z doktorem Westerem. Lecz on nie wiedział więcej niż dziewczyna w informacji. W końcu dotarliśmy na miejsce.

Pielęgniarka, najwyraźniej owa Mary, jak się domyślałem, poprosiła, żebym zczekał na sofie; doktor Wester przyjmie mnie za chwilę. Po trzech minutach do poczekalni wszedł mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Był mocno zbudowany, a opalenizna — mówię tu o prawdziwej opaleniznie, a nie o takiej ohydnej farbce, którą się kupuje w drogeriach — pokrywała wszystkie odkryte części jego ciała. Wyglądał na bardzo wysportowanego.

— Bardzo panu dziękuję za przybycie — powiedział, wyciągając do mnie dłoń. Uścisnąłem ją i od razu zapytałem:

— Więc może pan mi wytłumaczy, dlaczego zostałem wezwany?

— Nie napisali o tym w liście? Przejdzie pan badania lekarskie.

— Napisali, ale nadal nie rozumiem po co.

— Ach, o to chodzi, już wkrótce się pan dowie. Choć to zależy oczywiście od wyników badań.

— Naprawdę? Ale ja nie wiem, czy mam ochotę poddawać się

jakimkolwiek badaniom. Jestem w doskonałej kondycji. W moim zawodzie to konieczne.

— Tak, tak, wiemy, że jest pan w dobrej kondycji, ale chcę wiedzieć, jak wygląda sprawa z organami wewnętrznymi.

Zaśmiał się, poklepał mnie po plecach i zaprosił do swojego gabinetu.

— Nie wiedziałem, że Uniwersytet Bostoński został państwowym centrum badawczym. Czy tu już nie ma żadnych studentów?

— Ależ są, tylko że teraz mamy wyłącznie kierunki specjalistyczne. Opinia publiczna nie wie zbyt dużo o naszej działalności.

— A więc na czym polega wasza działalność?

— Właściwie nie powinienem o tym mówić, ale najogólniej można powiedzieć, że zajmujemy się badaniami z dziedziny biologii.

— A co to ma wspólnego ze mną? Do czego ja się mogę przydać?

— Niestety, nie mogę panu zdradzić szczegółów, dopóki nie przeprowadzimy wszystkich koniecznych testów.

— Ach tak. No to najlepiej zacznijmy od razu. Chciałbym to mieć jak najszybciej z głowy, żebym mógł wrócić do domu, do Judith i dzieci.

— Oczywiście. O, jest pan żonaty — powiedział Wester, drapiąc się po głowie.

— Zgadza się. Z najcudowniejszą kobietą pod słońcem — dodałem z uśmiechem.

— Gratuluję. Ja sam jestem bezzenny i bezdziejny, a teraz robię się trochę za stary na takie rzeczy. W każdym razie bardzo się cieszę, że chce się pan poddać badaniom.

— To kiedy zaczynamy?

— Jutro.

— Jutro? Myślałem, że to wszystko da się załatwić dzisiaj.

— Tu chodzi o bardzo szczegółowe i skomplikowane badania, a one wymagają czasu. Ale niech się pan nie martwi. Przygotowaliśmy dla pana pokój na terenie uniwersytetu. Może pan też zadzwonić do domu i porozmawiać z żoną.

— Ile dokładnie dni to potrwa?

— Trudno powiedzieć. Może nawet tydzień. To zależy, czy wszystko pójdzie po naszej myśli.

— Tydzień! Co to właściwie za badania? Chcę wiedzieć, o co chodzi. Po co tu jestem? Jak będziecie mnie badać? Dlaczego?

— Już panu tłumaczyłem, że nie mogę o tym mówić, póki nie będzie wyników.

— W takim razie nie zamierzam poddawać się żadnym badaniom — powiedziałem zdecydowanie.

Wester się uśmiechnął.

— Proszę pana, niech się pan tak nie gorączkuje. Zapewniam, że testy są całkowicie bezpieczne.

— To nie ma znaczenia — odparłem. — I tak chcę znać powód ich przeprowadzenia. Nie macie wyboru. Inaczej nie zamierzam brać w tym udziału.

— Pan chyba nie rozumie sytuacji. Nie chodzi o to, że to pan decyduje, czy weźmie udział w badaniach, czy nie. Pan m u s i współpracować. To jest nakaz.

— Czyj nakaz?

— Rządu.

— Do diabła z rządem! — rzuciłem z wściekłością. — Nie zamierzam tego zrobić.

— Nie ma pan wyboru.

— Oczywiście, że mam. Wystarczy, że wstanę i wyjdę przez te same drzwi, przez które tu wszedłem. — Podniosłem się i ruszyłem ku wyjściu.

— Niech pan jeszcze spojrzy na ten dokument — odezwał się Wester, kiedy już kładłem rękę na kłamce.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Dlatego że to w najwyższym stopniu pana dotyczy.

— Do widzenia — powiedziałem, otwierając drzwi.

— To nakaz podpisany przez prezydenta...

Zawahałem się.

— Nakazuje panu bezwarunkowe posłuszeństwo. Jeśli pan się nie

podporządkuje, zostanie pan aresztowany za działanie na szkodę państwa.

— To jakiś żart?

— Bynajmniej. Może pan zostać skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia oraz dwadzieścia tysięcy dolarów grzywny.

Gapilem się na niego z otwartymi ustami.

— To nie może być prawda.

— Niech pan sam przeczyta.

Powoli zamknąłem drzwi. Wester zachowywał się coraz bardziej wrogo.

— No więc jaka jest pańska decyzja?

— Wygląda na to, że nie mam wyboru.

— Nie, właściwie to nie.

— Czy mogę zadzwonić do żony?

— Ależ oczywiście. Może pan robić, co pan tylko chce.

— Dopóki to się nie kłóci z tym nakazem, jak się domyślam.

— Właśnie. Moi ludzie odprowadzą pana do pokoju.

— Czy to znaczy, że będę pilnowany?

— Dla pańskiego bezpieczeństwa, naturalnie.

— Naturalnie...

Mark Wester rzeczywiście nie przesadzał, kiedy mówił, że badania i testy będą skomplikowane. Przez cztery dni przerzucano mnie z pokoju do pokoju, gdzie najróżniejsi lekarze wychodzili ze skóry, żeby znaleźć u mnie jakieś dolegliwości. Na próżno im tłumaczyłem, że jestem zdrow jak rydz — że się posłużę tym starym, wyświechtanym zwrotem. Nic nie pomagało. Przebadali mnie od stóp do głów, oglądali wszystko z każdej strony. Pierwszego dnia poddali mnie licznym testom wytrzymałościowym i próbom kondycyjnym. Sprawdzali każdy wynik raz, drugi, trzeci, a potem jeszcze raz, żeby mieć absolutną pewność, że nic im nie umknęło. Następnego dnia zrobili mi prześwietlenie, opukiwali plecy, musiałem wyciągnąć język i powiedzieć: „aaaa”.

To był koniec badań przewidzianych na ten dzień, mogłem więc przynajmniej trochę odpocząć. Miałem do dyspozycji luksusowy apartament

i takie wygody, o jakich normalnie mogłem tylko marzyć. Co wieczór dzwoniłem do Judith i starałem się jej wytłumaczyć, że muszę tu jeszcze trochę zostać. Nigdy nie wspominałem o tym, że Wester groził mi więzieniem i grzywną. Przesyłała mi całusy przez telefon i życzyła, żebym jak najszybciej wrócił do domu.

Przez cały czas, odkąd pierwszy raz zaprowadzono mnie do mojego apartamentu, chodzili za mną krok w krok dwaj postawni strażnicy w mundurach uniwersyteckiej ochrony. Dla mojego bezpieczeństwa, naturalnie.

Miałem nadzieję, że reszta badań będzie wyglądać podobnie jak te drugiego dnia, ale bardzo się myliłem. Przez cały trzeci, czwarty i piąty dzień praktycznie wywrócili moje ciało na lewą stronę, zajrzeli w każdy, nawet najmniejszy zakamarek. Testowali mnie na wszystkie choroby, od grzybicy stóp po raka płuc.

Szóstego dnia byli wreszcie gotowi i Wester przyszedł mi powiedzieć, że mogę jechać na weekend do domu, ale w poniedziałek muszę tu wrócić.

— Dlaczego? — zapytałem. To pytanie zadawałem już niemal rutynowo.

— Musimy panu zoperować wyrostek robaczkowy.

Wierciłem się na szpitalnym łóżku, aż zrzuciłem na podłogę komiks, który doczytałem ledwie do połowy. Ta sytuacja w ogóle mi się nie podobała. Operacja odbyła się przed dwunastoma dniami i od tego czasu pakowali we mnie szczepionki przeciw wszystkim możliwym chorobom. Byłem znudzony i wściekły. Wściekły, bo zmuszali mnie praktycznie do wszystkiego, co tylko przyszło im do głowy. Wściekły, bo nie czułem się już wolnym obywatelem Stanów Zjednoczonych. Wściekły, bo nie chcieli mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Westchnąłem i podniosłem komiks.

Po południu przyszedł Mark Wester i usiadł na krześle stojącym przy łóżku. Miał poważny wyraz twarzy i zrozumiałem, że zdarzyło się coś, co nie do końca było zgodne z jego planami — jakiegokolwiek one były.

— Jutro zostanie pan wypisany z oddziału.

— Hurra — powiedziałem, wyjątkowo z ożywieniem w głosie.

Potem Wester siedział chwilę i się nie odzywał, milczał może przez pięć minut.

— Domyślam się, że chce pan wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi — odezwał się wreszcie.

— To najrozsądniejsze słowa, jakie od pana usłyszałem, odkąd tu jestem. Wester wcale się nie obraził.

— Czy słyszał pan kiedykolwiek nazwisko Hans Zägel?

— Chodzi panu o profesora Hansa Zägela?

— Tak.

— Czy znalazłby się ktoś, kto w ogóle o nim nie słyszał?

Profesor Hans Zägel był największym uczonym swojej epoki. Urodził się w Niemczech, ale kiedy Rosjanie zaczęli okupację Niemiec w 36 roku, uciekł do Anglii i dalej do Stanów Zjednoczonych. Chyba nie było takiej osoby na świecie, która nie wiedziałaby, kim jest ten człowiek, poczułem się więc trochę urażony, kiedy Wester zapytał, czy to nazwisko jest mi znane. W porównaniu z Zägelem Einstein był nikim.

— Właśnie, na pewno musiał pan o nim słyszeć. Czy wie pan, ile on ma lat?

— Pewnie jakieś osiemdziesiąt pięć, tak sądzę — odparłem.

— Osiemdziesiąt sześć. A wie pan, czym się zajmuje?

— Chyba wszystkim po trochu, jeśli wierzyć mediom. Podobno zna się na większości nauk przyrodniczych. Chociaż jego specjalnością jest raczej fizyka. Przecież skonstruował pierwszy statek kosmiczny z napędem fotonowym.

— To prawda, fizyka jest głównym obszarem jego badań, ale przez ostatnich dziesięć lat zajmował się przede wszystkim biologią.

— Chwileczkę. Ale co Zägel ma ze mną wspólnego?

— Zaraz się pan dowie. Czy interesuje się pan science fiction?

Gestem dłoni wskazałem stos czasopism, które przeczytałem w ciągu ostatnich dni.

— Czytał pan może ostatnio coś o przeszczepach mózgu?

— Ten pomysł od czasu do czasu pojawia się w różnych opowiadaniach. Dlaczego pan pyta?

— A co pan sądzi na temat rzeczywistych transplantacji? Czy myśli pan, że będzie można je przeprowadzać?

— Nigdy w życiu — zaśmiałem się. — To niemożliwe.

— Myli się pan. Hans Zägel przeprowadził wiele udanych przeszczepów mózgu. Pierwszego dokonał sześć lat temu.

— Ależ, na Boga, to niemożliwe. Przecież mózg ma za dużo włókien nerwowych, które trzeba połączyć. To jest po prostu niewykonalne.

— Profesor Zägel przeprowadził sto czterdzieści pięć transplantacji, z czego czterdzieści sześć u ludzi. Za pomocą specjalnego sprzętu komputerowego wypracował całkowicie pewną metodę. A komputer, z którego korzysta, też jest jego konstrukcji.

— Trudno w to uwierzyć.

— Rozumiem pańskie wątpliwości, ale zapewniam pana, że to prawda.

— Jak to możliwe? — zapytałem, nadal nie dowierzając.

— Profesor Zägel własnoręcznie przeprowadza konieczne ingerencje. Otwiera czaszkę i tak dalej. A potem dalszy ciąg operacji odbywa się przy użyciu komputera, ten rejestruje wszystkie włókna nerwowe, które trzeba połączyć, i pilnuje, żeby żadne nie zostało pominięte. Do łączenia włókien wykorzystuje się laser.

Podrapałem się w głowę.

— Jeśli naprawdę mu się to udało, to zasługuje na jeszcze większy podziw, niż myślałem. Ale dlaczego nic o tym nie pisano?

— Profesor Zägel chciał to utrzymać w tajemnicy, dopóki jego metoda nie będzie całkowicie pewna.

— A kiedy to będzie możliwe?

— Za dziewięć, dziesięć lat.

— Szczerze powiedziawszy, nie wiem, co o tym myśleć, ale chętnie zobaczyłbym jakieś dowody. Czy mógłbym porozmawiać z profesorem Zägelem?

— Nie, niestety nie.

— A dlaczego nie?

— Jest umierający. To stary człowiek. Jego serce już nie ma siły pracować.

Leżałem przez chwilę w milczeniu, zdjęty współczuciem dla Zägela.

— Ale właściwie co ja mam z tym wspólnego? — zapytałem w końcu.

Wester gładził się powoli po wygolonym podbródku.

— Chyba zgodzi się pan ze mną, że mózg profesora Zägela jest najdoskonalszym organem na świecie, może nawet najdoskonalszym, jaki kiedykolwiek funkcjonował.

— Oczywiście — zgodziłem się. — On jest geniuszem.

— I zgadza się pan również, że kiedy taki mózg pracuje na rzecz ludzkości, to jest to wtedy najważniejszy mózg na świecie?

— Jasne. Szkoda, że musi umrzeć.

— Niech pan posłucha. Powiem to jasno i wyraźnie: świat nie może sobie pozwolić na utratę takiego mózgu jak ten profesora Zägela.

— Każdy musi kiedyś umrzeć.

— Praca profesora Zägela jest właściwie na ukończeniu. To kwestia najwyżej dziesięciu lat. Tyle czasu powinno mu wystarczyć.

— A co ja mam wspólnego z tą sprawą? — powtarzałem cierpliwie.

— Profesor Zägel potrzebuje jeszcze dziesięciu lat, żeby dokończyć największe dzieło, jakiego dokonano w historii ludzkości.

— Więc...

— Chcemy znaleźć kogoś, kto zechce dać mu ten czas.

— Do czego pan zmierza? Nikt przecież nie może powstrzymać śmierci.

— Nie, ale można ją opóźnić. Chcemy, żeby pan udostępnił swoją głowę dla mózgu profesora Zägela, co umożliwi mu dokończenie pracy. Chcemy, żeby pan został jego nowym sercem i ciałem.

Patrzyłem na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. Dopiero po dłuższej chwili zdołałem coś powiedzieć.

— Jesteście szaleni — wyszeptałem ochryple.

— Tu chodzi o życie albo śmierć profesora Zägela.

— A co ze mną? Co z moim życiem? Nigdy się na to nie zgodzę!

— Musi pan. Profesor Zägel ma przed sobą najwyżej tydzień życia.

— Moja odpowiedź brzmi: nie! Skoro tak się sprawy mają, to jeśli o mnie chodzi, Zägel może umrzeć nawet zaraz. Dla mnie moje życie jest ważniejsze niż jego. Jak możecie w ogóle coś takiego proponować?!

— Nie ma pan wyjścia. Profesor Zägel jest zbyt ważny.

— Nie możecie mnie zmusić! — Poderwałem się i schwyciłem Westera za marynarkę.

— Niech się pan opanuje, na litość boską.

— Opanować się!?! — krzyknąłem. — Czy wam się naprawdę wydaje, że mógłbym popełnić samobójstwo, żeby uratować życie Zägela?

— Wiedza profesora Zägela ma kluczowe znaczenie dla rozwoju całej ludzkości.

— Nie zgadzam się. Czy to dlatego testowaliście mnie przedtem przez tyle czasu? Dlaczego wybraliście akurat mnie?

— To przecież oczywiste. Nie ma nikogo, kto miałby zdrowsze ciało niż pan. Jest pan w doskonałej formie. Profesor Zägel osobiście wybrał pana trzy miesiące temu.

— A więc to on mnie wybrał. Wybrał swój ratunek. A teraz ja ocalę mu życie dzięki jego badaniom. Nie możecie mi tego zrobić.

— Nie ma pan wyboru. Sam prezydent zatwierdził ten plan.

Milczałem przez kilka sekund. Potem zerwałem się z łóżka, gwałtownie szarpnąłem drzwi, żeby stąd uciec. Ale zrobiłem zaledwie pięć kroków, kiedy dopadli mnie dwaj strażnicy stojący za drzwiami. Wrzeszczałem i kłąłem, wierząc z całych sił, żeby mnie puścili. Jeden z nich wykręcił mi ramię na plecy, aż krzyknąłem z bólu.

— Tylko nie zróbcie mu krzywdy! — zawołał Wester.

Miałem więc pewną przewagę. Oni nie mogli zrobić mi krzywdy, ale ja nie musiałem mieć wobec nich żadnych skrupułów. Przecież należałem do najlepszych sportowców na świecie. Wymierzyłem celnego kopa w brzuch jednego ze strażników. Facet zgiął się wpół i zanim drugi zdążył mnie powstrzymać, kopnąłem go raz jeszcze. Drugi tymczasem złapał mnie od tyłu, przyciskając moje ramiona do tułowia, więc z całej siły uderzyłem nim

o ścianę. Usłyszałem tylko jęk, kiedy jego potylica stuknęła o marmur, jednak nie zamierzałem mu współczuć. Walczyłem o życie. Ciągłe nie zwalniał uchwytu, ale kiedy gwałtownie się pochyliłem do przodu, przeleciał nad moją głową. Teraz miałem wolne ręce, mogłem z całej siły zdzielić go w skroń.

Przeskoczyłem nad drugim strażnikiem, który właśnie zaczął się podnosić, i ruszyłem do wyjścia. Przebiegłem kilka metrów, kiedy rzucił się za mną Wester, próbując mnie zatrzymać, ale odepchnąłem go z całej siły.

— Precz, łajdaku! — krzyknąłem i wypadłem przez drzwi wahadłowe.

Gnałem korytarzem, potem w dół po schodach, aż znalazłem się na parterze. Tam zatrzymałem się na sekundę, musiałem sobie przypomnieć, czy powinienem iść w lewo, czy w prawo, żeby wydostać się z budynku. Wybrałem lewą stronę i zdążyłem pokonać połowę drogi, kiedy z głośników rozbrzmiała informacja o mojej ucieczce. Wszyscy pracownicy dostali polecenie, by mnie zatrzymać, ale ostrożnie, tak żeby nie zrobić mi krzywdy. Nagle znów znalazłem się w głównym holu i widziałem już przed sobą wielkie przeszklone drzwi prowadzące na wolność.

Zacząłem biec w ich kierunku, na co natychmiast zareagowała recepcjonistka. Zerwała się i zaczęła krzyczeć, żebym się zatrzymał, ale ja oczywiście nie zamierzałem jej posłuchać. Zawołała więc umundurowanego strażnika, który pierwszego dnia zaprowadził mnie do Westera. Widziałem, jak mężczyzna zbliża się do mnie z ukosa. Miał bliżej do wyjścia, ale ja przecież byłem szybszy. Wiedziałem, że jeśli tylko uda mi się stąd wydostać, już nikt mnie nie dogoni. Jednak bycie biegaczem miało swoje zalety. Strażnikowi nie udało się mnie złapać, zabrakło mu dziesięciu centymetrów.

Wypadłem przed budynek i przebiegłem po trawniku. Miałem na sobie tylko piżamę i byłem boso, więc musiałem biec po trawie. Opuściłem teren uniwersytetu, teraz biegłem ulicą, gdy nagle zobaczyłem mężczyznę wsiadającego do auta. Właśnie włożył kluczyk do stacyjki, kiedy gwałtownie otworzyłem drzwi i wyrzuciłem go z samochodu na ulicę.

— Przepraszam, ale tu chodzi o życie — powiedziałem.

Za pierwszym razem auto nie chciało zapalić, ale kiedy drugi raz

przekręciłem kluczyk, silnik zaczął pracować. Strażnicy byli już dwadzieścia metrów ode mnie, ruszyłem więc i zacząłem przyspieszać. Pomyślałem, że musieli zapamiętać numer rejestracyjny. Przejechałem kilka kwartałów, potem skręciłem na główną drogę. Zatrzymałem się dopiero na czerwonym świetle, a czekając, aż samochody przejadą, uświadomiłem sobie, że cały trzęsę się ze strachu. Byłem zupełnie wyczerpany, pusty w środku, nie mieściło mi się w głowie, jak do tego doszło, że akurat ja — z wszystkich ludzi na świecie — znalazłem się w samym środku tego koszmaru.

— Pieprzony prezydent — mruknąłem pod nosem. — A ja na ciebie głosowałem. Następnym razem zagłosuję na demokratów... jeśli będzie jakiś następny raz.

Kiedy się obudziłem, Wester stał nachylony nad moim łóżkiem. Szok po zastrzyku, który musieli mi zaaplikować, powoli ustępował, znów byłem w stanie myśleć. Próbowałem się podnieść, ale skórzane pasy trzymały mnie na łóżku w pozycji leżącej. Rozluźniłem się.

— Jak... co? — zapytałem.

— Policja pana złapała. Nie powinien pan próbować ucieczki.

— Nie, jasne, że nie. Może powinienem was jeszcze poprosić, żebyście jak najszybciej przeprowadzili operację?

— Operacja odbędzie się dziś wieczorem. Boimy się, że profesor Zägel już nie ma siły dłużej walczyć ze swoim ciałem. W każdej chwili może umrzeć.

— Zawsze jest jakaś nadzieja. Naprawdę nie możecie wybrać kogoś innego?

— Nie, jest już za późno, ale niezależnie od tego potrzebujemy właśnie pana. Pańska niezwykła wytrzymałość fizyczna stwarza większą szansę na przeżycie niż w przypadku wcześniejszych zabiegów profesora Zägela. Poza tym to ja będę operował, to będzie mój pierwszy raz. Chcę mieć możliwie najlepsze warunki, żeby zabieg się udał, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak bardzo jest ważny.

— Dla mnie ważne jest moje życie. Mam żonę i dwoje dzieci.

Odpowiadam za nich, muszę się nimi opiekować.

— Niech się pan nie martwi o rodzinę. Państwo zajmie się nimi w najlepszy możliwy sposób. Niczego im nie będzie brakowało.

— Ale ja nie chcę ich stracić. Nie chcę umierać!

— Przykro mi, ale nie ma innego wyjścia.

— Ale po co próbować powstrzymać to, co nieuniknione? Zägel i tak umrze, prędzej czy później. W najlepszym razie mam przed sobą tylko pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat życia.

— Tych kilkadziesiąt lat profesor Zägel wykorzysta w niezwykle cenny sposób. I proszę się uspokoić, w czasie operacji niczego pan nie poczuje.

— A co zrobicie z moim mózgiem? — ironizowałem. — Przeznaczycie go do badań?

— Nie, oczywiście, że nie. Planujemy go zamrozić. Niewykluczone, że za kilka lat, kiedy profesor Zägel udoskonali swoją metodę, spróbujemy znaleźć dla niego odpowiednie ciało. Może nawet odzyska pan swoje własne, choć wątpię, żeby państwo zaakceptowało coś takiego.

— Też w to wątpię. Profesor Zägel nadal będzie bardzo ważny. A co zrobicie, kiedy moje ciało się zużyje? Znajdziecie mu nowe?

— Być może. Ale to będzie zależało od stopnia zużycia mózgu.

— Czy wy nie macie żadnych ludzkich uczuć? — Nawet nie próbowałem kryć obrzydzenia, jakie odczuwałem do tego człowieka.

— Musi pan zrozumieć, dlaczego to robimy. Spójrzeć na to z naszego punktu widzenia. Jesteśmy głęboko przekonani, że wybieramy to, co będzie najlepsze dla naszego kraju. Oprócz swoich badań w dziedzinie medycyny profesor Zägel zajmuje się konstruowaniem robotów, które mogą pokonać tarcze obronne Rosjan.

Splunąłem na niego, ale nawet nie zareagował.

— Pójdę już. Następnym razem zobaczymy się na sali operacyjnej. Pańskiej żonie przyznano widzenie, dwie godziny. Przez ten czas nikt nie będzie wam przeszkadzał, to wasza sprawa, co będziecie robić.

Wester otworzył drzwi i do środka weszło dwóch strażników. Odpięli mnie od łóżka i wyszli, zanim zdążyłem się podnieść. Po kilku minutach

drzwi otworzyły się znowu i w pokoju pojawiła się Judith. Ze łzami w oczach rzuciła mi się w ramiona.

— Michael — wyszlochała. — Dlaczego, Michael? Dlaczego akurat ty?

— Po prostu mnie wybrali. Wiesz, co oni zamierzają?

— Powiedzieli mi. Ale oni nie mogą tego zrobić, Michael, powiedz, że nie mogą!

Westchnąłem.

— Niestety mogą. Usiłowałem się stąd wydostać, ale udało mi się przejechać tylko kawałek i złapała mnie policja.

— Ale przecież policja jest po to, żeby chronić ludzi.

— Policja robi to, co jej każe rząd. A w tym wypadku życie Zägela jest ważniejsze niż życie jakiegoś sportowca. Judith, obiecuj mi, że zaopiekujesz się Juniorem i Tiną. Postaraj się, żeby dzieci miały wszystko, co najlepsze.

— Och, Michael, nie możesz jakoś temu zapobiec?

— Jak?

Bezradnie rozłożyła ręce. Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. Pierwszy raz uświadomiłem sobie, jakie miałem cholerne szczęście, że udało mi się znaleźć taką kobietę jak Judith.

— Gdzie są dzieci? — zapytałem.

— Nie mogły ze mną przyjść. Powiedzieli, że są za małe, żeby to zrozumieć.

— Za małe... — powtórzyłem z goryczą.

— Będę o nie dbała.

Pociągnąłem ją na łóżko.

— Michael... Wester, tamten facet na korytarzu, powiedział, że mogą zamrozić twój mózg i potem znów go ożywić.

— Ale moje ciało będzie o dziesięć lat starsze, może nawet dużo więcej. Zresztą i tak nie sądzę, żeby mi je oddali, nawet gdy Zägel skończy swoje dzieło. Nadal będzie mógł w nim żyć, może przez pięćdziesiąt lat, podejrzewam, że państwo nie zechce marnować tego czasu na mnie.

Znów ją pocałowałem, najpierw delikatnie, potem mocno, natarczywie.

— Dali nam dwie godziny. Chcesz? Ostatni raz?

Zacząłem ją rozbierać. Dotykaliśmy się nawzajem, wzmagając podniecenie pieszczotami. W końcu rzuciliśmy się na łóżko i zaczęliśmy się kochać z większą czułością i oddaniem niż kiedykolwiek przedtem. Dla mnie to był ostatni raz, nigdy nie czułem większego uniesienia, nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo kocham życie. Mój ostatni raz. Raczej nie mogłem liczyć na to, że Judith spędzi resztę swoich dni w celibacie tylko dlatego, że mnie już nie będzie. Może ponownie wyjdzie za mąż? Jeśli tak, to za kogo? Nie mogłem znieść takich myśli.

Stopiliśmy się w jedno.

Potem leżeliśmy obok siebie i rozmawialiśmy. Judith paliła papierosa. Ja pieściłem ją w zamyśleniu. Dziwne, ale żadne z nas nie czuło rozpaczy ani strachu przed tym, co miało nadejść. Byliśmy spokojni i rozmawialiśmy, tak jakby to była normalna sytuacja, jakbym wyjeżdżał na zgrupowanie na kilka tygodni. Rozmawialiśmy tak, jakbym wkrótce miał do niej wrócić.

Zostawili nas samych na ponad dwie godziny, ale gdy mijała trzecia jeden ze strażników zapukał do drzwi, wsunął głowę i powiedział, że wkrótce musimy się rozstać. Ubraliśmy się, a raczej ona się ubrała, i pożegnaliśmy. Potem siedzieliśmy objęci, póki tamci znów nie zajrzeli.

Drzwi zamknęły się po wyjściu Judith, jeden z mężczyzn został w środku i próbował do mnie zagadywać, ale nie chciałem rozmawiać. Leżałem tylko na łóżku, gapiłem się w sufit i przywoływałem wspomnienie ust mojej żony. O wpół do piątej przyszedł drugi strażnik i powiedział, żebym się przygotował. Do zabiegu zostało jeszcze pół godziny. Zapytał, czy chcę porozmawiać z księdzem, ale odmówiłem. Potem zjawiała się pielęgniarka, która ogoliła mi głowę.

Byłem głodny, ale nie pozwolili mi nic zjeść. Równo o piątej pielęgniarka wtoczyła szpitalne łóżko i poleciła mi się na nim położyć, żeby można było mnie zawieźć na salę operacyjną.

— Co to, to nie — zaprotestowałem. — Mam nogi do chodzenia i ten ostatni kawałek drogi chciałbym przynajmniej pokonać o własnych siłach.

Nikt się nie sprzeciwił. Wstałem, włożyłem szorty i podążyłem za

pielęgniarką. Strażnicy szli za nami. Kiedy byliśmy na korytarzu, pomyślałem, że mógłbym znów spróbować ucieczki, ale wiedziałem, że to nic nie da. Złapałoby mnie w ciągu kilku minut. Zamiast tego wszedłem do windy. Nowy korytarz, nowe drzwi wahadłowe. Potem znalazłem się w sali operacyjnej. Pół tuzina osób zajmowało się przygotowaniami do zabiegu.

Podszedł do mnie Mark Wester. Skinął głową na powitanie i poprosił, żebym się położył. W sali znajdowały się dwa stoły operacyjne. Na jednym leżał już jakiś mężczyzna. Domyśliłem się, że to profesor Zägel. Przez kilka sekund pragnąłem rzucić się na niego, rozbić mu głowę i zmiażdżyć mózg. Wester przerwał moje te fantazje, złapał mnie za ramię i doprowadził do drugiego stołu. Położyłem się na nim, potem ktoś nakrył mnie liliowym prześcieradłem.

— Chciałbym podziękować panu za pomoc i chęć współpracy — powiedział Wester. — Bardzo dziękuję.

Poczułem ukłucie w ramię.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to myśl, że go nienawidzę. Nienawidzę go. Nienawidzę...

Henning Mankell i Håkan Nesser

NIEPRAWDOPODOBNE SPOTKANIE

Nagle Wallander uświadomił sobie, że nie wie, gdzie jest. Dlaczego ona nie mogła po prostu przyjechać do Ystad?

Na autostradzie, gdzieś na północ od Kassel, zwątpił, czy w ogóle da się jechać dalej. Padał gęsty śnieg. Już wtedy obawiał się, że się spóźni na spotkanie z córką. Dlaczego Linda uparła się, żeby koniecznie spędzać święta gdzieś w Europie?

Zapalił światło w aucie i wyciągnął mapę. Oświetlona reflektorami droga była pusta. Kiedy źle zjechał? Wokół niego była tylko ciemność. Nagle zaczął się obawiać, że całą Wigilię spędzi w samochodzie. Będzie błądził po tych europejskich drogach i nigdy nie znajdzie Lindy.

Popatrzył na mapę. Gdzie on w ogóle jest? A może przekroczył jakąś niewidoczną granicę i trafił do kraju, który nie istnieje? Odłożył mapę i ruszył dalej. Śnieg nagle przestał padać.

Po dwudziestu kilometrach zatrzymał się na skrzyżowaniu. Odczytał nazwy na drogowskazach i próbował odnaleźć je na mapie. Bez powodzenia. Szybko zdecydował, że najlepiej będzie znaleźć kogoś, kogo można zapytać o drogę. Skręcił w stronę miejscowości, która, jak wynikało z drogowskazów, była najbliżej.

Miasteczko było większe, niż się spodziewał, ale jego ulice wydawały się opustoszałe. Wallander zatrzymał się przed restauracją, która wyglądała na otwartą. Zgasił silnik i poczuł, że jest głodny. Wyszedł w ciemność.

Restauracja tchnęła klimatem tej Europy, której już prawie nie było. Znieruchomiały czas, silny zaduch dymu papierosowego. Na brązowych

ścianach głowy jeleni i szyldy herbowe sąsiadowały w najlepsze z reklamami piwa. Bar — też brązowy, bez gości, stoliki oddzielone ciemnymi przegrodami, mniej więcej jak boksy w stajni. Przy stołach cienie pochylone nad kuflami piwa. W tle głośniki. Kolędy. *Cicha noc*.

Wallander rozejrzał się za wolnym stolikiem. Jedno piwo, pomyślał. A potem sensowny opis dalszej drogi. I telefon do Lindy. Czy zdążę dojechać dziś wieczorem, czy nie?

W jednym z boksów siedział samotny mężczyzna. Wallander zawahał się chwilę. W końcu podjął decyzję. Podeszedł do stolika i wskazał ręką miejsce naprzeciwko. Mężczyzna skinął. Wallander mógł usiąść.

Mężczyzna po drugiej stronie stolika był zajęty posiłkiem. Podeszedł do nich starszawy kelner o smutnej twarzy. Gulasz? Wallander pokazał talerz i kufel z piwem. Czekał. Facet naprzeciwko jadł nieśpiesznie.

Wallander pomyślał, że mógłby przynajmniej spróbować zainicjować rozmowę. Zapytać o drogę, dowiedzieć się, gdzie w ogóle jest. Kiedy mężczyzna skończył jedzenie i odsunął talerz, skorzystał z okazji.

— Nie chciałbym przeszkadzać — zaczął ostrożnie — ale może mówi pan po angielsku?

Mężczyzna skinął powoli głową.

— Poblądziłem — powiedział Wallander. — Jestem Szwedem, policjantem, jadę na Wigilię do córki. Ale zgubiłem drogę. Nawet nie wiem, gdzie teraz jestem.

— Maardam — odparł mężczyzna.

Wallander przypomniał sobie drogowskaz. Lecz nie pamiętał, żeby widział tę nazwę na mapie. Powiedział, dokąd chce dojechać.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Do wieczora pan tam nie dojedzie — powiedział. — To za daleko. Zboczył pan z drogi.

A potem się uśmiechnął. Zupełnie niespodziewanie. Jakby jego twarz pękła na pół.

— Ja też jestem policjantem — wyznał.

Wallander spojrział na niego zaskoczony. A potem wyciągnął rękę.

— Wallander — przedstawił się. — Policja kryminalna. W szwedzkim mieście o nazwie Ystad.

— Van Veeteren — powiedział mężczyzna. — Policjant z Maardam, tutejszy.

— Dwóch samotnych policjantów — stwierdził Wallander — z których jeden zgubił drogę. Niewesoła sytuacja.

Van Veeteren znów się uśmiechnął, kiwając głową.

— Ma pan rację — przyznał. — Dwaj policjanci spotykają się tylko dlatego, że jeden z nich popełnił błąd.

— Tak to wygląda — zgodził się Wallander.

W tej samej chwili na stole pojawiło się zamówione przez niego jedzenie.

Van Veeteren podniósł szklankę i przepił do niego.

— Niech pan je powoli — poradził. — Ma pan czas.

Wallander pomyślał o Lindzie. O telefonie, który miał wykonać. Ale uświadomił sobie, że ten mężczyzna o dziwnym nazwisku, który też jest policjantem, ma rację.

Spędzi Wigilię w tym przedziwnym miejscu o nazwie Maardam, którego nawet nie było na mapie, jak podejrzewał.

Tak to wyglądało.

Nic nie można było na to poradzić.

Podobnie jak na wiele innych spraw w życiu.

Wallander zadzwonił do Lindy. Oczywiście była rozczarowana. Ale rozumiała.

Po skończeniu rozmowy Wallander stał jeszcze chwilę przed budką telefoniczną.

Kolędy wprawiały go w melancholię.

Nie znosił melancholii. Zwłaszcza w Wigilię.

Na dworze znów zaczął padać śnieg.

Van Veeteren nadal siedział w boksie i wpatrywał się w dwie skrzyżowane wykałaczki. Zastanawiające, myślał. Byłem prawie pewny, że nie będę musiał z nikim gadać, zanim nie zajaśnieje świąteczny ranek... aż

tu zjawia się ten człowiek.

Szwedzki policjant? Zabłądził w śnieżycy?

Nieprawdopodobne, jak samo życie. Zresztą to, że on sam się tu znalazł, też nie było zaplanowane. Po obowiązkowym przedświątecznym lunchu z Renate i telefonach po południu do Erika, Jess i wnuków zrobił sobie kąpiel w pianie ze szklanicy ciemnego piwa i Haendlem na cały regulator. W oczekiwaniu na wieczór.

Wigilijne szachy z Mahlerem w Stowarzyszeniu.

Tak samo jak w zeszłym roku. I rok wcześniej.

Mahler zadzwonił tuż przed szóstą. Ze szpitala w Aarlach, gdzie ów stary poeta utknął razem ze swoim jeszcze starszym ojcem i świeżym złamaniem szyjki kości udowej.

Szkoda witalnego dziewięćdziesięciolatka. Szkoda otwarcia szachowego, jakie wymyślił w wannie. Tylu rzeczy szkoda.

Kiedy w śniegowej zamieci dotarł jednak do Stowarzyszenia, uświadomił sobie, że bez Mahlera nie ma tam czego szukać. Przeszedł jeszcze kilka kwartałów w stronę Zwille, aż w końcu na chybił trafił wybrał jakąś restaurację. Musiał coś zjeść tak czy inaczej. Może nawet się napić.

Szwedzki policjant wrócił z ponurym uśmiechem na twarzy.

— Dodzwonił się pan? Przepraszam, może mi pan przypomnieć swoje nazwisko?

— Wallander. Tak, udało się. Przesunęliśmy wszystko o jeden dzień.

W jego oczach nagle pojawiło się łagodne ciepło, nie było wątpliwości, skąd się wzięło.

— Czasem fajnie jest mieć córki — stwierdził Van Veeteren. — Nawet jeśli trudno do nich dojechać. Ile pan ma córek?

— Tylko jedną — odparł Wallander. — Ale jest w porządku.

— U mnie tak samo — powiedział Van Veeteren. — Mam jeszcze syna, jednak to co innego.

— Wyobrażam sobie — przyznał Wallander.

Smutny kelner podszedł do ich stolika i zapytał, czy mają jeszcze jakieś życzenia.

— Osobiście piwo wolę pić w samotności — odezwał się Van Veeteren.
— A w towarzystwie wino.

— Powinienem pomyśleć o jakimś noclegu — przypomniał sobie Wallander.

— Już to zrobiłem — stwierdził Van Veeteren. — Czerwone czy białe?

— Dziękuję — ucieszył się jego szwedzki kolega. — W takim razie bierzemy czerwone.

Kelner znów wycofał się pomiędzy cienie. Przy stoliku na kilka chwil zapadła cisza, a z głośników popłynęło akurat *Ave Maria* w jakimś mało znanym wykonaniu.

— Dlaczego został pan policjantem? — zapytał Wallander.

Van Veeteren przyglądał mu się przez moment, zanim odpowiedział.

— Tyle razy zadawałem sobie to pytanie, że już nawet nie pamiętam odpowiedzi — odparł. — Ale pan jest pewnie z dziesięć lat młodszy, więc może pan jeszcze to wie?

Wallander rozciągnął usta w uśmiechu i odchylił się na oparcie krzesła.

— Tak — oświadczył. — Ale przyznaję, że czasem muszę się zatrzymać i sobie o tym przypomnieć. To z powodu zła. Chciałem je zwalczać. Jednak problem polega na tym, że najwyraźniej zbudowano na nim znaczną część naszej cywilizacji.

— Pewne elementy nośne w każdym razie — zgodził się Van Veeteren. — Choć myślałem, że Szwecji udało się uniknąć tych najgorszych wynaturzeń... Szwedzki model, poczucie wspólnoty... Czytało się przecież o takich rzeczach.

— Ja też kiedyś w to wierzyłem — wyznał Wallander. — Jednak od tego czasu minęło kilka lat...

Kelner wrócił z czerwonym winem i deską serów na koszt firmy. *Ave Maria* wybrzmiało, teraz dały się słyszeć niskie tony instrumentów smyczkowych.

Wallander podniósł kieliszek, lecz wstrzymał się, nastawił uszu.

— Zna pan to? — zapytał.

Van Veeteren skinął.

— Villa-Lobos — powiedział. — Jaki to utwór?

— Nie pamiętam — odparł Wallander. — Ale jest tam osiem wiolonczeli i sopran. Cholernie piękne. Niech pan posłucha.

Przez chwilę siedzieli bez słowa.

— Wygląda na to, że mamy ze sobą dużo wspólnego — odezwał się wreszcie Wallander.

Van Veeteren skinął głową z zadowoleniem.

— Też mam takie wrażenie — przyznał. — A jeśli jeszcze gra pan w szachy, to niech mnie diabli, chyba jest pan wytworem mojej wyobraźni.

Wallander łknął wina. Potem potrząsnął głową.

— Bardzo kiepsko — odparł. — Z brydżem jest lepiej, ale i tak żaden ze mnie mistrz.

— Brydż? — powtórzył Van Veeteren, odkrawając jedną trzecią camemberta. — Nie grałem od trzydziestu lat. Za moich czasów grywało się w czwórkę.

Wallander uśmiechnął się i wykonał dyskretny ruch głową.

— Tam siedzi dwóch facetów nad talią kart.

Van Veeteren wychylił się zza przegrody i popatrzył w tamtą stronę.

Rzeczywiście. W boksie kilka metrów dalej siedziało dwóch mężczyzn. Ze znużonymi minami kładli między sobą karty. Jeden był wysoki, szczupły i lekko przygarbiony. Drugi stanowił jakby jego przeciwieństwo: niski, przysadzisty i z poważną miną. Obaj zbliżali się do pięćdziesiątki, sądząc po zmarszczkach i włosach.

Van Veeteren wyprostował plecy.

— *All right* — rzucił. — Wigilia jest tylko raz w roku. Spróbujmy ich zaatakować.

Niecałe dziesięć minut później licytacja trwała w najlepsze, a po upływie kolejnych dwudziestu pięciu para Wallander – Van Veeteren wzięła cztery duple pik.

— Czysty przypadek — wymamrotał ten niższy.

— Czasem nawet ślepej kurze trafi się ziarno — rozwinął myśl wyższy.

— Dwóm — poprawił go Van Veeteren. — Dwóm ślepym kurom.

Wallander niezbyt wprawnymi ruchami tasował karty.

— A czym panowie zajmują się na co dzień? — zapytał Van Veeteren, z wdzięcznością przyjmując papierosa.

— Pisaniem — powiedział wyższy.

— Powieści kryminalnych — dodał niższy. — Jesteśmy nawet stosunkowo znani. Przynajmniej w naszym kraju. Przynajmniej ja. Zabłądziliśmy po drodze, dlatego tu teraz siedzimy.

— Coś wiele zabłądzeń tego wieczoru — zauważył Van Veeteren.

— Pisarze kryminałów często błędzą — stwierdził Wallander i zaczął rozdawać karty. — To też musi być dość ciężka branża.

— Na pewno — zgodził się jego towarzysz.

Byli mniej więcej w połowie kolejnej partii — licytacja bez atutu z bardziej znanym pisarzem jako rozgrywającym — kiedy kelner nieproszony wyłonił się z cieni. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— Czy mógłbym panom przypomnieć — zaczął unizonym tonem — że za dziesięć minut zamykamy? Jest Wigilia.

— Co u diabła?... — zachnął się Wallander.

— Co do cholery? — rzucił Van Veeteren.

Wysoki autor kryminałów odkaszlnął i kiwnął palcem wskazującym. Jednak głos zabrał ten niski i sławniejszy.

— A czy ja ze swojej strony mógłbym przypomnieć — powiedział bez śladu uniżenia w głosie — że bycie pisarzem ma przynajmniej jedną dobrą stronę...

— ...nawet jeśli czasem błędzimy — wtrącił wyższy.

— ...to my piszemy dialogi — dokończył niższy. — Więc niech pan będzie tak cholernie dobry i powtórzy tę scenę!

Kelner skłonił się i odszedł. Po kilku sekundach wrócił z pękiem kluczy. Znow się skłonił i odchrząknął.

— W imieniu właściciela chciałbym życzyć panom miłego wieczoru wigilijnego — powiedział. — Mogą panowie korzystać z baru, w lodówce są wędliny. Proszę zamknąć drzwi, kiedy będą panowie wychodzić, i pamiętać

o wrzuceniu kluczy do skrzynki na listy.

— Wspaniale — stwierdził Van Veeteren i wydmuchał kółko dymu. —
A więc została jednak na świecie jeszcze odrobina zdrowego rozsądku
i życzliwości.

Kelner wycofał się tym razem na dobre. Kiedy wychodził z lokalu, przez
moment dało się słyszeć odgłos wichury, ale zaraz zimowa noc znów otuliła
tę małą restaurację w miasteczku, którego nawet nie było na mapie.

Zdrowy rozsądek? — pomyślał Kurt Wallander i wyszedł trójką do
waleta. Życzliwość?

Jeśli już, to tylko w noc wigilijną.

I w towarzystwie fikcyjnych poetów.

Zresztą jacy tam z nich poeci! — pomyślał chwilę później. Osiem
powieści i ani jednej pieprzonej linijki białego wiersza!

Jutro spotka się z Lindą.

Magnus Montelius

ALIBI SEÑORA BANEGASA

Byli sami w małym pokoju przesłuchań. Prawnik posłał mu ponure spojrzenie spod ciężkich powiek. Adwokat miał zaczerwienioną twarz i zmierzwiłone włosy, najwyraźniej święta były dla niego męczące. Witamy w klubie, pomyślał Adam.

— Twierdzisz zatem — westchnął adwokat — że jesteś niewinny, i że to niesłuszne oskarżenia?

Adam przytaknął.

— Ale wcześniej do wszystkiego się przyznałeś?

— To skomplikowane.

Prawnik wyglądał teraz na jeszcze bardziej zmęczonego. Było jasne, że nie wierzy Adamowi i nie ma najmniejszej ochoty na skomplikowaną sprawę. Mimo wszystko należało wysłuchać go jeszcze raz. Od początku.

Señor Banegas pociągnął ostrożnie łyk grzanego wina i rozejrzał się wokół z zadowoleniem. Byli z Adamem jedynymi gośćmi w barze hotelu Reisen, co nie dziwiło specjalnie w dzień przed Wigilią.

— Nie jest to zły plan, nieprawdaż?

Adam nie był w stanie wykrztusić słowa. To bez wątpienia najgłupszy pomysł, jaki kiedykolwiek słyszał.

Banegas uśmiechnął się krzywo.

— Jest to trochę niezręczne, nie przeczę. Poza tym to dla mnie spory wydatek. Lecz miłość, przyjacielu, warta jest każdej ofiary.

Señor Banegas był honduraskim ministrem infrastruktury, a ponadto dobrze prosperującym pośrednikiem w wymianie przysług oraz gestów

wdzięczności. Przyjechał z delegacją ponad tydzień temu. Ten absurdalny termin wizyty wybrano w związku ze świątecznymi wyprzedażami, dlatego politycy przyjechali z żonami.

Banegas podkreślił szpakowatego wąsa.

— Adamie, powtarzam ci to ze śmiertelną powagą. Człowiek nigdy nie wie, kiedy spotka go wielka miłość.

Jednocześnie Banegas był zaskakująco tajemniczy w kwestii obiektu swojej namiętności.

Po chwili znów się odezwał, jakby czytał w myślach Adama:

— Obaj jesteśmy dżentelmenami, więc wiem, że nie muszę podawać nazwiska tej młodej damy. Dobrze. Jak już wspomniałem, problem stanowi moja żona — westchnął. — Jest szalona, i to w jak najbardziej klinicznym znaczeniu tego słowa.

Adam gotów był się z nim zgodzić. Podczas wizyt w Hondurasie spotykał panią Banegas na przyjęciach. Pulchną kobietę o czujnym spojrzeniu, zdającym się śledzić każdy ruch męża.

— Kiedy jej powiedziałem, że zostaniemy tydzień dłużej, tylko we dwoje, i spędzimy święta w Sztokholmie, najpierw bardzo się ucieszyła. Później jednak stała się zazdrosna i podejrzliwa. Dlaczego to zaproponowałem? Czyżbym planował się tu z kimś spotkać? Mówię ci, ona jest szalona!

Najwyraźniej nie aż tak, pomyślał Adam, lecz powiedział tylko:

— I w tym momencie pojawia się ja...

Banegas rozłożył szeroko ręce.

— Dokładnie tak. Wytłumaczyłem jej, że niestety nie mogę spędzać z nią całych dni, choćbym nie wiem jak chciał. I że to mój stary druh Adam Dillner kradnie mi czas, ponieważ muszę mu pomóc w interesach między Hondurasem a firmą, którą reprezentuje. Nie mogłem mu przecież odmówić. To moja żona zrozumiała. W naszym kraju coś takiego jest najzupełniej normalne.

— Nie tutaj.

— Ale ona o tym nie wie.

Po raz pierwszy Adam musiał przyznać mu rację.

Banegas wyłowił z kieszeni kartkę i położył ją na stole.

— Pozwoliłem sobie spisać program spotkań, który mi dałeś — oznajmił.

— Na waszym papierze firmowym.

Skąd go wziął? — przemknęło Adamowi przez myśl.

— Dość napięty — zauważył.

Banegas powolnym gestem położył na sercu prawą dłoń.

— Przyjacielu, jestem zakochany — powiedział nieco ciszej. — Proszę, abyś wiernie trzymał się naszej wersji. Wytłumacz swojej rodzinie, że spotykasz się z ważnym klientem i oczywiście przebywaj poza domem w godzinach zapisanych w programie. Jak już wspomniałem, moja żona jest dość niestabilna i może jej wpaść do głowy, żeby cię sprawdzić. Ta prośba to zatem zwykły środek ostrożności.

Adam spojrział na program. Błąkanie się całymi dniami w śnieżycy tylko po to, żeby ten niewierny mąż Banegas miał zapewnione alibi, wydało mu się skrajnie niedorzeczne. Istniały przecież bardziej konwencjonalne i świetnie sprawdzone sposoby na nawiązanie biznesowych kontaktów z przedsiębiorcami z Ameryki Centralnej. Tak się jednak złożyło, że absurdalna propozycja Banegasa była dokładnie tym, czego Adam potrzebował.

— Dziadku, dziadku, dziadku!

Max i Ada biegali jedno za drugim wokół salonu, potem przez przedpokój, kuchnię i z powrotem do pokoju. Adam podszedł do kuchennej wyspy i dolał sobie wina.

Kattis posłała mu wymowne spojrzenie.

— Adam, dziś ma być miło.

Po chwili do kuchni weszła jego teściowa z pustym kieliszkiem w dłoni. Potknęła się o dywan i wymamrotała coś niezrozumiale. Potem obróciła karton z winem i zmarszczyła nos.

— Nie macie hiszpańskiego? Na przykład riojy?

Nie minęło jeszcze dziesięć godzin, odkąd ich samolot wystartował z lotniska w Maladze.

Kattis wyjęła z piekarnika tacę z pierniczkami.

— Adam, możesz sprawdzić?

Teściowa zdążyła już jednak zapomnieć, o co pytała, i napełniła sobie kieliszek.

— Myślałam, żeby zrobić dzisiaj ciągutki — oznajmiła. — Te biedactwa nie mają na święta prawie żadnych słodczy.

— Staramy się ograniczać spożycie cukru.

— Ależ drogi Adamie, naprawdę nie można dać się zwariować tym wszystkim dietom.

— Nie o to chodzi.

Kattis upuściła wałek.

— Świetny pomysł, mammo!

— Dzieci! Co powiecie na babcine ciągutki?! — zawołała teściowa w stronę salonu.

Odpowiedział jej radosny wrzask. Adam musiał przyznać w duchu, że jego dzieci były gotowe oddać duszę za odrobinę roztopionego cukru.

— Widzisz? — bąknęła teściowa i chwiejnie podążyła do salonu.

Adam odwrócił się i spojrzał na Kattis.

— Adam! — syknęła.

W salonie dziadek bawił się z Maxem i Adą, a babcia przeglądała stare czasopisma, które wyłożyła dla niej Kattis. Gdy Adam i Kattis weszli do pokoju, teść nalał sobie szklaneczkę whisky, po czym rozsiadł się w fotelu, szeroko rozkładając ramiona na oparciu.

— Katarina opowiadała mi o tym twoim Meksykaninie — zaczął.

— To Honduranin.

— Przecież mówię. — Teść niecierpliwie machnął dłonią i wbił w Adama świdrujący wzrok. — Powiedz mi, jak to możliwe, że mąż, ojciec rodziny, zostawia żonę samą w domu praktycznie na całe święta, żeby robić za przewodnika dla jakiegoś Peruwianina?

— Hond...

— Z dwójką dzieci i dziadkami na głowie?

— Tato, wszystko jest w porządku. Omówiliśmy to z Adamem. To jego

praca.

— To po to się tyle nagadaliśmy o równouprawnieniu? Powiedz no, Adamie, dlaczego on jest dla ciebie taki ważny? Ten... Honduranin?

Adam się zawahał.

— Staramy się o zlecenie na budowę drogi. Autostrady łączącej Honduras z Nikaraguą. A ten Banegas...

— Adamie, Adamie, Adamie. — Teść pokręcił głową. — To są przestarzałe rozwiązania. Dlaczego nie wybudujecie torów kolejowych?

Teściowa odłożyła gazetę na kolana i zwróciła się do Kattis:

— Twój ojciec jest przewodniczącym stowarzyszenia na rzecz ochrony środowiska w Torremolinos. Zostaliśmy aktywistami.

— To świetnie, mamo!

Adam bez entuzjazmu zaczął opowiadać o infrastrukturze Hondurasu, ale po chwili teść mu przerwał.

— Im tam nie trzeba nowej drogi do Nikaragui. Niech się lepiej zaczną martwić zmianami klimatycznymi.

— Boże, Göran, ty zawsze masz rację! — wykrzyknęła teściowa. — Zapisz to sobie, Adamie!

Adam podniósł się powoli.

— To może ja nakryję do stołu...

Gdy wszedł do kuchni, usłyszał za plecami głos teściowej:

— Nigdy nas nie słucha...

Nazajutrz była Wigilia, ale zgodnie z programem Banegasa, Adam miał przez pół dnia pokazywać mu rozwiązania drogowe na autostradzie Södra länken. Wprost nie mógł się tego doczekać.

Dzięki planowi Banegasa, w Wigilię Adam mógł spędzić kilka godzin w kawiarni przy Nybrogatan. Zabrał ze sobą książkę, którą sam sobie dał w prezencie, ale przez większość czasu popijał kawę i obserwował przez szybę ludzi biegających w gorączce świątecznych zakupów. Nie miał już nic do załatwienia, nic poza siedzeniem tu, by zapewnić alibi roznamiętnionemu ministrowi infrastruktury.

Banegas nie miał odwagi zostawić żony samej w pierwszy dzień świąt, dlatego Adam spędził go w domu z rodziną i teściami. Było gorzej niż zwykle. Rodzice Kattis wypracowali z czasem tyle świątecznych tradycji, że święta przypominały niezdarnie wyreżyserowane ceremonie. Każdy szczegół był arcyważny i nikt nie miał prawa ingerować w porządek wieczoru.

Przede wszystkim chodziło o rodzinne gry i zabawy, w których Adam wciąż był najgorszy, mimo że byli z Kattis małżeństwem od dziesięciu lat: szukanie ukrytej figurki Mikołaja siedzącego na śwince, wyścig po migdały oraz coś, co sprowadzało się do uderzania w głowy współbiesiadników woreczkami z piaskiem, które specjalnie na tę okazję teściowa przywoziła z Hiszpanii. Adam niechętnie dawał się w to wciągać, wiedział jednak z doświadczenia, że jeśli odmówi, będzie o wiele gorzej. A ponieważ jako jedyny wciąż nie pojmował zasad tych gier, ku wielkiej uciechy teścia przegrywał za każdym razem. Musiał też ze smutkiem przyznać, że dzieci uczestniczyły w owych zabawach z wielkim entuzjazmem.

Wieczór zawsze kończył się quizem dotyczącym szczegółów z życia rodziny. I chociaż — zdaniem pozostałych — Adam dostawał najłatwiejsze pytania, nie był w stanie poprawnie na nie odpowiedzieć.

— Ależ Adamie! — wykrzyknęła teściowa. — Przecież pytanie o stare zardzewiałe audi ciotki Lotty dostałeś już w zeszłym roku!

Nazajutrz przypadał drugi dzień świąt. Szykowało się tradycyjne śniadanie z waflami, spędzane przed telewizorem, potem spacer i podchody, następnie lunch z siostrą Kattis, mającą w Sztokholmie przesiadkę w drodze z Australii, i na koniec zabawa rodzinna *Gdzie się podział Krokostół?*

Na szczęście Banegas miał tego dnia napięty program.

* * *

Adam postanowił zainstalować się w kawiarni Muzeum Archeologii Śródziemnomorskiej. Zgodnie z rozpiską, miał dziś pokazywać Banegasowi stacje paliw z biogazem. Natomiast wieczorem, w domu, czekały go jeszcze

głupsze zajęcia, nie pamiętał już jakie.

Był całkiem pochłonięty lekturą, kiedy w kieszeni zabrzęczała mu komórka. Dzwonił Banegas.

— Adamie, mamy problem. Musimy się natychmiast spotkać.

W odpowiedzi na swoje protesty i prośby o wyjaśnienie Adam słyszał tylko zniecierpliwione syknienia.

— Musimy się zobaczyć. Czekam w barze hotelu Reisen.

Brodząc w śniegu, Adam ruszył przez most na Stare Miasto, zastanawiając się, jak to możliwe, że dał się w to wplątać.

Banegas wyglądał na spokojnego. Siedział rozparty na krześle, ze szklanką grzanego wina w dłoni. Wszystko wskazywało na to, że zdążył już wypić niejedną. Od razu przeszedł do rzeczy:

— Mamy problem z wieczornym programem.

My? — przemknęło Adamowi przez myśl.

— Zdecydowałem się na wycieczkę promową do Hammarby Sjöstad, bo moja żona nie wsiądzie na żaden statek. Teraz się okazuje, że da się tam dotrzeć lądem, o czym nie raczyłeś mnie poinformować. — Banegas przewiercił Adama wzrokiem. — W tej sytuacji żona jest oczywiście gotowa mi towarzyszyć.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego dałem się wciągnąć w plan Banegasa? — wyrzucał sobie w myślach Adam.

— Doskonale wiesz, Adamie, że to wykluczone. Dlatego w ostatniej chwili zmieniłeś nasz program i zabierasz mnie do opery.

— Do opery?

— Ona nienawidzi opery. Dla pewności powiedziałem jej jeszcze, że będzie nam towarzyszył señor Harald Thorvaldsson z Rady Rozwoju Eksportu i że później zjemy kolację w restauracji Gyldene Freden, żeby pomówić o interesach. — Banegas pomachał wizytówką Thorvaldssona, jakby to był zwycięski kupon. — Thorvaldsson da mi ją w trakcie kolacji i tym samym będę miał dowód, że powiedziałem jej prawdę.

W rzeczywistości niezwykle trudno było umówić się z kimś z Rady Rozwoju Eksportu nawet w godzinach pracy. A zatem przekonanie kogoś

stamtąd, by spędził wieczór drugiego dnia świąt w operze z honduraskim ministrem, zdawało się całkiem wykluczone. Adam był jednak pewien, że gdyby podsunął Banegasowi ten argument, ów odpowiedziałby, że jego żona nie ma o tym pojęcia.

Banegas wyłowił kartkę z programem z kieszeni marynarki.

— Dlatego muszę cię prosić, żebyś zmienił nasz program. — Podał Adamowi długopis i uśmiechnął się przyjaźnie. — Najlepiej zrób to odręcznie.

Adam działał jak w transie. Przekreślił punkt z wizytą w Hammarby Sjöstad i na marginesie dopisał wizytę w operze, zgodnie z instrukcjami Banegasa.

— Nie zapomnij zanotować, że będzie nam towarzyszył señor Thorvaldsson — dodał minister.

Zaraz po tym Banegas wyjął z kieszeni bilety na wieczorny spektakl *Don Giovanni* i ostrożnie oderwał jeden wzdłuż perforacji.

— Ten jest dla ciebie, Adamie. Jak widzisz, niczego nie pozostawiam przypadkowi.

— Czy to naprawdę konieczne?

— Nalegam.

Gdy wyszli na ulicę, Banegas objął Adama.

— Adamie, jak ja ci się...

Honduranin urwał w połowie zdania, gdyż stracił grunt pod nogami. Trzymając się w objęciach runęli obaj w stronę zaśnieżonych schodów. Adam zdążył się wyswobodzić i utrzymać równowagę, ale w chwili gdy był już pewien, że uda mu się nie przewrócić, przebił nogą lód na zamarznętej kałuży i lodowata woda chlusnęła mu do buta.

— Cholera jasna! — wykrzyknął.

Banegas spojrział na niego z wyrzutem.

— Drogi przyjacielu, nie wiem, co to miało znaczyć, ale z pewnością nie mamy powodu do niepokoju. Obaj jesteśmy cali i zdrowi.

Honduranin zerknął na but Adama.

— Przykro mi z powodu twojego buta — dodał. — Ale zgodzisz się ze

mną, że są na świecie większe tragedie. — Spojrzał na zegarek. — Nie mam czasu na pogaduszki. Pamiętaj, że zgodnie z naszym programem, po wieczornym przedstawieniu jemy razem kolację. Nie wracaj do domu przed północą.

To rzekłszy, minister pośpiesznie oddalił się w stronę Ogrodów Królewskich.

W domu świeciły się wszystkie lampy. Adam schował się za ośnieżonymi krzewami bzu. Według instrukcji, nie miał prawa tu być, ale nie mógł nic na to poradzić. Czuł, że zamarza mu stopa. W pralni stały jego gumowe kalosze oraz kosz z brudnymi, ale suchymi i ciepłymi skarpetami, a klucz do piwnicy leżał w szklarni, w trzeciej doniczce od prawej. Doskonale, zdążył pomyśleć, nim dostrzegł, że drzwi do piwnicy są otwarte na oścież. Dzieciaki znów się tam bawiły, a przecież ciągle im powtarzał, żeby... Poza tym w okolicy zdarzały się ostatnio włamania.

Adam ruszył truchtem przez trawnik w stronę drzwi, klnąc w myślach przy każdym kroku, bo w bucie chlupotała mu lodowata woda.

Wszedłszy do piwnicy, bezszelestnie podszedł do kosza z brudną bielizną i już miał zacząć go przetrząsać, gdy ujrzał jakiegoś mężczyznę. Serce podskoczyło mu do gardła i z trudem stłumił krzyk. Jasne, że był to... W dłoni złodzieja błysnął metalowy przedmiot! Adam gorączkowo rozejrzał się po piwnicy; jego wzrok spoczął na desce, która została po niedawnym remoncie. Doskonale. Sięgnął po nią i podkradł się bliżej złodzieja. Pulsowało mu w skroniach. Ożeż, kurwa...

Pierwsze rąbnięcie wymierzył metalowemu przedmiotowi. Drugie temu skurwielowi. Potem uniósł deskę raz jeszcze, czując, że ślizga mu się stopa. Stracił równowagę, ale dokończył dzieła. Nie, za wysoko, prosto w głowę. I zdecydowanie za mocno! Rozległ się przykry, głuchy łomot, a potem Adam poczuł lekki wstrząs w ręce i w całym ciele, jakby siłę odrzutu. W końcu złodziej runął na ziemię, rżąc cicho.

Niech to szlag, co ja mu zrobiłem? Chyba go nie... Z ucha mężczyzny wyciekła gruba strużka krwi. Spłynęła w dół i zmieszała się z krwią na

policzku. Adam w panice szukał jakichś oznak życia. Żeby tylko nie... Drżącymi dłońmi ostrożnie obrócił leżącego na plecy i ujrzał dobrze mu znaną twarz, pięknie opaloną dzięki regularnym, wielogodzinnym wizytom na polach golfowych w Torremolinos. Z dłoni teścia wytoczyła się zgaszona latarka. Adam przytknął dwa palce do tętnicy szyjnej leżącego. Nic. Nie, nie, nie, to nie może być prawda! Niech się dzieje co chce, byle nie to!

W górze rozległy się rytmiczne pokrzykiwania dzieci.

— Gdzie się podział Krokosłoń?! Gdzie się podział Krokosłoń?!

Wyrzucić deskę, znaleźć skarpety, założyć gumowce. Kurwa, kurwa, kurwa. Adam pędem przebiegł przez ogródek, wpadł do lasu i pognął do następnej stacji metra. Na wszelki wypadek. Cisnął przemoczone buty do kontenera przy jakiejś budowie, a potem zwymiotował na peronie. To nie może być prawda. W pubie na dworcu centralnym wypił duszkiem piwo i od razu zamówił następne. Pomogło o tyle, że przestały mu się trząść ręce. Co on najlepszego zrobił? Przecież to był wypadek! Niby nie, ale jednak!

Biegnąc przez las, obiecał sobie, że przynajmniej się nad tym zastanowi. Teraz, w połowie trzeciego piwa, był już zdecydowany. No bo w czym to pomoże? Jeśli przyzna się do winy, nie przywróci tym życia Göranowi. Ponadto nie więzienia Adam najbardziej się bał — przerażała go myśl, jak zareagują dzieci. Co sobie o nim pomyślą? Na zawsze pozostanie dla nich kimś, kto zamordował ich ukochanego dziadka. A Kattis? Nie, nie, lepiej siedzieć cicho.

W salonie czekało dwoje policjantów. Byli bardzo spokojni i ubrani po cywilnemu.

— Zabrano już ciało — szepnął Adamowi jeden z nich, starszy mężczyzna przypominający szefa kadr w jego firmie.

Koleżanka funkcjonariusza miała włosy związane w prosty koński ogon oraz niezgłębioną minę. Wciąż mierzyła Adama wzrokiem, od stóp do głów. Czyżbym miał na sobie jakieś plamy krwi? — zastanawiał się gorączkowo. Przecież dokładnie sprawdziłem!

Policjant wyglądający jak szef kadr w firmie Adama wziął go na stronę.

— Paskudny wypadek. Domyślam się, że jesteście państwo w szoku.

Potem zdał mu relację z wydarzeń w piwnicy. Adam jakby skądś je znał...

— Ostatnio w tej okolicy zgłoszono wiele włamań — dodał po chwili policjant. — Pański teść musiał zostawić otwarte drzwi i ktoś go zaskoczył. Teść bawił się z dziećmi w jakąś grę... yyy...

— *Gdzie się podział Krokostół?* — uzupełniła policjantka, zerknąwszy do swoich notatek.

— Właśnie — podjął funkcjonariusz. — Wie pan, międzynarodowe szajki włamywaczy nie rekrutują ludzi ze szkółek niedzielnych. Złodziej mógł zostać nakryty, więc nie wahał się zabić. Może się, niestety, okazać, że do tej pory zdążył już opuścić kraj.

Adam powoli pokręcił głową i mocno zacisnął szczęki, żeby ukryć, jak bardzo mu ulżyło.

— Naturalnie, bierzemy też pod uwagę inne scenariusze — dodała policjantka.

Adam nie odezwał się już ani słowem. O wiele bardziej podobał mu się jej kolega.

Resztę wieczoru spędził na pocieszaniu Kattis. Teściowa zajęła się dziećmi, udowadniając, że w ciężkich chwilach potrafi być silna i zarazem wrażliwa. Adam zastanawiał się, czy nie oceniał jej zbyt surowo przez te wszystkie lata.

Zanim policjanci sobie poszli, poprosili Adama o wyjaśnienie, gdzie spędził popołudnie.

— Rutynowe pytanie — zapewnił go funkcjonariusz z lekko zażenowaną miną.

Adam opowiedział o wizycie w operze, a na dowód pokazał bilet. Policjant przeprosił go za te formalności, jednak jego koleżanka zrobiła skrupulatne notatki, spisała z biletu nawet numer miejsca Adama. Nie, Adam zdecydowanie jej nie polubił.

Tej nocy nie zmrużył oka, rozmyślając nad tym, czy policja skontaktuje

się z Banegasem. Dlaczego policjantka tak mi się przyglądała? — analizował. Musiał koniecznie pomówić z Honduraninem, zanim oni to zrobią. O ósmej wymknął się z łóżka i wystukał jego numer. Banegas nie odbierał. Adam spróbował jeszcze raz, a potem znowu i znowu, aż do wpół do dziewiątej. Bezskutecznie. Przez wzgląd na podejrzliwą żonę ministra nie odważył się zadzwonić do Grand Hotelu.

W końcu zdecydował się tam pojechać. Czekał w lobby już dobrą godzinę, gdy nagle kątem oka dostrzegł panią Banegas. Wychodziła w pośpiechu i szybko zniknęła za obrotowymi drzwiami. Adam był zaskoczony, bo zgodnie z fikcyjnym programem, on i Banegas mieli się spotkać dopiero o trzeciej. Do tego czasu minister miał przebywać z żoną. Czyżby złożyła mu wizytę policja?

Adam powlókł się do windy. Wsiadł na trzecim piętrze i podszedł do drzwi pokoju trzysta osiemnaście.

— Señor Banegas — szepnął do szczeliny między drzwiami a framugą, jednocześnie pukając. — Señor Banegas, to ja, Adam.

Odpowiedziała mu cisza. Spróbował jeszcze raz.

— Hektorze, otwieraj! To ważne!

Adam znowu odczekał chwilę i właśnie miał zapukać ponownie, gdy usłyszał za plecami chrząknięcie. Odwróciwszy się, ujrzał wysokiego mężczyznę w hotelowym uniformie z błyszczącymi guzikami.

— Szuka pan kogoś? — zapytał nieznajomy.

Adam wysilił się na bełkotliwe wyjaśnienie.

— Zgodnie z zasadą obowiązującą w naszym hotelu, każda wizyta powinna zostać zgłoszona w recepcji — oznajmił mężczyzna. — Wygląda na to, że pana znajomego nie ma w pokoju. Jeśli poda mi pan swoje nazwisko, przekażę mu, że pan tu był. — Zmierzył Adama niechętnym spojrzeniem. — I m i ę i n a z w i s k o — powtórzył na zakończenie.

Adam pomyślał chwilę i końcu zdecydował się na Jonasa Lindgrena, na pamiątkę dawnego szkolnego kolegi, który zawsze pakował się w tarapaty. Zaraz po tym mężczyzna w uniformie wyprowadził go na ulicę.

Jeszcze tego samego dnia Kattis zdecydowała się pojechać z mamą i dziećmi do Hiszpanii. Stwierdziła, że dobrze im zrobi odpoczynek i zmiana miejsca. Adam zapewnił, że ją rozumie, i obiecał wszystkim się zająć. Cokolwiek mogło to oznaczać. Gdy machał im na pożegnanie w hali odlotów lotniska Arlanda, poczuł, że pot występuje mu na czoło. Nie na myśl o tym, co powie Banegas, lecz na wspomnienie strużki krwi wypływającej z ucha Görana.

— To był wypadek — wymamrotał trochę za głośno.

Mijający go ludzie spojrzeli na niego podejrzliwie.

Po powrocie do domu nie mógł nic jeść, więc nalał sobie dużą szklanekę whisky. Słyszał, że po tym, co się stało, paru sąsiadów skrzyknęło się na całonocne patrole. Podobno nikt nie odważył się zaproponować tego Adamowi. W ogóle nikt niczego od niego nie chciał. Ze współczucia. Wyrzuty sumienia przychodziły falami i wówczas Adam zastanawiał się, czy powinien zacząć kopać studnie w Sudanie, oddać wszystkie pieniądze bezdomnym, czy może pójść do klasztoru. W końcu odegnał te myśli, bo czyż mogło to wrócić życie Göranowi? A może chociaż zgłosi się jako wolontariusz do Czerwonego Krzyża? Nie, przecież to był wypadek.

Położył się na kanapie, przykrył się kocem i próbował czytać. Nie wiedział, jak długo spał, kiedy zabręczał dzwonek przy drzwiach. Na progu czekała znajoma para policjantów. Coś musiało się zmienić, bo tym razem kobieta stała z przodu, a jej kolega trzymał się parę kroków za nią. Miał spuszczoną głowę. Policjantka też odezwała się pierwsza:

— Możemy wejść? Chcemy zadać panu parę pytań.

Zapytali o wieczór spędzony z Banegasem: o wizytę w operze i kolację. Adam odpowiadał, trzymając się jak najwierniej programu. Co im powiedział Banegas?

— Rozmawialiście z nim? — Zmusił się do uśmiechu. — Bywa roztrzepany, poza tym mogła go zdenerwować rozmowa ze szwedzką policją.

Adam zamilkł. Coś było nie tak, coś się cholernie nie zgadzało. Funkcjonariusze wymienili szybkie spojrzenia. Kobieta odchrząknęła.

— On nie żyje — oznajmiła.

— Nie żyje?

W pierwszej chwili Adam poczuł ulgę. Nie będzie się musiał martwić o to, co Banegas powie policji.

— Został znaleziony martwy na wyspie Kastellholmen — podjęła policjantka. — Zginął od ciosu tępym narzędziem. Czas zgonu określono na zeszły wieczór, między dwudziestą drugą a północą. Innymi słowy, zginął zaraz po waszej wizycie w operze.

Adam nie miał nic mądrego do powiedzenia, więc zdecydował się na niepewne kiwnięcie głową.

— Niepokoi nas parę szczegółów, a pan z pewnością będzie mógł nam pomóc.

Czy to jest chwila, w której powinno się zażądać adwokata? — zastanowił się Adam. A może za wcześnie? Czy to nie wyglądałoby podejrzanie?

Zanim dokończył myśl, policjantka znowu się odezwała:

— Pomówimy na posterunku.

Przesłuchiwali go na zmianę. Zaczął policjant, który uznał za stosowne zaznaczyć, że to rutynowe postępowanie i Adam nie ma żadnego powodu do niepokoju. Mężczyzna uśmiechał się przyjaźnie.

Inaczej było z jego koleżanką. Położyła przed Adamem program Banegasa.

— Rozpoznaje go pan? — zapytała.

Adam przytaknął.

— Co z tą późną kolacją? W restauracji Gyldene Freden nikt sobie panów nie przypomina, nie było też rezerwacji na pana nazwisko.

Adam sklecił naprędce w miarę wiarygodną odpowiedź. Zapomniał zarezerwować stolik, a Banegas w końcu i tak wolał wybrać się na samotny spacer. Wcześniej Adam pewnie pomylił się ze zdenerwowania.

Policjantka notowała w milczeniu. Gdy zmienił ją kolega, znów zapewnił, że to nie przesłuchanie, ale czy Adam mógłby zaczekać tu parę godzin?

Minęły jednak zaledwie trzy kwadransy, gdy kobieta wróciła.

— Napisał pan w programie, że wieczór spędzi z panami Harald Thorvaldsson z Rady Rozwoju Eksportu — oznajmiła.

Niech to szlag!

— Jednak kiedy zadzwoniliśmy do pana Thorvaldssona, zaprzeczył, że w ogóle miał panom towarzyszyć. Szczerze mówiąc, zaznaczył to bardzo dobitnie.

Tym razem odpowiedź Adama nie była już taka dobra. Policjantka zadała mu następne pytania i w końcu Adam zaczął się plątać w zeznaniach. Kobieta zaproponowała, by wrócili do rozmowy za parę chwil. Adam odmówił, gdy spytała, czy chce adwokata.

Kiedy znów wszedł do pokoju przesłuchań, czekała na niego już tylko surowa funkcjonariuszka z końskim ogonem. Podobnie jak wcześniej nie traciła czasu na pogawędkę ani uśmiechy.

— Odbyliśmy interesującą rozmowę z personelem w Grand Hotelu — powiedziała. — Rankiem w dzień po zabójstwie Banegasa ktoś próbował dostać się do jego pokoju. Mężczyzna ten sprawiał wrażenie zdenerwowanego, a zapytany o nazwisko, podał fałszywe dane. Zidentyfikowano pana na podstawie zdjęcia.

Próba wytłumaczenia się przez Adama została zbombardowana gradem dociekliwych pytań funkcjonariuszki. Adam był zmęczony, potrzebował snu, więc uczeplił się jedynej kwestii, która zdawała się przemawiać na jego korzyść:

— Dlaczego miałbym chcieć śmierci Banegasa? Przecież to czysty absurd!

— Prawdę mówiąc, wdowa po panu Banegasie podsunęła nam całkiem prozaiczny motyw. Od dłuższego czasu rozmawiali panowie o budowie pewnej drogi. Okazuje się jednak, że Banegas podpisał już kontrakt z jakimś amerykańskim konsorcjum. Miał panu o tym powiedzieć przed wyjazdem.

A to kawał gnoja!

— Ale przecież nie zabija się kogoś dlatego, że...

Policjantka nie chciała dłużej słuchać logicznych wywodów Adama.

Pozwoliła mu wrócić do domu i się przespać, ale następnego ranka znów zabrano go na posterunek. W pierwszej chwili Adam odniósł wrażenie, że tego dnia atmosfera jest trochę luźniejsza. Sympatyczny policjant zapewnił go, że przyjmują jego wytłumaczenie, iż wrócił do domu zaraz po wizycie w operze. Adam bardzo się ucieszył, a policjant wyglądał tak, jakby i jemu było z tego powodu przyjemnie. Jednak surowa policjantka cały czas siedziała w milczeniu, z zaciętą miną. Po chwili wypaliła bez ostrzeżenia:

— Więc dlaczego zjawiał się pan w domu dopiero dwie godziny później? W gumowych kaloszach?

Nagle przesłuchanie znów nabrało tempa i zaczęło zmierzać w fatalnym kierunku.

Adwokat podniósł wzrok znad notatek.

— I wtedy zdecydowałeś się przyznać do zabójstwa Banegasa? — spytał.

Adam potwierdził skinieniem.

— Oby tylko nie oskarżyli mnie o zabicie Görana, mojego teścia. — Adam pomyślał o Kattis, o dzieciach, i zmrużył oczy. — W ten sposób mam zapewnione alibi.

— Ale jednocześnie twierdzisz, że nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią Banegasa.

— Właśnie staram się to wytłumaczyć. Za to...

Adwokat uniósł dłoń, uciszając Adama.

— Po kolei — powiedział. — Skupmy się na zabójstwie, w związku z którym zostałeś aresztowany.

Następnie prawnik opisał Adamowi jego położenie, posługując się samymi frazesami i zerkając co rusz na zegarek.

— Zobaczmy — oznajmił na koniec. — To skomplikowana sprawa. Muszę się zastanowić nad strategią i skonsultować z paroma kolegami.

Chwilę później zjawiała się policjantka i zaprowadziła Adama z powrotem do aresztu. Kiedy szli korytarzem, minęli pokój, który miał drzwi otwarte na oścież. Siedziała w nim skulona niska, pulchna kobieta w czarnym ubraniu. Mimo że wspierała głowę na ramieniu policjantki, Adam od razu rozpoznał

w niej panią Banegas. Gdy go dostrzegła, podniosła wzrok. Jej małe, chytre oczka wyrażały triumf, a usta wygięły się w pogardliwym uśmiechu.

Naprawdę była szalona.

Dag Öhrlund

COŚ W JEGO OCZACH

Krzyk wydobył się z jej ust, dopiero gdy puściła balustradę.

Spadając, Lenya zdziwiła się, że tak wiele myśli przebiegło jej przez głowę w zaledwie kilka sekund. Lodowaty wiatr rozpałał policzki.

Życie przewija się jej przed oczami niczym film. Jako dziecko drepcze z Azadem. Droczyli się jak każde rodzeństwo, ale nikogo nie kochała bardziej od niego.

Był Bogiem, Miłością i wszystkim, chociaż miała to zrozumieć o wiele później.

Czy on potrafi wybaczyć ojcu coś takiego?

Jej myśli zatrzymały się po kilku sekundach, kiedy uderzyła głową w asfalt.

Lenya Barzani zginęła na miejscu.

Nawet jeśli kilkoro aniołów zapłakało, krzyk ojca na balkonie zagłuszył ich pieśń.

Komisarz Jenny Lindh ścisnęła kierownicę, starając się zwalczyć mdłości.

Stała w korku na trasie Essingeleden w kierunku centrum. Sznur samochodów przebijał się z wolna, metr po metrze, przez gęsty śnieg, a wycieraczki ledwo nadążały oczyszczać szybę.

W owej chwili Jenny nienawidziła niemal całego świata.

Kilka minut wcześniej odebrała telefon. Pod adres w dzielnicy Tensta skierowano patrol po zawiadomieniu, że jakaś dziewczyna leży na ziemi i się nie rusza. W taką pogodę brakowało wolnych samochodów, brakowało ludzi do dowodzenia akcją, brakowało wszystkiego.

Więc sprawą zajmie się Lindh.

Tak jakbym nie miała dość kłopotów, pomyślała.

Jej życie — mówiąc językiem młodzieży z przedmieść — zjechało się przed tygodniem.

Tamtej nocy.

W pracy Jenny dostała mdłości. Wymówiła się grypą żołądkową i pojechała do domu kilka godzin wcześniej.

Nie chciała, aby koledzy wiedzieli, że jest w ciąży.

Jeszcze nie teraz.

Właśnie z wymiotowała odrobinę w wyjętą w pośpiechu chusteczkę, gdy wróciły wspomnienia.

Przeklinając półgłosem, opuściła szybę i wyrzuciła lepki papierowy zwitek. Niesiony wiatrem kłęb śniegu uderzył ją w twarz.

Daniel i... ta kurwa.

No. Nawet wyglądała jak kurwa. Blondynka, nieco zbyt pulchna, w koronkowym biustonoszu i czarnych podwiązkiach, która jęcząc, ujeżdżała jej męża na łóżku.

Na ich łóżku. J e j łóżku.

Kiedy stanęła w drzwiach sypialni, dręczące ją od wielu godzin mdłości przeszły jak ręką odjął. Zastąpiła je wściekłość, która zrodzona w żołądku, szybko utorowała sobie drogę do ust.

Jenny zaczęła wrzeszczeć. Patrzyła, jak zdzira, wytrzeszczając oczy, złazi z jej męża i próbuje się czymś osłonić. A Daniel usiadł na łóżku i podniósł dłoń, jakby w geście obrony.

— Jenny, to nie tak, jak myślisz...

Najdurniejsze zdanie, jakie kiedykolwiek słyszała.

Wtedy wyjęła broń służbową.

To dopiero był ubaw — celować w Daniela i tę kurwę, którzy niemal na golasa wybiegają w pośpiechu na dwór. Patrząc, jak potykają się na śniegu, kiedy usiłują włożyć ubranie.

Nie wiadomo dlaczego korek na drodze powoli się rozładował. Jenny Lindh, zapaliwszy papierosa, zastanawiała się, czy ma w torebce tabletki. Do

drugiej w nocy piła whisky i teraz czuła, że ból rozsadza jej głowę.

Pewnie, że nie powinna pić, skoro jest w ciąży.

Pewnie, że przedwczoraj zaczęła znów palić wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Ale po co się przejmować? I tak usunie. Jej małżeństwo to przeszłość. Domek szeregowy, w którym mieszkali, to przeszłość. Marzenia o wygodnym życiu z ukochanym mężczyzną — kolegą z policji — zmieniły się w żalną ruletkę, w której postawiła nie na ten numer.

Clara, jedyne wsparcie. Jej obecność stanowi różnicę między upadkiem na dno a przetrwaniem. Dzielna, mądra Clara, która zawsze jest przy niej, gdy Jenny tego potrzebuje. Zawsze znajduje właściwą odpowiedź, potrafi pocieszyć i zdopingować. I ma zupełnie inny stosunek do mężczyzn i związków niż Jenny.

„*Lifelong love* — gówno, nie miłość na całe życie, nie wierzę w to. Biorę, co mi się podoba, jest bzykanie, dobra zabawa, a potem idę dalej!”

Clara jest *one of a kind*. Jedyna w swoim rodzaju.

Jenny chwyciła gwałtownie kierownicę, zjechała na zewnętrzny pas i dodała gazu. Prawą ręką wyjęła sygnalizator o pulsującym niebieskim świetle, położyła go na dachu auta i włączyła.

Z drogi, kurwa!

Szesnaście minut później stała przed biało-niebieską taśmą policyjną, obserwując miejsce zdarzenia.

Pierwsze, co stwierdziła, to że budynek jest okropnie brzydki. Zastanawiała się, co ten ktoś sobie myślał.

Czy k t o ś tu w ogóle myślał?

Przed czterdziestu laty politycy w Szwecji, tym małym Kraju, Gdzie Wszystko Jest w Sam Raz, nagle doszli do wniosku, że brakuje mieszkań.

Miliona mieszkań.

W następnej dekadzie dokładnie tyle ich wybudowano, a efekt owego przedsięwzięcia miała właśnie przed sobą.

Wyglądało to chujowo.

Policjanci z patrolu, który pierwszy przybył na miejsce, ogrodzili taśmą

teren o wymiarach dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć metrów. Tuż obok stał szaroniebieski bus marki Volkswagen, samochód techników. Ci zdążyli już ustawić namiot pod budynkiem — w miejscu, gdzie z pewnością znajdowały się zwłoki — żeby uniemożliwić dziennikarzom robienie zdjęć.

Do Jenny podszedł mężczyzna w kombinezonie i wysokich butach, człapiąc po dziesięciocentymetrowej warstwie śniegu. Kiedy się zbliżał, rozpoznała w nim Björksteda. Godny zaufania, pracowity, w zawodzie technika od niepamiętnych czasów.

— Cześć, możesz wejść, jeśli chcesz.

— Dzięki, Anders.

Jenny przeszła pod taśmą.

— Co tu mamy?

— Typowa sprawa, dziewczyna wypadła z balkonu. Podręcznikowy przypadek.

— To znaczy?

— W pobliżu ciała brak jakichkolwiek śladów, na przykład butów. Wyłączna przyczyna śmierci: upadek z dużej wysokości. Odcinek szyjny kręgosłupa zgięty pod nienaturalnym kątem.

— Złamany?

— Nie jestem lekarzem sądowym, ale założę się o następną pensję, że tak.

— Coś jeszcze?

— Nie miała na sobie kurtki ani płaszcza, tylko dżinsy i T-shirt. Z kieszeni spodni wysunęła się jej komórka. Jest zniszczona, dziewczyna musiała na nią upaść.

— Mogę obejrzeć ciało?

— Jasne.

Björkstedt zawrócił i poprowadził Jenny do namiotu. Musiała się schylić, żeby wejść do środka. Lampa oświetlała intensywnym, zimnym blaskiem to, co pozostało z nastolatki, całkiem niedawno jeszcze żywej.

Dziewczyna leżała na brzuchu, głowę miała zwróconą w bok. Jej zastygła twarz bynajmniej nie wyrażała spokoju. Na jednym policzku widać było

zadrapania i siniaki, lecz poza tym skóra wyglądała na nienaruszoną i ładną.

Lindh wskazała na uszkodzenia twarzy.

— Co o tym sądzisz?

Björkstedt wzruszył ramionami.

— Leży tam, gdzie spadła. Przy policzku odgarnięto śnieg, zobacz, widać ślady krwi. Możliwe więc, że zadrapania i siniaki powstały w chwili uderzenia o asfalt, chociaż równie prawdopodobne jest to, że miała je przed upadkiem. Tym razem nie będę się zakładał.

— Wiesz coś o niej?

Björkstedt wskazał znacząco na budynek.

— Rozmawiałem z chłopakami. Lenya Barzani. Siedemnaście lat. Mieszkała na czwartym piętrze. Mundurowi z interwencji są w mieszkaniu.

Jenny kiwnęła głową.

— Dzięki.

— Nie ma za co.

Wyszła z namiotu. Zostawiając za sobą równy ślad na śniegu, zbliżyła się do ogrodzenia z taśmy, które biegło tuż przy wejściu na klatkę schodową.

Mój mąż zdradził mnie z kurwą. W naszym łóżku.

Nie żyje siedemnastolatka, być może zamordowana. Skup się. Ja pierdolę, ale boli!

Rozsadzało jej głowę. Ledwie wsiadła do windy, usłyszała hałas, który przybierał na sile. Jadąc, szperała w kieszeni w poszukiwaniu tabletek.

Kiedy dotarła na czwarte piętro, jej oczom ukazał się chaos. Odsunęła z przejścia zapłakaną, wymachującą rękami kobietę. Wzburzeni sąsiedzi rozmawiali głośno w niezrozumiałym dla Jenny języku. Mundurowi cierpliwie starali się ich powstrzymać od wtargnięcia do mieszkania, w którym właśnie odbywały się oględziny.

Lindh pokazała legitymację służbową i przecisnęła się przez rozgorączkowany tłumek do przedpokoju, w którym powitał ją kolejny funkcjonariusz.

— Cześć, Jenny Lindh z dochodzeniówki. Co tu mamy?

Policjant spojrział do notesu.

— Denatka to Lenya Barzani, siedemnaście lat. Kurdyjka z północnego Iraku. Jej ojciec, Schorsch Barzani, siedzi w salonie. Kiedy przyjechaliśmy, nikogo poza nim nie było w domu. Zdążyliśmy się trochę rozejrzeć. W pokoju i na balkonie panuje nieład. Jeden z techników właśnie to sprawdza.

— Dzięki.

Jenny minęła funkcjonariusza i przeszła dalej długim korytarzem. Na prawo — otwarte drzwi do sypialni. Jenny przystanęła i zajrzała do środka.

Typowy pokój nastolatki. Na ścianie plakat z Justinem Bieberem. Toaletka, na której znajdowały się laptop, szminka, dezodorant i perfumy. Na niedbale zasłanym łóżku leżały zestaw głośnikowy do iPhone'a, pluszowy miś i różowe poduszki. Na krześle — para dżinsów, koszulka i bielizna.

Pokój Lenyi?

Jenny poszła dalej. Drzwi do kolejnych pokoi były pozamykane. Korytarz doprowadził ją do salonu.

Mężczyzna na sofie wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat. Miał na sobie brązowe spodnie, beżową koszulę i brązowy sweter. Pochylony, szlochał z twarzą ukrytą w dłoniach. Obok siedziała policjantka, trzymając rękę na jego ramieniu; starała się spokojnie z nim rozmawiać.

Jest boso. Wokół jego stóp mokra podłoga. Dlaczego?

Lindh w przelocie przywitała się z policjantką, zauważyła przejście do kuchni i skierowała się w tamtą stronę. Z kieszeni wyjęła dwie tabletki paracetamolu, włożyła do ust, po czym nabrała w dłoń wody z kranu. Poczula okropny smak rozpuszczającej się pigułki. Wpatrywała się w wodę w zagłębieniu dłoni jak w lustro.

Mieliśmy spędzić razem całe życie. Byliśmy szczęśliwi. Kupiliśmy dom. Miało nam się urodzić dziecko.

Zawiodłeś mnie. Nie byłam dla ciebie dość dobra?

Gwałtownym ruchem zbliżyła dłoń z wodą do ust, nabrała jeszcze trochę, zamknęła oczy i wypła. Mijały sekundy, woda wciąż lała się z kranu, a Jenny stała z zaciśniętymi powiekami, słysząc cichą rozmowę policjantki z ojcem ofiary.

Jenny, skup się.

Odgarnęła niesforny kosmyk włosów i rozejrzała się dokoła.

Kuchnia wyglądała zwyczajnie, od innych kuchni odróżniały ją jedynie ozdobne tkaniny na ścianach. Obrazki — pewnie o znaczeniu religijnym. Niezrozumiałe dla niej znaki. Kurdyjskie?

Weszła do salonu. Policjantka wciąż siedziała obok Schorscha Barzaniego, trzymając dłoń na jego ramieniu. Przez okno Jenny widziała technika, który pochylony pracował na balkonie. Kiedy podeszła i otworzyła drzwi, mężczyzna podniósł głowę.

— Cześć! Jenny Lindh z dochodzeniówki. Jak to wygląda?

Technik przetarł czoło dłonią w plastikowej rękawiczce.

— No więc, prawdopodobnie coś tu się wydarzyło. Śnieg jest podeptany i rozgarnięty, kilka doniczek spadło i się potłukło. Krzeselko nie ma nogi. Robię właśnie odlewy śladów butów. Zabezpieczyłem też włókna.

Kiwnęła głową i już miała przymknąć drzwi, ale zapytała jeszcze:

— Jak długo, twoim zdaniem, trwa upadek z czwartego piętra?

Technik zawiesił wzrok gdzieś w oddali.

— Z czwartego piętra... jakieś dziewięć sekund.

— Dzięki.

Jenny przymknęła drzwi.

Dziewięć sekund.

Wciąż rozsadzało jej głowę, ale ból zdawał się powoli słabnąć. Jenny usadowiła się naprzeciw mężczyzny siedzącego na sofie. Spojrzała na policjantkę.

— Powiedział coś?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Że sama skoczyła. Jest zdruzgotany. Usiłował ją powstrzymać.

— Kłócili się wcześniej?

— Twierdzi, że nie.

Nie? Hm, a więc beztraska Lenya z uśmiechem na ustach powiedziała ojcu, że zamierza skoczyć z balkonu. On wstał z sofy, poszedł za nią i próbował coś zrobić, ale nie starczyło mu siły, żeby powstrzymać

siedemnastolatkę.

Nawet nie dał rady zwlec się na dół, do miejsca, w którym jego córka leży martwa.

— Chcę go u nas przesłuchać. Ma status osoby podejrzanej.

Jenny pochyliła się ku mężczyźnie.

— Schorsch Barzani...?

Żadnej reakcji. Spróbowała ponownie.

Mężczyzna powoli podniósł wzrok. Miał czerwoną, spuchniętą od płaczu twarz. Oczy mokre, w spojrzeniu pustka i rozpacz.

— Panie Barzani, pójdzie pan z nami na komendę. Musimy porozmawiać. Rozumie pan, co mówię?

Mężczyzna uczynił zrezygnowany ruch dłońmi.

— Dlaczego nie możemy rozmawiać tutaj?

— Względy praktyczne.

— Nie myśli pani chyba...?

— Nic nie myślę, ale muszę w spokoju z panem porozmawiać. Gdzie są pozostali członkowie rodziny?

Znów gest wyrażający rezygnację.

— Azad jest u kolegi.

— Azad, czyli kto?

— Mój syn.

— Rozumiem. A pańska żona?

— Razem z Larą pojechały do mojego kuzyna Naushada.

— Kim jest Lara?

— To moja córka.

— Ile ma lat?

— Czternaście.

To coś w jego spojrzeniu, kiedy wymawia jej imię.

— Rozumiem. Musi pan jednak pojechać z nami...

Sztokholmska siedziba policji, Kronoberg, to architektoniczny kolos. Zajmuje cały kwartał. Szary i brzydki. Jest tam więcej działów, korytarzy

i ludzi, niż mogłoby się wydawać.

Przy stole w jednym z pokoiów przesłuchań siedzi Jenny Lindh, a naprzeciw niej sześćdziesięciodwuletni Kurd.

Mężczyzna wygląda na wyczerpanego i zaniepokojonego. Załamuje ręce. Już dawno przestał się rozglądać, patrzy przed siebie pustym wzrokiem.

Jenny Lindh włączyła już dyktafon i skierowała mikrofon w stronę Schorscha Barzaniego.

Zamierzała przeprowadzić zwyczajne przesłuchanie, zwane 24:8, od regulującego je artykułu i paragrafu, a następnie wnioskować u prokuratora o zatrzymanie.

Jednak rozmowa się przedłuża i Jenny czuje się nieswojo. Nie ma tłumacza ani adwokata, a ich obecność dodałaby jej pewności.

Schorsch Barzani nie chce zamilknąć. Rozmawiają prawie godzinę. O Lenyi. O nim. O całej rodzinie. O ucieczce z Hawramanu w północnym Iraku. O tym, jak starali się o azyl polityczny i otrzymali prawo pobytu — przed wielu laty.

O ich późniejszym życiu.

Lindh wciąż czuje pulsujący ból. Usiłuje odepchnąć myśli o własnych problemach, zrozumieć, co Schorsch Barzani chce jej powiedzieć.

Takie tam pieprzenie. Stara śpiewka. To jasne, że sam zrzucił córkę z balkonu, tak jak inni muzułmanie zrzucali swoje córki czy siostry. Bo po przybyciu tutaj stały się zbyt szwedzkie — nie chciały żyć według tradycyjnych reguł, wołały chodzić na dyskoteki, palić papierosy, zakochiwały się.

Łamały wszystkie zasady.

Nie może być inaczej. Schorsch Barzani zamordował własną córkę, ponieważ złamała jego zasady. Okryła hańbą rodzinę.

Dla policji to nie pierwszozna. Widzieli takie rzeczy setki razy. Znane przypadki komentowano w prasie. Fadime Sahindal, dwudziestosześcioletnia Kurdyjka z Turcji, której ojciec najpierw groził, później ją pobił, aż wreszcie dwoma strzałami z pistoletu pozbawił życia. Jej zbrodnią było nie tylko to, że miała chłopaka, lecz także fakt, że głośno

mówiła o tym, jak kurdyjscy mężczyźni traktują swoje kobiety.

Pela Atroshi, dziewiętnastoletnia Kurdyjka zamieszkała w Szwecji, została zamordowana podczas wizyty u krewnych w Iraku — ponieważ splamiła honor rodziny. Jej stryjowie zostali za to skazani na dożywocie, lecz wiele lat później ojciec Peli przyznał się, że to on zabił córkę.

Jenny Lindh się krzywi. Nienawidzi pojęcia „zabójstwo honorowe” i nie potrafi pojąć, dlaczego politycy i feministki go używają. Według niej słowo „honor” jest nacechowane pozytywnie, więc takie przestępstwo powinno się nazywać zabójstwem na tle kulturowym albo dokonany z poczucia wstydu.

Nie ma nic honorowego w pozbawianiu kogoś życia. A zwłaszcza w mordowaniu własnej córki.

Czegoś takiego nie można akceptować w nowoczesnym zachodnim kraju. Oni może stawiają religię i respekt na pierwszym miejscu, my jednak na pierwszym miejscu stawiamy prawo.

Jenny dobrze wie, że po wielu latach w policji ma w sobie mnóstwo uprzedzeń wynikających z tego, co widziała i czego doświadczyła. Ci muzułmanie tak właśnie postępują ze swoimi kobietami. Zmuszają je do posłuszeństwa i zakrywania włosów. Zabraniają im pokazywać twarz i kochać tego, kogo chcą.

Jenny znów spogląda na Schorscha Barzaniego, który zakończył długą opowieść o sobie, Lenyi i reszcie rodziny.

Cały czas powtarza, że ją kocha. Że kochał ją od chwili, kiedy się urodziła. Że nie powinna była umrzeć.

Zrobił, co mógł, żeby ją powstrzymać.

Jenny trawi jego słowa. Zgłosiła już doprowadzenie i otrzymała decyzję o zatrzymaniu. Patrzy na mężczyznę przez kilka sekund, po czym mówi spokojnym głosem:

— Panie Barzani, na razie musi pan tu zostać. Jest pan podejrzany o popełnienie morderstwa.

Barzani patrzy jej w oczy ze zdziwieniem i rozpaczą.

Nagle wyraz jego twarzy się zmienia.

W spojrzeniu mężczyzny jest coś, czego Jenny nie rozumie.

Kilka godzin później Jenny dowiaduje się, że do prowadzenia postępowania przygotowawczego został przydzielony Magnus Stolt¹. Z grymasem niezadowolenia na twarzy jedzie więc do Solny, gdzie mieszczą się biura prokuratury dla rejonu zachodniego Sztokholmu.

Kiedy Jenny wchodzi do gabinetu Stolta, ten ledwie podnosi wzrok.

Gnój jeden.

Jest znany w firmie. Większość uważa, że bardziej pasowałoby do niego nazwisko Drygh². Dla innych Magnus Stolt stał się uosobieniem zgorzknienia, a swoje uprzedzenia pielęgnuje niczym delikatne kwiaty w szklarni. Jest ogólnie nie lubiany, raczej nie odnosi sukcesów na sali sądowej, i Jenny zastanawia się, co on jeszcze robi w prokuraturze, skoro mają tylu zdolnych ludzi.

— Cześć!

— Cześć! Usiądź.

Magnus Stolt przerzuca plastikowe teczki i papiery. Żeby pokazać, jaki jest zajęty. Następnie bierze teczkę z wierzchu stosu, przesuwa okulary na czoło i spogląda na Jenny.

— Tensta, co?

Zerka na wydruk protokołu z przesłuchania.

— Scho... ee... Barzani, zgadza się?

Lindh potwierdza skinieniem.

Stolt obdarza ją krzywym uśmiechem.

— Jak widzę, twierdzi, że jest niewinny. Wiadomo, oni zawsze są niewinni. Ale składam wniosek o areszt tymczasowy i będziesz mogła w spokoju kontynuować pracę.

Jego nosowy głos przybiera wyniosły ton. Jenny świetnie rozumie, dlaczego ten człowiek budzi irytację.

Stolt wstaje, zamyka drzwi i znów siada za biurkiem. Wywija młynka okularami.

— Bierz go zaraz na kolejne przesłuchanie. Dopilnuj tylko, żeby tłumacz

i obrońca byli obecni, w przeciwnym razie zrobi się z tego niezła chryja. Jak wygląda reszta?

— Technicy nad tym pracują. Zabezpieczyliśmy laptopa dziewczyny i przekazaliśmy do analizy. Mundurowi rozmawiają teraz z sąsiadami, czekamy jeszcze na powrót pozostałych członków rodziny, których chcemy przesłuchać jako świadków w sprawie.

— Aha, a ilu ich tam jest?

— Żona oraz siostra i brat Lenyi.

Stolt się zdziwił.

— Tylko tylu? Tamci mają przecież rodziny po co najmniej siedem, osiem osób.

T a m c i.

— Myślę, że... — Jenny urwała w pół zdania.

— Tak?

Widzi, że Stolt jest poirytowany. Niedobrze. W tej chwili potrzebuje jego wsparcia.

— ...że on jest niewinny.

— A dlaczego?

Jenny wzrusza ramionami.

— Intuicja.

Okulary opadają Stoltowi na nos. Wraca do przerzucania papierów.

— To każ tej swojej intuicji siedzieć cicho, póki nie dostaniemy protokołu z sekcji i raportu techników.

Jenny wstaje i wychodzi z gabinetu prokuratora.

Na innym piętrze, w celi aresztu o wymiarach dwa na cztery metry Schorsch Barzani wali w ściany, zdzierając pięści do krwi, i krzyczy — z bólu i rozpacz.

Tego wieczora Jenny znów wypija za dużo. Nieśpiesznie przechadza się po domu, i c h domu.

To tutaj miała kwitnąć ta wielka miłość.

To tutaj miało dorastać ich dziecko.

Im bardziej jest pijana, tym zajadlej wyrzuca rzeczy męża. W furii wywala jego ubrania z szaf na podłogę, wyrywa strony z albumów ze zdjęciami, oprawione fotografie i pamiątki upycha w kartonie.

Głęboko w szufladzie znajduje wibrator, który dawno temu, zażenowani, kupili razem w sex shopie. Z obrzydzeniem wrzuca go do śmieci, nie wyjąwszy nawet baterii.

Dostaje mdłości, wymiotuje w toalecie, znowu pije wino i wraca do sprząwania tego, co przez pięć ostatnich lat było jej — ich — życiem.

Wszystko musi zniknąć.

On, dziecko, dom.

Jenny Lindh nie ma pojęcia, co będzie dalej.

Następnego ranka pod wpływem impulsu jedzie do zaplombowanego mieszkania — rodzina musiała przenocować gdzie indziej.

Gdzie mieszkają ludzie, których wyrzucono z domu? U przyjaciół? W ośrodku pomocy społecznej?

Jenny bierze głęboki oddech. Czeką ją całodzienne przesłuchiwanie.

Technicy zdążyli już dokładnie sprawdzić mieszkanie i Jenny właściwie nie wie, co tu robi. Przecież jeśli coś przeoczyli, ona tym bardziej tego nie znajdzie.

Chce tylko zobaczyć. Poczuć. Spróbować zrozumieć.

O dziesiątej przystępuje do dłuższego przesłuchania Schorscha Barzaniego. Chociaż cały czas powtarzał, że nie potrzebuje obrońcy, ponieważ jest niewinny, i tak mu go przydzielono. Nie chciał też korzystać z pomocy tłumacza, a jednak tłumacz siedzi obok.

Tuż przed przesłuchaniem do pokoju wchodzi Magnus Stolt.

Jenny popija z plastikowego kubka zimną wodę, żeby stłumić mdłości. Rozpoczyna tak jak zwykle — powoli i ze spokojem. W miarę upływu czasu zauważa w zachowaniu prokuratora coraz więcej oznak irytacji. Stolt głęboko wzdycha, czasem bębni ołówkiem w stół.

Schorsch Barzani jest rozdarty i wyczerpany. Ma zaczerwienione oczy, a resztki siwych włosów w nieładzie. Uparcie trzyma się swojej wersji.

Próbował tylko powstrzymać Lenę.

W chwili gdy wypowiada te słowa, słycać jakby prychnięcie. Obrońca posyła Stoltowi zdziwione spojrzenie.

Barzani odpowiada na wszystkie pytania, tłumacz ani razu nie musi się włączać w rozmowę. Oczywiście, że pilnował córek. Zabraniał im piercingu i tatuaży, podkreślał, że powinny być dumne ze swojego pochodzenia i żyć według nakazów Świętej Księgi. Starał się hamować — pozwalał im się ubierać, jak chciały, słuchać muzyki pop, a nawet chodzić na dyskoteki. Ale skorzystał z przysługującego mu prawa wyboru mężów dla córek.

— Jakiego p r a w a? — syczy nagle Stolt.

Barzani patrzy na niego zdziwiony, rozkłada ręce i wyjaśnia, na czym polega obowiązek ojca. Prokurator, na w pół leżąc na krześle, zmęczonym ruchem przesuwając dłoń po twarzy, po czym zawiesza wzrok gdzieś w oddali.

Jenny spokojnym tonem kontynuuje przesłuchanie. Nie, Schorsch Barzani nie wie, dlaczego Lenya była tego dnia tak poruszona. Kiedy w samych skarpetkach podchodziła do drzwi balkonu, zapytał, co się stało, ale odpowiedziała, że to nie jego sprawa. Otworzyła je, wpuszczając do mieszkania zimny powiew, wtedy ruszył za nią. Złapała za poręcz i próbowała się wspiąć. Chwycił ją mocno i ściągnął. Lenya drapała go po twarzy i biła, kopała nogami na wszystkie strony, tak że potłukły się doniczki. Na próżno usiłował ją utrzymać, była silniejsza.

Wspięła się na poręcz i rzuciła z balkonu.

W tym momencie Schorsch Barzani znów wybucha płaczem, więc Jenny wstrzymuje się z kolejnymi pytaniami. Zerka na prokuratora, ten zaś wywraca oczami, po czym pochyla się nad stołem i z kiepsko kamuflowaną irytacją mówi:

— Równie dobrze możesz się przyznać, Barzani. Marnie to wygląda, a może poczujesz się lepiej, gdy to z siebie wyrzucisz.

Tłumacz od razu przekłada jego słowa, a Schorsch Barzani potrząsa głową i ukrywa twarz w dłoniach.

— Ja... ja ją kochałem — szlocha. — Nigdy bym jej nie...

Przesłuchanie kończy się o godzinie jedenastej czterdzieści dwie.

Następnego dnia rano dzwoni dyżurny z recepcji od strony ulicy Polhema i informuje, że grupa mężczyzn chce rozmawiać z Jenny Lindh.

Chodzi o Schorscha Barzaniego.

Jenny pyta, czego chcą, ale dyżurny nie potrafi odpowiedzieć. Mówi, że są dwie możliwości: albo Jenny przyjdzie i spróbuje uspokoić rozemocjonowaną grupę, albo on wezwie patrol mundurowych.

Jenny wzdycha i zjeżdża windą na dół.

Dyżurny miał rację. Mężczyźni — pięciu irackich Kurdów, i jak się okazuje, przyjaciół Schorscha Barzaniego — są bardzo wzburzeni. Wszyscy mogą zaświadczyć, że Schorsch Barzani z pewnością bronił honoru rodziny, ale to nie morderca, więc trzeba go natychmiast wypuścić na wolność.

Lindh cierpliwie próbuje im wytłumaczyć, jak funkcjonuje szwedzki wymiar sprawiedliwości.

Nie słuchają. Chcą rozmawiać z m ę ż c z y z n ą, który prowadzi dochodzenie.

Kiedy Jenny wyjaśnia, że to ona zajmuje się sprawą, odpowiadają jej powątpiewające spojrzenia. Zgromadzeni naradzają się cicho w swoim języku, po czym żądają rozmowy z m ę ż c z y z n ą, który jest jej szefem.

Jenny mówi, że jej szef to Lena Ekholm, kobieta.

Ich wzburzenie nie traci na sile. Żądają natychmiastowego zwolnienia Barzaniego. Kiedy Jenny bardziej zdecydowanie wyjaśnia, że dochodzenie musi toczyć się swoim torem, reagują coraz głośniejszymi krzykami na zmianę po szwedzku i w swoim języku. Jenny nie potrafi ich już uspokoić, po kilku minutach wkraczają mundurowi i robi się rwetes, gdy wyprowadzają Kurdów na ulicę. Jeden z nich — zauważa Jenny — stawia tak gwałtowny opór, że zostaje zatrzymany.

Jenny potrząsa głową.

Dlaczego do tego doszło?

Trzy tygodnie później w nowym dwupokojowym mieszkaniu na przedmieściach Jenny Lindh zastanawia się nad swoim życiem.

Szybko poszło. Domek szeregowy sprzedany. Zostawiła wszystkie meble, na samą myśl o zachowaniu czegokolwiek, co przypominałoby jej przeszłość, czuła obrzydzenie. Z pomocą przyjaciół, samochodu dostawczego i IKEA zdołała w kilka dni stworzyć nowy dom.

Ta druga rzecz nie była równie łatwa.

Skrobanka.

Najpierw zmuszono ją do rozmowy z psychologiem, w trakcie której oczywiście się załamała. Pięcioletni związek, obietnica wiecznej miłości, wspólne doświadczenia i bliskość — wszystko to zamknęło się w pytaniu, czy naprawdę chce się pozbyć dziecka, które rośnie w jej brzuchu.

D z i e c k o.

Po wszystkim zacisnęła zęby i wzięła tylko kilka dni chorobowego, na czas, kiedy miała najobfitsze krwawienia.

Lepiej uciec w pracę, niż gapić się w ścianę i babrać we wspomnieniach, które nie są już nic warte.

Daniel podejmował niezdarne próby kontaktu. Używał takich słów, jak „szacunek” i „dorośli ludzie”, i wyraził pogląd, że przynajmniej mogą ze sobą porozmawiać.

Wysłała mu SMS-a, w którym poinformowała, że: a) może razem z tą kurwą iść do diabła, i b) jeśli czegoś chce, niech kontaktuje się z jej adwokatem.

Dojrzałe postąpiłaś, Jenny, myśli, przygryzając wargę przed lustrem i próbując zrobić makijaż. Łzy rozmazują tusz na rzęsach i musi zaczynać od nowa.

Najwyższy czas któregoś wieczora umówić się z Clarą na wino.

W pracy Jenny pije jeden kubek kawy za drugim. Krzywi się, kiedy czuje pieczenie w żołądku.

Kolejny raz dokładnie analizuje materiały zebrane w sprawie śmierci Lenyi Barzani.

Raporty techników i informatyków są równie chłodne i formalne, jak protokół z sekcji i opinia z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego.

Technicy informują, że na śniegu na balkonie zabezpieczyli ślady stóp zarówno Lenyi, jak i jej ojca, i że wiele wskazuje na kłótnię. Znaleźli także ślady krwi Lenyi. Pod jej paznokciami odkryli fragmenty naskórka, który — jak się okazało — należał do Schorscha Barzaniego. Natomiast w próbkach pobranych w dniu zdarzenia z ran na jego policzkach zidentyfikowali DNA Lenyi.

W długim protokole lekarza sądowego Jenny szuka najważniejszych informacji. Odcinek szyjny kręgosłupa złamany, rozległe uszkodzenia czaszki i mózgu. Na twarzy obrzęki i krwiaki. Lewa ręka złamana. Lekarz nie jest w stanie stwierdzić, czy Lenya doznała tych obrażeń jednocześnie, czy w pewnych odstępach czasu. Teoretycznie część z nich mogła odnieść przed upadkiem z balkonu. Ślady w płucach wskazywały, że paliła papierosy, lecz poza tym była zupełnie zdrowa. We krwi nie wykryto śladów alkoholu ani narkotyków, na jej ciele nie znaleziono też spermy.

Informatycy bez kłopotów dostali się do laptopa Lenyi, przejrzeni pliki, pocztę elektroniczną i konto na Facebooku. Załączyli około stu stron jej korespondencji z przyjaciółmi oraz wydruk dokumentu, który wydawał się pamiętnikiem dziewczyny.

Jenny kilka godzin czytała z zainteresowaniem te materiały. Z e-maili, które pisali do siebie Lenya i jej najbliżsi przyjaciele, wynikało, że Schorsch Barzani był bardzo stanowczy wobec niej oraz Lary. Wprawdzie — jak sam zeznał — pozwalał im na pewną swobodę w kwestii stroju i niektórych zajęć, lecz miał ostatnie słowo w najważniejszej sprawie: chłopaków, z którymi się umawiała.

Lenya kochała Joakima — co do tego nie było żadnych wątpliwości. Komunikowali się bardzo intensywnie, a w e-mailach do przyjaciółek dziewczyna nie mogła się go nachwalić.

Natomiast w pamiętniku dawała wyraz swoim obawom. Ojciec już kilka lat wcześniej oświadczył, że Lenya ma poślubić Rawanda, jednego z synów jego kuzyna Naushada. W niczym nie przeszkadzało to, że oni mieszkali w Badinanie w północnym Iraku.

Na czacie na Facebooku Lenya zwierzyła się swojej przyjaciółce Ebbie, że

ojciec odkrył jej związek z Joakimem i wpadł we wściekłość. Lenya została poddana regularnemu przesłuchaniu. Zabroniono jej wychodzić samej z domu, mogła to robić wyłącznie w towarzystwie ojca albo brata, Azada.

Nie koniec na tym. Z zapisków w pamiętniku wynikało, że Schorsch Barzani nakazał żonie zaprowadzić córkę do Havała, Irakijczyka zamieszkałego w Tensta, rzekomo — lekarza. Wizyta miała na celu sprawdzenie, czy Lenya nadal jest dziewicą.

Lenya opisała spotkanie z owym mężczyzną jako ohydne. Wszystko odbyło się w zwyczajnym mieszkaniu, a dziewczyna wcale nie była przekonana, że ten człowiek ma wykształcenie medyczne. Matka odwróciła głowę, kiedy Haval wkładał Lenyi palce do pochwy. Nastolatka określiła badanie jako bolesne i brutalnie naruszające jej godność. W SMS-ach wyznała Ebbie, że jeszcze nigdy nie uprawiała seksu, ani z Joakimem, ani z nikim innym, lecz jej błona dziewicza rozerwała się podczas ćwiczeń baletowych.

Kiedy Schorsch Barzani poznał opinię „lekarza”, jego wściekłość nie miała granic. Lenya dostała kategoriyczny zakaz wychodzenia. Wydarzyło się to mniej więcej na tydzień przed jej śmiercią. Odtąd brat czekał na nią codziennie pod szkołą i razem wracali do domu.

Jenny odłożyła dokumenty, wypila łyk kawy i westchnęła głęboko. Czy kiedykolwiek przyzwyczai się do tych różnic kulturowych?

Naprzeciw Jenny siedzi Runak Barzani, matka Lenyi, w towarzystwie tłumacza.

Kobieta o twarzy postarzałej z braku snu i zmęczonej od płaczu na pytania Jenny odpowiada lakonicznie. Po tylu latach dobrze zna Schorscha. On kocha córki i nigdy nie podniósłby na nie ręki. Chciałaby się dowiedzieć, kiedy mąż wróci do domu. Wybucho histerycznym płaczem, gdy nie otrzymuje jasnej odpowiedzi.

Dwie godziny później, podczas ponownego przesłuchania czternastoletniej Lary, zamiast tłumacza obecna jest urzędniczka z opieki społecznej w Tensta.

Jenny trudno jest wydobyć z niej odpowiedzi na pytania.

Pochyla się i uśmiecha do dziewczyny.

— Boisz się czegoś albo kogoś? Obiecuję, że nic ci się nie stanie.

Lara milczy przez chwilę. Potem wzrusza ramionami i patrząc Jenny w oczy, mówi:

— Jak pani może cokolwiek obiecywać? Nie ma pani pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Masz rację. Jak mogłabym to pojąć?

— Więc mi powiedz. Wyjaśnij, żebym mogła zrozumieć.

Lara patrzy w stół, nie odzywa się.

Przesłuchanie Azada Barzaniego wcale nie idzie lepiej. Chłopak odpowiada krótko na niektóre pytania, inne kwituje wzruszeniem ramion albo milczeniem.

— Sądzisz, że Lenya bała się waszego ojca?

— A dlaczego miałyby się go bać?

— Czy to prawda, że w ostatnim czasie Lenyi nie wolno było wychodzić z domu? I że ojciec kazał ci odbierać ją codziennie ze szkoły, aby nie mogła spotykać się z Joakimem?

— Jakim Joakimem?

— Lenya miała chłopaka, Joakima, prawda?

— Nie miała żadnego chłopaka.

— Rozmawialiśmy już z Joakimem, który twierdzi, że on i Lenya byli parą.

— Kłamie.

Podczas przesłuchania Azad ani razu nie patrzy jej w oczy, Jenny zdaje sobie sprawę, że chłopak nie zamierza nic powiedzieć.

To inny świat. Świat mężczyzn, którzy posługują się innym pojęciem honoru niż to, które obowiązuje w Szwecji.

Przez chwilę Jenny się zastanawia, czy przesłuchań nie powinien kontynuować któryś z jej kolegów.

Takiego wała!

Przecież to ona, Jenny Lindh, komisarz policji.

Następnego dnia Jenny przesłuchuje najlepszą przyjaciółkę dziewczyny, Ebbę Green.

Ebba się nie boi. Potwierdza to, co Jenny wywnioskowała z wydruków z laptopa.

Lenya niewątpliwie obawiała się ojca. Schorsch Barzani miał okropny charakter i wciąż ustalał nowe zasady, do których dziewczyna musiała się dostosowywać. Nie mogła się malować, tak jak chciała, wolno jej było nosić tylko spodnie i oczywiście żadnych chłopaków — przecież miała poślubić starszego od siebie Rawanda z Iraku. Ebba twierdzi, że rozmawiały o tym mnóstwo razy i że Lenya marzyła tylko o tym, by wyrwać się z domu. Ale jak to zrobić? Siedemnastolatka, chodziła do szkoły, nie miała własnego mieszkania ani pracy. Zresztą nawet gdyby uciekła, ojciec, jego krewni i przyjaciele odszukaliby ją i sprowadzili z powrotem.

Zdaniem Ebby, Schorsch Barzani był domowym tyranem, obie córki bały się go równie mocno. Lenya miała nawet powiedzieć, że obawia się o swoje życie, że ojciec ją zabije, jeśli się dowie o jej chłopaku. A matka nigdy nie odważyłaby się sprzeciwić mężowi.

Przecież była kobietą.

Wypowiedzi z przesłuchań zostały spisane i wydrukowane oraz umieszczone w policyjnym systemie DurTvå wraz z raportami sporządzonymi w trakcie dochodzenia.

Następnego dnia tuż przed przerwą na lunch dzwoni prokurator, który wzywa Jenny do biura, żeby natychmiast zdała sprawę z postępów w śledztwie.

Tak więc Jenny, lekko poirytowana, znowu jedzie do Solny, pędzi przez korytarze i wreszcie siada w gabinecie Magnusa Stolta.

Prokurator przesuwając okulary na czoło.

— Jak poszło przepytывanie sąsiadów?

— Nie wniosło nic nowego. Wydaje się, że nikt nic nie widział ani nie słyszał. Wszystko rozegrało się przed południem. Ludzie pewnie byli w pracy.

Stolt wybucha śmiechem.

— W pracy? Oni raczej nie słyng z pracowitoci. Przecież wiesz, w jaki sposób wzbogacają naszą kulturę.

Jego głos ocieka ironią. Lindh słyszała takie słowa już wcześniej w radiowozach i na korytarzach komendy.

Wzbogacanie kultury. Lakrisy³. Czarnuchy. Araby.

Skoro policjanci, ludzie wykształceni, nie potrafią uznać tych ludzi za szwedzkich obywateli, jak ma to zrobić reszta społeczeństwa?

Widziała w wiadomościach, że populistyczni prawicowi ekstremiści zyskują ostatnio coraz większe poparcie. Brunatna fala.

Aż się wzdrygnęła.

Nie można nienawidzić ludzi z powodu ich pochodzenia.

Stolt przerzuca papiery i wyjmuje dokumenty, które oznaczył sobie żółtymi karteczkami.

— Mówisz, że nikt nic nie widział ani nie słyszał. A przecież mamy tu zapis przesłuchania niejakiego Petterssona, który twierdzi, że słyszał krzyki i odgłosy kłótni, a także widział, jak ojciec i córka szarpią się na balkonie.

— Zgadza się, ale po pierwsze, facet wygląda na pijaka i podczas przesłuchania czuć było od niego alkohol. Po drugie, zmienia wersje. Z wydruku wynika, że niczego nie jest pewny.

— Ale przecież mam tu czarno na białym, że widział, jak ojciec zrzuca dziewczynę z balkonu.

Jenny bierze głęboki wdech.

— Jeśli przeczytasz dalej, zobaczysz, że facet nie jest tego pewien. Moim zdaniem, obrona rozniesie jego zeznanie w drobny mak.

Stolt wygląda na poirytowanego, odkłada papiery.

— Przepytajcie sąsiadów jeszcze raz. Bez świadków albo innych dowodów nie mogę postawić zarzutu zabójstwa.

— A jeśli on tego nie zrobił? — wyrzywa jej się, zanim w ogóle zdążyła pomyśleć.

Zauważa, że Stoltowi drga powieka. Prokurator znów zdejmuje okulary,

pochyla się, opierając łokcie na stole, i wpatruje się w Jenny.

— Jeśli tego nie zrobił? Daj spokój, Lindh. Przeczytaj zeznania przyjaciółki dziewczyny. Lenya bała się o swoje życie. To kolejne zabójstwo honorowe. Barzani ma dostać dożywocie. Nie tolerujemy tu metod rodem z epoki kamienia łupanego.

Jenny wstaje, ale zanim wyjdzie z gabinetu, słyszy jeszcze ciche:

— Pierdolone Araby.

Odwraca się i spogląda na Stolta.

— Mówiłeś coś?

Prokurator posyła jej wymuszony uśmiech.

— Nie, nie. Nic takiego.

Następnego dnia po południu Jenny znów przesłuchuje Schorscha Barzaniego. W ostatniej sekundzie do pokoju wpada zdyszany prokurator. Po minie Stolta Jenny widzi, że jest on pod presją. Dzienniki i tabloidy pełne są wytłuszczonych nagłówków komentujących śmierć Lenyi; możliwe, że do prokuratora wydzwanianą szefostwo i politycy. Jenny dobrze wie, jak to jest, kiedy sprawa robi się polityczna.

Zbliżają się wybory. Rządzący sojusz prawicowy musi odpierać gwałtowne ataki opozycji i wykorzysta wszelkie triki, żeby utrzymać się przy władzy. Według kilku wiarygodnych badań opinii publicznej, procent poparcia dla populistycznej ksenofobicznej partii osiągnął już dwucyfrową liczbę. Oznacza to, że zyska ona więcej władzy i co gorsza, umocni swoją pozycję jęczyczka u wagi, który będzie rozstrzygał starcia między lewicą a prawicą w tym małym Kraju, Gdzie Wszystko Jest w Sam Raz.

Polityczna katastrofa.

A tu ginie dziewczyna z imigranckiej rodziny. Kolejna.

O zabójstwo podejrzewa się ojca. Jak wielu ojców wcześniej.

Wynik procesu może mieć duże znaczenie polityczne.

Czy ten mały, lecz demokratyczny kraj ma pozwolić ludziom z innych kultur mordować własne córki w obronie jakiegoś tam honoru?

Jenny się wydaje, że Schorsch Barzani tak jakby zmałał, skurczył się

w sobie. Kiedy zadaje mu pytania o dzień i moment śmierci Lenyi, mężczyzna wciąż trzyma się swojej wersji.

Oglądał telewizję, kiedy córka podeszła do drzwi balkonu. Podążył za nią i tak, rzeczywiście, doszło do szamotaniny, gdy usiłował powstrzymać ją przed skokiem.

Jenny ponownie pyta go, dlaczego nie zbiegł na dół, kiedy było już po wszystkim.

Barzani powoli potrząsa głową.

— Ja... tak jakby... sparaliżowany byłem. Nie mogłem się ruszyć. Siedziałem tylko... nie mogłem pojąć...

Prokurator Stolt wierci się na krześle, posyła Jenny poirytowane spojrzenie, które zdaje się mówić: „No, dalej, kurwa, załatw go!”.

Lecz za każdym razem, kiedy Jenny ponawia pytania, padają te same odpowiedzi. Pytała o ucieczkę rodziny do Szwecji, o dorastanie Lenyi, o to, jaki styl życia Schorsch Barzani uważa za odpowiedni dla córek. Co robił kilka minut, kilka sekund przed tym, zanim Lenya spadła z balkonu. Dlaczego był boso.

Pewnie, Schorsch Barzani to dla każdego szwedzkiego ksenofoba idealny przykład imigranta. Typowy „Arab”, który niczym władca panuje nad żoną i córkami, tworzy własne prawa i wymierza kary wedle własnego uznania.

Ale raz za razem wracają do chwili, gdy Lenya wyszła na balkon.

A wtedy coś się pojawia w spojrzeniu Schorscha Barzaniego.

Jenny nabiera coraz silniejszego przekonania, że jest niewinny.

Oczywiście — ze względu na swoją dominację i władczość wzbudzał w córce lęk. Być może nawet z czasem ją złamał, przyczynił się do tego, że myślała o samobójstwie. Jeśli prokurator zdoła to udowodnić, niewykluczone, że Schorsch Barzani zostanie skazany. Jenny nie wie, czy sąd rozpatrywał podobne przypadki.

Wie jednak, że istnieje różnica między nieumyślnym spowodowaniem śmierci a zabójstwem.

Jenny podejmuje ostatnią próbę. Stara się brzmieć bardziej stanowczo, patrząc Barzaniemu w oczy, mówi:

— Panie Barzani, nie lepiej się przyznać? Zrzucił pan Lenę z balkonu, czy tak?

Zmęczony, posiwiały mężczyzna patrzy na nią zdziwiony. Przecież do tej pory była taka życzliwa. Mija kilka sekund, po czym Barzani wybucha płaczem.

Obrońca ostrożnie kładzie rękę na jego ramieniu, a on, szlochając, mówi z trudem:

— Nie... ja... ja ją kochałem!

Magnus Stolt z irytacją zamyka notes i szybkim krokiem wychodzi z pokoju.

Jenny Marina Elisabeth Lindh zakrywa dłonią oczy, zastanawiając się, dlaczego, do kurwy nędzy, została policjantką.

Jenny jest pod coraz większą presją. Stolt żąda raportów co najmniej dwa razy dziennie, a ona nie ma nic nowego do powiedzenia. Ponowne przepytanie sąsiadów dało równie marne rezultaty jak wcześniej. Świadek Pettersson znów trafia na przesłuchanie, kilka razy. Każda kolejna wersja różni się w kwestii tego, co widział, słyszał i przeżył. Najwyraźniej delektuje się tym, że jest w centrum uwagi, i uwielbia odpowiadać na pytania. Problem w tym, że zawsze mówi co innego.

I że czuć od niego alkohol.

Jenny przesłuchuje Joakima Merkera, który rzekomo był chłopakiem Leny. Wcześniej rozmawiała z nim parę razy przez telefon, teraz zrobiła się oficjalna.

Joakim ma osiemnaście lat, chodzi do trzeciej klasy liceum, profil media. Sprawia wrażenie spokojnego i cichego, od razu wzbudza sympatię Jenny.

Opowiada, że poznał Lenę na wspólnych zajęciach w szkole, pół roku wcześniej. I tak, krok po kroku, spotykali się, spacerowali, chodzili na kawę, rozmawiali — takie zwyczajne rzeczy.

I stało się — przyszła miłość.

Joakim, rzecz jasna, nie potrafi dokładnie określić, kiedy zakochał się w Leny, a ona w nim. Pamięta dni, kiedy zrobili albo powiedzieli coś

szczególnego. Na przykład kiedy chciał jej kupić pierścionek w butik przy Hötorget, lecz Lenya nie odważyła się go przyjąć, ponieważ rodzice mogliby zobaczyć i zapytać, skąd go ma.

Chłopak opowiada. Od czasu do czasu Jenny wtrąca pytanie albo dwa. Jest przekonana, że Joakim mówi prawdę.

Jasne, całowali się i obejmowali, a potem były śmielsze pieszczoty. Na klatkach schodowych, ścieżkach dla spacerowiczów, w miejscach, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Nawet w piwnicy budynku, w którym mieszkał Joakim. No tak, Lenya odwiedzała go w domu, ale tylko w obecności jego mamy albo rodzeństwa, więc... nie, do niczego więcej między nimi nie doszło.

Jasne, że chcieli. Ale Lenya się nie odważyła.

Przed nią Joakim miał dwie dziewczyny, Szwedki. Z jedną uprawiał seks. Lenya wyznała mu, że jest dziewicą, gorąco zapewniała, że chce mu się oddać, że go kocha i pragnie spędzić z nim resztę życia.

Ale powiedziała mu też inne rzeczy i smutek zmącił ich miłość.

Gdyby Schorsch Barzani się dowiedział, że Lenya ma chłopaka, oboje mogli źle skończyć — tak twierdziła. A gdyby odkrył, że uprawiali seks, Lenya straciłaby życie.

Joakim być może również.

Z początku jej nie wierzył.

Z czasem jednak Lenya sprawiła, że uwierzył, zrozumiał.

Ale nie pogodził się z tym.

Jak zdusić miłość, gdy jest taka mocna? Jak się rozstać, tylko dlatego że ktoś inny nie szanuje tej miłości?

Mając siedemnaście, osiemnaście lat?

To niemożliwe.

Spotykali się dalej w tajemnicy. Objeżdżali się, całowali, pieścili.

Nic więcej.

Joakim był szczęśliwy, w głębi ducha liczył, że pewnego dnia wszystko się ułoży. Zaproponował nawet Lenyi, że przyjdzie do nich do domu, wyjaśni Schorschowi Barzaniemu, jak się sprawy mają, i poprosi o rękę córki.

Tamtego dnia w spojrzeniu Leny pojawił się smutek, potrząsnęła tylko głową, a do jej oczu napłynęły łzy.

Było to zaledwie przed kilkoma tygodniami.

Pewnego ranka Lenya przyszła do szkoły zrozpaczona, zaciągnęła go w kąt i wyjaśniła, co się stało. W jakiś sposób, nie wiedziała jak, Schorsch Barzani dowiedział się o ich związku. Od tej chwili będzie pilnowana, nie mogą się już spotykać. Azad ma ją codziennie odprowadzać ze szkoły do domu, muszą ostrożnie się komunikować przez SMS-y albo przez Internet — o ile również ta możliwość nie zostanie jej odebrana.

Joakim pocieszał ją, jak mógł, lecz aż zakłuło go w piersi, gdy patrzył, jak po szkole Azad odprowadza Lenę do domu — nawet nie odważyła się odwrócić.

Następnego dnia na pierwszej przerwie przekazała mu, co powiedział jej ojciec.

Jeśli dowie się, że znów spotkali się poza szkołą, oboje czeka śmierć.

Joakim był w szoku, nie chciał jej wierzyć. Potem rozmyślał, naradzał się z najbliższymi przyjaciółmi. Zastanawiał się — zgłosić Schorscha Barzaniego na policję czy co? W końcu żyją w Szwecji, jest dwa tysiące dwunasty rok.

Po przesłuchaniu Jenny podała Joakimowi dłoń i podziękowała. Poinformowała go, że zostanie wezwany na świadka w procesie.

Joakim wyszedł, a ona, pijąc mocną kawę, cieszyła się, że nie ma już siedemnastu lat.

Potem jednak wróciły myśli o Danielu i tej kurwie, i Jenny znów nienawidziła całego świata.

Ebba Green siedziała na ławce w parku i gapiała się tępo przed siebie, pospiesznie popalając papierosa.

Stary chuj. Ścierwo.

Proces zakończył się tydzień temu. Została wezwana na świadka i opowiedziała o wszystkim. Joakim też.

Potem zeznawał sąsiad, ten, co widział, jak stary chuj bije Lenę i spycha

ją z balkonu.

Adwokat starego próbował złamać świadka, ale ten był już pewien swojej wersji.

Widział szarpaninę i to, jak ojciec przerzuca Lenę przez balustradę.

Dziś rano przeczytała w Internecie, że stary został skazany za zabójstwo, dostał dożywocie.

Zasłużył sobie, chuj jeden.

Powoli wyjęła zwitek papieru, który od tygodni nosiła w kieszeni kurtki.

List od Leny.

Przyszedł dzień po jej śmierci, Ebba zdziwiła się, widząc na kopercie litery starannie wypisane przez przyjaciółkę.

Jej pismo.

Zazwyczaj komunikowały się przez SMS-y, e-maile albo na czacie, właściwie Ebba nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek dostała od koleżanki prawdziwy list, taki na papierze.

Czytała go po raz tysięczny.

„Ebba, Kocham Cię! Kocham Ciebie i Joakima, i Gussego, i Annę, i Marianę, i Linnéę, ale nie mogę tak dłużej!

Ojciec nigdy się nie zmieni. Nie ma dla mnie nadziei, zmuszą mnie, wyślą do Iraku i wydadzą za mąż. Nie mogę tak dłużej. Chcę być tylko z Joakimem.

Nie mam innego wyjścia, zrobię to. Nie wiem, czy się potnę, skoczę czy coś innego. Ale zrobię to. Wysyłam list, bo wiem, że próbowałyś mnie powstrzymać.

Kocham Cię *forever*, przekaz to mojemu Joakimowi, napisałam do niego na odwrocie.

Buźka, Twoja Lenis”.

Joakim dostał list do przeczytania. Milczał długą chwilę. Wreszcie stwierdził, że muszą z tym iść na policję. Przecież Lenya sama się zabiła, a jej ojciec został skazany za morderstwo.

Ebba wyrwała mu list z dłoni i uciekła.

Co to, to nie, stary chuj się nie wywinie.

Wyjmuje zapalniczkę, patrzy, jak rozedrgany płomień wżera się w papier, unicestwia go.

Ebba upuszcza list na ziemię, wpatruje się w ogień trawiący litery napisane ręką Lenyi. Do oczu napływają jej łzy, a kiedy zostaje już tylko popiół, wgniata go butem w piach.

Jenny Lindh wzięła wolne, siedzi w ciszy swojego mieszkania i wygląda przez okno.

Proces momentami wzbudzał sporo emocji, w końcu sędzia musiał wyrzucić Kurdów, którzy co chwilę głośno protestowali, gdy oskarżyciel zabierał głos.

Słuchała świadków, zdziwiła się na widok Petterssona. Miał na sobie koszulę i garnitur, starannie się ogolił, nie śmierdział alkoholem. Nagle zrobił się pewny swego. Widział gwałtowną szamotaninę, która zakończyła się tym, że Schorsch Barzani podniósł córkę i przerzucił przez balustradę balkonu.

Kiedy zapadł wyrok, Jenny uważnie przypatrywała się skazanemu. On, jak gdyby czując na sobie jej wzrok, zwrócił ku niej twarz.

Coś w jego spojrzeniu...

1. (szw.) dosłownie dumny ↵
2. (szw.) dosłownie: nadęty ↵
3. Obrażliwe określenie pochodzące od nazwy słodczy o smaku lukrecji, o czarnej barwie (szw. *lakrits*), sprzedawanych do niedawna w opakowaniach ze stereotypowym wizerunkiem twarzy czarnoskórego dziecka. ↵

Malin Persson Giolito

TY ZAWSZE PRZY MNIE STÓJ

Pachniało nie cynamonem, nie gorącą masą karmelkową czy szynką o chrupiącej skórce. To był raczej zapach stresu i zjełczałych kalorii. Wiatr niósł odgłosy ze straganu z loterią i piskliwą elektroniczną wersję *Jingle Bells*. Pokrywa chmur ugiwała się od wstrzymywanego deszczu.

Kobieta jedną ręką trzymała dłoń swojej córki, a w drugiej miała pióro. W wózku siedział jej synek. Przy wejściu do wesołego miasteczka czy kilku popularnych muzeów dostawało się paski, na których należało zapisać swoje dane i zapiąć je wokół nadgarstków dzieci — takie opaski identyfikacyjne. Ale na bożonarodzeniowych jarmarkach niczego takiego nie było. W jednym z pism dla rodziców kobieta wyczytała poradę, żeby zamiast tego zapisać swój numer telefonu na dłoni albo na ramieniu dziecka.

Nie powinnam była tu przychodzić, pomyślała. To był błąd. Lecz dzieci się kłóciły, wrywały sobie zabawki. Jedno szarpało drugie za włosy, oboje darli się wniebogłosy i zdecydowała, że musi coś zrobić, bo inaczej wszyscy zwariują. Chciała pochodzić trochę wśród rozradowanych rodzin, kupić słodczy domowej roboty w papierowych rożkach i pozwolić dzieciom napchać się do woli pączkami. To mógł być świetny pomysł.

Ale teraz marzyła tylko o tym, żeby znów znaleźć się w mieszkaniu, położyć się na sofie i przez chwilę się zdrzemnąć, kiedy dzieci będą oglądały telewizję.

Jednak powrót do domu, gdy nawet nie obesza jeszcze z wózkiem całego placu, byłby porażką. Poza tym chłopiec na pewno zasnąłby w autobusie, a jeśli zdrzemnie się teraz, nie będzie mogła zagonić go do łóżka wieczorem.

Mocniej chwyciła rączkę starszego dziecka. Trudno było pisać na

delikatnej skórze dziewczynki, musiała mocno naciskać, żeby atrament był widoczny. Kiedy mała zaprotestowała, matka szarpnęła ją za ramię.

— Nie ruszaj się — mruknęła. Nic więcej nie potrafiła powiedzieć. Pisała dalej.

Mięsień pod okiem zaczął jej pulsować, zamrugwała.

Jedno okrążenie. Tylko raz wokół placu, a potem może jechać do domu. Jeśli dopisze jej szczęście, dzieci zasną dzisiaj wcześniej. Wieczór będzie należał tylko do niej. Kilka godzin świętego spokoju. Zasłużyła na to.

Kiedy zapisała cały dziesięciocyfrowy numer, przejechała palcem po skórze — atrament już był suchy. Gdy tylko puściła rączkę córki, zmacerowany kciuk powędrował do półotwartej buzi dziewczynki. Nie ssała palca, tylko trzymała go w ustach, w samym kąciuku. Matka potrząsnęła głową, ale nic nie powiedziała.

— Mama — jęczał chłopiec w wózku. — Maaamaaa!

Synek miał nieco ponad rok. W takim tłumie nie mogła mu pozwolić na bieganie. A on nienawidził wózka, nienawidził każdej sekundy, kiedy nie mógł się ruszać. Teraz zaczął się wyginać z wszystkich sił, wściekle usiłując uwolnić się z szelek, którymi był przypięty. Niezmordowanie podskakiwał w górę i w dół na siedzeniu, aż wózek zaczął się przechylać. Dziewczynka stała obok, nadal trzymając kciuk w buzi, a matka mocniej zaciągnęła szelki, próbując zmusić chłopca do pozostania w wózku. Mały jednak nie ustawał w swoich wysiłkach. Kobieta wreszcie się poddała i ruszyła naprzód, po drodze kilka razy potrząsając mocno wózkiem, żeby chłopiec opadł do pozycji siedzącej.

Śniegowce dziewczynki były za ciepłe i za duże. Przy chodzeniu szurała piętami po asfalcie. Matka rozsunęła zamek jej kombinezonu, aż ukazały się obojczyki. Pulsowała tam błękitna żyłka, ledwo widoczna, jak cień.

— Idź porządnie — upomniała córkę. — Nie umiesz podnosić nóg? Jedno okrążenie placu — mruzczała do siebie półgłosem raz za razem. — Tylko jedno okrążenie.

Gdyby tylko ten plac nie był tak zatłoczony. Stragan z pasiastymi cukierkami był za daleko, a sprzedawca gofrów najwyraźniej już zwił interes.

Ale kilkanaście metrów dalej, na wznoszącej się na mniej więcej pół metra scenie siedział mężczyzna w średnim wieku. Miał odstającą sztuczną brodę i czerwoną filcową czapkę. Obok jego fotela stał wypchany renifer. Zwierzę patrzyło przed siebie dwojgiem czarnych szklanych oczu, a z jego grzbietu niczym juki zwisał kosz z wędzonymi kiełbaskami.

Ręcznie wypisany szyld informował, że kiełbaski kosztują po dwadzieścia koron za sztukę, a Mikołaj chętnie się dowie, co wszystkie grzeczne dzieci chcą dostać pod choinkę.

Z uczuciem pewnej ulgi kobieta się zatrzymała. Córka już nie wierzyła w Świętego Mikołaja, a synek nie wiedział, kim jest ten facet, ani tym bardziej jakie cuda rzekomo potrafi robić. Lecz to i tak było lepsze niż inne atrakcje jarmarku. Matka odszukała w torebce proszki od bólu głowy i połknęła jeden bez popijania. Tabletkę utknęła jej w gardle, aż zacisnęła powieki z bólu i przyłożyła do mostka zaciśniętą dłoń.

To dzieje się teraz. Stoją w kolejce. Kobieta próbuje zająć synka ciastkiem, które znalazła na dnie torby. Chłopiec jednak nie daje się tak łatwo oszukać. Wyrywa matce ciastko z ręki, drapie ją przy tym swoimi ostrymi paznokietkami, robi ślad na przegubie dłoni, a potem rzuca ciastkiem w mężczyznę, który stoi przed nimi w kolejce. I gdy kobieta go przeprosza, gorliwie strzepując mu okruszki z płaszcza, jej córka znika.

Matka ogląda się do tyłu. Obraca dookoła. Rozgląda na wszystkie strony. Woła najpierw cicho, potem głośniejszym głosem. Za trzecim razem aż drapie ją w gardle.

Gdzież ona jest? — myśli. Nie mogła odejść daleko, przecież dopiero co tu była. Chyba nie minęła nawet minuta, odkąd widziała ją ostatni raz?

Najpierw się złości. Jest wściekła.

Wrzeszczy na synka.

— Siedźże wreszcie spokojnie!

Torebka ciągle zjeżdża jej z ramienia, kobieta wbija w nią paznokcie. I to zmęczenie. Szepcze do siebie:

— Dlaczego? — Raczej nie ma w tym niepokoju, tylko rezygnacja. — Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

To takie niesprawiedliwe, co ona ma teraz zrobić?

Prosi mężczyznę z kolejki, żeby przypilnował wózka z chłopcem. Mały okrągłymi oczami przygląda się obcemu człowiekowi, a matka zaczyna się przeciskać przez tłum, woła dziewczynkę, podskakuje, żeby dalej sięgnąć wzrokiem.

W którą stronę powinna iść? Idzie w każdą po kolei, kilka metrów w jedną, potem w drugą. Ale nie widzi małej, zresztą i tak już musi wracać do synka. Po drodze ogarnia ją strach, który w jednej chwili zagłusza wszystko inne: złość, zmęczenie, rozpacz. Strach bierze ją w ramiona, spowija całą swoimi trującymi wyziewami.

Gdzie ona jest? Gdzie jest jej córeczka? Jak to możliwe, że zniknęła? Dlaczego nie może jej znaleźć?

Kiedy udaje jej się wygrzebać z torebki komórkę, by mieć pewność, że usłyszy, kiedy ktoś zadzwoni na numer wypisany na ręczce dziewczynki, widzi, że wyświetlacz jest całkiem ciemny. Skończyła się bateria. Komórka padła.

Kobieta naciska klawisze, potrząsa aparatem, znów coś naciska, lecz to nic nie daje. Dziewczynki nie ma, telefon milczy, a strach musi ustąpić, bo w jego miejsce teraz po plecach matki przebiega zgroza, z ostrymi pazurami i spiczastymi zębami.

Moja córka zginęła, myśli. Pochłonęła ją ta leniwie płynąca masa ludzi w przedświątecznym nastroju, porwał ją ten obcy, nieznany świat.

Chłopiec znów zaczyna się wiercić w wózku. Ale już nie tak rozzłoszczony. Lęk matki udzielił się i jemu.

Chmura wysoko nad ich głowami wreszcie nie wytrzymuje. Zaczyna padać deszcz. Tłum rozprasza się w jednej chwili, ludzie szukają schronienia, stają przy scenie, pod płachtami straganów. Matka zostaje w miejscu. Patrzy przez szarą zasłonę deszczu. Lecz w strugach wody nie

widać małej. Na placu nie zostało żadne dziecko. Ona zniknęła.

Petra, mama zaginionej dziewczynki, jest ubrana w dżinsy, cienką puchową kurtkę i ma ufarbowane włosy. Jest na urlopie macierzyńskim, przedtem pracowała w biurze.

Właściwie nie jest samotną matką, przynajmniej nie powinna być, ale jej facet ją zostawił, Petra nie wie, gdzie on się podziewa. Wyniósł się niecałe cztery miesiące temu, nawet nie odbiera, kiedy ona dzwoni do niego na komórkę. Rozmawiała tylko z jego rodzicami, z jakimś kolegą, raz z bratem. Wszyscy mówią to samo: on teraz chce być sam, odezwie się, kiedy tylko będzie mógł. Oznacza to mniej więcej, że nie chcą mieć z nią nic do czynienia. Ona i jej dzieciaki mają zostawić ich w spokoju, wszystkich. Od czasu jego zniknięcia musi sama opłacać czynsz, nienawidzi go, nienawidzi jego rodziców, całej jego rodziny, nienawidzi każdego z jego beznadziejnych kumpli. Nie może do niego teraz zadzwonić. Nawet gdyby jej telefon działał.

Gdzież jest to dziecko? Jak mogło zniknąć w tak krótkim czasie?

Petra nie wie, co zrobić. Dokąd pójść? Z kim rozmawiać? Potrzebuje pomocy. Ale gdzie jej szukać? Czy powinna próbować zachować spokój? Czy ktoś wtedy zechce jej wysłuchać? Może będzie lepiej, jak zacznie krzyczeć albo przynajmniej płakać, żeby inni zrozumieli powagę sytuacji? Zanim zdążyła podjąć jakąkolwiek decyzję, ktoś położył dłoń na jej ramieniu. Przypuszczalnie widać po niej, że jest przerażona, bo mężczyzna, który stał przed nią w kolejce, proponuje, że pójdzie poszukać dziewczynki. Radzi jej też, żeby poprosiła o pomoc Mikołaja.

— Niech mu pani wyjaśni, co się stało — mówi mężczyzna. — Wszystko będzie dobrze — dodaje jeszcze. Chyba widzi, że kobieta potrzebuje otuchy. — Proszę się nie denerwować, ona zaraz się znajdzie.

Matka jednak się denerwuje, to dzieje się samo. Straszne obrazy pojawiają się szybciej, niż potrafi opowiedzieć facetowi z przyprawioną brodą, co się stało. Obrazy zderzają się ze sobą, są bezlitosne. Jej córeczka jest mała, ma zaledwie cztery lata i dziewięć miesięcy, w nocy jeszcze potrzebuje pieluchy i ssie kciuk.

Czy tu w pobliżu jest jakaś głęboka woda? — zastanawia się Petra, podczas gdy Mikołaj, który właściwie ma na imię Magnus, dzwoni do kogoś, kto zaraz nada komunikat przez prowizorycznie zainstalowane głośniki.

— Moja córka ma na imię Emma — mówi Petra.

— Emmo — trzeszczą głośniki. — Twoja mama czeka na ciebie przy Mikołaju.

— Ona nie umie pływać — szepcze Petra. Jezioro, kanał, rzeka czy jakiś strumień? Woda nie musi być nawet głęboka. Dziecko może się utopić w wodzie o głębokości dwudziestu centymetrów.

Ale przecież są w środku miasta. Gdzie miałyby tutaj utonąć? Fontanna jest wyłączona na zimę, a do portu nie mogła dojść, to za daleko, tam się idzie ponad godzinę. Emma nie może iść tak daleko zupełnie sama, to przecież oczywiste. Zresztą nawet gdyby próbowała, ktoś zatrzymałby ją po drodze.

Mimo wszystko te obrazy cisną się jej do głowy. Nieskończona ilość możliwych wypadków, nie można wykluczyć żadnej katastrofy. Upadek? Jej córeczka łatwo traci równowagę. Widzi, jak się przewraca głową naprzód. Może spada z jakiejś wysokości. Pusty plac zabaw, drzewo, śliska huśtawka, murek, kamień, drabinka do wspinania. Albo wpada do studzienki ulicznej, gdzie pochłonie ją ciemność, nie będzie słyhać jej wołania o pomoc. Zmiażdżona, martwa, połamane nogi, wgnieciona klatka piersiowa, uduszona w jakimś ciasnym pomieszczeniu. Śmierć zawsze przychodzi szybko, choć umieranie może być bolesne i rozciągnięte w czasie. Nie ma żadnego miłosiernego, łagodnego przejścia od dziecka żywego do dziecka, które nie oddycha, od rosnącego dziecka do gnijącego ciała.

Deszcz ustał i grupki ludzi znów zaczynają spacerować. Z głośników wydostaje się kolejna wiadomość i unosi się nad placem: „Czteroletnia Emma szuka swojej mamy. Emma jest ubrana w granatowy kombinezon, ma blond włosy. Jej mama czeka pod dużą sceną”.

Mężczyzna, który pomagał jej w poszukiwaniach, właśnie wraca. Jest mu przykro, ale jego dzieci są już głodne i zmęczone, nie wytrzymają tu dłużej,

musi wracać do domu.

— Wszystko będzie dobrze — mówi jeszcze raz i odchodzi.

Myśli Petry nadal pędzą jak oszalałe.

Plac wydaje się bardzo mały. Tłum ludzi, stragany, tu jest za ciasno. Dlaczego dziewczynka miałaby tu zostać? Zaledwie kilka metrów dalej zaczyna się groźne miasto. Parkingi, samochody, słabo oświetlone ulice. Czyżby Emma tam poszła? To w końcu nie tak daleko. W tłumie przechodniów trudno zauważyć samotne dziecko.

Potrącona przez auto, przejechana, o tej porze roku wcześniej robi się ciemno. Odblask, migoczący królik, jest w kieszeni kombinezonu. Emma na pewno nie pomyśli o wyciągnięciu go, tak żeby była widoczna. Jakim cudem miałaby to zrobić? Jeszcze się nawet nie nauczyła, że musi się rozejrzeć, zanim przejdzie przez ulicę. Emma nie potrafi ocenić odległości, nie patrzy na nic. Jak już gdzieś idzie, trzeba jej powiedzieć, żeby zawróciła, inaczej będzie szła prosto przed siebie. Jak miałaby trafić z powrotem tam, gdzie była przedtem? Ma przecież tylko cztery lata.

Mikołaj imieniem Magnus przestał rozmawiać o prezentach, oddał swoje krzesło mamie Emmy, zdjął też czapkę i brodę. Nikt już nie stoi w kolejce przed sceną, wszyscy poszli łowić kaczuszki na stoisku reklamowym ubezpieczalni. Zapada zmrok, palą się uliczne latarnie. Lampiony przed straganem Czerwonego Krzyża trzepoczą samotnie.

Petra i Magnus czekają na policję. Kilkoro ludzi odeszło od swoich straganów, żeby pomagać w poszukiwaniach. Magnus chodzi tam i z powrotem, przystaje zamyślony, chyba naprawdę się niepokoi. Chłopiec, braciszek Emmy, zasnął w wózku, a jej mama siedzi na krześle jak skamieniała. Nie rozmawiają o tym, co może spotkać małą dziewczynkę, która się zgubiła. To nie jest konieczne. Takie myśli biegną same. Wszystkie statystyki, prawdopodobieństwo i doświadczenie, które mówi, że Emma zaraz się znajdzie, nie są funta kłaków warte.

Petra tylko siedzi. Czy to z powodu szoku jej ciało tak zastygło? — myśli Magnus. Mężczyzna splata dłonie, potem znów je rozłącza. Ma opuchnięte

stawy. Myśli o swojej matce. Zawsze się zamartwiała. Zawsze.

Czy to te myśli sprawiają, że Petra tak się zachowuje? Historie, które czytała albo słyszała, a teraz nie umie się przed nimi bronić, rzeczy, które naprawdę się wydarzyły? Czy myśli o dzieciach, które nigdy nie wrócą do domu? Albo o tych odnalezionych, z traumą na całe życie, z ranami, których nie widać, lecz które nigdy się nie zagoją? Dzieciach, które zostały porwane spomiędzy samochodów lub z niebezpiecznych wysokości, ukryte w tajemnych pomieszczeniach, zamknięte przez ludzi, których nigdy nie powinny były spotkać. O ludzkich potworach, które mają silne ramiona, ciężkie ciała... O piwnicznych sklepieniach, niepojętych żądzach i dłoniach, które duszą.

Dlaczego ona nie idzie szukać córeczki? — zastanawia się Magnus. Ma ochotę złapać ją za ramiona i potrząsnąć, uderzyć w twarz. A kobieta tylko siedzi i gapi się przed siebie. Mężczyzna odchrząkuje. Nachyla się nad Petrą, przysiadła obok niej na piętach i kładzie dłoń na jej kolanie. Stara się mówić autorytatywnym tonem. Zdecydowanym. Jego głos jednak załamuje się, jakby przechodził mutację. Petra nawet na niego nie patrzy, kiedy jej tłumaczy, że Emma sama nie wróci. Wie, jakie to ważne, żeby działać szybko, minęła już godzina i teraz zbliżają się do momentu przełomowego, za którym czyha katastrofa. A ona, matka, tylko siedzi i traci kolejne minuty.

— Muszę naładować telefon. — To wszystko, co Petra mówi.

Magnus wyjmuje z kieszeni komórkę, wymienia swoją kartę SIM na kartę Petry. Oboje wpatrują się w wyświetlacz, kiedy telefon szuka sieci. Ale Petra nie ma żadnych nowych wiadomości, żadnych nieodebranych połączeń.

Tyle tylko, że zjawia się policja.

Są określone procedury, które stosuje się w takich przypadkach. Mówią, jakie należy zadawać pytania i na co zwracać uwagę. Młoda aspirantka policji Helena Svensson ma nawet całą tę listę w kieszeni. Mogłaby ją wyjąć i odhaczać po kolei, ale zamiast tego przykuca obok krzesła, na którym siedzi matka dziecka. Mówi do niej cichym głosem. Musi dbać o jej spokój,

inaczej nie dostanie odpowiedzi na swoje pytania. A nie ma w tej chwili ważniejszej rzeczy niż konkretne odpowiedzi.

Helena Svensson podchodzi do sprawy bardzo poważnie. Wypytuje o wzrost i wagę Emmy, w co była ubrana. Petra nie ma przy sobie żadnego zdjęcia dziewczynki.

— Nic nie szkodzi — rzuca uspokajająco Helena. — Na pewno nie będzie potrzebne.

Potem obejmuje Petrę ramieniem, pomaga jej wstać i prosi, żeby zaprowadziła ją tam, gdzie Emma zniknęła. Sześciu kolegów Heleny już zaczęło przeszukiwać teren. Patrol z psem jest zajęty gdzie indziej, obiecali, że przyjadą, gdy tylko będą mogli. Plac jest kiepsko oświetlony, jednak policjanci mają latarki, którymi omiatają wszystko dokoła, wysyłając rozkołysane smugi światła w grudniowy mrok.

Kiedy Petra przyznaje, że nie wie, gdzie może być ojciec Emmy, że nie ma od niego żadnych wieści, odkąd się wyniósł cztery miesiące temu, nie wie nawet, czy nadal ma ten sam numer telefonu, Helena przeprosza ją na chwilę i odchodzi na bok. Po krótkim telefonie koledzy w komendzie już mają wszystkie potrzebne dane.

Helena dobrze pamięta statystyki. Statystyka to ważna rzecz w szkole policyjnej. Rocznie policja dostaje około siedmiuset zgłoszeń o zaginionych dzieciach. Helena wie, że ogromna większość dzieciaków znajduje się sama, jeszcze zanim policja dotrze na miejsce, po prostu wracają, nic dramatycznego się nie dzieje. Czasami trwa to trochę dłużej, wtedy trzeba działać, zanim zrobi się za zimno, zanim ciemność stanie się nieprzenikniona. Dzieci mogą w nocy zablądzić i zamarznąć. Helena pamięta też, że jeśli naprawdę dochodzi do porwania dziecka, to najczęściej sprawcą jest jedno z rodziców.

Dlatego chce się jak najwięcej dowiedzieć o ojcu Emmy. Z trudem ukrywa podekscytowanie. Dlaczego się rozstali, czy jego rodzina mieszka w Szwecji, gdzie pracuje, co robi i tym podobne rzeczy. Ale wtedy Petra zaczyna się złościć. Niemal krzyczy na Helenę, żeby dała spokój z tymi bzdurami, czy myśli, że Petra nie wie, do czego ona zmierza?

— Ojciec Emmy jej nie porwał — wyrzuca z siebie Petra. — Gdyby chciał ją zabrać, wcale bym mu nie przeszkadzała. — Bierze głęboki oddech. — Wszystko muszę robić sama, za wszystko ja odpowiadam. On nie płaci ani grosza, nie przewinął żadnego dziecka ani razu, nigdy po nich nie sprząta, nie gotuje, nie odprowadza ich i nie odbiera, nie kładzie spać, nie ubiera, nie rozbiera. Jeśli tylko będzie chciał, może ją mieć, na jak długo zechce. — Teraz brakuje jej tchu. Jest bliska załamania. — Weź ją, tak bym powiedziała, gdyby tylko zapytał. Zabieraj ją i trzymaj, jak długo chcesz.

Helena kiwa głową, żeby uspokoić Petrę, jest zestresowana, nic dziwnego, że krzyczy, kto by nie krzyczał, gdyby przeżywał coś takiego. Lecz Petra nie daje się uspokoić, teraz zupełnie traci panowanie nad sobą. A jej krzyk budzi synka.

— Muszę wracać do domu — tłumaczy, kiedy chłopczyk wygina się w wózku w łuk. — Zadzwońcie do mnie, kiedy Emma się znajdzie, ale teraz muszę iść, nie mogę tu czekać całą noc. Muszę mu zmienić pieluchę, nakarmić go, nie mogę tu dłużej siedzieć i odpowiadać na wasze durne pytania.

Helena jest trochę zaskoczona. Wprawdzie prawie nigdy nie da się przewidzieć reakcji ludzi w skrajnym stresie, tego się nauczyła w szkole policyjnej, jednak nikt nie przygotował jej na coś takiego. Nikt nie mówił, co należy robić, żeby zmusić matkę do pomocy w poszukiwaniach własnej córki.

Na szczęście Helena znajduje w wózku świeżą pieluchę i proponuje, że sama przewinie chłopca. Wtedy Petra trochę się uspokaja. Ktoś daje dziecku banana, którego mały zjada, potem od kobiety z Armii Zbawienia dostaje jeszcze drożdżówkę.

Petra znów siada na krześle Mikołaja z kubkiem gorącej kawy w dłoniach, a Helena odchodzi na bok, żeby zadzwonić na komendę i sprawdzić, czy są jakieś wiadomości o ojcu dziewczynki.

Ale nawet nie musi dzwonić. Jej koledzy zaczynają coś do siebie wykrzykiwać i choć nie słyszy, co mówią, domyśla się wszystkiego z ich tonu i gestów. Potem jeden z policjantów, Stefan, podchodzi do niej, trzymając

w ramionach dziecko. Uśmiecha się do Heleny i ona też się rozpromienia. Teraz wszyscy się uśmiechają, zbierają się wokół Stefana, słysząc oklaski. Mrok zdaje się cofać. Może jeszcze nie byli tak naprawdę przerażeni, lecz teraz cieszą się w sposób, jakiego trudno było się spodziewać.

Znalazł dziewczynkę niecałe dziesięć metrów od miejsca, gdzie siedzi jej matka, ukrytą głęboko pod prowizoryczną sceną. Musiał się do niej czołgać, przyświecając sobie latarką, jeszcze trudniej było mu się stamtąd wydostać, jednak się udało, wyciągnął też Emmę. Zasnęła, jej kombinezon czuć moczem. Obudził ją, ale się nie rozplakała.

Helena czuje ucisk w gardle. Potem się śmieje, woła po imieniu Petrę.

— Teraz pójdziemy do mamy — szepcze do Emmy. — Mama na ciebie czeka.

Kiedy Stefan wchodzi na scenę, rozpromieniony, niosąc swoją cenną zdobycz, Petra wstaje z krzesła. Nie podchodzi jednak do niego, tylko oplata się ramionami. Przecież widzi, że policjant trzyma jej córkę. Nie pyta o nic, czy małej coś się stało, czy jest ranna, czy w ogóle żyje. Nic.

— Zasnęła — wyjaśnia Stefan. — Ale wszystko z nią w porządku. Po prostu się schowała.

Teraz Emma odwraca się i spogląda na matkę. Jednak nie wyciąga do niej rąk, tylko chowa twarz, przyciska nos do piersi Stefana. On próbuje ją zagadywać, czy nie chce do mamy? Najwyraźniej nie chce. Chude ramionka otaczają szyję obcego mężczyzny, a uśmiech Heleny powoli zamiera. Przecież to nic dziwnego, myśli. To normalne, że jest wystraszona, dopiero co się obudziła, wszystko jest obce, a ona taka malutka. To nic dziwnego.

Petra nie próbuje jej pomóc.

— Cholerny bachor — syczy tylko. Jej oczy ciemnieją. Ale przynajmniej bierze ją od Stefana.

Emma zaczyna płakać. Zaciska dłoń w pięstkę i wkłada do buzi, nie słysząc płaczu, tylko same łzy spływają jej po policzkach.

— Zsikałaś się? — pyta Petra, kiedy czuje pod palcami mokry kombinezon.

— Nie chciałam, mamusiu — odpowiada szeptem jej córeczka. —

Naprawdę nie chciałam.

— Chodźmy stąd — mówi Stefan, biorąc Petrę za ramię.

Helena Svensson się zgadza. To przecież nic dziwnego, że dziewczynka jest wystraszona. Najpierw ktoś świeci latarką do jej kryjówki, potem nagle otacza ją tylu dorosłych obcych ludzi i wszyscy na nią patrzą; to musiało być ciężkie przeżycie. A Petra jest w szoku, jasne, że to tylko szok. Ludzie różnie reagują pod wpływem ekstremalnego stresu. Helena uczyła się o tym w szkole. Tutaj też nie dzieje się nic szczególnie odbiegającego od normy. Nic niepokojącego, wszystko jest w porządku. Petra zaraz się uspokoi.

Lecz teraz i chłopiec zaczyna płakać. Płacze bardzo głośno, ale to dobrze, że płaczą. Rzadko kiedy okazuje się, że dzieci, które krzyczą i płaczą, zostały poważnie skrzywdzone, należy się raczej martwić o te ciche.

— Zsikałaś się? — powtarza Petra, prawie krzyczy, a Emma płacze teraz jeszcze bardziej.

Muszą wreszcie stąd iść, wrócić do ciepłego mieszkania, dzieci powinny dostać coś do jedzenia, suche ubrania, bo znów zaczęło padać, leje całkiem solidnie. Helena czuje, jak jej puls przyśpiesza, dłonie zaczynają się pocić. Czy będzie w stanie uspokoić się w tym zamieszaniu? Jeśli ona się tak przejmuje, to chyba nic dziwnego, że matka nie umie się opanować? Dla niej to musi być sto razy gorsze.

To było męczące popołudnie, myśli Helena, wszyscy najedli się strachu.

— Chodźmy do mojego wozu — mówi wreszcie aspirantka. — Podrzucę was do domu.

Matka jednak nie wygląda na ucieszoną, woli jechać autobusem.

— Po co ma mnie pani odwozić? — pyta. — Sama sobie poradzę. Myśli pani, że sobie nie poradzę? Każdemu może się zdarzyć, że dziecko się na chwilę zgubi. Już się znalazło, nie musi mnie pani kontrolować. Dam sobie radę, zawsze sobie daję radę.

Policjantka jednak nalega. Kiedy dochodzą do samochodu, okazuje się, że ktoś wezwał karetkę. Stoi obok radiowozu, Helena musi prosić, żeby wyłączyli niebiesko migającego koguta. Jeden z sanitariuszy ogląda Emmę i nie stwierdza żadnych obrażeń, dziewczynka nie potrzebuje pomocy. Ma

otarte kolano i kilka siniaków na klatce piersiowej i ramionach. Żadnych złamań. Raczej nie została pobita. Dziewczynka sama mówi, że nic ją nie boli.

Petra jest obok podczas oględzin córki.

— Musiała się uderzyć, kiedy wchodziła pod scenę — mówi, spoglądając na siniaki. Potem zwraca się do Heleny. — Choćbym nie wiem ile razy powtarzała, ona mnie nigdy nie słucha. Jest taka niezdarna. Przewraca się, obija o wszystko. Gdyby tylko słuchała...

Na piersiach skóra już przebarwia się na żółto, to już nawet nie jest siniak.

To nie są świeże urazy, myśli Helena. Nie powstały dzisiaj. Ukradkiem zerka na sanitariusza. Ten dłonią gładzi pokryte delikatnymi włoskami plecy dziewczynki i obciąża koszulkę. Potem poklepuje małą po policzku. Badanie skończone.

Dzieci ciągle się o coś obijają, myśli Helena, zawsze. Na przykład w przedszkolu. Chyba mogła się potłuc w przedszkolu.

— Pomogę pani się ogarnąć — mówi Helena do Petry. — Pomoc może się teraz przydać. — I nie rozumiejąc do końca, dlaczego to robi, mówi dalej, żeby Petra nie mogła zaprotestować: — Muszę pani zadać jeszcze kilka pytań, są potrzebne do sporządzenia raportu. Możemy to zrobić u was w domu, wtedy nie będzie pani musiała przychodzić na policję. Niestety, to konieczne. Rozumiem, że wolałaby pani mieć teraz spokój, ale takie są przepisy.

Petra tylko kiwa głową. Wygląda na zmęczoną, wyczerpaną.

Samochód prowadzi kolega Heleny. Petra z dziećmi siedzą z tyłu. Potem kierowca czeka pod domem, kiedy policjantka wchodzi z nimi do środka. Mieszkanie jest niewielkie, lecz schludne. Z przedpokoju można zajrzeć do wszystkich pomieszczeń. Na kuchennym blacie leży zapomniana kostka masła, ale łóżka są pościelone, na podłodze w salonie nie walają się zabawki.

Dzieci, uwolnione z kurtek i butów, biegną do swoich spraw.

— Wykąpię ją, jak pani wyjdzie — mówi Petra już spokojniejszym tonem. Odkłada kombinezon Emmy do kosza z brudnymi rzeczami, który

stoi przy drzwiach. — Ściągnij spodnie i majtki! — woła za córką.

Helena kiwa głową. Mieszkanie jest zadbane. Ciepłe. Zwyczajne. Policjantka drepcze w miejscu. Niepewnie zadaje kilka pytań, Petra odpowiada. Nie zaprasza dalej. Sama wchodzi do salonu. Helena słyszy odgłos włączanego telewizora. Zastanawia się, czy iść za Petrą, jednak rezygnuje.

— Jestem głodna, mamo! — woła Emma z sofy przed telewizorem, na co Petra zaraz wychodzi do kuchni. Helena staje w progu, patrzy, jak Petra kładzie na patelnię mrożone klopsiki.

Aspirantka nie wie, co jeszcze mogłaby powiedzieć, więc wycofuje się do przedpokoju. Umawiają się na telefon jutro w ciągu dnia. Na wszelki wypadek.

— Do widzenia! — woła Helena do dzieci.

— Do widzenia — odpowiadają.

Słyszy, jak matka zatrzaskuje za nią patentowy zamek. Wsuwa w szparę końcówkę łańcucha.

Policjantka schodzi po schodach. Kiedy jest już na ulicy, to nie uczucie ulgi każe jej się odwrócić i spojrzeć jeszcze raz na budynek, odszukać okna mieszkania, w którym została Petra z dwójką swoich dzieci. To coś zupełnie innego. Jakiś dyskomfort.

W radiowozie czeka kolega. Jest starszy od Heleny. Co najmniej piętnaście lat na służbie. Gdy tylko ją wysadzi, pojedzie prosto do domu. Zje kolację. Poogląda telewizję. Spędzi czas z rodziną.

— Jakie zrobiła na tobie wrażenie? — Helena zbiera się na odwagę i pyta. — Ta matka. Czy nie była trochę... wściekła?

— A kto by się nie wściekał? — odpowiada pytaniem kolega. Potem się śmieje, a policzki Heleny zaczynają płonąć. On uważa, że jej obawy są głupie, słysząc to wyraźnie. — Dzieciaki się czasem gubią. Wszystko się mogło zdarzyć. Mogła utknąć tam pod sceną. Nie dałaby rady się wydostać, bo ja wiem? Ona na pewno była zawstydzona, ta jej matka. Ściągnąć policjantów z połowy miasta, a dzieciak kima dziesięć metrów dalej. Jasne, że się wstydziała.

Helena kiwa głową. Oczywiście, on ma rację.

— Zostaw to. — Kolega skręca w ulicę, przy której mieszka policjantka.
— Zrobiliśmy dzisiaj coś dobrego, Heleno. Lepiej skoncentruj się na tym, zamiast wciąż o tym myśleć. Bo nie zdarza się to co dzień, naprawdę. A teraz wracamy do domu. Wkrótce są święta, do diabła! Uśmiechnij się, powinnaś się cieszyć. To był dobry dzień.

Aspirantka Helena Svensson wczesnie kładzie się do łóżka. Przegląda jeszcze kolorowy magazyn. Przepis na pierniczki, artykuł o dekorowaniu mieszkania haftowanymi poduszkami z jedwabiu. Znana aktorka opowiada o tradycjach świątecznych. Chce nauczyć swoje dzieci dzielenia się radością.

Helena przegląda pismo, a potem zaczyna od początku. Jest całkowicie przytomna. Czyta ten sam artykuł raz za razem, ale nie może się skupić na opisie przygotowania tej oprószonej śniegiem świątecznej girlandy z jodłowych gałązek. Ma w głowie tylko brudnożółte siniaki i małą dziewczynkę o chudych ramionkach, które zaciskają się na szyi Stefana.

Nawet w szkole policyjnej o tym mówili. Że największe zagrożenie dla małych dziewczynek to nie zboczenie z kieszeniami pełnymi słodyczy i nieistniejącym szczeniakiem w aucie. Zboczeńców jest niewielu, o wiele więcej jest matek, które nie mają cierpliwości, ojców, którzy nic nie robią, rodziców, którzy powtarzają dziecku, że jest beznadziejne, niezdarne i głupie. A dzieci mają siniaki, choć nawet boją się włączyć na drzewa.

W mieszkaniu Emmy było ciepło. Jej mama nie jest pijaczką. Smażyła klopsiki, przy drzwiach stał kosz z rzeczami do prania i proszek, miała zarezerwowany termin w pralni.

Zostaw to. Tak powiedział kolega. Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Petra już teraz jest w wystarczająco ciężkiej sytuacji. Sama z dwójką dzieci. Nie potrzebuje jeszcze użerać się z opieką społeczną. A Helena ma też inne zmartwienia.

Jutro będzie nowy dzień. Zaczyna pracę o jedenastej. W wiadomościach mówili, że ma być zimno. Mróz zaganiał bezdomnych tam, gdzie nagle stawali się widoczni: na klatki schodowe, gdzie ich zapach przeszkadzał mieszkańcom, i do centrów handlowych, gdzie stanowili zgrzyt wśród

świętecznych dekoracji. Jutrzejszy dzień będzie ciężki, a noc jeszcze gorsza. Nie powinna się tak wszystkim przejmować, bo wypali się, zanim upłynie pierwszy rok służby.

Helena odkłada tygodnik na podłogę i gasi lampę. Kładzie się na boku i kopnięciem odrzuca kołdrę, żeby odkryć stopę.

Zostawić to? Naprawdę powinnam tak zrobić? Czy naprawdę o to chodzi? Przecież wkrótce święta, do cholery. Czy to naprawdę był dobry dzień?

Maj Sjöwall i Per Wahlöö

MULTIMILIONER

Kilka lat temu poznaliśmy multimilionera dolarowego. Multimilionerów nie spotyka się codziennie. Zwłaszcza dolarowych. Jednak dolar to nie byle co.

Biorąc pod uwagę miejsce, spotkanie nie było aż tak niespodziewane. Wydarzyło się to mianowicie na pokładzie „Queen Elizabeth” — prawdziwej „Queen Elizabeth”, marniejącej obecnie jako hotel gdzieś na Florydzie — w dodatku w pierwszej klasie, którą zapewne podróżowało wielu milionerów. Było tam również sporo Amerykanek o platynowopopielatych włosach i angielskich lordów, przechadzających się chwiejnym krokiem po pokładzie. Najlepiej zapamiętaliśmy jednak owego multimilionera, ponieważ opowiedział nam pewną historię. Historię z morałem.

Obserwowaliśmy z achterdeku, jak liniowiec wychodzi z portu i przepływa pod mostem Verrazano-Narrows, a kiedy latarnia morska Ambrose Light rozplynęła się w słonecznej mgiełce, poszliśmy do baru. Tam spotkaliśmy multimilionera po raz pierwszy.

Garbiąc się w jasnoniebieskim pulowerze z kaszmiru, siedział samotnie przy stoliku, przyczajony nad podwójną whisky. Było wczesne przedpołudnie. Kiedy sadowiliśmy się na barowych stołkach, spojrzał przelotnie w naszą stronę. Oprócz nas trojga i barmana nie było tam nikogo, lunch planowano podać dopiero za godzinę.

Mężczyzna wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, później się dowiedzieliśmy, że miał czterdzieści dwa.

Kiedy składaliśmy zamówienie, upuścił na wykładzinę paczkę

papierosów. Po chwili, utkwivszy fiołkowe oczy w barmanie, powiedział:

— Proszę mi podać moje papierosy.

Pracownik za kontuarem pochłonięty był przygotowywaniem naszych drinków.

— Spadły mi papierosy. Podnieś pan! — zawołał mężczyzna z sofy.

Barman energicznie mieszał alkohole, udając, że nie słyszy.

— *Shall I blow my top?* — odezwał się znów tamten.

Barman grzechotał kostkami lodu, niewzruszony tym, że facet od papierosów wbija w niego oczy, rzeczywiście niezwykle fiołkowe.

Zaintrygowani tą sceną, czekaliśmy na dalszy rozwój wypadków.

Mężczyzna w jasnoniebieskim pulowerze odstawił z hukiem szklanę i powiedział:

— *Okay, I'll blow my top.*

I tak się stało. Wpadł we wściekłość. Podniósł się z sofy, obrzucił barmana wyzwiskami, odstawił atak hysterii godny pięciolatka, po czym wyszedł szybkim, sztywnym krokiem, pozostawiając papierosy na podłodze. Barman ani drgnął. Po jakimś czasie zjawił się pomywacz, który podniósł paczkę i odłożył ją na stół.

— Okropny człowiek — stwierdziliśmy.

Barman — na podobieństwo sfinksa — miał nieodgadniony wyraz twarzy.

Podczas owego rejsu usadzono nas przy stole razem z intendentem i lekarzem pokładowym. Tam ponownie spotkaliśmy mężczyznę z baru, chociaż nie w porze lunchu — wtedy jego krzesło stało puste — lecz dopiero przy kolacji. Miał zły humor, ponieważ chciał siedzieć przy stole kapitana. W końcu był multimilionerem.

Rejs trwał cztery dni, piętnaście godzin i dwadzieścia pięć minut.

Z perspektywy dziejowej — niedługo, ale na pokładzie takiego statku to całkiem sporo czasu.

Ponieważ tym razem pierwszą klasą podróżowało stosunkowo niewielu

pasażerów, posiłki natomiast były częste i długie, a w dodatku siedzieliśmy przy jednym stole — dużo rozmawialiśmy z owym multimilionerem.

Nawet zdradził nam swoje nazwisko. McGrant. Co do tego, że był Amerykaninem, nikt nie miał wątpliwości.

Kiedy zapytaliśmy go o miejsce zamieszkania, ogromnie się zdziwił.

— McGrant, oczywiście.

W rzeczy samej. Pochodził z miasta o nazwie McGrant, gdzieś w Missisipi albo Kentucky, czy jeszcze innym stanie. Założone przez jego pradziadka Szkota, który się tam osiedlił, było następnie przekazywane w spadku z pokolenia na pokolenie. Ów multimilioner po prostu posiadał to miasto, nazwane jego nazwiskiem, posiadał tamtejszy bank, domy towarowe, większość budynków, a pośrednio także wszystkie grunty. To piękne miasto, mówił, w którym mieszka jakieś dziesięć tysięcy ludzi, każdy we własnej willi, i wszyscy są biali, nawet służba. Oczywiście kontrolował również lokalny układ partyjny.

Opowiadał, że lubi swojego bentleya, ale woli swojego rolls-royce'a, chociaż z kolei jego dwa cadillaki były bardziej amerykańskie, a nas uważał za przyjaciół, ponieważ przy jednym stole dzieliliśmy się chlebem i solą oraz podawanymi na statkach linii Cunard dziwnymi deserami, przypominającymi łabędzie z puddingu.

Co rusz posyłał obrażone spojrzenia niedołącznym lordom usadowionym obok kapitana i wyjaśniał, że owego przedpołudnia, kiedy zaprezentował pierwszy atak wściekłości, porzucając paczkę papierosów na wysłużonym pokładzie barowym „Królowej”, absolutnie nie mógł wiedzieć, że spotkamy się przy tym samym stole.

Słuchaliśmy go z kiepsko skrywanym zdziwieniem i zabarwioną lękiem nostalgią.

Nigdy sam sobie nie otwierał ani nie zamykał za sobą drzwi, nie siadał na krześle, jeśli mu go nie podsunęto, nie podnosił przedmiotów, które co jakiś czas, raczej częściej niż rzadziej, wypuszczał z rąk. Czekał, by obsłużył go personel. Jednak bez względu na to, jak sprawnie i szybko ów personel pracował, zawsze kończyło się ostrą reprimendą. Stanowiło to część

systemu, element jego metodyki.

Kiedy my albo inni pasażerowie próbowaliśmy służyć mu pomocą, dąsał się.

Swoiste przeciwieństwo oportunisty.

Ciekawiło nas, co sprawiło, że ów człowiek stał się taki a nie inny?

A on musiał wyczytać pytanie z naszych oczu, ponieważ wtedy właśnie opowiedział nam swoją zadziwiającą historię.

Jej początek nie wydawał się aż tak zadziwiający. Jedyne dziecko wymagającego ojca. Młodzieniec, który za rok ma przejąć wszystko, ale zanim to nastąpi, musi udowodnić, że potrafi stanąć na własnych nogach. Niezwykła była sama metoda.

Pewnego dnia ojciec powiedział: „Oto bilet do San Francisco. Utrzymaj się tam przez dwanaście miesięcy, a kiedy wrócisz, oddam ci miasto McGrant”. (Powinien był dodać, że w tym czasie najprawdopodobniej umrze na zawał serca, co rzeczywiście się stało).

McGrant junior nie miał wyboru, musiał podporządkować się woli ojca. Z kilkoma dolarami w kieszeni i najpotrzebniejszą odzieżą w walizce pojechał pociągiem do San Francisco. To daleka droga, a on nigdy nie był na Zachodnim Wybrzeżu i nie znał w tym mieście nikogo.

— Ale poradziłem sobie — powiedział McGrant. — Pewnie, że sobie poradziłem. Nawet więcej, przez cały ten rok żyłem w San Francisco jak król.

— Czyli znalazłeś tam pracę — zasugerowaliśmy.

— Pracę? — zapytał zdumiony i popatrzył na nas fiołkowymi oczami, jakby nie rozumiał, o co nam chodzi.

Było to trzeciego dnia, szalał sztorm. Po południu daleko na północnym wschodzie dostrzegliśmy przez lornetkę wyspę Fasten Rock. Ciężkie, zielone fale Atlantyku nie znały litości, na całym statku rozciągnięto liny zabezpieczające przed wypadnięciem za burtę.

Przy naszym stole tylko my troje byliśmy obecni na obiedzie — krążyła plotka, że nawet lekarza pokładowego zmogła choroba morska, podobno

obserwował wodę w wannie, w której przeczekiwał sztorm, aby określić stan morza — a później popijaliśmy razem kawę i koniak w pustawym salonie.

— Nie — powiedział McGrant. — Nie znalazłem pracy, ale nauczyłem się żyć w San Francisco. A ponieważ uważam was za przyjaciół, opowiem wam, jak to zrobiłem. Może ta wiedza kiedyś wam się przyda.

Słuchaliśmy więc.

— Przybyłem do tego miasta bez centa przy duszy.

— Bez centa?

W fiołkowych oczach McGranta znów pojawiło się zdumienie.

— Naprawdę nie wiecie, jak to się robi? — zapytał.

Odpowiedzieliśmy, że nie. Bo rzeczywiście nie wiedzieliśmy.

McGrant kontynuował:

— Przyjechałem tam bez centa w kieszeni i miałem tylko jedną szansę. San Francisco jest najokrutniejszym miastem w Stanach, a to znaczy, że jest najokrutniejszym miastem na całym świecie.

— Aha.

— Jak można tam sobie poradzić? — dodaliśmy pytającym tonem.

A wtedy on opowiedział tę historię.

Brzmiała tak:

— A więc mój drogi ojciec wysłał mnie do San Francisco bez centa przy duszy.

— I co było potem? — zapytaliśmy.

— Dotarłem do San Francisco rankiem, wczesnym rankiem — ciągnął McGrant — splukany i głodny, a ponieważ do żadnej z tych rzeczy nie byłem przyzwyczajony, nie wiedziałem, co ze sobą począć. Wyszedłszy ze stacji kolejowej, zobaczyłem rząd taksówek. Dziwnie się czułem, bo nie mogłem wsiąść do jednej z nich i kazać się zawieźć do najlepszego hotelu w mieście. Stałem tak z walizką w ręku i myślałem: jesteś teraz sam i musisz jakoś dać sobie radę.

Ale nie wiedziałem jak.

I wtedy go dostrzegłem. Niskiego, niechlujnego mężczyznę, który na

obolałych stopach człapał chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Niósł afisz z napisem: „Stołów się we Friendly — przyjaznej restauracji!”. A poniżej, mniejszymi literami: „Spróbuj naszej pysznej domowej kuchni — jeśli nie będziesz zadowolony, nie musisz płacić!”.

Jak już wspomniałem, byłem głodny, a te kilka dolarów, które dostałem na podróż, starym zwyczajem wydałem na drinki w wagonie restauracyjnym. Postanowiłem więc, że skorzystam z zaproszenia, i co więcej, że z domowej kuchni absolutnie nie będę zadowolony.

Okazało się, że przyjazna restauracja mieściła się kawałek dalej, przy najbliższej przecznicy. Sala była bardzo duża, wypełniona gośćmi spożywającymi śniadanie. Usiadłem w głębi i zamówiłem porządny posiłek, na który składały się szynka i jajka, tosty, masło, ser żółty, marmolada, sok, kawa, innymi słowy — wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. A zaznaczyć należy, że nie jadam zbyt wiele, jak pewnie zdążyliście zauważyć, moi drodzy współbiedniacy przy stole intendenta. Jem tyle co ptaszek. Zawsze tak było.

Skinęliśmy głowami. Rzeczywiście, przez te kilka dni nie przyjął zbyt wiele stałych pokarmów.

— Przyniesiono mi więc to, co zamówiłem, a gdy posmakowałem trochę wszystkiego, poczułem się najedzony. Zawołałem kelnerkę, wskazałem śniadanie, które wyglądało na nietknięte, i oświadczyłem, że był to najgorszy posiłek, jaki mi kiedykolwiek podano. Wezwany kierownik sali wyraził ubolewanie z powodu mojego niezadowolenia, zapewnił, że restauracja Friendly dotrzyma obietnicy, po czym poprosił mnie o podpisanie się na rachunku. Zanotowałem pierwsze nazwisko, jakie wpadło mi do głowy: G. Formby. Zawsze lubiłem muzykę graną na bandžo. Kiedy zadowolony i syty skierowałem się do wyjścia, zauważyłem, że wielu gości zostawiło na stołach napiwki, wicie, na pół przykryte talerzykiem, jak to jest przyjęte w Stanach. Po drodze pozgarniałem więc monety — łatwizna.

No, nie najgorszy początek. Pieniądze spod talerzyków wystarczyły na wynajem pokoju. I jakie było moje zdziwienie, gdy wyrzawszy przez okno,

ujrzałem dziadka z identycznym afiszem: „Stołów się we Friendly — przyjaznej restauracji! Spróbuj naszej pysznej domowej kuchni — jeśli nie będziesz zadowolony, nie musisz płacić!”. Oczywiście pobiegłem do budki telefonicznej, gdzie ku swojej niemałej radości dowiedziałem się ze spisu numerów, że Friendly to całkiem spora sieć restauracji, obejmująca sto lokali, rozsianych po San Francisco i okolicach. Od razu dostrzegłem, jak ogromne kryją się w tym możliwości. Tak oto stałem się bywalcem owych miejsc zbiorowego żywienia, a dzięki drobnym spod talerzyków nie narzekałem na brak gotówki. Wręcz przeciwnie, mój kapitał zaczął rosnać, powoli, acz pewnie.

Pewnego dnia zagadnął mnie jakiś mężczyzna przy stoliku obok, zapytał typ, z którym nie miałem ochoty rozmawiać. Powiedział mianowicie:

— Niezły trik, szkoda, że udaje się tylko kilka razy w roku. Gromadzą te rachunki w jakimś biurze i sprawdzają nazwiska. Kto podpisuje się za często, trafia na czarną listę. Dostaje wtedy zakaz wstępu.

Patrzyłem na niego zdumiony. Chyba był niespełna rozumu. A kiedy z godnym, wyniosłym wyrazem twarzy podpisywałem reklamację, tamten ze smutkiem obtarł sobie usta i rzekł:

— Znam inną sztuczkę, ale działa tylko raz w roku. U Parsleya. W dniu urodzin można tam otrzymać za darmo tort. A potem sprzedajesz go pan i już. Ale trzeba mieć papier z datą urodzenia.

Wstałem, nie zaszczyciwszy mężczyzny nawet spojrzeniem, po czym wyszedłem, wzbogacając się po drodze o kolejnych pięć ćwierćdolarówek.

Stałem przed problemem, który udało mi się jednak szybko rozwiązać. Z ojcem nie miałem wprawdzie kontaktu, ale mogłem zwrócić się do władz w McGrant i zażądać przesłania stu dowodów osobistych z niewpisaną datą urodzenia. Leżało to w gestii szeryfa, a ponieważ zamierzał on za pół roku startować w przedterminowych wyborach, dokumenty miałem w ręku już po trzech dniach. Dostarczone jako Special Delivery.

Potem wszystko było już o wiele łatwiejsze. Odbierałem torty od Parsleya

— okazało się, że to również duża sieć — i sprzedawałem je do restauracji Friendly, które zdążyłem już zaliczyć jako klient.

Trzeba też zaznaczyć, że bardzo nie lubię chodzić pieszo, a z zasady unikam tak zwanego transportu publicznego, ewentualnie z wyjątkiem środków komunikacji takich jak ten, przy czym „ewentualnie” jest tu właściwym słowem.

McGrant przerwał na chwilę i płynnym gestem wskazał Queen Elizabeth Lounge, salę klubową, gdzie cierpiący z powodu podeszłego wieku, zwapnienia żył i ogólnej głupoty piąty *earl* czegoś tam wygłaszał prelekcję o lordzie Nelsonie i bitwie morskiej pod Abukirem przed nieliczną publicznością złożoną z odkomenderowanych oficerów, którzy znudzeni wierzili się na krzesłach. Jedyne, co zdawało się nie wzruszać tego starca, to nieustanne huśtanie fal.

— A więc — podjął McGrant, mimochodem upuszczając łyżeczkę na podłogę — mówiąc krótko, zrobiłem tak: zadzwoniłem do wszystkich salonów samochodowych w mieście z informacją, że ciotka zleciła mi zakup samochodu. Luksusowego. I że chce, abym najpierw dobrze go wypróbowałem. Następnie umówiłem się z pierwszym dilerem na spotkanie w lobby dużego hotelu. W rezultacie wozili mnie przez jakiś tydzień, a ja rozglądałem się po okolicy. Kiedy agent zaczął się niecierpliwić i zasugerował, że może powinienem wreszcie podjąć decyzję, stwierdziłem oczywiście, że ten samochód jednak nie spodoba się mojej wybrednej ciotce. Potem przyszła kolej na inną firmę. Raz, chyba chodziło wtedy o Daimlera, wozili mnie przez dziesięć dni, a jedenastego musiałem uśmiercić ciotkę — zawał serca.

Tak, tak, przyjaciele, w ten oto sposób przeżyłem rok w San Francisco, najokrutniejszym z miast. Jeśli kiedykolwiek tam traficie, będziecie już przynajmniej wiedzieli, jak sobie poradzić. Kiedy minęło dwanaście miesięcy, pojechałem pociągiem do domu, i wierzcie mi, kieszenie miałem pełne dolarów. Niestety, ojciec nie doczekał mojego triumfalnego powrotu, zmarło mu się tydzień wcześniej.

McGrant był ostrożnym człowiekiem. Kiedy rozmowa zmieniła się na

chwilę w poufną pogawędkę, pokazał nam swoje leki — a miał ich ze sto — i gotówkę. Mimo że posiadał książeczkę czekową, konta w banku oraz karty kredytowe i chociaż opłacił rejs z góry, zawsze trzymał przy sobie portfel wypchany wielkimi płachtami banknotów z wszystkich zachodnioeuropejskich krajów.

— Nigdy nic nie wiadomo — powiedział.

I słusznie.

Zszedł na ląd w Cherbourgu; na nabrzeżu czekał na niego szofer w limuzynie.

Ostatnia dobra rada, której nam udzielił, brzmiała tak:

— W Southampton nie dawajcie pucybutowi napiwku.

Widzieliśmy go po raz ostatni, gdy wychodził z jadalni sztywnym krokiem, zgarniając po drodze kilka banknotów, które jakiś prostoduszny Amerykanin zostawił pod talerzykiem.

Poza tym nic nowego. Ławice latających rybek, morświny i wieloryb wypuszczający fontannę wody.

A kapitan nazywał się Law.

Dostaliśmy nagrodę w konkursie na najzabawniejszy kapelusz. Podobnie jak pozostali uczestnicy. McGrant nie brał w nim udziału. Na pokładzie głównym wyzywał stewarda kabinowego za to, że źle spakował jego walizki. Należy nadmienić, że akurat ten steward nie obsługiwał jego kabiny.

Sara Stridsberg

KALENDARZ BRAUN

Zasłony przepuszczają światło, ale żadnych widoków. Pejzaż za oknem jest pustynią. Rytm pociągu przekonująco zaprasza do snu. Napisał ci, żebyś zaciągnęła zasłony w oknie przedziału, gdy pociąg będzie mijał miejsca, o których mówiliście. Zaciągasz je więc lub opierasz głowę o szybę, przyglądasz się współpasażerom i ich bagażom. Samotna kobieta ze skromnym pakunkiem, z twarzą zwróconą w stronę korytarza. Mężczyzna z naręczem słoneczników owiniętym papierem. Przedział zalany jest światłem, widzisz tylko spalone słońcem siedzenia ze skóry. Kiedyś musiały być eleganckie, lecz teraz spomiędzy pękających szwów wyłazi gąbczaste wypełnienie. Polityka cię nudzi, zawsze nudziła, śmiertelnie. Wyblakła zasłona oddziela cię od świata i całej ziemi. Jesteś w drodze powrotnej do domu w Berghof. Niesforne promienie słońca przeciskają się przez szczeliny w materiale. Skrawek niebieskiego sklepienia. Całe piękno tego kraju. Pszenica i róże.

Jak mam cię opisać? Słodka jak pudełko czekoladek. Rozmarzona piękność, wyszukana maleńka ozdoba. Dziewczyna z Monachium, która straciła głowę dla słynnych niebieskich oczu. Przez długi czas fotografowie usuwają cię z wszystkich oficjalnych zdjęć, bo twój ukochany jest zdania, że nie powinien się pokazywać w towarzystwie kobiet. Znikają więc twoje futro z królika, popielate blond włosy, paznokcie z macicy perłowej, usunięte zostaje całe twoje oddanie. Zupełnie jakby nigdy cię tam nie było albo jakbyś była zjawą, która wymyśliła sobie waszą trwającą ponad dekadę miłość. Czasem da się dostrzec na zdjęciu samotną kobietą dłoń pod jego

ramieniem, reszty ciała brak. Nawet w czerwcu 1944 roku brytyjski wywiad wciąż myśli, że jesteś jego sekretarką.

Inne opisy twojej osoby, wzięte z literatury: łagodna, naiwna, rozmarzona, zjawiskowa. Ja dopisuję do listy jeszcze twoją tęsknotę za śmiercią. Musiała ci przecież towarzyszyć. Coś ciągnęło cię tam w dół, pod ziemię. Zdecydowanie.

„Okolo dwudziestoczteroletnia brunetka, atrakcyjna, niekonwencjonalnie ubrana. Czasem nosi bawarskie skórzane spodnie. W wolnym czasie spaceruje z dwoma czarnymi psami. Podczas tych przechadzek towarzyszą jej ochroniarze z RSD. Nigdy nie jest umalowana, ogólnie sprawia wrażenie niedostępnej”.

Z raportu Kierownictwa Operacji Specjalnych.

Wiosna pachnie popiołem i świeżą zielenią. Spędzasz czas na samotnych spacerach, błahych rozmowach o pogodzie i psach, przeczekujesz bezsenne noce. Obersalzberg to tylko teatralne kulisy, przesiąknięty zapachem żywicy sen o czystości. Wciąż żadnych jawnie okazywanych czułości. Hamburg stał się już morzem ognia, ludzie obrócili się w proch. To twoje urodziny. Dostajesz pieniądze w kopercie, lecz żadnych życzeń, ani jednego ciepłego słowa, zupełnie nic, za to twój gabinet wygląda jak kwiaciarnia, pachnie niczym cmentarna kaplica. Powinnaś ukryć się w schronie, ale ty wolisz zostać w domu i tańczyć przed lustrem. Po każdym nalocie wychodzisz na taras, żeby zobaczyć, czy zrzucono bomby zapalające. Konary drzew chylą się ku zwierciadłu wody, jak zatopione w modlitwie. Zapisujesz słowa: „Mówią, że płonie mój kraj. Wszystko będzie dobrze. Wszystko się ułoży. Ważki robią nalot na nasz piknik. Mój kostium kąpielowy jest w kolorze srebra i złota”.

Jeszcze nigdy nie byłaś tak szczęśliwa jak teraz. Po tylu latach oczekiwania on nareszcie jest twój. Dziwnie spoważniał i się postarzał, ale

akurat dziś jest zadowolony. Blondi śpiewa jak Zarah Leander. Zawodzi jak pijany wilk. Pada śnieg, mimo że jest kwiecień, a wy całą noc pijecie cudownego szampana o smaku obietnicy, wznosicie toasty w jego ostatnie urodziny. Wszystkie prezenty od narodu zostają nazajutrz odesłane ze względu na ryzyko otrucia. Masz na sobie sukienkę, którą on tak uwielbia, tę jedwabną, z cekinami, w kolorze marynarskiego błękitu. Kiedy będziesz już martwa, pewien niemiecki dziennikarz nawet ją skomentuje: „Jej gust stał się z czasem na tyle wyrobiony, że zaczęła nosić ubrania szykowne, a nie tylko ładne i młodzieżowe”. Potem upada Monachium i on znów udaje się do podziemi.

Ty i twoja głupiutka kuzynka każdego dnia czekacie w kostiumach kąpielowych na listonosza z Obersalzbergu, który zawozi was nad wodę, do wodospadu szczęśliwości, na bajkowe plaże lodowatego jeziora. Czasem zrzucacie kostiumy i pływacie nago między Alpami. Myślisz sobie, że oficerowie robią brzydkie rzeczy, gdy widzą twoje nagie ciało. Podoba ci się ta myśl. Zamach w Berlinie się nie udał, lecz od tej pory wszystko spowija cień. Mijają dzień za dniem. I tylko te czułe listy i gołębie pocztowe. „Zaciągnij zasłony w przedziale, ukochana, gdy pociąg będzie mijał miejsca, o których mówiliśmy. Zaciągnij zasłony, ukochana...”

Na Boże Narodzenie zamawiasz nową sukienkę. Ma być wyjątkowa i wprawić wszystkich w zachwyt. Fräulein Heise bez przerwy zrzędzi o rachunkach. Najlepiej, gdyby po zapłaceniu je zniszczono. Powinny zniknąć. Nie chciałybyś przecież, żeby ktoś kiedyś przestudiował twoją korespondencję z krawcową. Twoje suknie są twoją tajemnicą. Rzucasz śmierci w twarz halkę i diamentową broszkę. Śnieg opada na miasto kostkami cukru. Nie ma już nadziei na przyszłość.

Pełne czułości spotkanie z kuzynką przy Wasserburgerstrasse. Gdy jesteście w schronie pod domem, przekazujesz Gertraud trochę biżuterii, naszyjnik i bransoletkę, wraz ze słowami: „Ja ich już nie potrzebuję”. Decyzja

została podjęta: zostawiamy po sobie to wszystko, gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ciebie pogrzebią, tam ja chcę być pogrzebana.

Podarunki otrzymane od niego na twoje ostatnie urodziny: mercedes, diamentowa bransoletka, wisiołek z topazów. Urządzacie przyjęcie w pokoju wyłożonym marmurem. Nie wiem, którą sukienkę wybrałaś na tę ostatnią noc spędzoną w domu, ale myślę, że jest ekstrawagancka. Wyobrażam sobie ciebie w czymś kremowym i haftowanym, w dłoni nieustannie trzymasz lampkę koniaku. Wybierasz z ogromnej garderoby ubrania i biżuterię na podróż, całą resztę musisz rozdać. Zadbalaś o to, by psy miały gdzie zamieszkać. Po raz ostatni przymierzasz stroje, napawasz się swoim odbiciem w wyłożonej lustrami łazience. Stada kawek podrywają się z twojego serca i pozostawiają je puste.

Pościel w przedziale sypialnym nocnego pociągu jest biała, pachnąca czystością. Na zewnątrz ciągnie się spustoszony kraj. Gdy przyjeżdżasz do Berghofu, wciąż jeszcze leży tam śnieg. Pociąg do podziemi odchodzi o dwudziestą czternaście. On nie może cię już powstrzymać, bo nie boisz się śmierci, bo tęsknisz. Jedyne, co cię przeraża, to myśl, że twoje ciało zostanie wystawione na pokaz, zbezczeszczone przez obcych, gdy ty nie będziesz już mogła go bronić, ubrać ani przyozdobić. Nie zasłaniasz okna w przedziale, mimo jego ostrzeżeń. Na zewnątrz i tak panuje mrok. Wcześniej, w ciągu dnia, świeciło słabe słońce. Złowieszczo słabe.

Brak naturalnego światła pod ziemią wprawia cię w osłupienie. Wszędzie te odrażające neonowe świetlówki, złowieszcze i sztuczne. Od tej chwili otacza cię już tylko klaustrofobiczna noc. Marzysz o wielkich oknach panoramicznych. W twoich snach w ogrodzie ponad wami poruszają się w zwolnionym tempie egzotyczne zwierzęta. Twój miniaturowy apartament, znajdujący się tuż przy sali odpraw, składa się z sypialni, garderoby, łazienki i toalety. Nawet Blondi ma osobny pokój, dla siebie i szczeniaków. Blisko stąd do pnących róż w ogrodzie, ale nie wolno wam

wyjść, bo wszędzie wybuchają bomby. Miasta są teraz szare, spustoszone, wymarłe i zrujnowane, tu i ówdzie powiewają jakieś strzępy, ostało się trochę pnących róż, ludzie przypominają chmury.

Mieszkanie pod ziemią pachnie naftaliną oraz metalem. Oglądacie filmy, pijecie wino musujące, jecie owoce i słodkie ciasta, przygotowujecie się na śmierć, spisujecie testament. Przez okna przebijają się promienie czarnego słońca. Noc jest jak grób. Ptaki nie śpiewają. W liście do siostry piszesz: „Zniszcz całą moją prywatną korespondencję, zwłaszcza rachunki od krawcowej, Heise. Zakop gdzieś niebieski skórzany notatnik. Ze zniszczeniem klisz i albumów wstrzymaj się do ostatniej chwili. Linie telefoniczne są już martwe. Mam nadzieję, że Morell dotarł do Ciebie bezpiecznie z moją biżuterią”.

Zamawiasz moët & chandon. Zamawiasz torty. Krople z kokainą do jego chorego oka. Nowe nominacje. Ta wojna na niby wciąż trwa. Papierowe samoloty na podłodze gabinetu obrazują zniszczenie. Wołacie w pustkę, słowa porywa wiatr. Pani G. otrzymuje broszkę. Po wszystkim wciąż będzie przyczepiona do jej sukienki. Przypomina martwego motyla. Od tej chwili zajmuje was już tylko śmierć. To jedyny temat waszych rozmów. Do zrobienia: zmienić ubranie. Wyszorować paznokcie. Pomalować je na perłowo. Życie to konkurs piękności, a ty jesteś główną kandydatką z podziemi, mającą dostęp do jego luksusowej łazienki. A. nadal pierze i prasuje twoje ubrania. Zmieniasz suknie kilka razy w ciągu dnia, podobnie jak cienką, elegancką bieliznę. Tańczysz ramię w ramię ze zmarłymi. Cytrynek, który zabłądził w tunelu.

Etola ze srebrnych lisów lśni w ciemności niczym obłok. Ależ ty ją kochałaś. Ciuch dla gwiazdy filmowej. Etola na przyszłość, na spełnienie wszystkich twoich naiwnych marzeń. Ją też oddajesz. Nie ma już dla ciebie wartości. Kładziesz ją na kolanach sekretarki, Fräulein T., przytrzymujesz ją w jej ramionach, mówiąc z naciskiem: „Weź ją, noś, ciesz się nią”.

* * *

Najlepszy sposób na śmierć to strzelić sobie w usta. Notujesz: „Mój mąż nie lubi pokazywać się nago. Oznaczałoby to dla niego klęskę. Proszę, weźcie to pod uwagę”.

Ślub pod ziemią w niczym nie przypomina tego z twoich snów.

Ale mimo wszystko. Elegancka granatowa sukienka z cekinami oraz czarne zamszowe pantofle od Ferragamo. Żadnych kwiatów, żadnych pieśni, żadnych nieuleczalnych chorób, za to szampan. Piwnica wciąż jest pełna jego znakomitych, nieśmiertelnych kropeł. Przed tą ostatnią nocą odziewasz się tylko w bąbelki i noc. Trzydziestosześciodzinne, podziemne małżeństwo. Polityczny testament w czterech światłokopiach. Branka czarnej nocy w zatrutym welonie. Twoja garderoba jest niczym twoja miłość — niekończącym się czarnym kręgiem. Pierwsza i ostatnia żona króla. „Chcę, by moja śmierć była bezbolesna. Nic z tego, czego sobie życzyłam, nie będzie takie, jakie miało być, lecz tego akurat chcę. Bezbolesnej śmierci. Zastanawiam się, czy nie umrzeć w etoli ze srebrnych lisów. Rozmyślałam o tym i owym. Wszystko przemija, wszystko ma swój kres”.

Trzydzieści sześć godzin od zawarcia ślubu pozostaje już tylko ostatnie, odurzające pożegnanie. Pod paznokciami masz wzorzyste obicie ulubionej kanapy. W oddali słychać dźwięk napędzanego silnikiem dieslowskim wiatraka. Czujesz zapach jego potu. Siedzicie na kanapie z podkulonymi nogami, jak dzieci. Słuchasz jego coraz mniej składnej mowy, z uchem przy jego piersi, wciąż słyszysz bicie jego serca. Jakże ty go kochałaś, szalenie. Ogród, ogień, miłość, podziemie.

* * *

Sukienka w czarne róże będzie twoją ostatnią, tą, w której wkroczysz w wieczność. Róż jest trzydzieści siedem, kazałaś mu je przeliczyć po raz ostatni. Jedna na każdą godzinę bycia jego żoną i jedna dodatkowa. Zupełnie po nic. Z okazji tego wszystkiego, co już nigdy nie nastąpi. Różowe papiloty leżą rozrzucone na podłodze w sypialni. Masz świeżo ułożoną fryzurę. I tylko odrobinę pudru, tylko muśnięcie szminką, bo on wciąż nie znosi makijażu. Wykąpałaś się w perfumach, by zamaskować woń potu.

Ostatnie żarliwe wspomnienie. Jedziesz na rowerze przez las, żeby spotkać się z nim nad jeziorem. Jesteś młoda, a jego oczy są niebieskie niczym kamienie szlachetne. Na bagażniku pudełko z ciastkami. Na drodze rozjechany bażant. Wrażenie, że śledzi cię chmura. W niebieskich kamieniach jarzy się światło, którego już nie zapomnisz.

Kiedy będzie już po wszystkim, wasze ciała zostaną spalone w ogrodzie. Mosiężna tulejka z cyjankiem wygląda jak zużyta oprawka na szminkę. Szklana ampułka wypełniona brunatnym płynem. Gryzący zapach gorzkich migdałów. Tylko zgnieść ampułkę zębami i połknąć ciemny płyn. Sowieckie granaty spadają wokół waszych płonących ciał. No i Blondi. Zajmie się nią doktor Stumpfegger. Twój ukochany nie potrafił zrobić tego sam. Włożył kapsułkę do twoich ust z niezdarną, drżącą czułością. Jej nie potrafił tego zrobić.

Johan Theorin

ZEMSTA DZIEWICY

Gerlof obudził się w ciasnym i zimnym drewnianym domu, który cały trząsał się i trzeszczał. Był to jego własny dom, stara rybacka chata, a ściany drżały, bo wiatr wiejący od brzegu chłostał węgły i wył.

Gdy Gerlof podniósł głowę z leżanki, usłyszał też fale. Nie huczały jeszcze, lecz rozbijały się miarowo o żwirowy brzeg i cofały się z sykiem.

Zdecydowanie zanosilo się na sztorm, więc wypływanie w morze tego dnia nie było najlepszym pomysłem. Lecz on, John Hagman i kuzyni Mossbergowie zastawili poprzedniego wieczoru sieci i należało zebrać je jak najszybciej. W przeciwnym razie porwałoby je morze — razem z rybami, które jak miał nadzieję Gerlof, wpłynęły do nich nocą.

Miał do zrobienia tylko tę jedną rzecz.

Podniósł się i usiadł z westchnieniem na łóżku.

— Wstawać, wstawać... — mruknał, stawiając odziane w skarpetki stopy na korkowej macie przed łóżkiem.

Podłoga była zimna jak lód. Ustawiony obok leżanki żeliwny piecyk, niegdyś nowoczesny, wygasł w czasie nocy.

— John?

Gerlof pochylił się nad drugim wąskim posłaniem i potrząsnął ramieniem kolegi. Po chwili John uniósł głowę.

— Co jest?

— Pora wstawać — odparł Gerlof. — Ryby czekają.

John odkaszlnął, zamrugał oczami i spojrzał w okno.

— Możemy wypłynąć?

— Przecież musimy. Chyba nie chcesz stracić tych sieci?

John pokręcił głową.

— Nie powinniśmy byli ich zastawiać. Erik miał wczoraj rację, kiedy mówił o pogodzie.

— Miał fart, nic więcej.

— Jutro będzie sztorm — oznajmił zeszłego wieczoru rybak Erik Mossberg, kiedy zszedł na brzeg do zacumowanych łodzi, gdzie czekali już na niego kuzyn Torsten, Gerlof i John.

— Poważnie? Mówili w radiu? — spytał Gerlof.

— Nie, po drodze widziałem żmiję. Wlazła na schody i nie chciała się ruszyć.

— Żmiję... — mruknął Gerlof. — Sądysz, że żmije to ekspertki od pogody?

Pokręcił głową i wsadził sieci do łodzi. Nie wierzył w przesady i wróżby.

Jednak nieco później, gdy wypłynęli dwiema drewnianymi łodziami na spokojne morze o tafli gładkiej jak lustro i zaczęli wyrzucać sieci za burtę, Gerlof zerknął na północ, na widniejącą na horyzoncie Niebieską Dziewicę, i dostrzegł, że ta wysoka granitowa wysepka zmieniła kolor. Z szaroniebieskiej stała się całkiem czarna, poza tym na oko wystawała z wody nieco wyżej i zdawało się, że unosi się nad powierzchnią morza.

Pogoda wciąż była ładna. Słońce świeciło jasno, a majowy wietrzyk powiewał łagodnie, lecz gdy Gerlof zarzucił ostatnią sieć, zrozumiał, że Erik miał rację i że naprawdę nadciąga sztorm. Wprawdzie nie wierzył w prognozy żmij, ale przekonał go o tym niezwykle wygląd Dziewicy. Chwilę później, kiedy wiosłował w stronę brzegu, wysepka była już niewidoczna — zniknęła za szarobiałą mgłą.

Nadciągał silniejszy wiatr.

Pół godziny po przebudzeniu John i Gerlof byli już na brzegu, wraz z Erikiem i Torstenem Mossbergami.

Łodzie były gotowe, lecz mimo nadciągającego wichru John i kuzyni uparli się, by wypalić papierosa na lądzie, zanim wypłyną.

Gerlof z irytacją zerkał na zegarek, na co palacze reagowali tylko uśmiezkami.

— Gdybyś ty też palił, nie byłbyś co rano taki wściekły — powiedział Erik, puszczając z wiatrem biały obłok dymu.

— Tytoń jest niezdrowy — odparł Gerlof. — Prędzej czy później palenie będzie zabronione.

Trzej palacze zaśmiali się, słysząc tę przepowiednię.

— Ja byłbym obłożnie chory, gdyby nie papierosy — rzekł Torsten Mossberg. — Utrzymują mnie w dobrym zdrowiu, poza tym... oczyszczają gardło!

Gdy wreszcie skończyli palić i zgnetli niedopałki, ruszyli do łodzi. Gerlof i John zepchnęli swoją snekę¹ z brzegu i wsiedli do niej, a potem, wiosłując, przebili się przez fale przyboju i postawili żagiel rozprzowy.

Gdy tylko płótno złapało wiatr i długa na ponad pięć metrów łódka ruszyła przez fale, za plecami rybaków rozległ się pomruk, jakby bzyczenie ogromnego, rozzłoszczonego trzmiela. Był to silnik zaburtowy, nowy nabytek Erika i Torstena Mossbergów. Dzięki niemu ich mała drewniana łódka sunęła gładko, dziarsko prując fale.

Gerlof nie zamierzał zakładać silnika do swojej sneki dopóty, dopóki istniały wiosła i żagiel. W ten sposób nigdy im nie groziło, że nagle zabraknie paliwa, poza tym ich łódką z długim kilem łatwo było sterować. Lekko wspinała się na fale, trzymała kurs i pruła do przodu niczym mały statek wikingów, którym w gruncie rzeczy była.

Gdy John i Gerlof dotarli na łowisko, opuścili żagle i pozwolili łódce kołysać się swobodnie na wodzie. Trzy zastawione przez nich sieci znajdowały się nieco na północ od sieci kuzynów, którzy zeszłej nocy zastawili aż cztery. W pławiki, czyli kawałki korka utrzymujące sieci w pionie, wbili małe białe chorągiewki, które mocno furkotały na wietrze.

Gerlof wciągnął do łodzi pierwszy pławik, a potem zamaszystymi i równomiernymi ruchami zaczął zbierać resztę sieci. Zwijały się na dnie spiralnie i wyglądały jak kłęb mokrych szmat.

Połów tego ranka był udany, pierwsza flądra zatrzepotała w sieci już po paru metrach, a zaraz za nią pojawiło się ich dużo więcej. Gerlof, nie przestając wciągać sieci, musiał jednak walczyć o utrzymanie równowagi, gdyż silne fale chybotwały łódką to w górę, to w dół.

Wreszcie rybacy skończyli, wciągnęli wszystkie sieci, nawinęli je na duże bębny i schowali do skrzyń. Na dnie łodzi jak oszalałe rzucały się walczące o życie flądry.

— Ile naliczyłeś? — zawołał Gerlof, ciskając za burtę niechcianego kura rogacza, który zaplątał się w sieci.

— Osiemdziesiąt sześć — odparł John.

— Aha. Ja mam osiemdziesiąt cztery... Czekaj, osiemdziesiąt pięć.

Wiatr wciąż się wzmaczał, a fale były coraz wyższe. Tutaj, w cieśninie, nigdy nie wznosiły się tak wysoko jak zwały czarnej wody, które Gerlof napotykał czasem, gdy wypływał na otwarte wody Bałtyku, lecz te podchodziły bliżej i wprawiały w drżenie szerokie listwy, z których zbudowany był kadłub małej sneki.

Najchętniej zawróciłby i jak najszybciej popłynął do brzegu, skoro zebrali już sieci, ale gdy złapał za rumpel, poczuł, że John szturcha go w ramię. Usłyszał, że mówi coś, przekrzykując wiatr.

— Co to takiego, tam, przy Dziewicy?

Gerlof spojrzał na północ i spostrzegł, że na wodach cieśniny, około jednej mili morskiej od Niebieskiej Dziewicy, porusza się coś czarnego i podłużnego. To coś zdawało się dryfować bezwładnie na spienionych falach.

— Wygląda jak łódka — powiedział.

— Tak — odparł John. — I jest pusta.

Gerlof pokręcił głową. Nie widział, żeby z łódki wystawała czyjaś głowa, naoglądał się już jednak wystarczająco wiele dużych i małych łodzi na morzu, by umieć odróżnić, kiedy łódka jest pusta, a kiedy obciążona.

— Nie całkiem pusta — zaprzeczył. — Coś w niej jest.

A może ktoś? Jego lornetka leżała sobie bezpieczna w sterówce kutra w borgholmskim porcie, lecz gdy fale uniosły dryfującą łódkę, i tak udało mu

się dostrzec, że na jej dnie leży coś podłużnego i jasnego. Z tej odległości wyglądało to jak człowiek, który położył się, lub też został przewrócony, a potem ktoś okrył go brezentem.

Nie mówiąc nic więcej, Gerlof wciągnął żagiel i wziął kurs na północ. John usiadł na dziobie, nie protestując. Każdy Olandczyk wiedział, że jeśli ktoś rozchorował się na morzu lub przytrafiło mu się coś złego, należy mu bezzwłocznie pomóc bez względu na to, jak mocno wieje wiatr.

Po piętnastu minutach znaleźli się tak blisko dryfującej, podskakującej na falach łódki, że była w zasięgu głosu. Gerlof złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

— Ahoj! Jest tam kto?!

W łódce nic się nie poruszyło, Gerlof dostrzegł jednak, że brezent jest suchy. A to znaczyło, że łódka dryfowała po cieśninie od niedawna.

Po chwili za ich plecami rozległ się warkot silnika.

— Ahoj!

Kuzyni Mossbergowie popłynęli za Gerlofem i Johnem i właśnie udało im się ich dogonić. Erik dodał gazu, opłynął ich łukiem, skośnie przecinając nadchodzącą falę, po czym przybił do dryfującej łódki. Gerlof poczuł ukłucie zazdrości, widząc, jak łatwo jest zrobić coś takiego, gdy się ma zaburtowy silnik.

Torsten wyciągnął rękę i chwycił za reling. Odczekał, aż przejdzie następna fala, po czym przeskoczył do łódki, stanął w poprzek okrakiem i rzucił kuzynowi cumę. Teraz obie łodzie były już połączone.

Potem pochylił się i zajrzał pod brezent.

— To tylko kamienie! — zawołał.

— Kamienie?

Gerlof podpłynął bliżej i obrócił snekę tak, że znalazła się zaledwie parę metrów od dryfującej łódki. Torsten mówił prawdę: pod brezentem leżała kupa okrągłych i podłużnych kamieni. Wyglądały jak zebrane z plaży otoczaki.

Gerlof nie zdążył pomyśleć nic więcej o tym dziwnym znalezisku, bo nadeszła gwałtowna fala i obryzgała rybaków i ich połów lodowatą pianą.

Otrząsnął się z wody i spojrzał pod wiatr. Fale urosły do groźnych rozmiarów i nikt już nie miał wątpliwości, że w Cieśninie Kalmarskiej szaleje sztorm.

Spróbował ustawić snekę rufą do fal, lecz nagle rozległ się trzask, a zaraz po nim odgłos rozdieranego materiału. Łódź nagle się wyprostowała, a żagiel stracił wiatr. Gdy Gerlof spojrzał w górę, dostrzegł długie rozdarcie w jasnożółtym płótnie.

— Ty diable!

John przeklął wiatr i mocno uchwycił się relingu, podczas gdy kolejna fala zakręciła łodzią. Potem rzucił się w stronę masztu i zaczął refować rozdarty żagiel.

W tej samej chwili Gerlof zostawił rumpel na parę sekund, żeby opuścić wiosła do wody. Po chwili zastąpił go John. Usiadł na ławce i zaczął wiosłować, ale z trudem udawało mu się nadać łódce kierunek.

— Znoszą nas fale! — krzyknął Gerlof.

— Co?! — zawołał John.

Gerlof zwinął dłonie w trąbkę.

— Za późno, żeby zawrócić... Lepiej dobijmy do Dziewicy, aż się trochę uspokoi!

— A co z nią?! — zawołał Torsten ze znalezionej łódki. — Co z nią zrobimy?!

— Weźmiemy ją na hol! — odkrzyknął mu Gerlof. — To solidna łódź.

Niebieska Dziewica wyrastała przed nimi jak góra, niewzruszona sztormem. Z bliska widać było głębokie szczeliny na powierzchni wbijających się w wodę skał, a lasek na szczycie wyspy wydawał się całkiem czarny i wyglądał złowrogo.

Gerlofa zawsze fascynowała ta przedziwna okrągła granitowa skała, wystająca z wody zaledwie parę mil morskich od wapiennego wybrzeża Olandii. Niebieska Dziewica była starsza niż Olandia, starsza o wiele milionów lat.

„Wyspa czarownic”.

Przez setki lat ta maleńka wysepka miała złą opinię. Nosiła też oczywiście inną, starszą niż Niebieska Dziewica nazwę, ale wypowiedzenie jej ściągało na człowieka nieszczęście. Gerlof ani myślał ryzykować, bo tu, na morzu, na wzburzonych falach, stawał się o wiele bardziej przesądny niż na lądzie. Sterując wiosłem, ustawił snekę równolegle do stromego skalistego brzegu i płynęli teraz wzdłuż wysepki. John siedział pośrodku łódki, również siłując się z wiosłami.

— Przybijamy na tym wietrze?! — zawołał.

— Jeszcze nie tutaj — odparł Gerlof. — Wschodnia strona jest lepsza.

Wyspa nie miała żadnej naturalnej zatoczki, ale po wschodniej stronie zwykle mniej wiało. Poza tym fale były tam niższe, choć i tak wciąż trudno było przybić do stromych skał. Gerlof wiosłował i jednocześnie sterował łodzią, kierując ją coraz bliżej brzegu. Łódka raz podpływała do skał, raz się od nich oddalała, lecz w pewnym momencie John zdołał przeskoczyć z dziobu na ląd. Udało mu się prawie nie zamoczyć butów.

Zaraz po nich, w odległości kilkudziesięciu metrów, przybili do brzegu kuzyni Mossbergowie i wyłączyli silnik w swojej łodzi. Teraz było słychać już tylko wycie wiatru.

Zszedłszy na ląd, Gerlof stanął na gołych skałach i spojrzał na las w głębi wysepki. Nigdzie nie było widać ludzi. Był ciekaw, czy łódka, którą znaleźli, przyplłynęła właśnie stąd. Tak podejrzewał. Ale kto by się wybrał na wyspę w taką pogodę? Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby zwiedzać Niebieskiej Dziewicy podczas sztormu.

We czterech wciągnęli łodzie na brzeg, wyjęli z nich sieci i ryby, a potem postawili sneki na boku, podparłszy je wyrzuconymi przez morze kłodami.

W końcu usiedli w zacisznym schronieniu zbudowanym z łodzi i odetchnęli.

Dobrze, pomyślał Gerlof. Zanim zapadnie zmrok, zdążymy pójść do lasku nazbierać gałęzi i igliwia na posłania. Chyba że wiatr przycichnie.

John zabrał się do sprawiania ryb. Mieli ze sobą zapalki, a także sól, mieloną kawę i baniak pitnej wody, więc przetrwanie na wyspie nie

stanowiło żadnego problemu.

Przynajmniej przez pierwszy tydzień, przemknęło Gerlofowi przez myśl.

Wstał i podszedł do kuzynów Mossbergów, którzy też zaczęli już sprawiać ryby. Znalezioną łódkę zostawili zacumowaną przy brzegu. Dopóki na jej dnie leżała sterta kamieni, była za ciężka, by ją wciągnąć na ląd, lecz gdyby zmienił się wiatr, mogła się roztrzaskać o skały.

— Zabierzemy ją do domu? — spytał Gerlof.

— Pewnie, może się przydać — odparł Erik. — Ale musimy wyrzucić kamienie.

— Są dobrym balastem — zauważył Gerlof.

— Tak, ale przynoszą pecha. Dopóki tam będą, pogoda nigdy się nie poprawi.

Gerlof westchnął ciężko.

— Dobrze, wyrzucę je — mruknął.

Chwycił cumę i przyciągnął łódź bliżej brzegu. Potem wskoczył do niej i zabrał się do wyrzucania kamieni. Były szare, owalne, naprawdę ładne. Przypominały duże, wygładzone przez wodę jajka. Gerlof był coraz bardziej pewien, że pochodzą właśnie stąd, z Niebieskiej Dziewicy. Wyrzucając je na brzeg, liczył je, dokładnie tak, jak przedtem liczył złowione flądry: jeden, dwa, trzy...

Otoczaki wylatywały za reling, jeden po drugim.

Dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści jeden...

Wyciągnąwszy rękę po trzydziesty drugi, Gerlof nagle się zawahał. Kamień wyglądał inaczej niż poprzednie. Mężczyzna dotknął go i zamarł.

— Erik! — zawołał. — Chodź tu i spójrz na to!

Obaj kuzyni odłożyli flądry i natychmiast do niego podeszli.

— Co tam masz? — spytał Erik.

— Zobacz — odrzekł Gerlof.

Podniósł w dłoni coś, co z pewnością nie było granitowym otoczakiem.

Była to ludzka czaszka. Jasnoszara, z czarnymi, pustymi oczodołami.

Gerlof ostrożnie podał czaszkę Erikowi, a potem znów spojrzął w dół, na stertę kamieni.

— Tam widać jeszcze jedną — powiedział cicho. — I mnóstwo kości.

Kuzyni spojrzeli w milczeniu na znalezisko. Po chwili Erik odebrał od Gerlofa drugą czaszkę i położył ją tuż obok pierwszej, na gładkim kawałku skały, poza zasięgiem fal. Potem wszyscy trzej, Erik, Torsten i Gerlof, wyjęli z łódki grzechoczące kości i złożyli je obok czaszek.

Gdy skończyli, na skale leżały dwa niemal kompletne szkielety. Gerlof ocenił po ich wielkości, że należały do dorosłych ludzi.

— Jak myślisz, ile mają lat? — spytał Erik.

— Trudno powiedzieć — odparł Gerlof. — Raczej nie wyglądają na świeże.

Rozejrzał się wokół. Najpierw spojrział na puste morze, potem w głąb wyspy, wreszcie podszedł do Johna Hagmana, który wciąż porządkował sieci.

— Nie oglądaj się, John — szepnął. — Wydaje mi się, że ktoś tam jest. Podkrada się do nas.

John nie poruszył się, pokiwał tylko głową.

— Widzisz, kto to jest? — spytał.

Gerlof pokręcił głową.

— Nie przerywaj — polecił Johnowi. — Przejdę się na mały spacer.

Ruszył powoli na północ, wzdłuż brzegu, a po około pięćdziesięciu metrach, znalazłszy się pod osłoną wysokich skał, skręcił w głąb wysepki.

Trzydzieści metrów dalej od brzegu dotarł do stromego uskoku. Na jego szczycie, w kępie trawy, znalazł świeży niedopałek papierosa.

Spojrzał w stronę lasu i dostrzegł — albo zdawało mu się, że dostrzegł — sylwetkę z długimi, ciemnymi włosami powiewającymi na wietrze. Po chwili postać zniknęła wśród drzew.

Kobieta?

Gerlof pomyślał o zamieszkującej Niebieską Dziewicę syrenie, władczyni wody i wiatru, surowo karzącej tych, którzy nie okażą jej szacunku. Opowieści o jej istnieniu były znacznie starsze niż ta, wedle której czarownice świętują Wielkanoc na wyspie. Jednak Gerlof nie wierzył w to wszystko. Syrena nie paliłaby przecież papierosów.

Przyśpieszył kroku, wciąż starając się poruszać jak najciszej.

W końcu wszedł w las, między powykręcane wiatrem drzewa. Rosły tu gęste krzaki leszczyny, nietrudno było też wpaść w rozpadlinę. Łatwo było się tu zgubić.

Zatrzymał się i wyteżył słuch. Potem znów ruszył przed siebie, obszedł gruby klon i niemal wpadł na skuloną za nim postać.

Była to kobieta w ciemnym ubraniu. Krzyknęła i rzuciła się na Gerlofa z pięściami.

— Uspokój się! — wrzasnął.

Stał bez ruchu, nie broniąc się przed ciosami. Podniósł tylko ręce, żeby się trochę osłonić.

— Uspokój się! — krzyknął raz jeszcze, najgłośniej jak umiał.

Kobieta opuściła pięści, przestała walczyć. Gerlof odetchnął z ulgą i zrobił krok wstecz. Ocenił, że kobieta jest po trzydziestce, zauważył, że ma na sobie turystyczną odzież, jakby wybrała się tu na wycieczkę: gruby wełniany sweter i buty do górskich wędrowek. Przyglądała mu się niespokojnym, pełnym napięcia wzrokiem.

— Co tu robisz? — zapytał. — Dlaczego się do nas skradasz?

Kobieta nie odpowiedziała, spytała tylko:

— Kim jesteście?

— Rybakami ze Stenvik — odparł Gerlof, wskazując przez ramię na Olandię. — Schroniliśmy się tu, bo sztorm zaskoczył nas na morzu. Nie jesteśmy... niebezpieczni. Nazywam się Gerlof Davidsson.

Kobieta powoli rozluźniła naprężone ramiona i kiwnęła głową.

— Jestem Ragnhild — przedstawiła się. — Ragnhild Månsson z Oskarshamn.

— W porządku, Ragnhild... Chcesz do nas dołączyć?

Kobieta przytaknęła i ruszyła za Gerlofem w stronę łodzi.

Gdy zeszli na brzeg, spojrzała najpierw na Johna Hagmana i kuzynów Mossbergów, potem na ułożone na skałach szkielety. Jej wzrok wciąż zdradzał napięcie, lecz Gerlof nie dostrzegł na jej twarzy zdziwienia.

— Właśnie je znaleźliśmy — wskazał na kości. — Były w tej dryfującej

łodzi.

Ragnhild milczała.

— Widziałas je wcześniej, prawda?

— Nie wiem, do kogo należą — odparła w końcu.

Gerlof uznał, że nie było to zaprzeczenie.

— A ta łódka? — spytał, pokazując palcem na wodę. — Rozpoznajesz ją?

Ragnhild Månsson spojrzała na chybotzącą się przy brzegu łódź, ale minęła dłuższa chwila, nim odpowiedziała:

— To łódź Kristoffera. Mojego brata.

— Gdzie on jest?

— Nie wiem.

Kobieta westchnęła, usiadła na kamieniu, a potem nagle zaczęła mówić:

— Szukałam go... Mieliśmy się tu dzisiaj spotkać. Wzięłam moją motorówkę z Oskarshamn i zacumowałam ją po północnej stronie. Kristoffer miał przy płynąć z przeciwnej strony. Z Olandii, bo tam mieszka.

— Ta łódka dryfowała na morzu, kiedy ją znaleźliśmy — odparł Gerlof.

— Czy twój brat miał pas ratunkowy albo kamizelkę?

— Nie sędzę.

Na chwilę zapadła cisza.

— Włączmy kuchenkę i zaparzmy kawę — zaproponował Gerlof. —

Potem jeszcze pogadamy.

Kwadrans później mogli już napić się czegoś ciepłego i zjeść suchary. Gerlof podał Ragnhild kubek kawy i przyjrzał się jej uważnie.

— Możesz nam opowiedzieć więcej, Ragnhild — zachęcił ją. — Myślę, że wiesz coś o kościach w łodzi twojego brata, mam rację?

— Częściowo — odparła kobieta.

— Świetnie. Chętnie posłuchamy.

Ragnhild zajrzała do kubka z ciemnym płynem i westchnęła ciężko. Po chwili zaczęła opowiadać cichym głosem:

— Mój starszy brat Kristoffer był w młodości obserwatorem ptaków. Uwielbiał je. W latach trzydziestych, kiedy byliśmy nastolatkami, nasza rodzina mieszkała na Olandii, w pobliżu Byrum... byliśmy najbliżej

Niebieskiej Dziewicy spośród wszystkich mieszkańców. Kristoffer często przyływał tu łódką, żeby popatrzeć na edredony i nurniki. Wyspa już od dziesięciu lat była parkiem narodowym, ale wiosną i jesienią mało kto ją odwiedzał. Pewnego dnia, kiedy Kristoffer tu przybił, zastał ślady innego... gościa na wyspie... I były to okropne ślady: podeptane gniazda i skorupy rozbitych jaj między skałami. Wyglądało na to, że grasował tu ktoś, kto nienawidzi ptaków.

Ragnhild zamilkła i pociągnęła łyk kawy.

— Kristoffer nie wiedział, kto to był — podjęła po chwili — ale chciał go powstrzymać i namówił mnie, żebym mu pomogła. Zaczęliśmy odwiedzać wyspę częściej i pilnowaliśmy jej. To była prawdziwa przygoda. I w końcu pewnej niedzieli zastaliśmy obcą łódź zacumowaną przy starym kamieniołomie na południowym brzegu. Kristoffer przybił tuż obok i zakradliśmy się w głąb wyspy. Słyszeliśmy nerwowe pokrzykiwania ptaków, to był bardzo zły znak.

Ragnhild odwróciła głowę i spojrzała w stronę lasu.

— Tam, na skałach, zobaczyliśmy dręczycieli ptaków. Byli to dwaj młodzi mężczyźni, niewiele starsi od Kristoffera. Nazbierali kamieni i gałęzi i rzucali nimi w nurniki, które latały wokół nich, przerażone. Strasznie się wtedy zdenerwowałam. W jednej chwili opuścił mnie strach, podbiegłam do tych mężczyzn i zaczęłam krzyczeć, żeby przestali. To było oczywiście idiotyczne, bo ich było dwóch, na dodatek byli o wiele silniejsi ode mnie. Roześmiali się tylko i złapali mnie. Wtedy Kristoffer krzyknął, więc zobaczyli i jego. Na moment o mnie zapomnieli. Wyrwałam się i pobiegłam z powrotem w stronę brzegu. Kiedy dotarliśmy z Kristofferem do łodzi, szybko zepchnęliśmy je obie do wody, wskoczyliśmy do naszej i zaczęliśmy wiosłować w stronę Olandii. Musieliśmy się uchylać przed kamieniami, które tamci rzucali w naszą stronę. Kiedy ich widziałam ostatni raz, stali na brzegu jak idioci i patrzyli na łódkę, znoszoną przez fale coraz dalej i dalej od brzegu.

Ragnhild spojrzała na morze, a po chwili podjęła opowieść:

— Nim zdążyliśmy wrócić do domu, w cieśninie rozszalał się sztorm.

Pomyślałam sobie wtedy, że ten wściekły wiatr wywołała Niebieska Dziewica, że to wyspa go spowodowała, chcąc się zemścić. Do wieczora sztorm zmienił się w prawdziwy orkan, który trwał ponad tydzień, dziewięć albo dziesięć dni. Cały czas było tak pochmurno, że wyspa w ogóle zniknęła z pola widzenia, na pewno nikt nie mógł na nią popłynąć ani się z niej wydostać. Ja i Kristoffer cały czas siedzieliśmy w domu, baliśmy się komukolwiek powiedzieć, że na wyspie są ludzie.

Ragnhild spuściła wzrok.

— W końcu wiatr w cieśninie ucichł i mogliśmy tam popłynąć. Kristoffer zabrał starą strzelbę naszego dziadka. Ale gdy dotarliśmy na miejsce, nurniki były spokojne, jakby na Dziewicy nie było już żadnego zagrożenia.

Kobieta zamilkła na chwilę.

— Znaleźliśmy ich na samym szczycie wyspy. Jeden leżał skulony pod grubą sosną, a drugi siedział oparty o skały, z otwartymi oczami. Nie wiedzieliśmy, czy umarli z głodu, czy z wychłodzenia, ale było pewne, że obaj nie żyją. Wpadliśmy w panikę. Zaciągnęliśmy ciała do głębokiej skalnej szczeliny i przywaliliśmy je ogromną ilością kamieni. Nosiliśmy otoczaki przez wiele godzin. Potem wróciliśmy do domu... Jakiś tydzień później usłyszeliśmy, że dwóch młodych mężczyzn zaginęło podczas sztormu. Wyłynęli w ciągu dnia i nie wrócili do domu, a policja była zdania, że ich łódź przewróciła się na wietrze w cieśninie.

Ragnhild ponownie westchnęła.

— Próbowaliśmy o tym zapomnieć, ale to było oczywiście niemożliwe. Myślę o tym od prawie dwudziestu lat. A teraz latem na Dziewicę przyływa coraz więcej i więcej turystów... Prędzej czy później ktoś odnalazłby ciała. Ustaliliśmy z bratem, że zabierzemy stąd kości i zatopimy je dziś w cieśninie, owinięte w brezent i obciążone kamieniami. Taki mieliśmy plan. Ale ja przyłynęłam spóźniona i wygląda na to, że Kristoffer zaczął beze mnie. Pewnie wypadł z łodzi, kiedy...

Kobieta zamilkła i utkwiała zmartwiony wzrok w pustej łódce. Nic więcej nie powiedziała.

Gerlof spojrział w głąb wyspy, w stronę najwyższego wzniesienia.

— Twój brat pewnie wypadł z łodzi — powiedział cicho. — Albo łódka odpłynęła bez niego. Sądzę, że powinniśmy wejść tam, na górę.

Ragnhild przyjrzała mu się bacznie.

— Chętnie — odparła.

John i kuzyni zostali przy łodziach, a Gerlof i Ragnhild ruszyli w stronę lasu.

Gerlof prowadził, wskazując drogę między sosnami, aż dotarli do niezwyklej formacji skalnej, trochę na wschód od wierzchołka wyspy. Gerlof znał to miejsce z poprzednich wizyt. Była to Jaskinia Dziewicy, niewielka grota przypominająca małą kaplicę, stanowiąca doskonałą osłonę przed wiatrem.

Dostrzegł cień tańczący na ścianach wąskiego wejścia do pieczary. Podszedł bliżej i zawołał:

— Jest tam kto? Halo!

Przez chwilę panowała kompletna cisza. Jednak później dał się słyszeć męski głos:

— Halo! Jestem tu.

Ragnhild wbiegła pędem do jaskini.

— Kristoffer, to ty?

Kwadrans później Gerlof wrócił na brzeg. Torsten, Erik i John stali między łodziami i palili papierosy.

— Jej brat schronił się przed sztormem w Jaskini Dziewicy — powiedział do nich. — Rano załadował kości do łódki i obciążył ją kamieniami, ale porwały ją fale.

— Co oni teraz robią?

— Niedługo wrócą do domu. — Gerlof spojrział na leżące na skałach szkielety. — Sądzę, że powinniśmy zabrać je na Olandię. Powiemy policji, że znaleźliśmy kości wystające ze skalnej szczeliny. Może w ten sposób uda im się wyjaśnić sprawę zaginięcia tych mężczyzn, bez mieszania w to Ragnhild i jej brata. Zgadza się?

John i kuzyni pokiwali głowami, nie przestając zaciągać się

papierosowym dymem.

— Nie rozumiem jednego. — Erik zwrócił się do Gerlofa. — Skąd wiedziałeś, że na wyspie są jacyś ludzie? Jesteś jasnowidzem?

— Wyczułem ich — odparł Gerlof.

— Wyczułeś? — zdziwił się Erik.

— Ja tam nic nie wyczułem — wtrącił John, ciskając niedopałek między skały.

— A powinieneś — odrzekł Gerlof. — Poczulem dym z papierosa Ragnhild, kiedy się do nas skradała.

— Naprawdę?

— No pewnie, zapach był bardzo wyraźny... tak samo jak dym z małego ogniska, które jej brat rozpałił w jaskini.

Trzej rybacy przyjrżeli się Gerlofowi z uwagą. On jednak tylko wskazał palcem na ich dopalające się papierosy.

— Przecież ciągle wam powtarzam, żebyście to rzucili... Tytoń odbiera wam węch.

1. (szw.) rodzaj łodzi we flocie wikingów ↩

Veronika von Schenck

MAITREJA

Stella Rodin rozglądała się po wystawie, popijając szampana. Grafitowe ściany stanowiły odpowiednie tło dla intensywnych barw nowoczesnych dzieł sztuki — całość przypominała babciną patchworkową narzutę. Ciemne garnitury mężczyzn kontrastowały z kolorowymi garsonkami kobiet. Piękny efekt, mnóstwo gości. Ojciec Stelli, Emmanuel Rodin, znajdował się w samym środku tego przepychu. W jasnym tweedowym garniturze i ciemnoczerwonej kamizelce, z dopasowaną muszką i poszetką, błyszczał na tle zebranego towarzystwa i wiszących na ścianach obrazów. Był w swoim żywiole. Z właściwą sobie swobodą prowadził jeden z najważniejszych wernisaży roku oraz następującą po nim aukcję. Szerokim gestem i pochlebstwami umożliwiał swoim ekspertom spotkania z klientami, u których zainteresowanie sztuką szło w parze z grubym portfelem. Teraz rozprawiał o jakości papieru sitodruków Warhola.

Stella kochała sztukę tak samo jak jej ojciec, lecz serdecznie nie cierpiała całej tej otoczki. Zawsze była czarną owcą. Śliczna dziewczynka o nieprzeciętnej inteligencji ani w przedszkolu, ani nigdy później, nie potrafiła ukryć swoich zdolności, głodu wiedzy i chęci poznania prawdy. To było — mówiąc oględnie — przerażające. Potrafiła wyśmiać, zirytować albo odstraszyć niemal każdego, kogo spotkała. Przede wszystkim dlatego, że nie nauczyła się trzymać języka za zębami, kiedy rozmówca kłamał w żywe oczy. Ze zrozumiałych względów lata szkolne okazały się dla niej nieco bolesne, lecz dzięki temu dzisiaj miała twardą skórę. Zamiast pozostać w świecie pochlebstwa i obłudy („Robimy to z pasji do sztuki, nie dla pieniędzy, ależ skąd!”), wolała pracę w policji jako biegła w dziedzinie badania

autentyczności dzieł sztuki. W ten sposób miała możliwość obcowania na co dzień z tym, co kochała, i przebywania w środowisku trochę bardziej tolerancyjnym wobec jej szorstkiego charakteru, a przynajmniej, jak uważała, mniej zakłamanym.

Ponieważ jednak ojciec, matka i starszy brat, z którym była bardzo blisko związana, nadal działali w branży, dorabiała sobie tego wieczora po godzinach, choć niechętnie, jako żywa reklama rodzinnej firmy. Ojciec po prostu ją przekupił. Piękna ciemnoczerwona sukienka w stylu *vintage*, wcięta w talii, z dekoltem w kształcie łódki, rozkloszowanym marszczonym dołem i wielowarstwową halką. Lata pięćdziesiąte. Dior. Poglądziła dłonią szeleszczący materiał. Takiej łapówce nie mogła się oprzeć.

Stella podeszła do ojca i ucałowała go delikatnie w policzek.

— Cześć, tato. Tylko półtorej godziny, dobrze?

— A masz coś ważniejszego do roboty? Umówiłaś się na randkę? — zapytał uprzejmie, choć nie kryjąc niezadowolenia.

Podobne dyskusje odbyli już niezliczoną ilość razy. Zaczynało się zazwyczaj od pogardliwych komentarzy na temat jej zawodu — praca w policyjnym laboratorium nie pasowała do jego wyobrażeń o karierze córki.

— Tak, mam randkę z dobrą książką, wanną i ciepłą wodą.

Ojciec westchnął.

— Chyba rozumiesz, jakie to dla mnie poniżające. Wiesz, jak ciężko pracuję... pracujemy, żeby nie stracić tego, co mamy. Możesz od czasu do czasu przyjść, pouśmiechać się trochę i być miłą. To nie takie trudne.

Tym razem to ona westchnęła.

— Dobrze już, dobrze. Zostanę.

Po godzinie uśmiechów i całowania w policzki Stella była wykończona. Taka dawka nieciekawych kontaktów z innymi ludźmi to dla niej zbyt wiele jak na jeden dzień. Zaczęła się przyglądać obrazom, żeby chociaż na chwilę odciąć się od wygłaszanych wokół frazesów. Długo patrzyła na płótno Picassa: utrzymany w szarościach, jak na niego zadziwiająco poprawny anatomicznie portret młodej kobiety o imieniu Françoise — jeśli wierzyć

tytułowi dzieła. Gdyby Stella miała o trzysta tysięcy za dużo, z radością przystąpiłaby do aukcji. Jednak biorąc pod uwagę wysokość policyjnej pensji, będzie szczęśliwa, jeśli uda jej się tyle odłożyć do emerytury. Poprawiła obraz, trochę się przekrzywił. Wcześniej tego dnia rozwieszała z bratem obrazy. Chociaż nie pracowała w rodzinnej firmie, lubiła pomagać Nicholasowi w przygotowywaniu wystaw, a i jemu podobało się, że robią to razem. Była to ich mała tradycja. Stella z całego serca kochała sztukę. Kochała rzemiosło. Fascynowały ją długie godziny skupienia i czystej miłości, jakie artyści i rzemieślnicy poświęcali swoim pracom, intrygowało ją to połączenie głębokiego smutku i płomiennej radości, tak idealne w każdym prawdziwym dziele.

Nicholas podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

— Jakiś Carl Andreasen pyta o ciebie. Czeka przy wejściu. Czy to nie twój szef?

Stella z zatroskaną miną spojrzała w kierunku drzwi. Rzeczywiście, Carl we własnej osobie. Wysoki, o krótko przystrzyżonych szpakowatych włosach i pomarszczonej twarzy, ledwie widocznej zza fałd gigantycznego szala, z którego właśnie usiłował się wyplątać.

— To on. Co tutaj robi, do licha?

Przebrnęła przez tłum gości i podeszła do niego.

— Carl! Co cię tu sprowadza?

— Mam dla ciebie robotę.

Nie uszło jej uwagi, że ojciec posłał jej z drugiego końca sali niezadowolone spojrzenie.

— Okej, przejdźmy gdzieś indziej — powiedziała, lekko popychając Carla przed sobą, aby usunąć go z pola widzenia ciekawskich gości. Jej szef nie przypominał pasjonata sztuki, który spóźnił się na wernisaż, wyglądał raczej jak podstarzały wojskowy, który wie gdzie obecnie żyje bezdomny.

Stella odwróciła się jeszcze, chwyciła drugi kieliszek i zanim Carl zdążył zaprotestować, poprowadziła go do biblioteki. Wręczyła mu szampana i wskazała fotel. Mężczyzna skorzystał z zaproszenia, a ona usiadła na

krześle obok.

— Nie wiedziałem, że w weekendy jesteś córeczką tatusia. — W jego głosie brzmiał pogardliwy ton. Odstawił szampana, nawet go nie próbując.

— No to teraz wiesz. — Stella uśmiechnęła się, rozbawiona tą kiepską prowokacją. Stać go na więcej. Łączyła ją z Carlem swego rodzaju nienawistna miłość. Ona uważała jego sposób rozumowania za zbyt tradycyjny i formalistyczny — chociaż jej zdaniem nie przeszkadzało mu to być świetnym gliną. On z kolei, jak się domyślała, uważał ją za prawdziwe utrapienie, osobę, która powinna nauczyć się trzymać język za zębami, robić, co jej każą, i nie wtrącać się, gdzie nie trzeba — chociaż jego zdaniem nie przeszkadzało jej to być świetnym ekspertem w swojej dziedzinie.

— Co się stało, że sam Carl Andreasen spotyka się ze mną w miejscu, które najwyraźniej zupełnie mu nie odpowiada?

— Chcę, żebyś jutro też poszła na przyjęcie. Mam nadzieję, że nie będzie to dla ciebie zbyt trudne zadanie.

Stella zdziwiła się trochę, ale nic nie powiedziała. Carl westchnął, po czym kontynuował:

— Jeden z naszych ludzi pracuje od dłuższego czasu pod przykrywką w organizacji przemytniczej. Dostał wreszcie zaproszenie na przyjęcie u samego szefa, taka nieoficjalna aukcja dzieł sztuki, przeschmuglowanych, jak się zdaje, z zagranicy. No i potrzebuje osoby towarzyszącej.

— To chyba nic trudnego. Z pewnością nie brakuje piersiastych posterunkowych, które mogą to dla ciebie zrobić. Wiesz przecież, że od dawna pracuję już tylko w laboratorium.

— Ale mnie nie chodzi o twoje umiejętności terenowe. Masz robić to samo co w laboratorium. Rozejrzeć się, a potem zdać relację, o jakie dzieła sztuki chodzi, autentyki czy fałszywki. Łatwizna, taka profesorka jak ty powinna sobie poradzić.

— A jeśli ten gość zajmuje się antykami? Może mnie przecież rozpoznać. Wtedy będzie po akcji.

— Nie przesadzaj. Wystarczy, że twój tatuś jest sławny. Zresztą ten typ chyba jednak nie zaopatruje się w waszym domu aukcyjnym.

Stella wypila łyk szampana i spojrzała badawczo na swojego szefa. Wydawał się mniej cięty niż zwykle. Musiał być naprawdę zdesperowany. Nie miała pewności, czy sprawę rzeczywiście należy uznać za błaźnię, jak to przedstawiał Carl. Utwierdziła się raczej w przekonaniu, że chodzi o coś znacznie bardziej skomplikowanego, niż sugerował. Jednak perspektywa jednorazowej roboty w terenie była kusząca. Stella skinęła nieznacznie głową.

— A ten wasz człowiek pod przykrywką czym dokładnie się zajmuje? Przecież taka organizacja nie zarabia tylko na przemyśle antyków. W przeciwnym razie przyszedłbyś do mnie o wiele wcześniej. No, chyba że wasz kret zna się na rzeczy, ale wtedy nie potrzebowalibyś mnie wcale, mam rację?

Carl wyglądał na zirytowanego. Odchylił się na fotelu i zaczął nerwowo poruszać stopą.

— Chodzi głównie o narkotyki. I handel bronią. Antyki to poboczna działalność.

Stella przyglądała mu się przez chwilę z namysłem. Kolejna półprawda, ale niech będzie. Wzruszyła ramionami.

— Dobra, wchodzę w to.

— Grzeczna dziewczynka.

Odprowadziła go do wyjścia — istniało ryzyko, że Carl zacznie rozmawiać z gośćmi, a tego nie chciała. Kiedy otworzyła drzwi, do środka wdarł się chłodny powiew, wnosząc kłęby płatków śniegu. Stella zadrżała. Zamyślona patrzyła za Andreasenem, który kuląc się na wietrze, powoli zniknął w ciemności.

— Czego chciał od ciebie w sobotę? Sądziłem, że policyjni eksperci pracują pięć dni w tygodniu — zainteresował się Nicholas.

— Chce, żebym zabawiła się w prawdziwego policjanta. Robota pod przykrywką. Prywatna aukcja szmuglowanych antyków. Jutro wieczorem — odpowiedziała Stella, ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko w zimowym mroku.

— Nieźle.

Ali z promiennym uśmiechem otworzył przed nią drzwi limuzyny. Miał na sobie idealnie dopasowany czarny garnitur. Nie umknęło jej uwadze, że jak zawsze był obrzydliwie wysportowany. Czarne kręcone włosy, wąskie biodra i szerokie ramiona. Te biodra zapamiętała szczególnie dobrze. Wspaniale prezentowały się w samych bokserkach. Bez nich zresztą też.

— Jak zwykle świetnie wyglądasz.

— Cześć, Ali, kopę lat. Miło cię widzieć.

Dawno temu studiowali na jednym roku w szkole policyjnej, zostali wtedy parą. Kiedy ona później zajęła się kryminalistyką, a on pracą dochodzeniową, ich drogi się rozeszły. Chociaż właściwie — kogo próbowała oszukać? Przecież nigdy nie udało jej się utrzymać dłużej żadnego związku. Ali nie był wyjątkiem.

— Wskakuj, o przyjęciu opowiem po drodze.

Uklonił się przesadnie, pomógł jej usadowić się z tyłu, po czym sam usiadł obok. Inny policjant, ubrany po cywilnemu, miał zaszczyt być ich szoferem tego wieczora.

— Super! Dokąd jedziemy?

— Do Djursholm. Fortecy snobizmu i bogactwa.

— Widząc twój kiepsko ukryty pistolet, spodziewałam się raczej wycieczki na podupadłe przedmieścia.

Wsunęła rękę pod jego smoking i poprawiła skórzane szelki, do których przypięta była kabura.

— Dzięki — powiedział z przeproszającą miną. — Mikrofon też widać?

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, nie zauważyła jednak niczego podejrzanego.

— Nie, wszystko w porządku. Jesteś równie przystojny jak zawsze.

— Dzięki.

Zdażyło się zupełnie ściemnić, kiedy zatrzymali się przed ogromną żółtą willą stojącą na lekkim wzniesieniu. Stella, na niebotycznych obcasach, ostrożnie szła wysypaną piaskiem ścieżką, prowadzona przez Alego pod

rękę. Rozkoszowała się lodowatym powietrzem, które niosło ze sobą zapach jego ciepłego ciała. Zapach egzotycznych przypraw i skóry tuż po kąpieli. Przysunęła się bliżej do niego. Uśmiechnął się, ale Stella wyraźnie wyczuwała w jego ruchach nerwowość. Wiedziała, że Ali nie ma w zwyczaju niepokoić się na zapas. Wręcz przeciwnie, przesadnie wierzył w swoje umiejętności, jak większość mężczyzn zresztą. Znów utwierdziła się w przekonaniu, że ta sprawa wcale nie jest tak prosta, jak przedstawiał to Carl.

Po obu stronach ścieżki piętrzyły się białe jak kreda zaspy, w które zatknięto zapalone pochodnie. Miętko drgające płomienie tworzyły na śniegu fascynującą grę cieni. Przestało sypać ledwie przed godziną.

— Będzie dobrze — powiedziała Stella, nieudolnie starając się przybrać spokojny ton.

Ali spojrzał na nią rozbawiony.

— Jasne, ale uważaj na Petera. Postaraj się go nie zirytować. To nieźrównoważony typ.

— Nie zirytować? Niby jak? Przecież nawet nie znam gościa!

— Bardzo cię proszę, po prostu ten jeden raz nie bądź sobą. Rozumiesz chyba...

— Trzymać gębę na kłódkę i uśmiechać się? To masz na myśli? — spytała Stella z rozbawieniem. W głębi serca poczuła się jednak dotknięta, chociaż za nic nie zamierzała mu tego okazać.

— Właśnie tak, i jeszcze mogłabyś trochę bardziej pokazać te twoje cudowne piersi.

— Tak jest! Uśmiech. Cycki na wierzch. Zastanawiam się tylko, czy właśnie po to studiowałam siedem lat...

— Siedem?!

— No tak. Szkoła policyjna, historia sztuki, kilka kursów w Anglii...

Potrząsnął głową, uśmiechając się blado, po czym dał jej znak dłonią, żeby umilkła.

— Przepraszam, że zapytałem.

Stella szturchnęła go w ramię.

— Aj, to boli!

Stanęli przed wejściem. Do środka wpuścił ich ochroniarz z poważną miną. Innemu, który wyglądał równie profesjonalnie i ponuro, oddali wierzchnie okrycia. Do uszu Stelli dotarł szmer rozmów. Przechodząc do salonu, minęli postument, na którym stała popękana, zniszczona urna. Naczynie pochodziło z rejonu Morza Śródziemnego. Miało na pewno około dwóch tysięcy lat — Stella nie mogła się upewnić, nie oglądając urny z bliska. Na jej ściankach były jeszcze resztki piasku. Wyblakła, pokryta patyną czasu, emanowała pięknem i godnością.

— Już wiem, po co tu jestem — szepnęła Alemu do ucha i pocałowała go delikatnie w szyję, żeby nikt nie nabrał podejrzeń. A może po prostu dlatego, że miała na to ochotę. Ali zadrżał lekko.

Kiedy weszli do salonu, perfekcyjnie wyreżyserowane przedstawienie rozpoczęło się od nowa. Tu skinienie głową, tam uniesiony kieliszek szampana. Podwójna dawka czegoś takiego podczas jednego weekendu to dla Stelli zdecydowanie za dużo. Płytką wymiana grzeczności, która niczego nie wnosi, nic nie znaczy i której nikt nie będzie pamiętać. Wesołość i urocze uśmiechy na twarzach, a zarazem lodowaty wzrok. Ot, pozory. Stella szczerze tego nienawidziła, ale była profesjonalistką. W każdym razie tego wieczora miała zadanie do wykonania. Kiedy dziesiąty już chyba roześmiany mężczyzna, o czole gładkim jak pupa niemowlaka, zakończył konwersację i poszedł dalej, Stella poprowadziła Alego do przedmiotu ustawionego na prostym białym postumencie pod przeszkloną ścianą salonu. Na tarasie majaczyły rozedrgane płomienie pochodni, ale dalej była już tylko nieprzenikniona ciemność nocy. Kiedy Stella podeszła do postumentu, jej serce zabiło mocniej. Wykonana z brązu figurka miała dwadzieścia centymetrów wysokości. Czarna powierzchnia połyskiwała delikatnie jak aksamit, mimo ciemnej barwy widać było świetnie wykończone detale. Posązek przedstawiał mężczyznę w królewskiej koronie, siedzącego w pozycji lotosu. Otwartą prawą dłoń miał uniesioną i skierowaną ku patrzącemu. W lewej ręce, opartej na udzie, trzymał dzban z wodą. Ponad wypukłym nosem wąskie, półprzymknięte, zdobione srebrem oczy

obserwowały Stellę przyjaźnie i z godnością. Ideal. Figurka była tak piękna, że zaparło jej dech w piersiach. Musiała się powstrzymać, żeby nie zdjąć jej z postumentu i nie uciec. Ostrożnie gładząc jej powierzchnię, wyczuła resztki piasku we wklęsłej podstawie. Aż się w niej zagotowało z gniewu.

— Ali, pozwól, że ci przedstawię, to Maitreja.

— Kto taki?

— Budda, który przyjdzie jako następny. Podejrzewam, że figurka pochodzi z okresu między dziesiątym a dwudziestym rokiem naszej ery. Prawdopodobnie z Afganistanu. Co więcej, wydobyto ją całkiem niedawno.

— Skąd wiesz to wszystko?

— Nie została profesjonalnie oczyszczona. Są na niej resztki piasku i rysy. Musieli ją odkopywać jacyś idioci.

Stella przesunęła palcem po sporym zarysowaniu. Nie pojmowała, jak ktoś mógł zrobić coś takiego. Znieważyc tamten kraj, jego historię i teraźniejszość.

Zauważyła, że Ali wyciąga szyję, wpatrując się w kogoś za jej plecami. To pewnie ów słynny Peter. Przybrała głupiutki uśmiech i powoli się odwróciła. Zobaczyła wysokiego mężczyznę z potwornie wielkim brzuchem. Z jego postawy można było odczytać, że dodatkowe kilogramy dają mu się we znaki. Miał na sobie idealnie skrojony szary garnitur, a dłoń, w której trzymał kieliszek szampana, zdobiły liczne pierścienie. Mężczyzna spojrzał na Stellę, a raczej na jej dekolt, w taki sam sposób, jak kot patrzy na śledzia, zanim zatopi w nim zęby. Stella wysunęła biust jeszcze bardziej do przodu. W końcu to właśnie na tym polegało jej dzisiejsze zadanie.

— Widzę, Ali, że masz tu niezły kąsek.

Ali roześmiał się serdecznie i otoczył ramieniem talię Stelli. W takich sytuacjach potrafił zaimponować naturalnością.

— Tak, to moja dziewczyna, Stella.

— Miło wreszcie cię spotkać — powiedziała, podając mężczyźnie rękę. Ten zaś ujął jej dłoń, przyciągnął Stellę do siebie i pocałował w policzek. Pachniał alkoholem, drogimi perfumami i ledwo wyczuwalną nieprzyjemną wonią potu.

— Widzę, że spodobał się wam ten posążek. Ali, zamierzasz przystąpić do aukcji?

— Stella najwyraźniej się w nim zakochała, więc chyba nie mam wyboru.

— Jest zachwycający! Z Indii? — zaszcebiotała najbardziej naiwnym i idiotycznym głosikiem, jaki tylko zdołała z siebie wydobyć.

— Można tak powiedzieć. Ten rarytas ma dwa tysiące lat, zaokrąglając. Nie będzie tanio.

— Taki stary! — wykrzyknęła Stella ze zdziwioną miną i zbliżyła się do postumentu. A więc gość wie, co posiada, pomyślała.

— Tak, niewielu w tym zaszranym kraju może pochwalić się podobną kolekcją. A jak poszło wczoraj? Sfinalizowaliście sprawę? — Peter zwrócił się do Alego.

— Powoli zmierzamy do celu. Chcieli omówić ostatnie szczegóły dzisiaj podczas przyjęcia, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Chcesz w taki wieczór rozmawiać o interesach?

Przez sekundę w spojrzeniu Petera dało się zauważyć niepokojąco twardy błysk. Po chwili roześmiał się w głos.

— A dlaczego nie?! — odpowiedział sam sobie. — Dzisiaj jest odpowiedni dzień, żeby dobić targu. Tylko nie zapomnij zostawić Stelli pod moją opieką, kiedy porzucisz ją dla tych swoich interesów, dobra?

Stella uśmiechnęła się, przyjmując kokieteryjną pozę. Udało jej się stłumić impuls, który podpowiadał jej, żeby chlusnąć Peterowi szampanem w twarz i powiedzieć mu coś do słuchu. To prawdziwa ulga, że spotkanie się z ludźmi nie należało do jej codziennych obowiązków służbowych. Chyba by tego nie zniosła.

— Jak twoim zdaniem zdobył te przedmioty? — zapytał Ali, kiedy Peter ich zostawił. Oboje patrzyli za nim: poruszał się między gośćmi niczym dobroduszny władca absolutny wśród swoich poddanych.

— Od dziesięciu lat Afganistan jest systematycznie obrabowywany z dzieł sztuki. Przedmioty takie jak ten wysyła się za granicę, żeby finansować wojnę. Jeśli Peter ma dobre kontakty i nie musiał płacić pośrednikom, nabył te rzeczy za przerażająco niską cenę.

Ali westchnął głęboko. Stella znów popatrzyła na piękny posążek Maitrei.

— Problem w tym, że właściwie niczego nie da się udowodnić. Legalny dom aukcyjny nie mógłby tego sprzedać, ponieważ konieczne są dokumenty potwierdzające pochodzenie dzieł sztuki. Ale jak dowieść, że taki posążek nie znajdował się w jego rodzinie od stu czy więcej lat? On powie po prostu, że papiery zagubiły się albo uległy zniszczeniu. Nikt mu niczego nie udowodni.

— Ohyda. Na szczęście wkrótce zbierzemy wystarczające dowody, żeby posadzić skurwiela za inne sprawy.

— Narkotyki? — zapytała.

— Tak. O tym właśnie będę z nim za chwilę rozmawiał. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, złoży mi ofertę. Zaproponuje mi robotę w organizacji. Dostyc już tego wzajemnego obwąchiwania się.

Ali rozejrzał się za Peterem. A więc dlatego jest taki spięty, pomyślała Stella. W tej samej chwili do Alego podszedł kelner.

— Adam czeka na pana na piętrze.

— Zaraz wracam — zwrócił się do Stelli i skinął w odpowiedzi kelnerowi.

— Powodzenia! — powiedziała i lekko uścisnęła jego rękę. Ali popatrzył na nią ciepło, po czym pocałował ją długo i mocno. Stella odwzajemniła pocałunek. Była nieco zdziwiona, ale w sumie: dlaczego nie? — pomyślała.

— Może później powspominamy dawne czasy? Co ty na to?

— Chętnie.

Skinął głową. Stella wpatrywała się w jego plecy, gdy szedł w stronę wielkich spiralnych schodów. Potem odwróciła się do kolejnego postumentu. Przez dłuższą chwilę krążyła po salonie, oglądając przedmioty wystawione na sprzedaż. Panował tu swoisty miszmasz: najróżniejsze epoki, religie i style, lecz wszystkie eksponaty miały jedną cechę wspólną — o czym Stella była przekonana — mianowicie większość z nich wywieziono w ostatnich latach z Afganistanu. Obserwując potencjalnych klientów, zdała sobie sprawę, że spotkała już kilku z nich. To szanowani kolekcjonerzy, eksperci w dziedzinie historii sztuki. Stella trzymała się od nich z daleka. Ryzyko, że

któryś z nich rozpozna w niej córkę Emmanuela Rodina, było wprawdzie niewielkie, ale jednak istniało. A gdyby ktoś szepnął słówko gościowi z wielkim brzuchem, całą akcję można by uznać za spaloną. W myślach posłała Carlowi gniewne spojrzenie.

Ali wciąż nie wracał, chociaż minęła już godzina, więc Stella zaczęła się niepokoić. Wyszła na taras, odetchnęła głęboko i nabrała w płuca lodowatego powietrza. Kelner zaproponował jej wykończony kozuszkim koc, który chętnie wzięła i zarzuciła sobie na ramiona. W blasku pochodni widać było małą grupkę palaczy. Panowała tu względna cisza, co Stella przyjęła z ulgą, wyprostowała ramiona i spróbowała się trochę odprężyć. Nagle rozdzwoniła się komórka w jej torebce. Stella przeszła kawałek dalej, aby inni goście nie dosłyszeli rozmowy, i wyjęła telefon. Wyświetlacz informował, że to Ali. Założyła bezprzewodową słuchawkę i odebrała.

— Ali, gdzie ty, kurwa, jesteś?

Coś jakby rzeźenie na drugim końcu linii sprawiło, że poczuła uderzenie zimnej fali.

— Ali, co się stało? — wyszeptała. Dźwięk w słuchawce dał się słyszeć jeszcze przez krótką chwilę, po czym się urwał.

Stella, nie rozłączając rozmowy, drżącymi rękami włożyła komórkę z powrotem do torebki. Zgarnęła pasmo kręconych włosów na ucho, żeby ukryć słuchawkę, i wróciła do salonu. Przecisnęła się pomiędzy gośćmi, starając się nie sprawiać wrażenia, że się spieszy. Mimo beztróskiego uśmiechu na twarzy czuła, że serce łomocze jej jak szalone. Bez przeszkód weszła po schodach na drugie piętro. Dom był ogromny. Uchyliła drzwi kilku pokoi — bez powodzenia. W jednym zastała parę uprawiającą seks. Ale go jednak ani śladu. Już miała skrócić za róg, kiedy usłyszała zbliżające się kroki. Otworzyła najbliższe drzwi i ostrożnie wślizgnęła się do środka. Puszczając klamkę, modliła się do pięknego Maitrei na postumencie piętro niżej, żeby nikt jej nie zauważył. Przez drzwi usłyszała wyraźne głosy mężczyzn przechodzących obok. Wstrzymała oddech.

— Po przyjęciu wynieście ciało razem ze śmieciami. Na razie może zostać tam, gdzie jest.

Kiedy się oddalili, odczekała dwie minuty, po czym wyjrzała na korytarz. Wydawało jej się, że w słuchawce wciąż słyszy słaby, rżący oddech. Musi go znaleźć. Zanim będzie za późno. Podążyła w kierunku, z którego nadeszli mężczyźni. Stała jak wryta, widząc nieznaczny brązoczerwony ślad na podłodze przed zamkniętymi drzwiami. Krew. Pewnie przeniesiona na podeszwie buta. Stella powoli, bardzo powoli otworzyła drzwi. Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Zrobiła szparę na tyle szeroką, że mogła się precyzyjnie, po czym zamknęła drzwi za sobą. Zapaliła światło. Na podłodze zobaczyła skulone ciało. Ciało Alego, z dużą otwartą raną na piersi. Obok kałuża krwi. Stella opadła na kolana, poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Dotknęła szyi Alego, żeby zbadać puls. Niepotrzebnie. Jego zniecieruchomiałe oczy patrzyły martwo w sufit. Oddech, który słyszała w słuchawce, był pewnie tylko złudzeniem. Stella rozłączyła rozmowę i ostrożnie wyjęła iPhone'a z dłoni Alego. Założyła długie czarne rękawiczki, które miała ze sobą tego wieczora, wsunęła dłoń pod ciało i zaczęła macać pod kamizelką. Poczuła na ręce ciepło krwi. Jest! Wyciągnęła pistolet, zdjęła zakrwawioną rękawiczkę i przetarła go. Broń może się jej jeszcze dzisiaj przydać. Spojrzała na Alego, podniosła się i zbliżyła do okna. Ukryta w mroku, wpatrywała się w ciemną noc. W duszy tylko drętwota i chłód. Nie mogła teraz nic czuć. Później. Ale jeszcze nie teraz. Widziała pochodnie płonące na tarasie piętro niżej. Wreszcie wzięła głęboki oddech, wyjęła telefon i zadzwoniła do Carla. Odebrał niemal od razu.

— Ali nie żyje. Dostał kulkę — poinformowała bez żadnego wstępu.

— Że co? Co?

— W coś ty nas, kurwa, wpakował? — zapytała — Gadaj natychmiast.

— Zaraz tam będziemy.

— Gównu, nie będziecie. Nie mamy żadnych dowodów. Niczego im nie udowodnisz, rozumiesz? Nie dorwiemy morderców Alego ani tych debili, co grabią Afganistan.

— Jaki Afganistan? Co to ma do rzeczy?

Stella westchnęła niespokojnie.

— Antyki, które będą tu dzisiaj sprzedawać, to bezcenne skarby

wywiezione z Afganistanu, wykopane przez jakichś pieprzonych partaczy, którym zależy tylko na tym, żeby mieć kasę na wojnę. Zdobędę dla ciebie dowody — mówiła szybko i przesadnie wyraźnie.

— To zbyt niebezpieczne.

— Musisz mi zaufać. Wiem, co trzeba zrobić. Chcę tu mieć grupę szturmową piętnaście po dwunastej. Ani wcześniej, ani później. Rozumiesz?

— Stella...

— Rozumiesz?

— Jasne, ale...

Stella usłyszała odgłos kroków dobiegający z korytarza, natychmiast się rozłączyła. Stała w bezruchu i oddychała powoli. W małym pokoju nie było gdzie się ukryć. Kiedy kroki ucichły, odetchnęła z ulgą. Zważyła pistolet w dłoni, po czym wyjęła magazynek. Okazał się pełny. Świetnie. Zastanawiała się, gdzie schować broń. Miała wprawdzie okazały biust, ale nie na tyle, żeby zmieścić w staniku dziewczętkę. Za to pod rozkloszowaną sukienką z lat pięćdziesiątych miała tego wieczora wielkie cieliste majtki korygujące sylwetkę. Umieściła broń pod bielizną, na udzie, i ostrożnie sprawdziła, czy się trzyma. Wszystko w porządku. Komórkę Alego włożyła do kieszonki w torebce, razem z zakrwawionymi rękawiczkami. Pomalowała usta szminką i wyprostowała się. Spojrzała jeszcze ostatni raz na Alego. Poglądziła go po policzku. Wyglądał tak spokojnie. Stella przypomniała sobie jego przyjemny, dźwięczny śmiech. I ten jego wyjątkowy zwyczaj — wplatał palce w jej włosy i całował w szyję.

— Przysięgam, że znajdę skurwiela, który to zrobił — wyszeptała.

Nie dość na tym: osobiście dopilnuje, żeby tego pożałował.

Poprawiła sukienkę i nie oglądając się za siebie, wróciła na przyjęcie. Z uśmiechem przyjęła kolejny kieliszek szampana i usiadła na krześle barowym. Ostrożnie, żeby pistolet nie upadł na podłogę. Wyjęła komórkę Alego i wysłała SMS-a o takiej samej treści na ostatnie pięć numerów, z którymi się kontaktował. „Wiem”. Tak napisała. Następnie zaczęła przeszukiwać wzrokiem tłum, żeby sprawdzić, czy ktoś odczytuje wiadomość. Patrzyła długo, lecz bez skutku. Dojrzała jednak Petera,

trzymającego pod ramię rozszczebiotaną dziewczynę. Obserwowała go, dobrze maskując gniew. Wyobrażała sobie raczej, że jej twarz wyraża lekki podziw. Peter zajmował pierwsze miejsce na liście podejrzanych. Przyglądała mu się. Wielki, głośny i niezwykle natarczywy, zwłaszcza wobec kobiet. Zachowywał się jak właściciel tego miejsca. To zwróciło jej uwagę. Zaraz, zaraz, pomyślała. Gdyby naprawdę był tu gospodarzem, nie musiałby odstawiać takiej szopki. Jasne, może i willa należy do niego, ale władzę ma kto inny. Tylko kto?

Sącząc szampana, Stella przypatrywała się gościom, każdemu z osobna. Wreszcie go znalazła. Szczupły mężczyzna, przeciętnego wzrostu, jasna cera, czarne włosy, ciemne oczy. Był zupełnie spokojny i zrelaksowany. Uprzejmy, ale w ogóle nie zdradzał chęci, żeby komuś zaimponować. Przypominał Stelli jej czarnego kota Sherlocka. Zachowywał się podobnie — przyjaźnie, lecz z nieukrywaną pogardą, tak jakby cały świat należał tylko do niego. Ale w wypadku tego człowieka mogło to być zgodne z prawdą. Ciemnooki mężczyzna i jego szpakowaty rozmówca spojrzeli na Stellę. Ciemnooki uniósł w jej kierunku kieliszek na znak toastu. Kiedy odwzajemniała gest, dotarło do niej, że zna tego drugiego. To kolekcjoner sztuki. Stały klient Rodinów. Wpadka. Kurwa mać!

Pora na plan B. Zsuwając się z krzesła, Stella dyskretnie schowała telefon Alego do torebki. Ona też potrafiła wyglądać, jakby świat należał do niej. Kobiecie przychodzi to łatwiej. Biust do przodu, kilka ruchów biodrami i gotowe. Podeszła prosto do ciemnookiego mężczyzny i podała mu rękę.

— Stella Rodin. Chcę wziąć udział w aukcji.

Jego aksamitne oczy uśmiechały się do niej. Rzęsy miał tak ciemne, jakby były wytuszowane. Chwycił dłoń Stelli i ucisnął lekko.

— Markus From. Nie widzę problemu. Ma pani chyba zaproszenie?

— Nie. Przyszłam tu z kimś. Liczyłam, że uda mi się to zrobić dyskretnie. Najwyraźniej jednak mój plan nie wypalił. Reprezentuję klienta domu aukcyjnego Rodinów. Jest gotów sporo zapłacić za przedmioty, które pan oferuje. Tamten posążek Maitrei idealnie pasowałby do jego kolekcji.

— A skąd mam wiedzieć, że jest pani osobą, za którą się podaje?

— Zakładam, że już pan to wie.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Cierpliwość Stelli była na wyczerpaniu.

— Może pan oczywiście zadzwonić do naszego domu aukcyjnego, żeby się upewnić. Mój brat pewnie jest jeszcze u siebie.

Widziała po nim, że o firmie Rodinów wie tyle, ile trzeba. Jego rozmówca zdążył już mu powiedzieć, kim jest Stella. Liczyła jednak, że tamten zna ją tylko jako córkę Rodina, a nie policyjną biegłą. Akurat tym jej ojciec nie miał w zwyczaju się chwalić. Wręcz przeciwnie. Z drugiej strony, gdyby mężczyznę o aksamitnych oczach poinformowano o tym, gdzie pracuje, Stella pewnie byłaby już martwa albo przynajmniej trzymana w zamknięciu, więc chyba mogła odetchnąć. Wściekała się w duchu, że musi sugerować, jakoby ona i jej rodzina w ogóle brali pod uwagę zakup antyków wywiezionych ze spustoszonego kraju, lecz w tej sytuacji nie miała wyjścia. Mężczyzna o ciemnych oczach patrzył na nią badawczo, a zarazem z lekkim rozbawieniem. Stellę cieszyło, że okazał jej choć tyle szacunku, by nie udawać, iż to nie on pociąga tu za wszystkie sznurki. Wytrzymała jego spojrzenie z cichą nadzieją, że nie widać po niej gniewu i smutku, które rozpały ją do białości.

— Proszę podać numer telefonu Danielowi — powiedział, przywołując skinieniem ręki mężczyznę, który cały ten czas stał za nim, nieco z boku, i najprawdopodobniej przysłuchiwał się rozmowie. — Proszę wziąć sobie jeszcze jeden kieliszek, za chwilę wszystko się wyjaśni.

Stella skinęła głową, podała numer i poszła na taras. Przyjęła gruby koc, zaoferowany znów przez kelnera, i zarzuciła go sobie na ramiona. W tej chwili jej życie, w sensie dosłownym, zależało od tego, czy Nicholas zrozumie, co jest grane, i okaże się dobrym kłamcą. Nie było sensu dzwonić do brata, żeby go ostrzec. Odwracając się, Stella zdążyła jeszcze zobaczyć, że ów Daniel natychmiast zaczął wybierać numer. Pomyślała o Alim, którego ciało leżało teraz w małym pokoju piętro wyżej. Nakazała sobie natychmiast przestać. Później będzie mogła przejmować się uczuciami. Najpierw zemsta. Za Alego, Maitreję i pozostałe łupy wojenne. Zamiast biernie czekać,

postanowiła wykorzystać tę chwilę na sporządzenie nowego planu. Do przybycia policji zostało jeszcze sporo czasu. Wreszcie pojawił się Daniel.

— Pani Stella Rodin? Wszystko w porządku, za dziesięć minut rozpoczynamy aukcję.

Podziękowała i poszła do toalety, żeby się przygotować. Co za ulga. Wyjęła swojego iPhone'a i włożyła go do biustonosza, żeby uzyskać jak najlepszą jakość nagrania. Papierem toaletowym wytarła komórkę Alego i schowała ją z powrotem do torebki, po czym spróbowała znaleźć wygodniejsze miejsce na pistolet. Nie udało się. Na koniec włączyła nagrywanie w telefonie ukrytym między piersiami, wyszła i wmieszała się w towarzystwo.

Przy drzwiach do pomieszczenia, w którym miała się odbyć aukcja, dwaj ponurzy, ale uprzejmi mężczyźni zbierali telefony uczestników. Stella się tego spodziewała. Z pewnością nie chcieliby, żeby ktoś zarejestrował to wydarzenie. Uśmiechnęła się przyjaźnie, odłożyła komórkę Alego na stół i schowała otrzymany w zamian numer do torebki. Weszła do środka. W sali, która na co dzień zapewne pełniła funkcję dużej jadalni, ustawiono rzędy krzeseł i podium, dokładnie tak jak w domu aukcyjnym Rodinów. Peter zajął miejsce przed zebranymi i rozłożył szeroko ręce.

— Panie i panowie, witamy na naszej małej nieformalnej aukcji. Rozumiem, że chcieliby państwo wiedzieć, czy wystawiamy tu autentyki.

Na ścianie za jego plecami wyświetlano slajdy. Piasek i jaskinie. Bliskie ujęcia przedmiotów wydobywanych za pomocą ordynarnych siekier i łopat.

— Wszystkie prezentowane dzisiaj dzieła sztuki pochodzą z Afganistanu. Zostały wykopane w tym roku. To unikaty. Ich wiek waha się między dziesiątym wiekiem przed naszą erą a rokiem pięćsetnym naszej ery. Z oczywistych względów nie otrzymają państwo ode mnie żadnych dokumentów. Taka gwarancja musi państwu wystarczyć. Mamy tutaj eksperta, który specjalizuje się w sztuce z tego okresu.

Wskazał na starszego mężczyznę, który uprzejmie skinął zebranym głową. Stella go rozpoznała. Czasem pomagał Rodinom w badaniu autentyczności niektórych eksponatów.

— Zachęcam do skorzystania z jego pomocy po aukcji, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o zakupionych przedmiotach. Zaczynamy.

Wypowiadając ostatnie słowa, rozłożył szeroko ręce, po czym zszedł z podium. Na jego miejscu pojawił się inny mężczyzna.

— Rozpoczynamy aukcję tą oto niezwykłą kolekcją srebrnych denarów z szóstego wieku naszej ery.

Sprzedaż trwała w najlepsze. Stella licytowała kilka razy, uważając jednak, żeby nie oferować zbyt wysokich sum. Atmosfera w sali była tak gęsta, że można było kroić powietrze nożem. Tak jak w domu aukcyjnym Rodinów. Nikt nie oglądał się na innych, wszyscy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w prowadzącego licytację i przedmioty, które prezentował. Wszyscy chcieli wygrać. Sala aż wibrowała od pasji, szczęścia, gniewu i frustracji, lecz po zebranych nie było widać żadnych emocji. Kiedy nadeszła kolej cudownie pięknego Maitrei, Stella licytowała tak długo, aż posążek trafił w jej ręce. W końcu będzie to płatność na niby — policja i tak wszystko zarekwiruje.

Kiedy aukcja dobiegła końca i dokonano ustaleń w kwestii tego, jak i gdzie pieniądze zmienią właściciela, Stella odzyskała telefon Alego oraz otrzymała swojego Maitreję. Udała się jeszcze raz do toalety, żeby sprawdzić nagranie w telefonie ukrytym w biustonoszu. Najważniejsze było to, co powiedział Peter. Stella miała nadzieję, że ten dowód wystarczy, wiedziała jednak, że w takich sprawach niezwykle trudno o wyrok skazujący. Przekazała Carlowi pocztą elektroniczną plik z nagraniem, a potem przesłała mu jeszcze SMS-a.

Zostało jej jeszcze jedno do zrobienia. Odszukać mordercę Alego. Dochodziło wpół do dwunastej, miała więc jeszcze czterdzieści pięć minut. Jeśli nie znajdzie winowajcy, zanim pojawi się grupa szturmowa, będzie po wszystkim. Znów usiadła przy barze. Wyjęła telefon Alego i wysłała kolejnego SMS-a na pięć ostatnich numerów z jego listy.

„Wiem. Na tarasie o północy”.

Napisała tylko tyle. Czekwała, obserwując towarzystwo. Po chwili otrzymała dwie odpowiedzi, które mogła od razu zignorować. Nadawcy

najwyraźniej zupełnie nie wiedzieli, do czego odnosiła się jej wiadomość, nie było ich też na przyjęciu. Za piętnaście dwunasta. Stella zaczęła się poważnie denerwować. Wreszcie go wypatrzyła. Jeden z gości dyskretnie wyjął komórkę, po chwili schował ją do kieszeni i rozejrzał się dokoła. Przyglądała mu się dokładnie. Lekko się spocił i sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Nie brał udziału w aukcji. Stella powoli precyzyjnie się przez tłum, żeby podejść bliżej. Miała szczęście. Ekspert od afgańskich antyków stał tuż obok mężczyzny, którego podejrzewała o zamordowanie Alego. Nawiązała z nim uprzejmą konwersację o pięknym nowo zakupionym posądku, nie spuszczając wzroku ze swojego celu. A ten był zadziwiająco bezbarwny pod każdym względem. Starła się znaleźć sposób, żeby go sfotografować i przesłać zdjęcie Carlowi, okazało się to jednak zupełnie niemożliwe. Mężczyzna miał na sobie drogi, ale niedopasowany garnitur. Kiedy się odwrócił i spojrzął na zegarek, Stella coś dostrzegła. Trzy okrągłe czarne plamki na mankietcie jego koszuli. Krople krwi. Świetnie. Wyszła na taras. Było lodowato, mimo koców i włączonego ogrzewacza powietrza. Cieszył ją ten chłód. Wyostrzał umysł. Czekał, gładziła zimną powierzchnię posądku. Zostały dwie minuty. Mężczyzna wyszedł na taras dokładnie o dwunastej. Stella, kiedy tylko go dostrzegła, włączyła nagrywanie. Jej podejrzany rozejrzał się dokoła, po chwili zdał sobie jednak sprawę, że na tarasie była tylko ona. Uśmiechnęła się do niego ciepło i podeszła bliżej. Przechyliwszy głowę, chwyciła go za przedramię.

— Dlaczego? Właściwie tylko to chcę wiedzieć. Potem zostawię cię w spokoju — zaczęła.

Mężczyzna spojrzął na nią. Zdziwiony. Niepewny, jak zareagować. Stella jedną ręką uniosła Maitreję na wysokość jego twarzy. Posądek był zimny jak lód. Odezwała się spokojnym, miękkim głosem:

— Właściwie wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Nie chcę wiedzieć, kim jesteś. Wystarczy, że powiesz mi, dlaczego zabiłeś Alego. Bo ci nie odpuszczę. Będę cię ścigać, póki się nie dowiem. Więc mów od razu, a potem każde z nas pójdzie swoją drogą.

Stella wiedziała, że do przybycia Carla i grupy szturmowej zostało mniej

niż kwadrans. Jeśli do tego czasu nie zdoła z faceta niczego wyciągnąć, będzie mogła zapomnieć o całej sprawie. Wolała nie ryzykować — mając sposobną chwilę, jej podejrzany mógł przecież pobiec do szefa i opowiedzieć o wszystkim, zanim przyjedzie policja — odwlekała więc tę rozmowę tak długo, jak się dało, by nie narazić operacji na szwank.

Mężczyzna popatrzył na nią niepewnie. Zaśmiał się z lekką pogardą, potrząsając głową. Spojrzał na swoje buty. Stella podeszła bliżej.

— Dlaczego? — wyszeptała. — Dlaczego?

— Skurwiel wtykał nos w nie swoje sprawy. Chciał przejąć interes. Próbował zbratać się z Markusem. Musiałem go powstrzymać. On...

Ciszę nieprzeniknionej nocy zburzył warkot samochodów. Nadjechało ich całe mnóstwo. Poruszające się cienie. Chrząst kroków po śniegu. Już są. Stella spojrzała przelotnie na zegarek — błąd, lecz za późno zdała sobie z tego sprawę. Mężczyzna dostrzegł jej ruch.

— Co jest, kurwa? Sprowadziłaś gliny! — ryknął i przyciągnął ją do siebie gwałtownym szarpnięciem. Stella poczuła, jak jej głowa odchyła się mocno w bok. Rozdzierający ból. Mężczyzna trzymał ją, kurczowo zaciskając od tyłu rękę na jej szyi.

— Suka! — wysyczał jej do ucha.

Stella czuła, jakby gardło miała w kleszczach. Nie mogła oddychać. Migotało jej przed oczami. Ogarniała ją panika. Podjęła ostatnią desperacką próbę, żeby się uwolnić, zanim straci przytomność. Chwyciła zimnego Maitreję obiema dłońmi, podstawą ku górze, i machnęła nim za głowę z całej siły, jaką dały jej strach i gniew. Usłyszała trzask i mokry chrząst. Mężczyzna zawył i wypuścił ją z uścisku. Stella poczuła, że po policzku spływa jej ciepła krew. Spojrzała na napastnika. Jego lewe oko zmieniło się w krwawą miazgę. Widać było białą kość oczodołu. Mężczyzna z krzykiem opadł na balustradę tarasu i zsunął się na śnieg, który natychmiast przybrał barwę żywej czerwieni. Ośłupiała Stella wpatrywała się w jego postać. Niech to szlag, co tu robi policja? Wyjęła pistolet spod sukienki. Nie powinno ich tu jeszcze być. Ruch zarejestrowany kątem oka sprawił, że odwróciła się instynktownie. Na tarasie pojawił się mężczyzna, celował do niej z broni.

Zanim zdążyła się uchylić albo zareagować w jakikolwiek inny sposób, usłyszała huk, a napastnik padł jak długi. Podbiegł do niej funkcjonariusz w czarnym uniformie, hełmie i kamizelce kuloodpornej. Grupa szturmowa. Policjant dłońmi w grubych rękawicach chwycił jej rękę i powoli, lecz zdecydowanie odebrał pistolet. Przyjrzał się jej badawczo zza gogli ochronnych.

— Stella Rodin?

Beznamiętnie kiwnąwszy głową, wpatrywała się jak zahipnotyzowana w jasnoczerwoną plamę rozlewającą się wokół mężczyzny z roztrzaskaną twarzą. Przestał już krzyczeć. Ciepła krew powoli topiła śnieg, na którym leżał. Jedyne, co — ku swojej rozpaczce — Stella czuła w owej chwili, to zadowolenie z tego, że udało jej się zemścić.

— Wszystko w porządku? — zapytał policjant, przesadnie wyraźnie artykułując poszczególne słowa. Stella musiała się otrząsnąć, żeby odzyskać kontakt z rzeczywistością. Powoli znów zaczęły do niej docierać odgłosy obławy. Zobaczyła funkcjonariuszy w czarnych uniformach i tłum zaskoczonych, przestraszonych i wściekłych gości.

— Tak, nic mi nie jest.

Policjant kiwnął głową i pobiegł pomóc kolegom. Stella stała na tarasie, a dokoła odbywała się pierwsza faza zatrzymania — rozstawianie pod ścianami i krzyki. Patrzyła, jak załoga ambulansu podnosi ze śniegu ciało mężczyzny z roztrzaskaną twarzą. Nie żył. Zabiła go. Kiedy harmider nieco ucichł, weszła do środka. Wciąż miała na ramionach zarzucony koc. Zbliżył się do niej wysoki, kanciasty mężczyzna.

— Znaleźliście ciało Alego? — zapytała.

— Tak.

— Dobrze. Najważniejszy z nich — wskazała na ciemnookiego mężczyznę. — Nazywa się Markus From. Musicie też porozmawiać z tym i tamtymi dwoma. — Zrobiła rundę, pokazując osoby zamieszane w przestępstwo.

— Komórka Alego.

Podala kanciastemu mężczyźnie telefon. Zauważyła, że trzęsą się jej

ręce. Na widok urzędnika poczuła, że w każdej chwili mogą puścić tamy, wyzwalając smutek i wstrząs, które do tej chwili udawało jej się powstrzymać.

— Muszę lecieć.

— Ale...

— Jeśli macie jakieś pytania, załatwimy to jutro rano. W tej chwili nie jestem wam potrzebna. Carl otrzymał ode mnie wszystkie informacje i materiał dowodowy.

— Okej.

Stella skierowała się do szatni w holu i zabrała swoją puchową kurtkę. Ostrożnie, małymi kroczkami szła tą samą długą, wysypaną piaskiem ścieżką, którą wcześniej prowadził ją Ali. Pochodnie zdążyły już zgasnąć. Niebo zasnuwało się popielatą szarością. Stella trzęsła się w wilgotnym chłodzie. Bolała ją szyja. Przeszła przez ulicę i dalej w dół na promenadę biegnącą wzdłuż łuku plaży. Patrzyła na taflę lodu na wodzie. Wreszcie przesłała z telefonu krótkiego maila, a następnie zadzwoniła do Carla. W jego głosie słychać było zmęczenie i nerwowość.

— Stella, cześć, słuchaj, ja...

— Przesłałam ci mailem moją rezygnację.

— Jaką, kurwa, rezygnację! Nie przesadzaj.

— Skłamałeś, mówiąc o ryzyku. Doprowadziłeś do tego, że musiałam wciągnąć w sprawę moją rodzinę. Co gorsza, nie zaufałeś mi i najwyraźniej nie znasz się na zegarku. Przez ciebie musiałam, kurwa, zabić człowieka.

— Uspokój się i przestań pieprzyć.

— Jestem spokojna. Od dzisiaj nic mnie nie łączy ani z tobą, ani z całą resztą szwedzkiej policji, z waszą arogancją i niekompetencją. Mam tego dosyć.

— I co teraz? Wrócisz do tatusia?

Był wściekły.

— To już nie twoja sprawa.

Stella rozłączyła się, schowała telefon do kieszeni kurtki i ruszyła dalej wzdłuż plaży. Nie było nikogo, zupełna cisza, przedmieście jeszcze spało.

Niebo powoli zmieniało barwę z czerni na indygo i fiolet. Stella płakała, aż na futerku jej kurtki utworzyły się słone sopte. Płakała, aż zabrakło jej łez. W kieszeni nadal znajdował się zimny posążek Maitrei — pociecha i oskarżenie.

Katarina Wennstam

PÓŹNO OCKNIE SIĘ GRZESZNIK

— Kto, do cholery, dzwoni w samym środku Disneya?

Telefon pozostawiony na stole dzwoni i nie daje się zbyć — jego sygnał boleśnie przypomina o zwycięzcy krajowych eliminacji do konkursu Eurowizji sprzed czterech lat. Charlotta za każdym razem zastanawia się, dlaczego go jeszcze nie zmieniła.

Agneta przez krótką chwilę gapi się na telefon Charlotty, po czym wraca do *Kopciuszka* na ekranie. Wkłada kawałek marcepana do ust i opada na leżące na sofie poduszki.

Melodyjka telefonu nie przestaje grać.

— Odbierz wreszcie!

— W Wigilię?

— To pewnie z pracy.

— Pewnie tak.

Podbiegając do telefonu, Charlotta prawie ma nadzieję, że ten, kto dzwoni, zrezygnuje, lecz — niestety. Numer zastrzeżony. Charlotta bierze głęboki oddech przed rozmową z intruzem, który ze wszystkich dni w roku musiał wybrać akurat dwudziesty czwarty grudnia, piętnastą dwadzieścia, żeby zakłócić jej spokój.

— Charlotta Lugn, słucham.

Cisza w słuchawce. Charlotta słyszy, że ktoś jest po drugiej stronie. Sekundy mijają, lecz nikt nic nie mówi.

— Halo, Charlotta Lugn, z kim rozmawiam?

— Halo... Dzień dobry. Przepraszam. Ja... Nie chcę przeszkadzać.

— Nie szkodzi. Słucham.

Charlotta zerka w stronę sofę, patrzy na zapalone lampki, choinkę i ekran telewizora, na którym tańczą myszki i ptaszki. Agneta siedzi z podkurczonymi nogami, pod ręką ma misę ze świątecznymi słodyczami. Oblizuje spód papierowej foremki, żeby wydobyć z niej karmelowego łamańca, i włożywszy wreszcie cukierka do ust, udaje, że śpiewa piosenkę z *Kopciuszka*. „Dalej, żywo, prędszej, śmielej, wyręczymy Cinderellę. Nie ma czasu na gadanie, robimy suknię dla niej!”.

Charlotta zamyka oczy i zanim głos w słuchawce powie coś więcej, już wie, że dla niej świąteczny spokój się skończył.

Może to kobieca intuicja, może doświadczenie po dwudziestu sześciu latach pracy w policji, a może trzeźwy realizm. Jeśli ktoś spoza grona rodziny i przyjaciół dzwoni w Wigilię, to z pewnością nie po to, by życzyć jej wesołych świąt.

— A tak przy okazji, wesołych świąt! Przepraszam, że przeszkadzam w taki dzień. Ale to ważne. Musiałam dzisiaj zadzwonić.

— Przepraszam, ale nadal nie rozumiem, o co chodzi. Kim pani jest?

W słuchawce rozlega się krótki śmiech. Poblądliwy, wyrażający lekkie zażenowanie.

— No tak, rzeczywiście. Trudno, żeby rozpoznała pani mój głos. To było tak dawno temu. Bardzo panią przepraszam. Powinna oczywiście... Przecież pani spotyka na co dzień tylu ludzi, nie może pani pamiętać... Po prostu myślałam, że...

Po każdym zdaniu następuje niekończąca się cisza. Może to dziwne, ale kobieta sprawia wrażenie zestresowanej, a zarazem bardzo wyciszonej. Tak jakby miała w sobie jakiś spokój, lecz jednocześnie śpieszyła się i chciała powiedzieć bardzo dużo w zbyt krótkim czasie.

— Hm. Rozumiem. Może mogłabym prosić o odpowiedź? Pani nazwisko? Wtedy będzie mi łatwiej.

— Słusznie. Może ja zapytam: pamięta pani Erika Granatha? Jestem jego matką.

Po tych słowach Charlotta Lugn ma już pewność, że ta Wigilia będzie inna niż wszystkie.

Trzymając słuchawkę przy uchu, podchodzi do sofy, delikatnie, cichutko całuje Agnetę w czoło i spogląda na nią przepraszająco. Nie potrzeba nic więcej, Agneta rozumie. Nie wygląda na zadowoloną, lecz od dawna mają stałą umowę. Charlotta nie może po prostu nie iść do pracy, bo jest weekend albo noc, ktoś obchodzi urodziny albo szaleje grypa. Tyle razy musiała już przerywać wspólną kolację, wypad na zakupy czy wieczór w domowym zaciszu.

Ale Wigilia... Tak długo na nią czekały. Pierwsza w nowym mieszkaniu, w ich własnym szeregowym domku. Bez dzieci jednej i drugiej. Bez mam, rodzeństwa, kuzynów. Tylko one dwie. Charlotta głaszcze Agnetę po policzku, a jej usta wypowiadają bezgłośnie „przepraszam”. Wychodzi do przedpokoju. Wkłada ocieplane botki, nie zapinając suwaka nad piętą, po czym zarzuca na ramiona grubą kurtkę.

— Już wychodzę. Jaki adres?

Charlotta Lugn jedzie przez miasto. Skraca sobie drogę przy szpitalu Sahlgrenska, a na placu Wavrinsky'ego niemal zderza się z tramwajem, który nadjeżdża z łoskotem. Ledwie go zauważa — jest ciemno, a widoczność w ulewnym deszczu kiepska. Zero stopni, więc nawierzchnia może wkrótce pokryć się gołoledzią. Motorniczy w ostatniej chwili gniewnie daje sygnał dzwonkiem. Te tramwaje...

Wagon znika w ciszy popołudnia, podążając w kierunku Guldheden. W środku Charlotta widzi troje ludzi podobnie ubranych, na czarno — siedzą daleko od siebie, przyklejeni do chłostanych deszczem szyb. Oby byli w drodze do domów, do bliskich.

Charlotta ledwie może znieść myśl o tych, którzy spędzają święta w samotności. Chce, żeby wszyscy byli bezpieczni, otoczeni miłością.

Ona najlepiej wie, że rzeczywistość wygląda inaczej. Zwłaszcza w święta.

Tak jak uwielbia Binga Crosby'ego, błyszczący czerwony papier do pakowania prezentów, wypieki z szafranem i zapach grzanego wina, tak nienawidzi innych świątecznych tradycji — picia i przemocy. Choćby nie

wiadomo jak usilnie starała się ukryć w swoim prywatnym szczęściu z Agnetą, choćby nie wiadomo jak szalała wśród świątecznych dekoracji i srebrzystych girland, to i tak zawsze okazuje się, że Boże Narodzenie to najgorszy czas dla policjanta na służbie.

Każdego innego dnia Charlotta uwielbia swoją pracę, ale w święta to jedno wielkie gówno.

Pamięta, jak w swoją pierwszą Wigilię na służbie ochrzciła nowe buty z policyjnego przydziału, wchodząc w kałużę krwi kobiety pobitej na śmierć przez pijanego męża.

Facet siedział na podłodze w kącie kuchni, bełkocząc: „Pieprzone babsko, przewróciła się, przysięgam, kurwa. Jak można być tak niezdarnym?”. Na stole leżała już świąteczna szynka, Charlotta wciąż ma przed sobą ten obraz — na półmisku znajdowało się dokładnie pięć odkrojonych plastrów. Tym samym nożem kobieta dostała w twarz.

W innych latach ściągała wisielców, samotnych ludzi, którzy zakończyli życie na kablu od telefonu z wyrazem rezygnacji zastygłym w wytrzeszczonych oczach. Skrycie płakała we włosy małej przerażonej dziewczynki — biedactwo musiało patrzeć, jak wściekły, śmierdzący wódą ojczym maltretował jej mamę, podczas gdy w telewizji pokazywali właśnie bajkę o Byczku Fernando ze świątecznej składanki kreskówek Disneya. Przez lata, chcąc nie chcąc, Charlotta oglądała rzeczy, o których wszyscy niby coś tam wiedzą, ale starają się o nich nie myśleć w trakcie otwierania prezentów, kiedy oczy dzieciaków błyszczą jaśniej niż sreberka na choince.

Oczywiste więc, że o ile Charlotta prywatnie uwielbia święta, o tyle inspektor Lugn na służbie ich nienawidzi.

Dojeżdża do placu Świętego Zygryda i skręca za konsulatem rosyjskim. Strażnik na warcie ma taką minę, jakby zupełnie ignorował fakt, że deszcz zacina i chłoszcze go w twarz, a ZSRR już dawno się rozpadł.

Mija apartamenty w Jakobsdal. Wciskając się między dwa samochody, parkuje przed ostatnim budynkiem na skarpie, skąd rozciąga się widok na centrum Göteborga. Przez chwilę wpatruje się w grę świateł oplatających

gęstą siecią drzewa i świąteczne choinki w parku rozrywki Liseberg. Ostry wiatr moczy jej włosy i smaga odsłoniętą szyję. Drżąc z zimna, Charlotta wystukuje kod w domofonie i wchodzi do środka.

— Proszę po prostu wejść, zostawię drzwi otwarte. Siedzę w salonie, w głębi mieszkania, i nie zawsze słyszę dzwonek. Zapraszam.

Matka Erika, Lovisa Granath, dokładnie opisała drogę, a także wyjaśniła, dlaczego prosi, żeby tego szczególnego dnia odwiedziła ją w domu właśnie inspektor Lugn.

— Chcę opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciała mnie pani wysłuchać.

Na tę wiadomość Charlotta czekała od 1981 roku. Lecz, szczerze mówiąc, nigdy nie wierzyła, że do tego dojdzie — chyba po prostu nauczyła się żyć ze świadomością, że jej pierwsza poważna sprawa dotycząca zabójstwa pozostanie także jedyną, której nie rozwiązała.

Z czasem opowieści starszych kolegów o podobnych porażkach przekonały ją, że każdy ma w swojej karierze jakieś *cold cases*. Każdy musiał kiedyś, może nawet i nie raz, pogodzić się z niewyjaśnioną zagadką. Nauczyć się, że prawda nie zawsze wypływa na wierzch jak oliwa.

Słowa Lovisy Granath obiecywały jednak coś zgoła innego.

— Wiem, kto zabił Erika. Zbyt długo milczałam.

To dziwne uczucie, kiedy człowiek otwiera drzwi do czyjegoś domu, w którym nigdy nie był, i po prostu wchodzi — to trochę jakby złamać zakaz. Charlotta poznała rodzinę Granathów podczas dochodzenia przed dwudziestu pięciu laty. I chociaż to mieszkanie jest nowe, wewnątrz sprawia podobne wrażenie co wtedy. Ciężkie meble, drobiazgi, dla których najtrafniejszym określeniem byłoby słowo „klejnoty”, i brzydkie obrazy o barwach tak ciemnych, że ledwo udaje się stwierdzić, co przedstawiają.

Mając tyle pieniędzy, można by się urządzać o wiele ciekawiej, lecz to miejsce aż tchnie smutkiem, nieprzyjazną atmosferą i tłumionymi emocjami.

Z początku myślała, że to przez żal i szok po stracie dziecka, ale chociaż

minęło ćwierć wieku, nastrój w domu Granathów wcale się nie zmienił. Już z holu widać zapalone świece i kandelabry na stolikach i sekretarzykach, a mimo to Charlotta drży z zimna i niechętnie odwiesza w przedsionku mokrą od deszczu kurtkę.

— Halo! — woła w głąb mieszkania, chociaż Lovisa Granath prosiła wcześniej, żeby śmiało weszła. Brak odpowiedzi. Charlotta słyszy ciche dźwięki muzyki dobiegające gdzieś z za jadalni i kolejnego pokoju, zapewne zwanego biblioteką albo może palarnią. Są tam tapety w ciemną kratę i olbrzymie skórzane fotele rozstawione wokół stolika, na którym znajdują się pudełko cygar i popielniczka. Pod ścianami stoją regały wypełnione po brzegi książkami.

Przemierzając kolejne pokoje, Charlotta dociera do salonu. Przy oknie siedzi Lovisa Granath, zapatrzona w światelka na drzewach Lisebergu.

— A, jest pani! Świetnie. Proszę usiąść.

Gospodyni nie wstaje, nie podaje ręki, ledwie się porusza usadowiona w fotelu w bladoniebieską kratę. Salon różni się zupełnie od mijanych wcześniej pokoi: na ścianach jasne tapety, zasłony są wprawdzie długie i ciężkie, ale za to w jasnogroszkowym kolorze i rozsunięte na boki. To pokój narożny, z czterema oknami, a w ich głębokich wnękach pyszną się na parapetach białe cyklameny w ośmiokątnych doniczkach projektu księcia Eugeniusza.

Lovisa Granath zawiesza otwartą dłoń w powietrzu, palce lekko zgięte. Wskazuje Charlotcie miejsce na przytulnej sofie.

— Proszę usiąść. Przepraszam, przed pani przyjściem zaparzyłam sobie herbatę. Nie pijam kawy późnym popołudniem. A grzane wino... Ma pani ochotę? Może by...

Lovisa Granath znów urywa zdania, to chyba jej zły nawyk.

Charlotta kręci głową, po czym siada na wskazanym miejscu. Patrzy na matkę Erika — tak teraz wygląda ta kobieta, po dwudziestu pięciu latach.

Jak to się zazwyczaj mówi? — zastanawia się Charlotta. Życie nie obeszło się z nią dobrze. Lata odcisnęły na niej swoje piętno. Uschła z żalu.

Te powiedzenia trafnie oddają wygląd starszej pani. Charlotta

zapamiętała Lovisę Granath jako osobę pełną życia, która wydawała się nie pasować do powagi domu przedstawicieli klasy wyższej. Dzisiaj wyglądała w tym otoczeniu znacznie bardziej naturalnie, równie trudno było ją rozszyfrować co ciemne obrazy w jadalni czy bibliotece. Wychudła, jakby niedożywiona, z głębokimi zmarszczkami wokół ust i oczu. Zbrzydła. Z żalu.

Lovisa Granath małymi łykami popija herbatę, nie unika badawczego spojrzenia gościa. Tymczasem w pamięci Charlotty ożywają wspomnienia tamtych wydarzeń.

Grudzień 1981 roku, Dzień Świętej Łucji, po zmroku, aleja Bramy Królewskiej w centrum Göteborga. Hałas, młodzież poprzystrajana w srebrzyste girlandy, popijawa na całego. Na każdym rogu wymiociny. Ulice dla odmiany przysypane śniegiem — może to dlatego jest tam tyle ludzi i jest taki gwar.

Charlotta Lugn, wtedy jeszcze w stopniu komisarza, i — oceniając z perspektywy czasu — zielona niczym listek na wiosnę.

Erik Granath — zamordowany licealista, znaleziony na ulicy Geijera, rzut kamieniem od reprezentacyjnej alei. Tłumy ludzi, lecz ani jednego świadka. Świeży śnieg i żadnych śladów zabójcy. W wieku zaledwie dziesiętnastu lat chłopak traci życie, przestaje istnieć, nie ma go.

Niemal wszystko wskazywało na pijacką awanturę, która wymknęła się spod kontroli, albo na rozbój ze skutkiem śmiertelnym. Wydawało się, że Erik padł ofiarą bezsensownej przemocy ulicznej — pojęcie to, podobnie jak samo zjawisko, było wówczas jeszcze względną nowością. Tak jakby przemoc i zabijanie nie zawsze były bezsensowne.

Alkohol, tłumy młodzieży na mieście, brak portfela i bliskość lokali rozrywkowych — wszystko przemawiało za taką interpretacją. I jeszcze fakt, że nie było świadków, którzy zauważyliby cokolwiek istotnego — w latach osiemdziesiątych nikt nie zwróciłby uwagi na dwóch chłopaków awanturujących się w bocznej uliczce.

Lecz jedna rzecz budziła w tej sprawie zdziwienie i wskazywała inny trop.

Erik Granath miał tego dnia na szyi złoty łańcuszek z krzyżykiem — nosił go zawsze, od czasu confirmacji. Krzyżyk został zerwany i początkowo nie można go było znaleźć.

Nie skradziono go jednak razem z portfelem i pieniędzmi. Medyk odkrył krzyżyk podczas sekcji zwłok, wepchnięty głęboko w gardło ofiary. I jeszcze ciemne fioletowawe plamy na szyi — jedyny ślad po nieznanym mordercy, który udusił odświętnie ubranego chłopaka, a zwłoki zostawił na ulicy, by przykrył je śnieg.

Z powodu tej symboliki działania sprawcy śledczy, nie odrzucając wątku rozbójniczego, podjęli drugi, równoległy trop: zabójstwo na tle religijnym.

Rodzina chłopca była skądinąd głęboko wierząca i angażowała się w działalność wolnych Kościołów protestanckich. Jej członkowie zajmowali wysoką pozycję społeczną, ojciec to biznesmen powiązany z takimi organizacjami, jak Lions Club International czy Rotary.

Pytanie nurtujące śledczych wydawało się proste, lecz odpowiedź na nie była zupełnie nieuchwytna. Dlaczego Erik Granath został zamordowany? Czy miało to coś wspólnego z jego wiarą?

Wielu spośród przyjaciół chłopaka również było wierzących: koledzy ze spotkań młodzieżowych u zielonoświątkowców czy dzieci znajomych Granathów z różnych parafii. Bardzo szybko okazało się — Charlotta Lugn pamiętała to wyraźnie — że ci na pozór pobożni młodzi ludzie pili i imprezowali jak większość ich rówieśników. Jednak wydawało się, że łatwiej namówić owych nastolatków na zwierzenia o alkoholu i miłosnych przygodach, niż wydobyć z nich jakiegokolwiek informacje o tym, kto mógł chcieć śmierci Erika. To pod wieloma względami zamknięte środowisko, przeniknąć je i zrozumieć było równie trudno jak grupy przestępcze, z którymi Lugn zetknęła się na przestrzeni lat.

Erik nie miał w tamtym czasie dziewczyny. Żadnych wrogów, żadnych zatargów. Spoko koleś, chłopak tak porządny, że niemal nudny. Choć sporo udzielał się towarzysko, wyglądało na to, że przyjaciele niezbyt dobrze go znali. Nie wiedzieli o nim nic bardziej osobistego.

Wszystkie ślady wydawały się prowadzić donikąd. Z jednej strony

śledczy mieli poczucie, że nie dostrzegają rzeczywistego motywu zabójstwa, lecz z drugiej faktycznie mógł to być zwykły rozbój, który zakończył się śmiercią ofiary, a ową dziwną wiadomość sprawca pozostawił niezamierzenie — po prostu działał w panice, bez określonego celu. Takie rzeczy już się zdarzały.

Wskazówki zgłaszane na policję nie wniosły nic nowego, więc po ośmiu jałowych miesiącach dochodzenia odłożono sprawę do archiwum. W kolejnych latach odgrzewano ją od czasu do czasu, tabloidy powracały do niej parę razy i jeszcze w tym roku nowa informacja przekazana policji wywołała krótkie zainteresowanie mediów.

Mimo wszystko nie było żadnego przełomu, a zabójca Erika, wciąż nieznany, przebywał na wolności.

I wreszcie. W Wigilię. Po dwudziestu pięciu latach. To oczywiste. Sprawa właśnie się przedawniła. Charlotta Lugn uśmiecha się do matki Erika, lecz w duchu obrzuca ją wyzwiskami. Cały ten czas trzymałaś gębę na kłódkę. Kogo chcesz ochronić?

I jak zdołałaś wytrzymać tak długo w milczeniu? W końcu to twój rodzony syn. Twój zamordowany syn.

Na jej ustach maluje się jednak delikatny uśmiech. Twarz neutralna, otwarte spojrzenie zwrócone ku Lovisie Granath. Opowiedz. Zaufaj mi. Charlotta wie, jak skutecznie poprowadzić przesłuchanie. Teraz już wie.

— Miała mi pani coś wyznać. Jestem. Słucham.

— Chcę zacząć od tego, dlaczego zadzwoniłam właśnie do pani. Nagle poczułam, że... Dlaczego w końcu zdecydowałam się o wszystkim powiedzieć. Właśnie pani.

Charlotta marszczy czoło, lecz stara się nie okazywać emocji.

Lovisa Granath pochyla się nad małym stoliczkiem, który oddziela ją od gościa, i podnosi filiżankę o ściankach cienkich jak listek. Chwyta uszko w cztery palce, mały odchylony w bok, i ostrożnie sączy gorący napój. Wdycha herbaciany aromat, wydaje się delektować smakiem. Jej pretensjonalny i nieco snobistyczny sposób bycia irytuje Charlotte. Musiała

ugryźć się w język, żeby nie ponaglić swojej rozmówczynie. Lovisa Granath nadal milczy, więc Charlotta zaczyna rozglądać się po pokoju. Na jednym ze stolików zauważa małą porcelanową figurkę. Nie przepada za tego rodzaju ozdobami, ale coś w filigranowej postaci dziewczyny w czepku i szerokiej spódnicy przykuwa jej uwagę. Bezwiednie wyciąga rękę i chwyta figurkę, która ku jej zdziwieniu okazuje się przyjemnie chłodna.

— Wolałabym, żeby pani tego nie dotykała.

— O, przepraszam, nie pomyślałam. Jest cenna? Kunsztowna robota.

— Nie aż tak bardzo. Ale to moja ulubiona. Nie chciałabym, żeby została zbrukana.

Dziwne sformułowanie. Charlottcie nie podoba się nuta pobrzmiewająca w jej głosie. Mimo wszystko znów zaciska zęby. Jest w tym dobra. Chce usłyszeć, co ta kobieta ma do powiedzenia.

Lovisa Granath odstawia filiżankę.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego już wtedy nie odgadła pani, o co w tym wszystkim chodzi. Była pani... Nie zapomniałam pani przez te wszystkie lata. Czasem myślałam sobie, że jeśli kiedykolwiek komuś o tym opowiem, to właśnie pani. Kto, jeśli nie pani, mógłby to zrozumieć? Właściwie wydaje mi się, że pani wiedziała. Ale była pani zbyt mało doświadczona. Nie głupia, po prostu bała się pani zawierzyć swojej intuicji.

Charlotta Lugn nagle zdaje sobie sprawę, że z rozdziawionymi ustami musi wyglądać jak głodny pisklak. Otwartość na jej twarzy zastąpiło zdumienie. Co ta kobieta ma na myśli?

— Nie bardzo rozumiem. Przecież to nie ja prowadziłam dochodzenie, byłam tylko...

— Wiem. Ale dostrzegła pani coś, czego inni nie potrafili zobaczyć. Zadawała pani właściwe pytania, ale chyba nie słuchała pani uważnie odpowiedzi. Pamięta pani waszą wizytę u nas w domu? Dzień po śmierci Erika?

Charlotta kiwa głową. Pamięta. Ojciec Erika, Lennart Granath, przywitał ich w drzwiach willi w Örgryte, która pięknie prezentowała się w świątecznej krasie, otulona śniegiem. Wewnątrz było równie lodowato.

Przypomina sobie, że Lennart Granath cały czas pochrząkiwał, zwłaszcza gdy mówiła Lovisa. Bardzo im to przeszkadzało, ale kto powie ojcu, który właśnie stracił syna, że nie powinien, do cholery, tak głośno chrząkać. Według niej takie zachowanie świadczyło o tym, że Lennart Granath to ciężki przypadek macho, który na wszelkie sposoby stara się powstrzymać demaskujący emocje wybuch płaczu. Ale zniszczył przez to całe przesłuchanie — zarówno Charlotta, jak i jej znacznie bardziej doświadczony kolega raz po raz tracili wątek, słysząc owo odchrząkiwanie. Brzmiało to tak, jakby Lennart Granath usiłował wykrztusić wielki kawał flegmy. Wciąż ją przechodzą ciarki na wspomnienie tego okropnego dźwięku.

— A gdzie on w ogóle jest?

— On?

— Pani mąż, Lennart.

— On... Wyszedł po gazetę. Niedługo wróci.

W taki dzień brzmi to śmiesznie, niemal żenująco. Jakby mężczyzna miał za chwilę stanąć w drzwiach przebrany za Świętego Mikołaja. Nie wydaje się to też zbyt wiarygodne. Czyżby Lovisa Granath kłamała?

Charlotta nie zamierza się teraz nad tym zastanawiać. Chce się dowiedzieć czegoś więcej o wątku w sprawie, który powinna była dostrzec przed dwudziestu pięciu laty.

— Proszę kontynuować. Co ma pani na myśli, mówiąc, że właśnie ja mogłam to zrozumieć?

— Jakie było pierwsze pytanie, które pani zadała?

— Wtedy? Przepraszam, ale naprawdę nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Minęło tyle lat.

— Proszę spróbować. Pierwsze pytanie, które pani zadała, właśnie pani, nie ten drugi policjant. Czego chciała się pani dowiedzieć?

Charlotta zamyka na sekundę oczy i nagle wracają do niej tamte zdarzenia. Chwila, kiedy pochyła się ku swoim rozmówcom, niemal przerywa koledze. Właściwie stawia nie jedno, a dwa pytania: Czy Erik był w domu w noc przed zabójstwem? Czy wiedzą państwo, gdzie spał?

Ani Lovisa, ani Lennart Granath nie odpowiedzieli. Lennart kaszłał i odchrząkiwał, a Lovisa siedziała, wpatrując się we własne kolana. Charlotta znów widzi wszystko, jakby to było wczoraj. Dlaczego nie zareagowała, gdy nie otrzymali odpowiedzi?

Teraz stawia to samo pytanie.

— Gdzie Erik spędził ostatnią noc przed zabójstwem?

— Właściwie to nie wiem. Ale mieliśmy pewne przypuszczenia... Lennart powiedział...

Znów milknie. Wypija łyk herbaty i głośno bierze oddech.

— Podjęłam decyzję niemal rok temu. Postanowiłam, że wszystko opowiem. W końcu. Wtedy właśnie przeczytałam o pani w gazecie. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że pani jest... no, że pani jest... To znaczy, była pani taka miła i sympatyczna... Nie sądziłam, że musi pani robić to z kobietami.

Charlotta od razu wie, o co chodzi z tą gazetą. Na początku roku opublikowano o niej duży artykuł w dzienniku „Göteborgs-Posten”. Mocny nagłówek i fotografia, bardzo bliskie ujęcie. *Pani queer-inspektor*.

Kiedy Charlotta objęła wyższe stanowisko, nagle jej orientacja seksualna stała się przedmiotem ogólnego zainteresowania. Mimo że od piętnastu lat żyła otwarcie jako lesbijka. Mimo że nie była jedyną lesbijką w policji. Za to pierwszą na stanowisku inspektora. Sama nie robiła z tego wielkiej sprawy, ale i nie uciekała przed mediami. Jeśli może komuś pomóc w coming oucie, albo po prostu sprawić, że będzie się czuł choć trochę mniej inny — proszę bardzo.

Ale nie pojmuje, do czego zmierza Lovisa Granath. Co to ma wspólnego z zabójstwem Erika?

— Nie rozumiem. Co takiego...?

— Pani to widziała. Pytała o motyw. Zdawała sobie pani sprawę, o co tu chodzi. Tak naprawdę. Zakładam, że do tego trzeba być... no... Wypytywała pani uparcie o dziewczyny Erika, o to, czy przez jakieś miłosne przygody mógł narobić sobie wrogów, gdzie spał w noc przed zabójstwem... Tylko ktoś taki jak pani potrafił dostrzec...

Ktoś taki jak pani.

Charlotta puszcza zawołaną obelgę mimo uszu, splywa to po niej. Przywykła, chociaż takie słowa zawsze trochę kłują. Ciekawość bierze jednak górę, a fragmenty układanki stopniowo zaczynają tworzyć całość.

Homoseksualista. Ktoś taki jak pani.

It takes one to know one.

— Czy Erik...?

— Czy mój syn był gejem?

Lovisa Granath wypowiada to pytanie ostrym tonem, ostatnie słowo niemal wypluwając z zaciśniętych ust.

Kiedy tak trzyma tę swoją filiżankę, Charlotta zauważa, że jej dłoń nieznacznie drży.

— Był homoseksualistą?

— Oczywiście. Że też nie mogliście się tego domyślić! A tak szukaliście wśród jego znajomych, tak wszystko przeświecaliście i roztrząsaliście. Nic wam to nie mówiło, że nie miał dziewczyny, że taki przystojny chłopak jak on nigdy... Naprawdę tego nie widzieliście? I pani... która również... Tak pani szukała... Zadając te pytania, była pani tak blisko. Ale Lennart...

— Lennart?

Lovisa Granath milknie. Jej wzrok wędruje w stronę okna i przez chwilę kobieta wygląda nie tylko na zmęczoną, ale wręcz zupełnie nieobecną. Oczy utkwione gdzieś daleko. Może patrzy na wieżowiec hotelu Gothia w centrum, może na zacinający deszcz albo jakiś twór własnej wyobraźni, który odbija się w czarnej szybie.

Głośno mlaska, co w przypadku tak eleganckiej, powściągliwej osoby wydaje się niestosowne i jakby nieprzyzwoite. Chyba zaschło jej w ustach, wypija łyk herbaty i spogląda Charlocie w oczy. Czyżby to wpływ alkoholu? Jej wzrok nie jest tak bystry jak jeszcze chwilę wcześniej. Powieki ma zaczerwienione, ale nie płacze.

Widać, że to dla niej trudne, że te przeżycia tkwią w niej głęboko. Że te słowa chcą wydobyć się na zewnątrz, a jednocześnie pozostać w mroku tajemnicy.

— Mogłaby pani włączyć muzykę? Skończyła się płyta. Łatwiej opowiadać, kiedy muzyka...

Lovisa Granath nie kończy zdania, tylko wskazuje gramofon na stoliku pod ścianą. Świąteczna melodia, którą słycać było już od progu, stanowiła tak naturalne tło, że Charlotta nawet nie spostrzegła, kiedy muzyka umilkła.

— Oczywiście. Nastawić to samo?

Nienawykłymi palcami chwyta ramię gramofonu. I pomyśleć, że w erze odtwarzaczy CD adapter wydaje się już od dawna archaicznym zabytkiem. Dotykając czarnego winylu, Charlotta odczuwa tęsknotę za płytami z muzyką pop minionych dekad. Mahalia Jackson. *O holy night*. Jak na album świąteczny, trochę przestarzałe, ale po rodzinie Granathów można się było tego spodziewać. Najpierw słycać szuranie igły, potem następuje kilkusekundowa cisza, aż wreszcie rozlega się muzyka. Grzmią organy, a potężny głos Mahalii wypełnia pokój kolędą: „Ta święta noc”.

— To noc narodzin Chrystusa. Dzisiaj powinniśmy okazać Bogu wdzięczność za ten dar. Ponieważ zstąpił na ziemię jako człowiek, jako nagie Dziecię tulone przez ubogą kobietę. Maria trzymała Go nowo narodzonego, nagiego na rękach. Powinniśmy... Chrystus jest dzisiaj z nami, i każdego innego dnia. We wszystkie te noce ja... Jezu drogi, co ja zrobiłam? Przebacz mi, Boże. Eriku, przebacz mi.

Lovisa Granath siedzi odchyłona w fotelu, oczy ma przymknięte, mamrocze coś bez ładu i składu. Charlotta Lugn, wciąż przy gramofonie, nie odrywa od niej wzroku. Słucha.

— Modliłam się o to. Parłam do tego. Związałam się z Lennartem, ponieważ był... Był tak stanowczy w wierze, tak silny i nieprzejednany. Gardziłam tymi słabeuszami, którzy sądzą, że można wybierać z Biblii, co im się podoba, i nadal nazywać się chrześcijaninem. Tymi, którzy sądzą, że można kierować się wygodą i tylko... Chciałam mieć takiego męża. Chciałam jasnych odpowiedzi, kogoś, na kim będę mogła się oprzeć, mieć stabilny grunt, żeby wzrastać... Tak, kogoś, kto powie mi, co robić. Kto doceni mnie jako kobietę i jest prawdziwym... Lennart był prawdziwym mężczyzną. Niewątpliwie. Nie jakimś tam mięczakiem. Ojciec wychował go miłością,

zasadami i różgą. A on tak samo chciał wychować Erika, naszego słabego, miękkiego, tak cholernie miękkiego syna... Erik nie był jak inni chłopcy. Widzieliśmy to przecież. Nie chciał być częścią naszej rodziny, naszej wspólnoty, naszej wiary. Przecież on złamał...

Znów milknie. Zaciska powieki i wypija łyk herbaty. Ostatnie krople. Grymas wykrzywia jej twarz.

Charlotta czuje, jak łomocze jej serce. Chce ponaglić Lovisę Granath, ale i poznać każdy nieprzyjemny szczegół. Wie, że w takiej sytuacji nie warto wtrącać pytań i naprowadzających twierdzeń. Niepokoi ją jednak bełkotliwy głos kobiety. Wydaje się, że wypła o kieliszek za dużo, i...

Nagle zwraca uwagę na pustą filiżankę, która ledwie trzyma się w luźno spoczywającej na kolanach dłoni Lovisy Granath. Niech to szlag!

— Pani Granath. Pani Granath! Halo! Czy pani coś brała? Co pani piła?

Podchodzi do kobiety i kładzie ręce na jej ramionach. Ciało wydaje się omdlałe. Lovisa Granath zwraca ku niej twarz. Uśmiecha się błogo, Charlotta nigdy wcześniej nie widziała jej tak przepelnionej spokojem.

— Za późno. Nic nie może pani zrobić. Piłam tę truciznę cały dzień. Smakuje gorzej niż gówno.

Jej dłoń wędruje do ust, jak gdyby chciała powstrzymać wypowiedziane przypadkiem przekleństwo. Lovisa Granath uśmiecha się przepaszająco.

— Proszę zdecydować. Może pani dzwonić po karetkę, jeśli pani chce, ale i tak nie zdążą. Albo może pani wysłuchać do końca... Tak bardzo chcę pani opowiedzieć. Nie chcę... Będzie pani moją spowiedniczką. Choć przecież nie wierzę w oczyszczającą moc spowiedzi. Nic nie uratuje takiej grzesznicy jak ja, która... Proszę usiąść.

Spojrzenie kobiety twardnieje na krótką chwilę. Lovisa Granath wymaga posłuszeństwa.

— Czy pani oszalała?

Charlotta wyjmuje komórkę z tylnej kieszeni dzinsów. Numer alarmowy na szybkim wybieraniu, może łączyć się poza kolejnością. Dyspozytor odbiera po czterech sekundach. Rozmawiając, Charlotta automatycznie odlicza: dwanaście sekund. Karetką może wyjechać za... powiedzmy

trzydzieści. W najgorszym razie za minutę, jest Wigilia. Szpital Wschodni jest kawałek drogi stąd. Czy w ogóle zdążą?

Jej ostatnie słowa do dyspozytora: „Śpieszcie się, do cholery!”.

Charlotta porusza się jak automat, siada jak najbliżej starej kobiety.

Nieświadomie wyciąga ku niej ręce, po chwili czuje na nich dotyk wychudłych palców Lovisy Granath. Swoimi ciepłymi dłońmi obejmuje jej zimne i kościste. Siedzi tak, nie odrywając od niej wzroku.

— Lennart śledził Erika wieczorami i w weekendy. Początkowo uważałam, że to nic złego, że zachowuje się trochę jak taki streetworker, których wszędzie teraz pełno. Interesował się sprawami syna i chciał... Przecież nie wiedzieliśmy, z kim się spotykał, zauważyliśmy tylko, że czasem kłamał, gdy pytaliśmy, gdzie był. Nie wracał od razu po spotkaniach w kościele. Lennart dostał obsesji, zdarzało mu się nawet nie pójść do pracy, żeby pilnować Erika. Prześladował go, obserwował każdy jego ruch. To było... To było chore. Później zrozumiałam dlaczego.

Lovisa Granath ściska dłoń Charlotty z zadziwiającą siłą. Z napięciem patrzy jej w oczy.

— Musi pani zrozumieć. Ja i mój mąż nienawidzimy homoseksualistów. To grzech. To nierząd. To wbrew naturze. Gniew Boży dosięgnie ludzi, którzy żyją w tym grzechu... Którzy sądzą, że to to samo, co stosunki między mężczyzną a kobietą. Ktokolwiek obcuje cieleśnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, ściąga na siebie gniew Boga. A nasz syn... nasz jedyny syn... Ten obrzydliwiec... wynaturzeniec... To... monstrum!

Charlotta wzdryga się, słysząc te słowa. Próbuje wyrwać dłoń, ale Lovisa Granath trzyma ją mocno.

— Nie mówię tego, żeby panią zranić, moja droga. Mówię to, żeby pani zrozumiała. Pojęła, dlaczego Lennart nie widział innego wyjścia. Wiedział, że Erik nigdy by... Nasz syn miał taką słabą duszę. Tak łatwo dawał sobą manipulować. Obracał się wśród niewłaściwych ludzi, to zrobiło z niego... Bóg nam wybaczy tak samo jak on... Bóg posłał jedynego syna na śmierć na krzyżu, żeby pokazać swoją prawdziwą... Bóg nam...

Lovisa Granath sapie, jak po długim marszobiegu. Powiedziała tak wiele

w tak krótkim czasie, zdaje się tracić siły. Oblizuje wargi, spierzchnięte i suche. Charlotta wie, że zaraz będzie po wszystkim. Spogląda na zegarek, wkrótce upłyną trzy minuty od chwili, gdy zadzwoniła po karetkę. Powinni już tu być.

Pyta samą siebie, czy źle postępuje, czy powinna zrobić coś więcej, żeby udaremnić samobójstwo tej szalonej kobiety. Ale co można jeszcze zrobić? Co, oprócz wysłuchania jej?

Jeszcze jedno.

— A Lennart?

— Wyjechał. Wie, że nie będziecie mogli... że nie możecie go złapać... oskarżyć. Ale zapowiedziałam mu, że wyznam prawdę. Że już pora... Że Bóg chciał usłyszeć ode mnie prawdę, nie kłamstwa. Jest już daleko, za granicą. Nie chce... Taki wstyd. Wszyscy będą... Ja też nie chcę... Chcę być z Erikiem. Tylko tego pragnę.

— Ostatnie pytanie.

— Hmm...?

Lovisa Granath pogrąża się coraz bardziej we mgle. Nie patrzy na Charlotte, ale wydaje się ją słyszeć. A ona nie może powstrzymać się od pytania.

— Dlaczego zabił Erika? To znaczy... nawet jeśli nie mogliście znieść faktu, że jest innej orientacji. Czy musiał przez to stracić życie?

Jakaś część Charlotty chce wymierzyć kobiecie policzek. Porządny cios. Pieprzona debilko! Żeby zabić własnego syna. Chronić męża mordercę. Tylko dlatego, że Bóg... Ale się wkurzyła. Nie wierzy w te bzdury o „obrzydliwości” ani w biblijne frazesy. To tylko słowa. Lecz niektórzy najwyraźniej odczytują je jako prawo, nakazy, którym należy być posłusznym. Bez względu na skutki.

— Widzi pani... Śnieg. Pada śnieg. Anioły już nie płaczą. Deszcz... już nie pada. Śnieg... Erik uwielbiał śnieg. To on...

— Ale dlaczego posuwać się do zabójstwa?

— Hmm...?

— Czy coś się wydarzyło tego wieczora? W Dzień Świętej Łucji?

— Nic szczególnego... albo, czy ja wiem... nie, on... W Lennarcie od tak dawna wzbierał gniew... nienawiść... szalał z wściekłości. Uważał, że Erik pieprzy się z kim popadnie. Tak mówił... że Erik... Erik był... Erik znów wyszedł. Grzeszył. Z kolejnym chłopakiem. Lennart śledził ich poprzedniego wieczora. To tam Erik nocował. Pewnie znów tam szedł...i, no tak...

Robi się zupełnie cicho.

Mijają minuta czy dwie. Lovisa Granath ma zamknięte oczy i Charlotta boi się, że jest już po wszystkim. Gdzie ta karetka?

Na twarzy kobiety maluje się spokój, który sprawia, że jej twarde rysy miękną. Lovisa Granath znów wygląda młodo.

— Pani Granath?

— Mmm...

— Chce pani jeszcze coś powiedzieć?

— Mmm... Nie. Ja... Dziękuję.

Ostatnie słowa wymawia szeptem. Słysząc słaby sygnał ambulansu, potem coraz głośniejszy i bliżej. Charlotta widzi, jak samochód z dużą prędkością podjeżdża pod górę, hamuje przed budynkiem. Ale jest już za późno.

Czuje, że uścisk dłoni Lovisy Granath słabnie, wąskie palce rozchylają się. Kątem oka dostrzega białe płatki.

Cicho wirują za oknem.

Z nieba pada śnieg.

John-Henri Holmberg

Sukces szwedzkich kryminałów

Ta książka jest — na swoją skromną miarę — rodzajem drogowskazu. To pierwsza wydana poza Skandynawią antologia szwedzkich opowiadań kryminalnych, a więc także — zważywszy na globalny charakter współczesnej kultury — pierwsza tego typu publikacja dostępna dla czytelników na całym świecie.

Zaprezentowaliśmy w niej siedemnaście opowiadań dwudziestu szwedzkich pisarzy. Część tych opowiadań nie była dotąd publikowana, a żadne nie ukazało się nigdy wcześniej w przekładzie angielskim. Różnią się znacznie stylem i tematyką: znajdziemy tu przykłady tradycyjnej intrygi kryminalnej, policyjne śledztwa, nawiązania do lokalnego folkloru, historie społecznie lub politycznie zaangażowane, a także takie, które pisane były przede wszystkim w celu dostarczenia czytelnikowi rozrywki. Fabuła jednego z opowiadań osadzona jest w dość odległej przeszłości, o której niewielu czytelników, nawet szwedzkich, ma bliższe pojęcie. Akcja innego rozgrywa się w przyszłości.

Równie zróżnicowany charakter ma dobór autorów. Znajdziemy tu opowiadanie napisane przez duet Maj Sjöwall i Per Wahlöö, autorów dziesięciu powieści, opublikowanych po raz pierwszy w latach 1965–1975. To one wzbudziły na świecie zainteresowanie szwedzką literaturą kryminalną i całkowicie zmieniły postrzeganie tego gatunku przez pisarzy i czytelników w rodzimym kraju. Znajdziemy także opowiadanie Stiega Larssona, który za sprawą trylogii *Millennium* stał się najczęściej tłumaczonym i najpoczytniejszym szwedzkim pisarzem w historii. Znajdziemy opowiadania wielu wybitnych i najczęściej nagradzanych współczesnych

twórców literatury kryminalnej. Autorzy zamieszczonych w antologii opowiadań zdobyli łącznie dwanaście z dwudziestu przyznanych dotychczas nagród za najlepszą powieść kryminalną roku — Złotych Łomów (zwaną tak od kształtu wręczanej laureatom połączanej statuetki przedstawiającej łom), przyznawanych od 1994 roku przez Szwedzką Akademię Kryminału, a także pięć z ośmiu dorocznych nagród Szklanego Klucza za najlepszą nordycką powieść kryminalną, które trafiły do rąk szwedzkich pisarzy.

Napotykały tu jednak także jedną lub dwie niespodzianki: pierwsze ogłoszone drukiem opowiadanie Evy Gabrielsson, partnerki życiowej Stiega Larssona, na co dzień pracującej jako architekt, autorki artykułów i książek poświęconych nie tylko architekturze, ale także problematyce społecznej i politycznej, oraz opowiadanie Sary Stridsberg, prawdopodobnie najwybitniejszej współczesnej szwedzkiej pisarki, niekojarzonej jednak dotąd z literaturą kryminalną.

Ogólnie rzecz biorąc, chciałem przedstawić możliwie różnorodny i eklektyczny zbiór utworów w nadziei, że będzie on dobrym odzwierciedleniem tematyki współczesnej szwedzkiej literatury kryminalnej. W kilku opowiadaniach pojawiają się odniesienia do zwyczajów, miejsc, faktów bądź zjawisk, znanych większości Szwedów, ale prawdopodobnie obcych czytelnikom spoza Szwecji. W notach starałem się zamieścić krótkie objaśnienia, które powinny pomóc docenić w pełni walory każdego z publikowanych tu opowiadań.

Wydanie tej książki stało się możliwe dzięki niezwykle zainteresowaniu szwedzką literaturą kryminalną ze strony zagranicznych czytelników, jakie obserwujemy w ciągu ostatnich lat, a konkretnie od czasu opublikowania pierwszej z powieści Stiega Larssona, która stała się sensacją wydawniczą. W ciągu czterdziestu lat, dzielących debiut spółki autorskiej Sjöwall i Wahlöö od debiutu Stiega Larssona, wielu szwedzkich twórców literatury kryminalnej tłumaczono na języki obce, ale książki większości z nich ukazywały się wyłącznie na kontynencie europejskim. Czytelnicy angielskojęzyczni mieli okazję zapoznać się z twórczością zaledwie kilku

autorów, między innymi Henninga Mankella, którego utwory tłumaczono na angielski od 1997 roku. Powieści kryminalne powstawały jednak w Szwecji zarówno przed publikacją serii książek Sjöwall i Wahlöö, jak i po niej. Dalszą część wprowadzenia adresuję do czytelników zainteresowanych historią pisarstwa kryminalnego w Szwecji, jego stanem obecnym i perspektywami na przyszłość. Będzie to krótki rekonesans historyczno-krytyczny, zawierający pewne próby wyjaśnienia specyficznych kierunków rozwoju szwedzkiej literatury kryminalnej.

Literatura kryminalna to bardzo pojemny gatunek literacki, obejmujący wiele różnych odmian. Mamy więc klasyczne historie oparte na regule racjonalnej dedukcji, pisane przez Edgara Allana Poe, pół wieku później przez sir Arthura Conan Doyle'a, a jeszcze później przez Agathe Christie, Dorothy L. Sayers, Ellery Queen i wiele innych autorek i autorów. Mamy brutalne historie z gatunku *hard-boiled* o prywatnych detektywach, tworzone przez Dashiella Hammetta, Raymonda Chandlera, Mickeya Spillane'a, Rossa Macdonalda, Waltera Mosleya, Sarę Paretsky czy Dennisa Lehane'a, a także psychologiczne thrillery takich pisarzy, jak Daphne du Maurier, Patricia Highsmith czy Ruth Rendell. Równie mocną pozycję zajmuje thriller szpiegowski, gatunek, za którego twórcę uważa się Williama Somerseta Maughama, reprezentowany przez takich głośnych autorów, jak Ian Fleming czy John le Carré. W Szwecji gatunek ten uprawia jak dotąd z powodzeniem tylko jeden pisarz, Jan Guillou, którego trzynaście powieści o tajnym agencie Carlu Hamiltonie cieszy się niezmiennie od 1986 roku ogromną popularnością, ale który nie ma właściwie żadnej konkurencji. Dlatego też w swoim omówieniu pomijam tego autora i thrillery szpiegowskie. Mamy powieści *noir*, choć jestem przekonany, że ów gatunek definiuje się w istocie według kryteriów emocjonalnych, a nie elementów fabularnych. Mimo to większość najwybitniejszych przedstawicieli powieści *noir*, począwszy od Cornella Woolricha, przez Davida Goodisa i Jima Thompsona, aż po Roxane Gay, włącza zbrodnię do swoich mrocznych opowieści o wyobcowaniu i braku nadziei. Mamy książki opisujące pracę

policji: pierwszymi godnymi uwagi pisarzami podejmującymi tę tematykę byli John Creasey i niezrównany Ed McBain. Mamy historie o seryjnych mordercach, począwszy od *Psychozy* Roberta Blocha, przez *The Running of Beasts* Barry'ego Malzberga i Billa Pronziniego, aż po *Milczenie owiec* Thomasa Harrisa i niezliczone inne powieści. A nie wspomnieliśmy przecież nawet słowem o książkach, których akcja toczy się na sali sądowej (tak zwane *courtroom stories*), o thrillerach politycznych i *financial thrillers*, których bohaterami są przedstawiciele elit finansowych...

Większość tych odmian literatury kryminalnej narodziła się w Wielkiej Brytanii lub Stanach Zjednoczonych. Powieść detektywistyczną, powieść typu *hard-boiled*, powieść policyjną i większość pozostałych głównych typów literatury kryminalnej stworzyli pisarze angloamerykańscy. Podobnie jednak jak science fiction — kolejna istotna tradycja gatunkowa wywodząca się jeszcze z dziewiętnastego wieku — także literatura kryminalna szybko zyskała popularność w innych krajach i jest obecnie czytana i tworzona na całym świecie.

Ściśle biorąc, nie tylko obecnie, ale od dłuższego czasu.

Szwecja jest tego dobrym przykładem. Czterdzieści lat temu, kiedy na listy bestsellerów w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych trafiały przekłady kolejnych dziesięciu powieści policyjnych o inspektorze Martinie Becku autorstwa Maj Sjöwall i Pera Wahlöö, czytelnicy w tych krajach uświadomili sobie nagle, że istnieje coś takiego jak szwedzka literatura kryminalna. Wspomniane książki są wciąż dostępne na tamtejszym rynku; sporą popularnością wśród anglojęzycznych czytelników cieszy się także Henning Mankell. Być może zatem nie ma podstaw, by twierdzić, że szwedzka literatura kryminalna została zapomniana i że przypomniano sobie o niej dopiero w 2008 roku, kiedy przetłumaczona na język angielski pierwsza część trylogii Stiega Larssona *Millennium* (*Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet*), która trafiła na światowe listy bestsellerów. Tym razem jednak uznanie dla talentu Stiega Larssona i wyników sprzedaży jego książek przełożyło się na wzrost liczby przekładów na język angielski innych

szwedzkich autorów literatury kryminalnej, co nie nastąpiło po sukcesie duetu Sjöwall i Wahlöö.

Mało kto pamięta jednak, że tak jak Stieg Larsson pojawił się czterdzieści lat po Sjöwall i Wahlöö, tak i oni pojawili się czterdzieści lat po pierwszym międzynarodowym sukcesie szwedzkiego twórcy kryminałów, piszącego pod pseudonimem Frank Heller, który w latach dwudziestych ubiegłego wieku cieszył się sporą popularnością nie tylko w Europie, ale także w Stanach Zjednoczonych.

Frank Heller był wprawdzie pierwszym szwedzkim autorem literatury kryminalnej docenionym za granicą, nie znaczy to jednak, że przysługuje mu miano twórcy szwedzkiego kryminału. Przynajmniej od początku dwudziestego wieku książki kryminalne miały swoje znaczące miejsce w literaturze szwedzkiej. Tradycja ta jest jednak prawie całkowicie nieznana poza Szwecją.

Większość specjalistów datuje narodziny szwedzkiej literatury kryminalnej na rok 1893, kiedy ukazała się drukiem powieść zatytułowana *Stockholms-detektiven* („Sztokholmski detektyw”). Jej autorem był Fredrik Lindholm, który postanowił jednak opublikować swój utwór pod pseudonimem Prins Pierre. Przez następne dziesięciolecia także kilku innych szwedzkich twórców literatury kryminalnej wydawało książki pod pseudonimem. Każdych z nich kierował się prawdopodobnie nieco innymi względami, łączyło ich jednak to, że nie chcieli być kojarzeni z gatunkiem, który przez większość ówczesnych krytyków i intelektualistów uważany był za wulgarną szmirę. Wrócimy do tego tematu nieco później.

„Sztokholmskiego detektywa” trudno byłoby uznać za bestseller — przez kilkadziesiąt lat powieść ta była niemal całkowicie zapomniana; zmieniło się to dopiero po wznowieniu książki z okazji setnej rocznicy jej pierwszego wydania. Kilku innych autorów piszących w tej wczesnej fazie rozwoju szwedzkiej powieści kryminalnej zdobyło jednak znaczny rozgłos. W 1908 roku pewien pastor nazwiskiem Oscar Wågman, piszący pod pseudonimem Sture Stig, opublikował pierwszy z dwóch zbiorów opowiadań będących parodią historii o Sherlocku Holmesie. Opowiadania te, inteligentne

i zabawne, to najwcześniejsze nadające się wciąż do czytania szwedzkie utwory kryminalne. Do grona ich czytelników, jak sam wyznawał, należał Gunnar Serner (1886–1947), błyskotliwy naukowiec, który został przyjęty na Uniwersytet Lund w wieku szesnastu lat, a stopień doktora na podstawie rozprawy napisanej w języku angielskim i zatytułowanej *On the Language of Swinburne* („O języku Swinburne’a”) otrzymał w wieku dwudziestu czterech lat. Serner pochodził ze stosunkowo ubogiej rodziny i musiał opłacać swoje studia, zaciągając krótkoterminowe pożyczki. W pewnym momencie, przyparty do muru, podrobił kilka weksli bankowych. We wrześniu 1912 roku uciekł za granicę. Szukał szczęścia w kasynach Monte Carlo, ale zamiast zyskać fortunę, stracił wszystkie pieniądze. Wtedy postanowił spróbować swoich sił w literaturze. Nieoczekiwanie odniósł sukces i dość szybko zaczął publikować w prasie opowiadania pod wymyślonymi nazwiskami, co w jego przypadku było koniecznością, jako że poszukiwała go szwedzka policja.

W 1914 roku Serner wydał pierwszą książkę, podpisując ją nazwiskiem Frank Heller, które odtąd stało się jego jedynym pseudonimem. Heller opublikował w sumie czterdzieści trzy powieści, kilka zbiorów opowiadań i prozę podróżniczą. Redagował antologie literatury kryminalnej oraz prozy fantasy i science fiction, pisał poezje. Po jego śmierci wydano kilka kolejnych zbiorów jego opowiadań. Heller trafił na listy bestsellerów nie tylko w Szwecji — stał się także najpoczytniejszym szwedzkim autorem literatury popularnej za granicą. Jego pomysłowe, zabawne i trzymające w napięciu historie o oszustach, awanturkach i przestępcach sprzedawały się znakomicie w całej Europie; na ich podstawie zrealizowano pięć filmów fabularnych. W latach dwudziestych ubiegłego stulecia w Stanach Zjednoczonych, w wydawnictwie Thomasa Y. Crowella, ukazało się osiem jego powieści. Twórczość Franka Hellera — wciąż interesująca i godna lektury — to najwybitniejsze osiągnięcie szwedzkiej literatury kryminalnej pierwszej połowy dwudziestego wieku.

W owym czasie równać się z nią mogła jedynie krótka powieść zatytułowana *Doktor Glas*, wydana w 1905 roku i wkrótce przełożona na język angielski. Jej autorem był Hjalmar Söderberg, uznawany powszechnie za

jednego z najwybitniejszych dwudziestowiecznych pisarzy szwedzkich. Nie była to jednak typowa powieść kryminalna, lecz raczej proza psychologiczna, opowiadająca o młodym doktorze, który postanawia popełnić morderstwo; intrygująca i sugestywna opowieść, przedstawiająca starannie zarysowany i stworzony z dużą empatią portret przyzwoitego człowieka, który decyduje się wyrządzić zło.

Wśród innych autorów z pierwszego okresu rozwoju szwedzkiej literatury kryminalnej warto wymienić Haralda Johnssona, publikującego pod pseudonimem Robinson Wilkins. Bohater jego powieści, starszy detektyw, Szwed Fred Hellington, pracował w Scotland Yardzie i rozwiązywał sprawy w Anglii. Samuel August Duse, publikujący jako S.A. Duse, wydał trzynaście powieści o prawniku i genialnym detektywie Leo Carringu: głupich, rasistowskich i snobistycznych, choć niepozbawionych oryginalnych pomysłów fabularnych. W powieści *Doktor Smirnos dagbok* („Dziennik doktora Smirno”) Duse już w 1917 roku kazał mordercy zapisywać w pamiętniku przebieg śledztwa prowadzonego przez policję, nie ujawniając aż do końca jego faktycznej roli. Chwył ten stał się słynny, kiedy powtórzyła go Agatha Christie w wydanej w 1926 roku powieści *Zabójstwo Rogera Ackroyda*. Ogromną popularnością cieszył się także Julius Regis, podpisujący się często jako Jul. Regis (prawdziwe nazwisko Petersson), autor dziesięciu powieści kryminalnych, których bohaterem był dziennikarz i detektyw Maurice Wallion.

Wymienieni pisarze byli najważniejszymi twórcami szwedzkiej literatury kryminalnej do lat trzydziestych ubiegłego wieku. W pisanych wówczas książkach większość detektywów i przestępców nosiła obco brzmiące nazwiska; powieść kryminalna była uważana za gatunek nienależący do szwedzkiej tradycji literackiej, dlatego szwedzcy pisarze zapożyczali z zagranicy zarówno pozytywne, jak i negatywne bohaterów. Wyjątek stanowił Frank Heller. Wprawdzie bohaterowie jego utworów w większości byli Szwedami, ale za to akcja wszystkich w zasadzie jego książek toczyła się poza granicami Szwecji. Można zatem powiedzieć, że Heller zastosował odwrotną metodę: zamiast importować detektywów

z innych krajów, wysyłał szwedzkich detektywów za granicę.

Powód tego stanu rzeczy był oczywisty. Książki twórców kryminałów były masowo przekładane na język szwedzki i szybko zyskiwały popularność. Historie o Sherlocku Holmesie zaczęły ukazywać się w Szwecji już w 1891 roku. Po nich przyszły tłumaczenia utworów Maurice'a Leblanca, Gilberta K. Chestertona, Richarda Austina Freemana, Agathy Christie, Dorothy L. Sayers, Freemana Willsa Croftsa i innych znanych pisarzy brytyjskich i amerykańskich. W latach trzydziestych ubiegłego wieku w Szwecji zaczęły się także ukazywać popularne magazyny poświęcone twórczości kryminalnej. Różniły się one znacznie od podobnych czasopism wydawanych wówczas w Ameryce. Przypominały raczej niemieckie wydawnictwa tego typu: objętościowo niewielkie, zszywane i zawierające zwykle jedno dłuższe opowiadanie zamiast kilku krótszych. W większości były to przekłady. Jeśli autorami opowiadań byli Szwedzi, zwykle udawano, że są to także tłumaczenia: autorzy podpisywali je angielsko brzmiącymi pseudonimami, a akcję umieszczali w Anglii lub Stanach Zjednoczonych. Magazyny kryminalne pozostawały głównym źródłem rozrywkowej literatury kryminalnej w Szwecji aż do początku lat sześćdziesiątych, kiedy zastąpiły je w tej roli tanie edycje szwedzkich i zagranicznych powieści w miękkich okładkach.

W tym czasie pojawił się pierwszy szwedzki twórca kryminałów, który umieszczał akcję swoich utworów w Szwecji, a ich bohaterami czynił szwedzkich detektywów noszących oryginalne szwedzkie nazwiska. Nazywał się Stieg Trenter. Narratorem większości jego utworów był fotograf Harry Friberg, ale rozwiązywaniem zagadek kryminalnych zajmował się na ogół komisarz Vesper Johnson, przyjaciel Friberga. Trenter uważany jest powszechnie za jednego z najlepszych literackich kronikarzy przemian zachodzących w powojennym Sztokholmie. W latach 1943–1967 opublikował dwadzieścia sześć książek. Kilka ostatnich napisał wspólnie z żoną, Ullą Trenter, która po jego śmierci wydała jeszcze dwadzieścia trzy własne powieści kryminalne. W wielu z nich pojawiali się bohaterowie stworzeni przez jej męża, ale utwory te były już znacznie gorzej skonstruowane, trudno

też było w nich znaleźć opisy realiów sztokholmskich, będące znakiem firmowym książek Stiega Trentera.

Można powiedzieć, że to właśnie dzięki Stiegowi Trenterowi krytyka szwedzka zaakceptowała literaturę kryminalną. Miał on swoich naśladowców w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Należała do nich między innymi Maria Lang, która naprawdę nazywała się Dagmar Lange (1914–1991). Jej powieści zawierały jednak liczne wątki romantyczne i erotyczne, dlatego określano je często mianem romansów dla kobiet z elementami kryminału. Szczególnie interesująca wydaje się pierwsza powieść tej autorki, *Mördaren ljuger inte ensam* („Nie tylko morderca kłamie”), wydana w 1949 roku. Przedstawia ona w wyjątkowo śmiały, empatyczny sposób morderczynię, jak się okazuje, lesbijkę, która zabija kobietę odrzucającą jej miłość. Pełne oburzenia reakcje, z jakimi spotkała się wspomniana powieść, przyczyniły się prawdopodobnie do tego, że w następnych czterdziestu dwóch książkach Lang nie podejmowała już tak kontrowersyjnych tematów. Jako dziekan szkoły wyższej wołała nie narażać na szwank swojej reputacji i pozycji społecznej. Mimo wszystko lekceważenie, z jakim męska część krytyki potraktowała jej dorobek, wydaje się niezasłużone. Jednym z głównych „grzechów” Marii Lang jest być może to, że bohaterki jej powieści (choć detektyw prowadzący śledztwo jest zawsze mężczyzną) zajmują się komentowaniem męskiej urody i sex appealu, widząc w mężczyznach przede wszystkim potencjalnych partnerów seksualnych — postępują więc dokładnie tak samo, jak męscy bohaterowie ówczesnych powieści postępowali w stosunku do kobiet.

Pierwszym szwedzkim autorem piszącym wyłącznie o zawodowych policjantach był Sune Lundquist, publikujący pod pseudonimem Vic Suneson, który w latach 1948–1975 wydał ponad trzydzieści powieści i zbiorów opowiadań. Wiele jego utworów ma charakter eksperymentalny: Suneson prowadzi narrację z różnych punktów widzenia, zrywa z linearnym porządkiem opowieści albo łączy opisy śledztwa z portretami psychologicznymi bohaterów. Kolejny po Sunesonie i ostatni już ważny twórca literatury kryminalnej debiutujący przed rokiem 1960, Hans-Krister

Rönblom, opublikował swoją pierwszą powieść w 1954 roku. Jej bohaterem jest historyk i nauczyciel Paul Kennet, który odnajduje zabójców nie w imię sprawiedliwości, lecz po to by sprostować historyczną pomyłkę. Rönbloma można w pewnym sensie uznać za pierwszego prawdziwie nowoczesnego szwedzkiego autora kryminałów, ponieważ jego powieści są także zjadliwą krytyką ukazanego w nich małomiasteczkowego świata. Za idyllicznym codziennym życiem czają się rozpasana korupcja, religijna nietolerancja, seksizm, rasizm, zaściankowość i ślepe przeświadczenie o własnej racji, opisane z pietyzmem i bezwzględną szczerością. Rönblom, z zawodu dziennikarz, dość późno zajął się literaturą i zmarł w wieku zaledwie sześćdziesięciu czterech lat w 1965 roku, a mimo to zdążył opublikować dziesięć powieści.

Literatura kryminalna w Szwecji zyskała popularność najpierw za sprawą tłumaczeń. Z wyjątkiem bardzo utalentowanego Franka Hellera, stosunkowo niewielu szwedzkich autorów powieści kryminalnych piszących przed drugą wojną światową wyróżniało się oryginalnością, dlatego też nie wzbudzali oni zainteresowania krytyki. Z kolei Heller, choć chwalony często za erudycję i pomysłowość, oskarżany był również często o deprawowanie młodzieży i gloryfikowanie postaci amoralnych oszustów. Tłumaczone na język szwedzki historie o błyskotliwych detektywach, najpierw autorstwa Christie i Sayers, a w następnie Ellery Queen, Johna Dicksona Carra i Georges'a Simenona, znajdowały jednak stopniowo uznanie czytelników, a ich lektura stawała się popularną rozrywką klasy średniej. Utorowało to drogę szwedzkim autorom piszącym w podobnym stylu. Trenter, Lang, Suneson i Rönblom na dwadzieścia lat zdominowali szwedzką powieść kryminalną swoimi utworami o morderstwach dokonywanych wśród przedstawicieli wyższej klasy średniej. Z wyjątkiem niektórych powieści Rönbloma, utwory te, mimo ich fabularnych i czysto literackich zalet, były również konserwatywne, pozbawione elementu krytyki społecznej i dalekie od podejmowania jakichkolwiek społecznie drażliwych tematów jak powieści Agathy Christie. Książki tych pisarzy wydawano w twardych okładkach w prestiżowych szwedzkich oficynach. Wypada jeszcze

wspomnieć o nadzwyczaj utalentowanej Kerstin Ekman, która debiutowała jako autorka kryminałów, wydając w latach 1959–1963 sześć klasycznych powieści detektywistycznych, ale potem zajęła się pisaniem utworów o tematyce współczesnej, włączając do nich jednak często wątki kryminalne. Ekman wydała w późniejszym okresie jeszcze dwie powieści, które można zaklasyfikować do literatury kryminalnej. W 1978 roku została przyjęta do Akademii Szwedzkiej jako trzecia kobieta w liczącej wówczas 192 lata historii tej instytucji i jako pierwszy twórca, który zaczynał swoją karierę od literatury popularnej.

W okresie międzywojennym pojawił się pewien osobny nurt pisarstwa, który szwedzcy krytycy i intelektualiści nazywali brudną literaturą (sic!). Z początku tę szczególną odmianę literatury popularnej publikowano w tygodnikach o tematyce sensacyjnej lub w niewielkich, tanich broszurach. Dopiero w latach pięćdziesiątych zaczęły ukazywać się serie w miękkich okładkach, sprzedawane jednak tylko w kioskach z gazetami i sklepach z wyrobami tytoniowymi. Ponieważ publikacje te nie trafiały do księgarń, nie uważano ich, co absurdalne, za książki. Do połowy lat pięćdziesiątych ukazało się kilkaset takich wydawnictw, a za ich pośrednictwem dotarła do Szwecji amerykańska powieść *hard-boiled* z lat trzydziestych i czterdziestych. Na początku lat pięćdziesiątych książki takich pisarzy, jak Peter Cheyney, Mickey Spillane czy James Hadley Chase, osiągały w Szwecji bardzo wysokie nakłady, nigdy jednak nie doczekały się recenzji, czy choćby wzmianki w prasie, ponieważ ukazywały się poza tradycyjnym rynkiem wydawniczym, podobnie jak utwory nielicznych szwedzkich autorów próbujących tę odmianę kryminału naśladować. W szwedzkich encyklopediach wciąż można przeczytać, że „wydania kieszonkowe książek (pocket-books) pojawiły się w Szwecji po raz pierwszy w 1956 roku”, ponieważ właśnie wtedy jedno z dużych wydawnictw zaczęło publikować powieści w rozmiarze kieszonkowym, kierując je do oficjalnego obiegu księgarskiego.

Prowadziło to do skrajnej hipokryzji: pracownicy fizyczni, młodzież i prawdopodobnie spora grupa intelektualistów (choć w tym przypadku możemy opierać się tylko na domysłach) sięgali po literaturę kryminalną

spod znaku *hard-boiled*, ale jedyną oficjalnie wydawaną w kraju odmianą prozy kryminalnej były tradycyjne historie o detektywach, którzy rozwiązują zagadki kryminalne, zatopieni głęboko w swoich fotelach. Powieści tego typu faktycznie wciąż jeszcze powstają i są publikowane w Szwecji, mają one także swoich wybitnych przedstawicieli; Jana Ekströma, który wydał swoją pierwszą powieść w 1961 roku, można uznać za twórcę najprecyzyjniej skonstruowanych klasycznych szwedzkich fabuł detektywistycznych. Jego najpoważniejszym konkurentem stał się w ostatnich latach Gösta Unefäldt, debiutujący w 1979 roku, choć detektyw będący bohaterem jego powieści jest także czynnym policjantem. Najmłodszą adeptką tej odmiany prozy kryminalnej jest Kristina Appelqvist, która swoją pierwszą książkę opublikowała w 2009 roku.

Pierwsi pisarze zrywający zdecydowanie z tradycją powieści kryminalnych, których akcja toczyła się w salonach bogatych przedstawicieli szwedzkiego społeczeństwa, byli zarazem pierwszymi od czterdziestu lat szwedzkimi twórcami literatury kryminalnej, którzy odnieśli sukces za granicą. Maj Sjöwall i Per Wahlöö, bo o nich mowa, wydali pierwszą książkę z pisanej wspólnie dziesięciotomowej serii powieści policyjnych, zatytułowanej „Powieść o zbrodni”, w 1965 roku. *Roseanna* nie okazała się wcale natychmiastowym sukcesem: szwedzcy krytycy uznali, że jest zbyt szorstka, zbyt przygnębiająca, zbyt mroczna i zbyt brutalna. Z czasem jednak seria duetu autorskiego Sjöwall i Wahlöö zyskała rozgłos jako wyjątkowy eksperyment literacki i trafiła na listy bestsellerów. Sukces ten autorzy zawdzięczali w znacznym stopniu politycznej wymowie swoich powieści. Wcześniejsi twórcy literatury kryminalnej prezentowali poglądy konserwatywne lub liberalne, tymczasem Sjöwall i Wahlöö byli działaczami lewicowymi, a swój dziesięciotomowy cykl powieści zaplanowali świadomie jako dzieło o jawnie lewicowym wydźwięku. Motywy zbrodni popełnianych w kolejnych powieściach wiązały się coraz ściślej ze środowiskiem społecznym, z którego pochodzili ofiary i sprawcy. W późniejszych powieściach autorzy poruszali bezpośrednio takie kwestie, jak faszystowskie sympatie w policji, zdrada klasy robotniczej przez rzekomo socjalistyczny

rząd czy pustka kapitalistyczno-burżuazyjnego stylu życia.

Od połowy lat trzydziestych życie polityczne w Szwecji zdominowała partia socjaldemokratyczna, z której w latach 1932–1976 wywodzili się wszyscy kolejni premierzy. Począwszy od lat trzydziestych, partia ta stopniowo zmieniała szwedzkie społeczeństwo w zarządzane centralnie państwo opiekuńcze, choć w znacznie wolniejszym tempie, niż to zapowiadała. W konsekwencji część szwedzkich intelektualistów oraz rosnąca liczba młodych ludzi zaczęła uważać, że partia socjaldemokratyczna odeszła od swoich socjalistycznych ideałów. Dlatego w latach sześćdziesiątych źródłem krytyki społecznej w Szwecji stały się kręgi związane z radykalną lewicą. Powieści Sjöwall i Wahlöö odmieniły spojrzenie wielu czołowych intelektualistów na literaturę kryminalną. Okazało się, że to, co uważano kiedyś za bezużyteczną burżuazyjną rozrywkę, mogło stać się narzędziem politycznej analizy, edukacji i zmiany społecznej. Czytanie, a nawet pisanie utworów kryminalnych przestało być czymś wstydliwym wśród lewicujących Szwedów. Co ciekawe, zjawisko to zbiegło się w czasie z wejściem w dorosłość pokolenia młodych czytelników, którzy w odróżnieniu od swoich rodziców wychowali się już nie na powieściach inspirowanych twórczością Agathy Christie, ale na literaturze *hard-boiled*, wydawanej w cieszących się złą sławą seriach sprzedawanych w kioskach. Połączenie tych dwóch elementów doprowadziło do szybkiej przemiany całej szwedzkiej literatury kryminalnej.

Oczywiście sukces Maj Sjöwall i Pera Wahlöö i będąca jego następstwem fala powieści kryminalnych pisanych z radykalnej perspektywy politycznej nie wyeliminowały bardziej tradycyjnych lub „apolitycznych” odmian twórczości kryminalnej. Powieści tego rodzaju miały swoich wiernych czytelników i nadal je wydawano. Jednym z najpopularniejszych pisarzy lat siedemdziesiątych i pierwszej połowy osiemdziesiątych był Bo Balderson, który debiutował w 1968 roku. W jedenastu wydanych w tym czasie powieściach krytykował rząd szwedzki z pozycji typowo konserwatywnych. Inni pisarze, znacznie bardziej utalentowani niż Balderson, dowodzili, że

wciąż z powodzeniem można uprawiać tradycyjną odmianę powieści detektywistycznej. Do najwybitniejszych należeli Ulf Durling, z wykształcenia psychiatra, który swoją pierwszą powieść wydał w roku 1971 jako szesnastolatek, a ostatnią jak dotąd w roku 2008, oraz bardzo płodny literacko Jean Bolinder, który debiutował w 1967 roku. Jednak w okolicach 1975 roku, kiedy Sjöwall i Wahlöö publikowali dziesiątą powieść, zamykając stworzony przez nich cykl, większość młodszych autorów pisała o pracy policji, łącząc kryminalną fabułę z wątkami politycznymi. Do najwybitniejszych autorów tego pokolenia należeli Uno Palmström, Karl Arne Blom, Olov Svedelid, a zwłaszcza Leif G.W. Persson, profesor kryminologii, który w latach 1978–1982 wydał trzy powieści kryminalne, czwartą w 2002 roku i od tego czasu opublikował jeszcze sześć kolejnych. Skomplikowane fabuły, oparte często na faktycznych przypadkach popełnionych w Szwecji zbrodni (dobitnym przykładem jest trylogia *Między tęsknotą lata a chłodem zimy*, *W innym czasie*, *w innym życiu* i *Swobodny upadek jak we śnie*, poświęcona nierozwikłanej zagadce zabójstwa premiera Szwecji Olofa Palmego w 1986 roku), starannie zrekonstruowane tło wydarzeń i niewątpliwe zalety literackie jego książek uczyniły z Perssona jednego z czołowych szwedzkich twórców powieści kryminalnej. Jest on drugim obok Håkana Nissera trzykrotnym laureatem nagrody za najlepszą powieść roku, przyznawanej przez Szwedzką Akademię Kryminału.

Persson także przyczynił się do wprowadzenia w utworach tego gatunku wyraźnych akcentów krytyki społecznej. Jego doświadczenie zawodowe — jako kryminologa w Krajowym Zarządzie Policji, doradcy rządowego i eksperta w szwedzkim Ministerstwie Sprawiedliwości — nadaje szczególny ciężar gatunkowy jego powieściom, które często poddają ostrej krytyce nieefektywność zbiurokratyzowanej szwedzkiej policji, szwedzki system prawny, a także polityczny i administracyjny establishment, którego głównym celem wydaje się utrzymanie i poszerzenie własnych wpływów i przywilejów.

Równie krytyczne spojrzenie na społeczeństwo szwedzkie prezentowała w swoich powieściach Kennet Ahl. Pod pseudonimem tym ukrywało się

dwóch autorów: Christer Dahl, z zawodu dziennikarz, oraz pisarz i aktor Lasse Strömstedt, który spędził osiem lat w zakładzie karnym. W latach 1974–1991 napisali oni wspólnie siedem powieści, wykorzystując w nich osobistą wiedzę na temat systemu więziennictwa, brutalności policji, handlu narkotykami i pełnego zagrożeń życia osób uzależnionych. Ważnym pisarzem był także wspomniany już wcześniej Uno Palmström, dziennikarz, a następnie wydawca, który w dziewięciu powieściach opublikowanych w latach 1976–1990 dawał wyraz zasadniczym wątpliwościom dotyczącym szwedzkiego społeczeństwa. Szwecja jawiła mu się przede wszystkim jako państwo korporacyjne, w którym politycy i finansiści, kosztem zwykłych obywateli, troszczą się wyłącznie o zabezpieczenie własnych interesów. Prawnik i przyrodnik Staffan Westerlund stworzył serię powieści, których wspólnym tematem był nieludzki charakter świata wielkiego biznesu i wielkiej polityki. Pisał o jawnych i cynicznych przestępstwach popełnianych przez osoby sprawujące władzę oraz o lekceważeniu jednostek przez korporacje medyczne, chemiczne czy energetyczne, nastawione wyłącznie na zysk.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych ten nurt krytyki społecznej w powieściach kryminalnych nie tylko się utrzymał, ale nasilał się jeszcze bardziej w utworach ważnych nowych autorów. W 1990 roku Gunnar Ohrlander, z zawodu dziennikarz, wydał swój pierwszy thriller, uznany przez Szwedzką Akademię Kryminału za najlepszy debiut roku. Rok później Henning Mankell opublikował pierwszą powieść kryminalną, którą ta sama Akademia uznała za najlepszą książkę roku. Obaj nagrodzeni byli pierwszymi szwedzkimi pisarzami, którzy potraktowali poważnie i podjęli w literackiej formie problem rasizmu i antyimigranckich nastrojów wśród Szwedów, wykorzystując do tego celu powieść kryminalną.

Kiedy w 2008 roku zaczęto tłumaczyć na język angielski powieści Stiega Larssona, wielu krytyków nie kryło zdziwienia zawartym w nich negatywnym opisem szwedzkiego państwa opiekuńczego, jawiącego się jako

rozdęte monstrum gotowe poświęcić prawa, wolność i życie swoich obywateli, aby zachować przywileje i władzę. Czytelnikom w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii opis ten wydawał się dramatycznym zaprzeczeniem wcześniejszego idyllicznego obrazu nowoczesnej Szwecji jako zamożnego, liberalnego państwa socjalnego, cechującego się otwartością, tolerancją i empatią. W rzeczywistości ponury wizerunek szwedzkiego społeczeństwa odmalowany w trylogii *Millennium* był kontynuacją krytyki społecznej znanej już z powieści Sjöwall i Wahlöö, a więc obecnej w głównym nurcie szwedzkiej literatury kryminalnej od blisko czterdziestu lat.

Wspomnieliśmy już o przyczynach, dla których tak wielu szwedzkich twórców literatury kryminalnej prezentowało zdecydowanie lewicowe poglądy polityczne. Powieści Maj Sjöwall i Pera Wahlöö zerwały całkowicie z wcześniejszą tradycją szwedzkiej prozy kryminalnej. Zdecydowali się oni na znacznie bardziej realistyczne przedstawienie przestępstwa i śledztwa prowadzącego do wykrycia sprawców, przyjmowali punkt widzenia najsłabszych jednostek, często wyrażali się krytycznie zarówno o skuteczności, jak i motywach działania policji, piętnowali bliskie związki łączące system prawny z establishmentem policyjnym i analizowali społeczne oraz ekonomiczne czynniki leżące u źródeł przestępstwa. Dzięki temu ich powieści okazały się lekturą nie tylko akceptowaną, ale wręcz pożądaną przez intelektualistów sympatyzujących z ich poglądami, którzy stworzyli całkowicie nową grupę odbiorców tworzonej w Szwecji literatury kryminalnej. W tym samym czasie, w którym ukazywały się powieści Sjöwall i Wahlöö, w Szwecji doszło do radykalizacji nastrojów politycznych. Rewolta młodzieżowa z 1968 roku, która przetoczyła się przez większą część zachodniego świata, odcisnęła także swoje istotne piętno w Szwecji, gdzie sprzeciw wobec wojny w Wietnamie stał się symbolem jednoczącym wiele radykalnych grup: marksistów-leninistów, maoistów oraz nielicznych, ale wpływowych intelektualnie trockistów. Dzięki przejęciu kontroli nad ruchem przeciwników wojny w Wietnamie maoiści, a w niektórych przypadkach także trockiści, zdołali wywrzeć istotny wpływ na ówczesne

pokolenie szwedzkich studentów i uczniów szkół średnich. Grupy te całkiem świadomie zachęcały swoich członków, by wybierali takie zawody, które pozwolą im oddziaływać na innych ludzi. Wielu lewicowych aktywistów zostało artystami, aktorami, nauczycielami, pracownikami społecznymi, a także, co oczywiste, pisarzami lub dziennikarzami. Przez długie lata Sztokholmską Szkołę Dziennikarstwa nazywano potocznie Szkołą Komunistów. Nic dziwnego, że sporo osób postanowiło pójść w ślady Maj Sjöwall i Pera Wahlöö, dając wyraz swoim poglądom i niepokojom za pośrednictwem powieści kryminalnych. Faktem jest, że w ostatnich dziesięcioleciach wielu najważniejszych twórców szwedzkiej literatury kryminalnej wywodziło się z radykalnych grup politycznych działających pod koniec lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych. Stieg Larsson był trockistą, Henning Mankell jest maoistą, podobnie jak Gunnar Ohrlander. Wymieniam tych trzech pisarzy, ponieważ mówili oni otwarcie o swoich przekonaniach i związkach politycznych.

Dodam dla jasności, że nie wspominam o tym, by dokonywać oceny ich wyborów. Chcę tylko pokazać tło społeczne, pozwalające zrozumieć szczególnie kierunek rozwoju szwedzkiej literatury kryminalnej. Pisarze wchodzący w dorosłość w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych już jako nastolatki lub dwudziestoparolatki nauczyli się postrzegać świat z pozycji pryncypialnych, w sposób dialektyczny, przypisując zarówno społeczne problemy, jak i jednostkowe działania czynnikom politycznym i ekonomicznym. Nie mam wątpliwości, że bardzo podobne formy krytyki społecznej doszłyby do głosu, gdyby znacząca liczba czołowych szwedzkich pisarzy kierowała się równie silnymi przekonaniem liberalnymi lub libertariańskimi. Poglądy tego rodzaju rzadko jednak bywają artykułowane w konsensualnym szwedzkim dyskursie politycznym. Z drugiej strony znamy oczywiście przykłady pisarzy o poglądach konserwatywnych, którzy wykorzystują prozę kryminalną jako narzędzie krytyki społeczeństwa szwedzkiego.

W połowie lat pięćdziesiątych w Szwecji pojawiło się nowe

pokolenie pisarzy. Należeli do niego między innymi Henning Mankell, Håkan Nesser, który zajął się pisaniem kryminałów w 1993 roku, oraz Åke Edwardson, który wydał swoją pierwszą powieść kryminalną w roku 1995. Zarówno Nesser, jak i Edwardson do pewnego stopnia zerwali z tradycją realistycznego przedstawiania tła społecznego. Nesser umieszczał akcję swoich ambitnych artystycznie powieści w fikcyjnym mieście Maardam, leżącym w niewymienionym z nazwy kraju, będącym zlepkiem Szwecji, Niemiec, Polski i Holandii. Interesowała go przede wszystkim psychologia opisywanych postaci, zwłaszcza zaś głównego bohatera, komisarza Van Veeterena. Bohaterem większości książek Edwardsona jest komisarz Erik Winter z wydziału policji kryminalnej w Göteborgu, przy czym Edwardson także skupił się głównie na kwestiach egzystencjalnych i psychologicznych, nie kryjąc swoich wysokich aspiracji literackich. Mankell, Nesser i Edwardson podnieśli szwedzką powieść kryminalną na taki poziom artystyczny, że stała się ona nie tylko akceptowaną odmianą poważnej literatury, jaką była już od lat sześćdziesiątych, ale ważną częścią współczesnej literatury szwedzkiej w ogóle.

W gronie twórców literatury kryminalnej brakowało jednak pisarek. Z wyjątkiem Åse Nilsonne, w zasadzie wszyscy najwybitniejsi autorzy prozy kryminalnej byli mężczyznami. Momentem przełomowym okazał się koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy Inger Frimansson, Liza Marklund, Helene Tursten i Aino Trosell opublikowały swoje pierwsze powieści, zwiastujące długo wyczekiwaną formalną odnowę szwedzkiej powieści kryminalnej. Frimansson od początku skupiła się na pisaniu thrillerów psychologicznych z kilkoma powracającymi bohaterami; bohaterką powieści Marklund była dziennikarka śledcza Annika Bengtson, a Aino Trosell w swoich realistycznych powieściach o wyraźnie proletariackim zabarwieniu wykreowała kobiece antybohaterki zajmujące się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych. Z całej czwórki tylko Helene Tursten, z zawodu dyplomowana pielęgniarka i dentystka, uczyniła bohaterką swoich powieści policjantkę, inspektor Irene Huss z policji w Göteborgu.

Powieści opisujące kolejne fazy śledczych procedur policyjnych (tak

zwane *police procedural*) cieszą się zresztą w Szwecji niesłabnącą popularnością. Wśród pisarzy uprawiających nadal ten gatunek najważniejszym nowym autorem wydaje się Arne Dahl (pseudonim Jana Arnalda), który w 1999 roku zadebiutował powieścią o fikcyjnej grupie policyjnej specjalizującej się w brutalnych zbrodniach o charakterze międzynarodowym, a po opublikowaniu jedenastu książek o jej działalności zaczął w roku 2011 pisać o fikcyjnej tajnej jednostce operacyjnej Opcop, działającej w strukturach policji europejskiej. Inni ważni autorzy powieści kryminalnych z gatunku *police procedural* to między innymi: Anna Jansson, która w 2000 roku wydała swoją pierwszą książkę o policjantce Marii Wern; Mons Kallentoft, od roku 2007 piszący o błyskotliwej, ale pokiereszowanej psychicznie i nadużywającej alkoholu komisarz Malin Fors; Carin Gerhardsen, która w 2008 roku zaczęła pisać cykl powieści o policjantach z Hammarby Sjöstad, dzielnicy południowego Sztokholmu; oraz Kristina Ohlsson, która od 2009 roku publikuje powieści o policjantach Fredrice Berman i Aleksie Rechcie.

Obecnie jednak wiele najbardziej cenionych autorek szwedzkich powieści kryminalnych tworzy poza obrębem tego gatunku. Camilla Läckberg swoją pierwszą powieść o pisarce Erice Falck i jej partnerze, policjancie Patricku Hedströmie, opublikowała w 2003 roku i szybko stała się jedną z najpopularniejszych szwedzkich pisarek. Jej powieści, podobnie jak książki wielu jej późniejszych naśladowczyń, skupiają się na życiu osobistym i wzajemnych relacjach głównych bohaterów, a intryga kryminalna, choć ważna dla rozwoju fabuły, nie zawsze bywa ich najistotniejszym elementem. Ten rodzaj skrzyżowania powieści psychologicznej z kryminałem stał się od jakiegoś czasu dość charakterystyczny dla szwedzkiej literatury kryminalnej. W pewnym sensie jest to nawiązanie do konwencji wykorzystywanej już w latach pięćdziesiątych przez Marię Lang, choć współczesne powieści pisane są w zdecydowanie bardziej realistycznej formie. W podobnym stylu utrzymane są utwory Marii Jungstedt i Viveki Sten. Udane próby pisania tego typu książek podejmują także mężczyźni, czego przykładem może być

twórczość Jonasa Moströma.

Spośród autorów piszących o prawnikach najciekawsza wydaje się Åsa Larsson. Jej pierwszą powieść o Rebecce Martinsson uznano za najlepszy debiut 2003 roku, a dwie z jej czterech kolejnych książek uhonorowano nagrodą Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszą powieść roku. Główną rolę w jej powieściach odgrywają regionalne tradycje oraz konflikty o charakterze psychologicznym i religijnym. Larsson należy do najznakomitszych i najoryginalniejszych twórców współczesnej szwedzkiej prozy kryminalnej. Malin Persson Giolito, córka wspomnianego już tutaj Leifa G.W. Perssona, która zadebiutowała w 2012 roku, jest absolwentką prawa piszącą powieści o prawnicze i wykorzystującą swoje utwory do krytyki lub kwestionowania niektórych aspektów szwedzkiego systemu prawnego. Wśród najciekawszych współczesnych twórców prozy kryminalnej warto także wymienić Andersa Roslunda i Börgego Hellströma, którzy piszą wspólnie powieści od 2004 roku. Roslund jest dziennikarzem, który pracował także w telewizji, gdzie zajmował się sprawami kryminalnymi; z kolei Hellström to były przestępca, zaangażowany obecnie w działalność na rzecz resocjalizacji osób, które weszły w konflikt z prawem. Bohaterami ich powieści, związanych ściśle ze szwedzką tradycją literatury kryminalnej jako narzędzia analizy i krytyki społecznej, są typowi policjanci, górują one jednak nad większością podobnych im utworów kunsztem literackim, rozpiętością tematyczną i ambicjami artystycznymi: każda z ich sześciu powieści różni się zdecydowanie od poprzednich rodzajem intrygi, formą, nastrojem i stylem.

W 2005 roku w Szwecji ukazała się pierwsza powieść Stiega Larssona, odnosząc niebywały sukces. Gdy rok później wydawano jego kolejną powieść, Larsson był już powszechnie znanym pisarzem. Na początku obecnego wieku literatura kryminalna rozwijała się w Szwecji znakomicie. Pojawiało się coraz więcej nowych autorów, wnoszących spore zróżnicowanie do gatunku, który od niemal trzydziestu lat był zdominowany przez mężczyzn piszących głównie o męskich grupach

policyjnych. Po debiucie Stiega Larssona liczba oryginalnych szwedzkich powieści kryminalnych publikowanych każdego roku osiągnęła nienotowany wcześniej poziom około stu dwudziestu pozycji. Negatywnym aspektem takiej sytuacji jest to, że ogólna liczba wydawanych w Szwecji powieści kryminalnych pozostaje w zasadzie niezmienna, co oznacza, że spada liczba utworów zagranicznych tłumaczonych na język szwedzki. Tym samym czytelnicy szwedzcy tracą okazję do zapoznania się z nowymi ważnymi autorami i tendencjami w światowej literaturze kryminalnej, a twórcy szwedzkich powieści tego gatunku niewładający biegle obcymi językami pozbawieni są świeżych inspiracji literackich i tematycznych. Z drugiej strony wydaje się już dziś oczywiste, że same powieści Stiega Larssona doprowadziły do trwałych zmian w szwedzkiej prozie kryminalnej.

Od początku dwudziestego wieku w literaturze szwedzkiej dominowało przeświadczenie, że utwór literacki, jeśli ma zasługiwać na poważne potraktowanie, powinien być tekstem realistycznym, poruszać przede wszystkim kwestie psychologiczne lub społeczne i zachowywać powściągliwość w opisie zdarzeń i kreśleniu sylwetek bohaterów. Ten sposób rozumienia literatury rozciągał się także na „dobrą” literaturę rozrywkową, podczas gdy utwory niespełniające tych kryteriów były mniej lub bardziej automatycznie uznawane za literacko podrzędne. Być może właśnie dlatego literatura science fiction nigdy nie zdołała zakorzenić się w Szwecji na dobre. Ponieważ nie zajmowała się bezpośrednio tym, co dzieje się tu i teraz, postrzegana była jako „eskapistyczna”, a więc z definicji nie mogła być uznana ani za dobrą sztukę, ani za wartościową literaturę. W przypadku literatury kryminalnej konsekwencją przyjęcia takiego punktu widzenia było ograniczenie inwencji twórczej i swobody wyobraźni, które objęło cały gatunek. Tam gdzie głównymi cnotami są troska o sprawy społeczne i przyziemny realizm, nie ma miejsca na przestępców takich jak Hannibal Lecter, bohaterów w rodzaju Jacka Reachera ani fabuły w stylu Mickeya Spillane’a.

Być może potrzeba było dopiero pisarza takiego jak Stieg Larsson, który rozczytywał się nie tylko w amerykańskiej i brytyjskiej literaturze

kryminalnej, ale także w anglojęzycznej science fiction, i który nie przywiązywał szczególnej wagi do tradycji podtrzymywanych przez przedstawicieli głównego nurtu literatury szwedzkiej, by powstał utwór tak całkowicie nieszwedzki — jeśli chodzi o sylwetki głównych bohaterów, typ akcji, drastyczne sceny seksu i przemocy oraz niezmaconą radość swobodnego kreowania zdarzeń — jak trylogia *Millennium*. Spektakularny sukces powieści Larssona, znajdujący wyraz w zgodnych reakcjach krytyki i zwykłych czytelników, sprawił, że szwedzcy pisarze zostali nagle uwolnieni od wielu krępujących ich dotąd ograniczeń, co w istocie oznaczało powrót do wczesnodwudziestowiecznego modernistycznego zerwania z linearną fabułą, heroizmem, moralizmem i romantyzmem wcześniejszej literatury, które to cechy uznano za przestarzałe i nieprzystające do kosmopolitycznej cywilizacji miejskiej.

Wszystko to spowodowało, że w ciągu ostatnich kilku lat szwedzka literatura kryminalna wzbogaciła się o oryginalnych autorów, piszących w zupełnie nowy sposób. Karin Alfredsson i Katarina Wennstam, które debiutowały odpowiednio w latach 2006 i 2007, piszą o dyskryminacji kobiet i homofobii, poruszając w swoich książkach problematykę najbliższą ideowej wymowie powieści Stiega Larssona. Alfredsson, która posłużyła się postacią lekarki Ellen Elg jako ogniwem łączącym jej pięć pierwszych powieści, analizuje koszmarną sytuację kobiet w pięciu różnych krajach. Wennstam w swoich znakomitych powieściach kryminalnych porusza takie problemy, jak handel ludźmi, przemoc domowa w rodzinach policjantów, seksualne wykorzystywanie kobiet w przemyśle filmowym czy homofobia w sporcie. Jens Lapidus, który debiutował w 2006 roku, z wykształcenia prawnik, podejmujący problem demoralizacji i przemocy stosowanej przez gangi uliczne na przedmieściach Sztokholmu, zarówno w warstwie stylistycznej, jak i tematycznej swoich powieści pozostaje pod wpływem twórczości Jamesa Ellroya. Na tle współczesnej szwedzkiej literatury kryminalnej jego książki wyróżniają się niepowtarzalnym klimatem. Johan Theorin, debiutant z 2007 roku, tworzy powieści o znacznych walorach

literackich, łączące kryminalną fabułę z folklorem oraz elementami fantasy, mitologii i horroru. Dag Öhrlund, który zadebiutował w tym samym roku co Theorin, pisze brutalne thrillery kryminalne przywodzące na myśl amerykańską tradycję *hard-boiled fiction*. Stworzył on pierwszego w dziejach szwedzkiej literatury kryminalnej genialnego seryjnego mordercę. Duet pisarski Alexandra i Alexander Ahndoril, publikujący pod pseudonimem Lars Kepler, który pierwszą książkę wydał w 2009 roku, pisze amoralne, odrealnione i posępne powieści akcji, przedstawiające złoczyńców i bohaterów o nadludzkiej sile i nadludzkich zdolnościach. Serię powieści kryminalnych autorstwa Andersa de la Motte, specjalisty od spraw bezpieczeństwa i ochrony, zapoczątkowaną powieścią pod tytułem [*geim*] z 2010 roku, wyróżnia misterna, zawikłana fabuła i charakterystyczny bohater: prostak, kombinator i obibok, obdarzony jednak szczególnym talentem informatycznym — w niczym nieprzypominający typowego Szweda. Håkan Axlander Sundquist i Jerker Eriksson zadebiutowali wspólnie pod pseudonimem Erik Axl Sund w 2010 roku i jak dotąd opublikowali tylko jedną, opasłą, trytomową powieść: skomplikowaną, hipnotyzującą historię o obsesji, zemście, psychoanalizie i odkupieniu winy, będącą bez wątpienia jedną z najważniejszych pozycji współczesnej szwedzkiej literatury kryminalnej. Bardzo niekonwencjonalnym, obiecującym autorem, czerpiącym wyraźne inspiracje z powieści *noir*, jest Christoffer Carlsson, który wydał jak dotąd trzy nader interesujące książki. Rolf i Cilla Börjlind debiutowali w roku 2012 mroczną, nastrojową powieścią, w której pojawia się być może najoryginalniejsza para bohaterów od czasów Stiega Larssona. Börjlindowie, tworząc swój duet inspektorów, jednocześnie bawią się wykorzystywaną konwencją, parodiują ją i wykraczają poza jej ramy.

Ze względu na dużą liczbę nowych autorów, nieoczekiwane wyzwolenie od wcześniejszych ograniczeń tematycznych, stylistycznych i fabularnych oraz ze względu na ogromną popularność wśród czytelników szwedzka literatura kryminalna znajduje się dzisiaj w nadzwyczaj intrygującej, a zarazem dość nieprzewidywalnej fazie rozwoju.

Ponownie doszły do głosu dawne spory i kontrowersje: ile brutalnych opisów przemocy, morderstw lub seksu można zaakceptować w dziele literackim, na jak daleko idące eksperymenty literackie można sobie pozwolić w prozie kryminalnej, jak dużej wierności względem gatunkowej tradycji racjonalnej dedukcji można wymagać od tego typu utworów, czy zdarzenia nadprzyrodzone i fantastyczne elementy fabuły mieszczą się w konwencji powieści kryminalnej? Prowadzi to często do gorących i pasjonujących dyskusji, także wśród jurorów przyznających nagrody Szwedzkiej Akademii Kryminału.

Niezależnie od owych sporów oraz faktu, że większość powieści kryminalnych w Szwecji, podobnie jak w innych krajach, nie wyróżnia się niczym szczególnym i powiela biernie tę lub inną tradycyjną konwencję gatunkową, przyszłość szwedzkiej literatury kryminalnej rysuje się w jasnych barwach. Zważywszy na popularność, jaką nagle zyskała w niemal całym świecie, mamy podstawy, by sądzić, że będzie ona nadal przyciągać utalentowanych, twórczych i oryginalnych pisarzy, którzy jeszcze bardziej poszerzą i wzbogacą jej formułę.

John-Henri Holmberg

Viken, lipiec 2013

przełożył Tomasz Kunz

Noty o autorach

Tove Alsterdal

SPOTKANIE PO LATACH

Tove Alsterdal urodziła się w Malmö w 1960 roku. Jest dziennikarką i dramatopisarką. Przez wiele lat mieszkała w Umeå i Luleå na dalekiej północy Szwecji. Obecnie mieszka w Sztokholmie. Pisała teksty dla radia i teatru oraz libretta operowe. Wspólnie z Heleną Bergström napisała scenariusz do filmu *Så olika* („Tak różni”). W 2009 roku wydała pierwszą powieść kryminalną *Kvinnorna på stranden* („Kobieta na plaży”), a trzy lata później drugą, *I tystnaden begravd* („W ciszy pogrzebany”). Jedną z czołowych szwedzkich autorek literatury kryminalnej, mistrzyni nastroju i subtelnej charakterystyki psychologicznej.

* * *

Do czasu wydania pierwszej powieści w 2009 roku Tove Alsterdal pracowała jako dziennikarka i dramatopisarka. Urodziła się w Malmö, ale mieszkała głównie w Sztokholmie. Jej korzenie rodzinne sięgają jednak dalekiej północy Szwecji, do Doliny Torne (Tornedalen), regionu położonego przy granicy z Finlandią i w większości znajdującego się już za kołem polarnym. Stamtąd pochodzi jej matka, a Tove Alsterdal często spędza tam letnie miesiące. Tam także toczy się akcja jej ostatniej powieści *I tystnaden begravd* („W ciszy pogrzebany”), nominowanej w 2012 roku przez Szwedzką Akademię Kryminału do nagrody za najlepszą powieść roku.

Alsterdal opiekowała się końmi w słynnym sztokholmskim skansenie na wyspie Djurgården (najstarszym tego rodzaju obiekcie na świecie), pracowała też jako pomoc pielęgniarska w zamkniętych oddziałach

w szpitalu psychiatrycznym Beckomberga w Sztokholmie. Była reporterką radiową i telewizyjną, pisała scenariusze do gier komputerowych, spektakli telewizyjnych i filmu fabularnego. Stworzyła też kilka sztuk teatralnych i libretto operowe. Alsterdal przyjaźni się z autorką powieści kryminalnych Lizą Marklund. Redagowała wszystkie jej książki, z wyjątkiem debiutu.

Prozę Tove Alsterdal cechuje psychologiczna przenikliwość i dokładne opisy miejsc, które zna z własnego doświadczenia i które lubi odtwarzać na kartach powieści. W jej utworach często pojawiają się silne elementy mistyczne, pozornie niewytłumaczalne. Jedną z wielkich zalet jej pisarstwa jest to, że pozostawia czytelnikowi ostateczny wybór sposobu interpretacji tych elementów. Podobnie dzieje się w prezentowanym tutaj opowiadaniu o spotkaniu po latach grupy przyjaciółek z czasów szkolnych.

Rolf Börjlind i Cilla Börjlind **LUBIŁ SWOJE WŁOSY**

Rolf Börjlind (ur. 1943) i jego żona, Cecilia Börjlind (ur. 1961), piszą wspólnie scenariusze i powieści kryminalne. Rolf Börjlind był najwybitniejszym szwedzkim satyrykiem, który zasłynął między innymi tym, że został pozwany do sądu przez jednego z premierów Szwecji za sfirowany wywiad opublikowany w „Aftonbladet”, najpoczytniejszym szwedzkim tabloidzie, w którym Börjlind zamieszczał także inne fikcyjne rozmowy, między innymi z tenisistą Björnem Borgiem. Premier przegrał sprawę w sądzie. Rolf Börjlind jest także poetą, aktorem, reżyserem filmowym i przewodniczącym Stowarzyszenia Pisarzy Szwedzkich, organizacji zrzeszającej szwedzkich dramatopisarzy i scenarzystów. Börjlindowie są najbardziej doświadczonymi szwedzkimi scenarzystami, autorami blisko pięćdziesięciu scenariuszy pełnometrażowych filmów fabularnych, w tym dwudziestu sześciu do filmów o Martinie Becku, inspirowanych twórczością Maj Sjöwall i Pera Wahlöö, kilku kolejnych opartych na powieściach Henninga Mankella i Arnego Dahla, a także oryginalnych kryminalnych seriali telewizyjnych. Ich pierwszy wspólnie

napisany kryminał, *Przyptyw*, ukazał się w 2012 roku i uznany został za jeden z najciekawszych debiutów roku. Ich kolejna książka, *Trzeci głos*, wydana w drugiej połowie 2013 roku, perfekcyjnie wykorzystuje i parodiuje konwencję gatunkową szwedzkiej powieści kryminalnej.

Börjlindowie mieszkają w Storängen, w gminie Nacka, położonej na północ od Sztokholmu, na osiedlu domków jednorodzinnych wzniesionych na początku dwudziestego wieku.

* * *

Rolf i Cilla Börjlind wydali swoją pierwszą powieść kryminalną *Przyptyw* dopiero w 2012 roku, jednak nikt z żyjących szwedzkich autorów kryminałów — niezależnie od liczby opublikowanych bestsellerów — nie zyskał w Szwecji takiej popularności jak oni. Börjlindowie od kilkunastu lat tworzą najczęściej wspólnie, choć zdarza im się także pisać indywidualnie. Są najpłodniejszymi szwedzkimi scenarzystami. Mają na swoim koncie blisko pięćdziesiąt pełnometrażowych filmów fabularnych — są to w zasadzie same kryminały, w większości realizowane przez telewizję szwedzką. Napisali dwadzieścia sześć scenariuszy filmowych o Martinie Becku, opartych na twórczości Maj Sjöwall i Pera Wahlöö, jeden scenariusz do filmu opartego na serii kryminalnej Henninga Mankella o Kurcie Wallanderze i pięć adaptacji powieści Arnego Dahla. Stworzyli ponadto oryginalne kryminalne seriale telewizyjne: *Danslärarens återkomst* („Powrót nauczyciela tańca”) w 2004 roku i sześcioczęściowy *Morden* („Morderstwa”) w 2009, które zdobyły kilkumilionową widownię, zarówno w kraju, jak i za granicą.

Przed rozpoczęciem swojej spektakularnej kariery scenopisarskiej Rolf Börjlind był znany jako jeden z najzabawniejszych, a bez wątpienia najbardziej złośliwych szwedzki satyryk. Jakiś czas temu wspólnie z Cillą zajęli się także pisaniem powieści kryminalnych. Ich dobrze przyjęta przez krytykę debiutancka książka wyróżnia się — co nie powinno być zaskoczeniem — sprawnością warsztatową, polegającą na jednoczesnej zabawie konwencją

i na perfekcyjnym jej wykorzystaniu. Powieść ta została wydana już w ponad dwudziestu krajach. Ich kolejna książka, *Trzeci głos*, ukazała się w 2013 roku.

Börjlindowie nigdy dotąd nie napisali żadnego opowiadania, dlatego z tym większą przyjemnością przedstawiamy ich debiut w tym gatunku.

Åke Edwardson
NIGDY W RZECZYWISTOŚCI

Åke Edwardson urodził się w 1953 roku w niewielkiej miejscowości Eksjö. Przed swoim debiutem literackim w 1995 roku pracował najpierw jako dziennikarz, a następnie — wykładowca w Szkole Dziennikarskiej w Göteborgu. Jego pierwsza książka *Till allt som varit dött* („Dla wszystkiego, co umarło”) zdobyła nagrodę Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszy debiut roku. Była to także pierwsza powieść o komisarzu Eriku Winterze, który do tej pory pojawił się w jedenastu książkach. Za dwie z nich, *Taniec z aniołem* i *Niebo to miejsce na ziemi*, Edwardson otrzymał nagrody Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszą powieść roku (w latach 1997 i 2001). Powieści o komisarzu Winterze stały się podstawą adaptacji filmowych w Szwecji; ukazały się też za granicą, między innymi w Stanach Zjednoczonych.

* * *

Większość książek Åkego Edwardsona to powieści z popularnej i docenionej przez krytykę serii o göteborgskim komisarzu Eriku Winterze, który pod wieloma względami różni się od policjantów występujących w innych szwedzkich powieściach kryminalnych. W czasie gdy Åke Edwardson pisał swoją pierwszą książkę o komisarzu Winterze, typowy szwedzki powieściowy policjant był połączeniem Martina Becka (z powieści Maj Sjöwall i Pera Wahlöö) i Kurta Wallandera (z powieści Henninga Mankella): depresyjnym mężczyzną w średnim wieku bez rodziny lub z poważnymi kłopotami rodzinnymi, niedbale ubranym, z lekką nadwagą,

cierpiącym na bezsenność i przekonanym, że zarówno on sam, jak i całe społeczeństwo staczają się po równi pochyłej. Erik Winter — w pierwszych powieściach Edwardsona — jest natomiast młodym, energicznym i optymistycznie nastawionym do życia eleganckim mężczyzną, towarzyskim i uczuciowym.

Oprócz książek o Eriku Winterze Edwardson napisał też wiele innych utworów. Obok juveniliów, na jego dorobek składają się: kryminał nie należący do cyklu o göteborskim komisarzu, thriller psychologiczny, powieści psychologiczne osadzone w ponurych krajobrazach wyludnionej szwedzkiej prowincji oraz opowiadania.

Krytycy zawsze chwalili Åkego Edwardsona za znakomity styl, psychologiczną przenikliwość i dobre wyczucie dramaturgii. Opowiadanie *Nigdy w rzeczywistości* jest świetnym przykładem jego oszczędnego i sugestywnego sposobu prowadzenia narracji, dzięki któremu czytelnik stopniowo zbliża się do rozwiązania zagadki.

Inger Frimansson **I W NASZ CIEMNY DOM...**

Inger Frimansson (właśc. Inger Wilén) urodziła się w 1944 roku. W dzieciństwie i młodości mieszkała w różnych miastach Szwecji. Choć literaturą zajęła się już jako nastolatka — w wieku dziewiętnastu lat wygrała ogólnokrajowy konkurs na opowiadanie — swoją pierwszą powieść wydała dopiero w 1984 roku. Wcześniej przez długi czas pracowała jako dziennikarka. Przez następnych kilkanaście lat pisała powieści spoza gatunku literatury kryminalnej, choć często włączała do nich wyraźne elementy thrillera. Dopiero w 1997 roku opublikowała swój pierwszy prawdziwy thriller psychologiczny: *Fruktar jag intet ont* („Zła się nie ulękne”). Jej druga powieść, wydana w 1998 roku i zatytułowana *Dobranoc, kochanie*, otrzymała nagrodę Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszą książkę roku. Ponownie wyróżniono ją tą nagrodą w roku 2005 za powieść *Skuggan i vatfnet* („Cień w wodzie”). Inger Frimansson uważana jest za najwybitniejszą

szwedzką autorkę thrillerów psychologicznych *noir*. Jej książki wydawano w piętnastu krajach, między innymi w Stanach Zjednoczonych. Frimasson oprócz powieści dla dorosłych pisze także książki dla młodszych czytelników.

* * *

Powieści Inger Frimansson nie mają stałych bohaterów, chociaż postacie, miejsca i zdarzenia występujące w jednej książce mogą pojawić się w następnej lub wpływać na opisywane w niej wydarzenia. W ten sposób autorka tworzy stopniowo coś, co sama nazywa Frimanssonland — fikcyjny świat, w którym jej bohaterowie nawiązują wzajemne relacje oraz oddziałują na siebie nawzajem i na rozgrywające się wydarzenia. Choć wiele jej książek uznaje się za thrillery psychologiczne, część z nich to przede wszystkim wnikliwa proza psychologiczna. Trudno jednak wyznaczyć tu wyraźną granicę: we wszystkich powieściach Frimansson skupia się na mrocznych aspektach ludzkiej natury, wyrządzanych przez ludzi krzywdach i konsekwencjach, jakie mają one dla dalszego życia bohaterów.

Czytelnikom publikowanego w antologii opowiadania należy się kilka słów wyjaśnienia. Trzynastego grudnia obchodzi się w Szwecji Dzień Świętej Łucji. Jest to ważna data, szczególnie dla dzieci i młodzieży. Święto to zrodziło się z połączenia pradawnych obrzędów związanych z przesileniem zimowym oraz tradycji, które przywędrowały do Szwecji z Niemiec w osiemnastym wieku. Obecną formę przybrało jednak dopiero pod koniec drugiej dekady dwudziestego wieku, kiedy jedna ze stołecznych gazet ogłosiła konkurs na przewodniczkę miejskiej procesji organizowanej w Dzień Świętej Łucji w Sztokholmie. Głównym wydarzeniem obchodów tego święta jest procesja, która odbywa się wcześnie rano. Na czele orszaku idzie młoda dziewczyna symbolizująca świętą Łucję, ubrana w białą suknię przewiązaną w talii szkarłatną szarfą; na głowie ma wieniec z zapalonymi świecami. Za nią idą dziewczęta, także ubrane na biało, zwykle z wiankami na głowie, oraz chłopcy w białych strojach i szpiczastych czapkach

przyozdobionych złotymi gwiazdami lub przebrani za rudobrodych mężczyzn. Uczestnicy orszaku śpiewają tradycyjne pieśni i składają wszystkim świąteczne życzenia. Wybory Łucji odbywają się w biurach, szkołach, świetlicach i innych miejscach, w których gromadzi się zwykle większa liczba osób. Wybrane w ten sposób Łucje odwiedzają szpitale, domy spokojnej starości, kościoły, centra handlowe i hotele, w których przebywają akurat w tym czasie laureaci Nagrody Nobla. Podczas swoich wizyt śpiewają i częstują napotkane osoby kawą, grzany winem, piernikami i specjalnie wypiekanymi na tę okazję szafranowymi bułeczkami. W większości szwedzkich domów dzieci postępują podobnie.

Patronką święta jest święta Łucja z Syrakuz, która zginęła męczeńską śmiercią na początku czwartego wieku. W Szwecji obchody tego dnia nie mają jednak charakteru religijnego, a 13 grudnia jest zwykłym dniem roboczym. Tradycja tego święta uważana jest za przedchrześcijańską. Jest ono szczególnie lubiane przez młodzież, która często korzysta z okazji, aby świętować i bawić się do białego rana. Na koniec całonocnej hulanki młodzi przebierają się i idą obudzić rodziców i nauczycieli.

Eva Gabrielsson
OSTATNIE LATO PAULA

Eva Gabrielsson urodziła się w 1953 roku w Lövänger, nadmorskiej miejscowości położonej na dalekiej północy Szwecji, liczącej zaledwie kilkuset mieszkańców (obecnie jest ich około 750). Studiowała na Uniwersytecie w Umeå, gdzie w 1972 roku poznała swojego późniejszego partnera życiowego Stiega Larssona. Następnie przeniosła się do stolicy, gdzie na Królewskiej Politechnice Sztokholmskiej ukończyła architekturę. Pracowała jako architekt, kierownik projektów oraz ekspert rządowy do spraw proekologicznego budownictwa i infrastruktury. Mieszka w Sztokholmie.

Czytelnicy powieści kryminalnych znają Evę Gabrielsson wyłącznie jako życiową partnerkę Stiega Larssona, którego poznała podczas demonstracji przeciwko wojnie wietnamskiej na Uniwersytecie w Umeå, gdy oboje mieli po osiemnaście lat. Pozostali nierozłączni aż do śmierci Larssona w 2004 roku.

W 2011 roku Gabrielsson opublikowała książkę zatytułowaną *Millenium, Stieg i ja*, w której opisywała przede wszystkim swoje problemy z powrotem do normalnego życia po śmierci Stiega Larssona. Nie wszyscy wiedzą jednak, że Eva Gabrielsson jest także pisarką. Podobnie jak Larsson w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku była wielbicielką literatury science fiction, pisywała do fanzinów poświęconych temu gatunkowi literatury i współredagowała dwa z nich. Później, mimo iż zajęła się głównie pisaniem o architekturze, przetłumaczyła na szwedzki powieść Philipa K. Dicka *Człowiek z Wysokiego Zamku*, wyróżnioną prestiżową nagrodą Hugo, pisała artykuły dla pism feministycznych oraz wydała książkę, w której skrytykowała szwedzki system prawny za sposób, w jaki traktuje pary żyjące w związkach partnerskich.

W 1977 roku Eva Gabrielsson przeprowadziła się do Sztokholmu, gdzie studiowała architekturę. Pracowała jako projektantka w firmie budowlanej Ohlsson & Skarne, była asystentką w agencji rządowej do spraw obniżenia kosztów budownictwa mieszkaniowego, nadzorowała realizację proekologicznego projektu w regionie Dalarna oraz przygotowała założenia do dużej inwestycji „Dialog: budować i mieszkać”, służącej rozwojowi proekologicznego stylu życia, w którą zaangażowane były rząd centralny, władze lokalne paru gmin oraz kilka dużych korporacji. Autorka planuje napisanie książki o architekcie i głównym planiście Sztokholmu, Perze Olofie Hallmanie, który odcisnął swoje piętno na wyglądzie stolicy i wielu innych szwedzkich miast i miasteczek. Miłośników powieści kryminalnych zainteresuje z pewnością to, że studia Ewy Gabrielsson nad życiem i dziełem Hallmana zainspirowały Stiega Larssona: wszyscy pozytywni bohaterowie *Millennium* mieszkają w dzielnicach zaprojektowanych przez tego

architekta.

Publikowane tu opowiadanie jest literackim debiutem Gabrielsson. To kameralna historia opowiadająca o pozornie zwyczajnym zdarzeniu. Porusza ona jednak istotne kwestie, każąc nam zajrzeć we własne sumienia i zapytać o sposób, w jaki traktujemy innych.

Anna Jansson
PIERŚCIEN

Anna Jansson pochodzi z Gotlandii, największej z wysp należących do Szwecji, położonej na Morzu Bałtyckim na wschód od wybrzeża kraju i oddalonej od stałego lądu o prawie 100 kilometrów. Urodziła się w 1958 roku, ukończyła studia pielęgniarские i przez dwadzieścia lat pracowała jako pielęgniarka. Kiedy w 1997 roku w jej domu pojawił się pierwszy komputer, zaczęła pisać opowiadania i powieści; dopiero dla trzeciej z nich, *Stum sitter guden* („Bóg jest niemy”), znalazła wydawcę w 2000 roku. To właśnie tam po raz pierwszy pojawia się postać Marii Wern, komisarz z gotlandzkiej policji, która stała się bohaterką kolejnych czternastu książek Anny Jansson. Wydana w 2006 roku powieść zatytułowana *Främmandel fågel* („Obcy ptak”) była nominowana do Nagrody Szklanego Klucza, przyznawanej co roku za najlepszą powieść wydaną w krajach nordyckich. Przygody komisarz Wern stały się kanwą serialu telewizyjnego. Jansson należy do najpopularniejszych twórców szwedzkiej literatury kryminalnej. Przekłady jej książek ukazały się w wielu krajach europejskich. Oprócz powieści dla dorosłych publikuje także utwory dla młodzieży.

* * *

Anna Jansson urodziła się i wychowała w Visby, mieście będącym ważnym ośrodkiem średniowiecznego handlu bałtyckiego, założonym w dziesiątym wieku na Gotlandii, która leży na Morzu Bałtyckim na wschód od wybrzeży Szwecji i na wschód od znacznie mniejszej wyspy, Olandii.

Zadebiutowała jako autorka powieści kryminalnych w 2000 roku. Już w jej pierwszej powieści pojawiła się Maria Wern, młoda policjantka, która stała się bohaterką czternastu książek i kilku opowiadań Anny Jansson, w tym także publikowanego w antologii.

W pierwszych powieściach cyklu Maria Wern pracuje na stałym lądzie, ale podczas letnich wakacji prowadzi dodatkowe sprawy na Gotlandii. W siódmej części na stałe przenosi się na wyspę. Anna Jansson w swoich powieściach poświęca uwagę nie tylko popełnionym zbrodniom i policyjnemu śledztwu, ale także problemom Marii Wern, zapracowanej policjantki próbującej pogodzić obowiązki zawodowe i życie osobiste, opiekę na dwójką dzieci i przygody miłosne.

W 2010 roku Jansson zaczęła także pisać serię powieści kryminalnych dla młodzieży: jej bohaterem jest jedenastoletni Emil Wern, syn Marii, który zainspirowany pracą matki i własnymi lekturami, zakłada prywatną agencję detektywistyczną.

Anna Jansson należy do najpopularniejszych twórców szwedzkiej literatury kryminalnej. Jej bestsellerowe powieści doczekały się także ekranizacji kinowych i telewizyjnych — w rolę Marii Wern wcieliła się czołowa szwedzka aktorka Eva Röse.

Åsa Larsson **SANIE POCZTOWE**

Åsa Larsson urodziła się w 1966 roku w uniwersyteckim mieście Uppsala położonym około 80 kilometrów na północ od Sztokholmu. W wieku czterech lat przeniosła się z rodzicami do Kiruny, górniczego miasteczka leżącego 1200 kilometrów na północ od Uppsali, i tam się wychowała. Jej dziadek ze strony ojca, Erik August Larsson, który mieszkał w Kirunie aż do swojej śmierci w 1982 roku, uprawiał biegi narciarskie i był złotym i brązowym medalistą na olimpiadzie zimowej w 1936 roku. Porzucił jednak sport i został pastorem Kościoła Pierworodnych Laestadian, słynących z bardzo tradycjonalistycznej i konserwatywnej pobożności.

Åsa Larsson wychowała się w surowej laestadiańskiej wierze, którą przyjęli także jej rodzice. Z czasem jednak odrzuciła skrajne poglądy laestadian. Wróciła do Uppsali, żeby studiować prawo, a następnie podjęła pracę jako doradca podatkowy. Surowy krajobraz dalekiej północy, kwestie związane z wiarą i konflikty natury religijnej są ważnymi i stale powracającymi tematami jej książek.

W 2003 roku Larsson wydała swoją pierwszą powieść pod tytułem *Burza słoneczna*, wyróżnioną przez Szwedzką Akademię Kryminału nagrodą za najlepszy debiut. W *Burzy słonecznej* pojawiła się też po raz pierwszy bohaterka wszystkich jej późniejszych książek, prokurator Rebeka Martinsson. Åsa Larsson otrzymała także dwukrotnie nagrodę Akademii za najlepszą powieść roku, po raz pierwszy w 2004 roku za drugą książkę, *Krew, którą nasiąkła*, a w 2012 za piątą część cyklu zatytułowaną *W ofierze Molochowi*. Książki Larsson przetłumaczono na wiele języków. Obecnie poświęciła się wyłącznie pisarstwu. Mieszka wraz z dwójką dzieci w Mariefred, niewielkim miasteczku niedaleko Sztokholmu.

* * *

Åsa Larsson należy do najwybitniejszych twórców szwedzkiej literatury kryminalnej. Jej debiutancka powieść *Burza słoneczna* została wyróżniona w 2003 roku nagrodą za najlepszy debiut, przyznawaną przez Szwedzką Akademię Kryminału. Akademia uhonorowała także jej drugą i piątą książkę (odpowiednio w latach 2004 i 2012) nagrodami za najlepszą powieść roku. Akcja jej utworów rozgrywa się współcześnie, a ich bohaterką jest prokurator Rebeka Martinsson. Utwór z antologii różni się jednak zdecydowanie od tego, co znamy z jej powieści.

Sanie pocztowe to opowiadanie historyczne. Jego akcja rozgrywa się w Kirunie, rodzinnej miejscowości dziadka Åsy Larsson ze strony ojca, w której pisarka mieszkała od czwartego roku życia aż do momentu wyjazdu do szkoły średniej. Kiruna to górnicze miasteczko na dalekiej północy Szwecji, zbudowane w rejonie bogatym w złoża rudy żelaza, które można

było wydobywać z zyskiem dopiero po uruchomieniu linii kolejowej w 1891 roku. Założone rok wcześniej szwedzkie przedsiębiorstwo wydobywcze Luossavaara-Kiirunavaara AB (LKAB) wykupiło znaczne obszary ziemi w tamtej okolicy. W miejscu osady górniczej Luossavaara, będącej chaotycznym skupiskiem rud, dzięki przedsiębiorstwu wydobywczemu zaczęło powstawać, finansowane i zarządzane przez nie, nowoczesne i rozbudowane miasteczko, przemianowane w 1900 roku na Kirunę. Larsson przedstawia przenikliwy, jednocześnie zabawny i tragiczny obraz tej szwedzkiej placówki granicznej sprzed wieku. W mieście, zamieszkanym głównie przez pracowników kolei i górników fińskiego i szwedzkiego pochodzenia, silną pozycję zajmowały fundamentalistyczne grupy religijne, z których najważniejszą byli laestadianie, wyróżniający się surowym stylem życia, ekstatycznymi nabożeństwami i radykalną pobożnością. Ten konserwatywny odłam luteranizmu nadal istnieje w Szwecji, Finlandii i Stanach Zjednoczonych, chociaż już dawno podzielił się na kilka odrębnych grup.

Jest to zatem opowieść o czymś, co można by nazwać szwedzką odmianą Dzikiego Zachodu sprzed stu lat, z jego szeryfami i rewolwerowcami. Scenerią opisywanych wydarzeń nie są jednak spalone słońcem zachodnie równiny, ale górnicze miasteczko zbudowane w górzystym regionie na dalekiej północy, gdzie średnia roczna temperatura wynosi minus półtora stopnia Celsjusza, gdzie przez dwa miesiące w roku słońce w ogóle nie ukazuje się nad horyzontem i gdzie pokrywa śnieżna, osiągająca często grubość ponad pół metra, utrzymuje się od października do początku czerwca.

Stieg Larsson
SUPERMÓZG

Stieg Larsson urodził się w roku 1954 w niewielkim mieście Skelleftehamn, ale dorastał i wychowywał się w domu dziadków ze strony matki w wiosce liczącej niespełna pięćdziesięciu mieszkańców. Rodzice

zajęli się nim dopiero po śmierci dziadka, kiedy miał dziewięć lat. W wieku szesnastu lat wyprowadził się z domu i rozpoczął samodzielne życie, a od osiemnastego roku życia aż do śmierci pozostawał w związku z lewicową aktywistką polityczną i miłośniczką literatury science fiction, późniejszą absolwentką architektury, Evą Gabrielsson. W latach siedemdziesiątych oboje działali aktywnie w środowisku miłośników literatury science fiction. W 1977 roku przenieśli się do Sztokholmu, gdzie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Larsson pracował jako grafik w dużej agencji prasowej. Jednocześnie stał się znany w Szwecji jako czołowy tropiciel rasistowskich i totalitarnych poglądów; ich analizie poświęcił kilka książek. Był także skandynawskim korespondentem brytyjskiego antyfaszystowskiego magazynu „Searchlight”. W 1995 roku uczestniczył w zakładaniu podobnego szwedzkiego pisma „Expo”, którego był redaktorem naczelnym od 1999 roku aż do śmierci. Larsson, który od młodości marzył o karierze pisarskiej, w 2002 roku zaczął pisać serię powieści kryminalnych, nawiązując w nich otwarcie do swoich feministycznych i antytalitarnych przekonań. Zmarł nagle na zawał serca w listopadzie 2004 roku. Do tego czasu zdążył ukończyć i sprzedać trzy powieści o dziennikarzu Mikaelu Blomkviste i genialnej hakerce Lisbeth Salander. Wiadomo, że pracował nad kolejnymi tomami serii. Ukończone przez Larssona powieści, nazwane trylogią *Millennium* i wydane w Szwecji w latach 2005–2007, stały się wydarzeniem literackim. Ukazały się w ponad pięćdziesięciu krajach, a ich łączna sprzedaż wyniosła siedemdziesiąt pięć milionów egzemplarzy, co uczyniło z nich najlepiej sprzedające się książki dla dorosłych pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku. Na ich podstawie powstały też filmy fabularne, zrealizowane zarówno w Szwecji, jak i w Stanach Zjednoczonych. Pierwsza powieść cyklu, *Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet*, została uhonorowana przyznawaną przez Skandynawskie Stowarzyszenie Kryminalne nagrodą Szklanego Klucza za najlepszą powieść kryminalną roku wydaną w krajach nordyckich. Druga książka, *Dziewczyna, która igrała z ogniem*, otrzymała nagrodę Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszą powieść roku, a trzecia, *Zamek z piasku, który runął*, ponownie została

nagrodzona Złotym Kluczem. Powieści Stiega Larssona uhonorowano także wieloma nagrodami w innych krajach.

* * *

Pierwszymi i jedynymi wydanymi przez profesjonalną oficynę utworami literackimi Stiega Larssona były trzy powieści składające się na tak zwaną trylogię *Millennium*, którą Larsson zaczął pisać latem 2002 roku, na krótko przed swoimi czterdziestymi ósmymi urodzinami. Cykl ten po jego śmierci w listopadzie 2004 roku stał się międzynarodowym fenomenem wydawniczym; do tej pory sprzedano ponad siedemdziesiąt pięć milionów egzemplarzy książek, przetłumaczonych na blisko pięćdziesiąt języków.

Prawdopodobnie niewielu czytelników wie jednak, że Stieg Larsson przez większą część życia marzył o tym, aby zostać pisarzem. Już w wieku dziesięciu lat pisał opowiadania. Jako nastolatek próbował swoich sił w powieści, opublikował też kilka opowiadań w odbijanych na powielaczu fanzinach poświęconych literaturze science fiction, których był współwydawcą. W późniejszym czasie pracował nad co najmniej jedną ambitną powieścią science fiction, której jednak nie uznał za udaną i której pisanie ostatecznie zarzucił.

Pierwszą literacką miłością Larssona było zatem science fiction, ale już jako kilkunastolatek zafascynował się kryminałami. Najbardziej lubił naturalistyczne powieści z gatunku *hard-boiled*. Początkowo jego ulubionymi autorami byli Dashiell Hammett, Raymond Chandler, Ross Macdonald i Peter O'Donnell. Kiedy jako siedemnastolatek zaczął publikować opowiadania w fanzinach, zdarzało mu się łączyć oba ulubione gatunki, tworząc utwory, w których intryga kryminalna wpisywała się w konwencję właściwą science fiction.

Prezentowane w antologii opowiadanie ukazało się pierwotnie w trzecim numerze fanzinu „Sfären”, który Larsson wydawał wspólnie ze swoim bliskim przyjacielem Runem Forsgrenem. Numer ten — niespełna pięćdziesiąt odbitych na powielaczu kopii — ukazał się w kwietniu 1972

roku. Można zatem uznać, że opowiadanie to publikowane jest po raz pierwszy.

Supermózg to młodzieńczy utwór napisany przez przyszłego autora *Mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet*. Pokazuje jednak, że Stieg Larsson już jako bardzo młody człowiek obdarzony był talentem narracyjnym i że już wówczas zajmowały go kwestie nadużywania władzy i łamania praw obywatelskich przez rządzące elity. Ukazuje także jego strategie budowania napięcia i fabuły przez oszczędne ujawnianie faktów, pozwalające czytelnikowi stopniowo orientować się w faktycznym przebiegu zdarzeń.

Utwór ten jest zatem czymś więcej niż tylko próbką młodzieńczej twórczości pisarza, który miał stworzyć w przyszłości postać Lisbeth Salander. To świadectwo jednoczesnej fascynacji literaturą kryminalną i prozą science fiction, radości płynącej z pisania oraz trwającego przez całe życie zaangażowania w kwestie sprawiedliwości, solidarności społecznej i swobód obywatelskich.

Henning Mankell i Håkan Nesser
NIEPRAWDOPODOBNE SPOTKANIE

Henning Mankell urodził się w Sztokholmie w 1948 roku. Zaczął pisać dość wcześnie, ale interesował się także teatrem i początkowo pracował jako reżyser teatralny. W latach 1984–1990 kierował teatrem w Växjö. W latach sześćdziesiątych był aktywnym działaczem radykalnej lewicy, sympatyzującym przede wszystkim z ugrupowaniami maoistycznymi w Szwecji oraz w Norwegii, gdzie mieszkał przez większą część lat siedemdziesiątych. Obecnie Mankell wraz ze swoją czwartą żoną, Evą, córką reżysera filmowego i teatralnego Ingmara Bergmana, posiada trzy domy: w Ystad na południu Szwecji, na szwedzkiej wyspie Fårö oraz w Maputo w Mozambiku. Mankell debiutował w 1973 roku powieścią *Bergsprängaren* („Strzałowy”) i od tamtej pory wydał ponad trzydzieści powieści. Na jego dorobek składają się także liczne sztuki, opowiadania, juvenilia oraz autobiografia. Jego pierwsza powieść kryminalna o komisarzu Kurcie

Wallanderze z policji w Ystad nosiła tytuł *Morderca bez twarzy* i ukazała się w 1991 roku. Książka zdobyła nagrodę Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszą powieść roku i pierwszą nagrodę Szklanego Klucza za najlepszą powieść kryminalną roku wydaną w krajach skandynawskich. W 1995 roku za swoją piątą powieść z cyklu o komisarzu Wallanderze, zatytułowaną *Fałszywy trop*, Mankell otrzymał po raz drugi nagrodę Akademii za najlepszą powieść kryminalną roku. W Szwecji powstało w sumie trzydzieści pięć filmów o komisarzu Wallanderze: zekranizowano wszystkie powieści z jego udziałem, a kolejnych dwadzieścia filmów zrealizowano według scenariuszy opartych na opowiadaniach Mankella. W Wielkiej Brytanii telewizja BBC wyprodukowała dwunastoodcinkowy serial na podstawie powieści o komisarzu Wallanderze z Kennethem Branaghiem w roli głównej.

Håkan Nesser urodził się w 1950 roku w niewielkiej miejscowości Kumla, w której znajduje się więzienie o zaostrozonym rygorze. Studiował na Uniwersytecie w Uppsali, a następnie w latach 1974–1998 był nauczycielem języka szwedzkiego i angielskiego w gimnazjum. Od 1998 roku poświęcił się całkowicie pisarstwu. Zadebiutował w roku 1988 powieścią *Koreografen* („Choreograf”). Jego druga książka, *Nieszczęlna sieć*, była zarazem debiutem na polu literatury kryminalnej i pierwszą z dziesięciu powieści o komisarzu Van Veeterenie z fikcyjnego miasta Maardam. Książka została wyróżniona przez Szwedzką Akademię Kryminału nagrodą za najlepszy debiut roku. Druga i czwarta powieść z serii o komisarzu Van Veeterenie — *Punkt Borkmanna* z 1994 roku i *Kobieta ze znamieniem* z 1996 roku — wyróżnione zostały nagrodą Akademii za najlepszą powieść roku, a siódma, *Karambol*, uhonorowana nagrodą Szklanego Klucza za najlepszą powieść opublikowaną w krajach skandynawskich. W 2006 roku Nesser stworzył nowego bohatera, inspektora Gunnara Barbarottiego, szwedzkiego policjanta włoskiego pochodzenia. Za swoją drugą powieść z cyklu o Barbarottim, *Całkiem inna historia*, wydaną w 2007 roku, pisarz po raz trzeci otrzymał nagrodę Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszą książkę roku. Nesser wydał łącznie pięć książek o inspektorze Barbarottim.

Napisał także kilka innych powieści kryminalnych, umieszczając ich akcję nie tylko w Szwecji, ale także w Londynie i Nowym Jorku. Jest pisarzem cieszącym się międzynarodowym uznaniem krytyki i czytelników.

* * *

Henning Mankell i Håkan Nesser to dwaj giganci współczesnej szwedzkiej literatury kryminalnej, znani i wysoko cenieni także za utwory nienależące do tego gatunku.

Henning Mankell wydał swoją pierwszą powieść kryminalną (a w sumie jedenastą w całym swoim pisarskim dorobku) w 1991 roku. Pojawił się w niej późniejszy bohater całej serii, komisarz Kurt Wallander z policji w Ystad. Wystąpił on jak dotąd w dziesięciu kolejnych powieściach i jednym zbiorze opowiadań, dzięki czemu niewielkie miasto Ystad — położone na południowym wybrzeżu Szwecji i założone pod koniec dwunastego wieku jako wioska rybacka, a dziś liczące nieco ponad osiemnaście tysięcy mieszkańców — stało się sławne na całym świecie. W wydanej w 2002 roku powieści pod tytułem *Nim nadejdzie mróz* Kurt Wallander jest postacią drugoplanową, a główną bohaterką jest jego córka Linda, która właśnie ukończyła akademię policyjną.

Pierwsza powieść kryminalna Håkana Nessera, *Nieszczelna sieć*, ukazała się w 1993 roku. Jej bohaterem jest komisarz Van Veeteren, mieszkający w fikcyjnym mieście Maardam, leżącym w równie fikcyjnym, pozbawionym nazwy północnoeuropejskim kraju przypominającym pod pewnymi względami Holandię, Szwecję, Niemcy i Polskę. Na początku serii Van Veeteren jest mężczyzną tuż po sześćdziesiątce. W pierwszych pięciu powieściach pracuje jeszcze w policji, ale w kolejnych jest już na emeryturze i zajmuje się prowadzeniem antykwariatu z książkami, nadal jednak pomagając w prowadzeniu śledztw policyjnych. Jest ponurym cynikiem, a także namiętym szachistą.

Po opublikowaniu dziesięciu powieści o Van Veeterenie Håkan Nesser porzucił swojego bohatera i napisał sześć książek o szwedzkim inspektorze

policji włoskiego pochodzenia Gunnarze Barbarottim oraz kilka powieści kryminalnych z innymi bohaterami. Jego książki, podobnie jak utwory Henninga Mankella, przetłumaczono na wiele języków. Nesser otrzymał nagrodę Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszy debiut, natomiast w sumie on i Mankell uhonorowani zostali przez Akademię aż pięciokrotnie za najlepszą książkę kryminalną roku.

Nieprawdopodobne spotkanie to ich jedyny wspólnie napisany utwór, fascynujące metaliterackie opowiadanie o pewnej osobliwej nocy w życiu ich dwóch najsłynniejszych bohaterów. Czytelnicy powinni też wiedzieć, że Håkan Nesser jest wysokim, szczupłym, łysiejącym brunetem, a Henning Mankell niskim, mocno zbudowanym mężczyzną o przydługawych, siwych włosach.

Magnus Montelius
ALIBI SEÑORA BANEGASA

Magnus Montelius urodził się w 1965 roku i po wielu latach pracy w charakterze doradcy do spraw ochrony środowiska i gospodarki wodnej w Afryce i Ameryce Łacińskiej wrócił do Sztokholmu. Pracował także przez dłuższy czas w Europie Wschodniej w byłych republikach radzieckich. Literaturę zajął się poważnie w 2009 roku; wygrał wtedy konkurs na opowiadanie i powtórzył ten sukces dwa lata później. W 2011 roku Montelius wydał także swoją pierwszą powieść, *Mannen från Albanien* („Mężczyzna z Albanii”), znakomicie przyjęty thriller szpiegowski, którego akcja toczy się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Prawa do tłumaczenia książki sprzedano do ośmiu krajów, a w Szwecji wkrótce ma powstać jej ekranizacja. Magnus Montelius pracuje obecnie nad kolejną powieścią.

* * *

Magnus Montelius jest konsultantem do spraw środowiska naturalnego.

Spędził wiele lat w krajach Afryki, Ameryki Łacińskiej oraz w państwach Europy wschodniej, które przed 1991 rokiem wchodziły w skład Związku Radzieckiego. Obecnie mieszka z rodziną w południowej części Sztokholmu. Akcja jego pierwszej powieści, wydanej w 2011 roku, toczy się w roku 1990, ale związana jest z polityczną historią wcześniejszych dziesięcioleci. Wielu członków najbliższej rodziny Monteliusa działało aktywnie w radykalnych ruchach lewicowych, szczególnie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku, dlatego chciał on przedstawić w swojej powieści zarówno intelektualne środowisko, z którego się wywodził, jaki i jego związki z otaczającym światem. *Mannen från Albanien* („Mężczyzna z Albanii”) to bardzo udany debiut: polityczny thriller z ostatniego okresu zimnej wojny, oparty na skrupulatnych studiach i osobistych doświadczeniach.

Zarówno przed debiutem powieściowym, jak i po nim, Montelius sporadycznie pisywał opowiadania, umieszczając często w tytułach utworów nazwiska swoich bohaterów.

Opowiadanie *Alibi señora Banegasa* ukazuje jego subtelne wyczucie fabuły, poczucie humoru i umiejętność portretowania postaci.

Dag Öhrlund **COŚ W JEGO OCZACH**

Dag Öhrlund (ur. 1957) zajął się zawodowo pisaniem w 1972 roku. Przez ponad trzydzieści lat pracował jako dziennikarz i fotograf. W roku 2007 wydał swoją debiutancką powieść kryminalną, *Mord.net* („Morderstwo.net”), napisaną wspólnie z Danem Buthlerem. Jej bohaterem był inspektor policji kryminalnej Jacob Colt, który występuje także w większości późniejszych książek duetu Öhrlund i Buthler. Prawdziwy sukces zapewniło pisarzom jednak dopiero wprowadzenie w drugiej, wydanej w 2008 roku powieści *En nästan vanlig man* („Niemał zwyczajny człowiek”), postaci psychopatycznego mordercy Christophera Silfverbielkego, czarującego, atrakcyjnego i bardzo bogatego maklera giełdowego, który lubi upokarzać kobiety i zabijać ludzi

niezależnie od ich płci. Jak dotąd Silfverbielke pojawił się w pięciu powieściach, dzięki którym Öhrlund i Buthler stali się jednymi z najpopularniejszych żyjących twórców szwedzkiej literatury kryminalnej. Oprócz książek o Jacobie Colcie i Christopherze Silfverbielkem Buthler i Öhrlund wydali również w 2011 roku powieść zatytułowaną *Jordens väktare* („Strażnicy ziemi”), pierwszą z planowanej serii książek, w której występować mają głównie amerykańscy bohaterowie. Dag Öhrlund napisał też samodzielnie thriller z gatunku *hard-boiled* zatytułowany *Till minne Av Charlie K.* („Pamięci Charliego K.”), który ukazał się w 2012 roku.

* * *

Wielu czytelników znających twórczość Daga Öhrlunda może być zaskoczonych publikowanym w tej antologii opowiadaniem.

Öhrlund zadebiutował jako piętnastolatek, lecz zanim postanowił zająć się zawodowo pisaniem literatury, przez wiele lat pracował jako dziennikarz, eseista, reporter i fotograf. Swoją pierwszą powieść, napisaną wspólnie z Danem Buthlerem, wydał pod koniec 2007 roku. Od tamtej pory duet Buthler i Öhrlund stworzył siedem kolejnych powieści, podczas gdy sam Dag Öhrlund napisał tylko jedną. Wszystkie wspomniane książki są kryminałami, należącymi jednak do gatunku mało popularnego wśród szwedzkich pisarzy: Öhrlund, zarówno sam, jak i wspólnie z Danem Buthlerem, pisze utwory, które należałoby chyba określić mianem kryminałów typu *hard-boiled* o wartkiej i dynamicznej akcji. Wszystkie książki duetu Buthler-Öhrlund, z wyjątkiem jednej, mają tego samego bohatera: inspektora Jacoba Colta z policji kryminalnej. W większości powieści Colt mierzy się z tym samym psychopatycznym seryjnym mordercą, Christopherem Silfverbielkem, człowiekiem, który — używając słów samego Öhrlunda — „robi to, o czym inni ludzie jedynie fantazjują”.

Powieści o Colcie i Silfverbielkem cieszą się w Szwecji sporą popularnością, być może dlatego, że całkowicie aspołeczny typ psychopatycznego bohatera wyłamującego się spod społecznej kontroli

wyraża tłumione pragnienie buntu, które tli się w sercach wielu Szwedów. Historie opowiedziane przez Öhrlunda stały się synonimem wartkiej narracji i makabrycznej wyobraźni, a on sam — zupełnie niesłusznie — zaczął być kojarzony z bezwzględnością i mizoginią swojego demonicznego bohatera.

Coś w jego oczach ukazuje jednak zupełnie inne aspekty pisarstwa i zainteresowań Daga Öhrlunda.

Malin Persson Giolito
TY ZAWSZE PRZY MNIE STÓJ

Malin Persson Giolito urodziła się w Sztokholmie w 1969 roku. Jest córką cenionego twórcy powieści kryminalnych i profesora kryminologii Leifa G.W. Perssona. Po ukończeniu studiów prawniczych pracowała przez dziesięć lat w sztokholmskich i brukselskich oddziałach międzynarodowej kancelarii prawnej Mannheimer Swartling. W 2007 roku podjęła pracę w Komisji Europejskiej, organie wykonawczym Unii Europejskiej. Obecnie wraz z mężem Christophem Giolito mieszka w Brukseli. Debiutancką powieść, *Dubbla slag* („Bitwa na dwóch frontach”), niebędącą kryminałem, wydała w 2008 roku. Potem opublikowała dwie powieści kryminalne, które uczyniły z niej jedną z najciekawszych szwedzkich autorek tego gatunku. Jej utwory wyróżniają się pogłębioną analizą psychologiczną oraz odwagą w podejmowaniu ważnych, aktualnych zagadnień. Tematem drugiej książki Malin Persson Giolito, *Bara ett barn* („Tylko dziecko”), są przestępstwa popełnione na dzieciach, a trzeciej, *Bortom varje rimligt tvivel* („Ponad wszelką wątpliwość”), pomyłka sądowa.

* * *

Malin Persson Giolito jest jedyną znaną mi szwedzką autorką powieści kryminalnych, która kontynuuje literackie tradycje rodzinne. Jej ojciec, Leif G.W. Persson, jest cenionym kryminologiem i popularnym twórcą

kryminałów.

Malin Persson nie planowała kariery pisarskiej. Po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie w Uppsali przez dwa lata pracowała w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości, a następnie znalazła zatrudnienie w jednej z najbardziej prestiżowych szwedzkich kancelarii prawnych, Mannheimer Swartling, z którą związana była w latach 1997–2007. Do 2001 roku pracowała w oddziale firmy w Brukseli, a następnie przeniosła się do Sztokholmu. W tym czasie wyszła za mąż za Christophe'a Giolito i w 2000 roku urodziła pierwsze dziecko. Po powrocie z półrocznego urlopu macierzyńskiego zauważyła, że w kancelarii otrzymuje do prowadzenia coraz mniej ambitne sprawy. Po urodzeniu drugiego dziecka poinformowano ją, że nie może liczyć na udziały w firmie, a przed narodzinami trzeciego w 2006 roku, że po zakończeniu urlopu macierzyńskiego może nie wracać już do pracy.

Doświadczenie zdobyte w Mannheimer Swartling zainspirowało ją do spełnienia ukrytego marzenia, którym było pisanie książek. Jej debiutancka powieść, *Dubbla slag* („Bitwa na dwóch frontach”), opowiada o młodej prawniczkę Hannie zatrudnionej w prestiżowej kancelarii prawnej, która po urodzeniu dzieci spotyka się z odrzuceniem i szyderstwami w miejscu pracy.

Jej druga książka, wydana w 2010 roku *Bara ett barn* („Tylko dziecko”), była już powieścią kryminalną, podobnie jak trzecia, *Bortom varje rimligt tvivel* („Ponad wszelką wątpliwość”), z 2012 roku. Bohaterką obydwu jest Sophia Weber, prawniczka, która reprezentując swoich klientów, zmuszona jest także prowadzić prywatne dochodzenie. Malin Persson Giolito jawi się w tych utworach jako pisarka obdarzona nie tylko wyjątkowym talentem narracyjnym, ale też podejmująca odważnie i bezkompromisowo tak istotne kwestie, jak nadużycia w wymiarze sprawiedliwości, ferowanie wyroków przez media w stosunku do osób oskarżonych i wpływanie przez polityków na funkcjonowanie systemu prawnego. Malin Persson Giolito jest bez wątpienia jedną ze wschodzących gwiazd współczesnej szwedzkiej literatury kryminalnej.

W opowiadaniu *Ty zawsze przy mnie stój*, którego przedmiotem jest

konflikt natury moralnej, Persson Giolito w typowy dla siebie sposób ukazuje rozmaite punkty widzenia i rozmaite możliwe interpretacje zdarzeń. Mówi ściszo głosem, ale z pewnością warto wsłuchiwać się w jej słowa.

Maj Sjöwall i Per Wahlöö
MULTIMILIONER

Per Wahlöö urodził się w 1926 roku; w 1947 roku podjął pracę jako dziennikarz. Pisał do gazet i czasopism aż do 1964, z czasem zajmując się przede wszystkim teatrem i filmem. W 1959 wydał swoją debiutancką powieść, a do roku 1968 opublikował siedem kolejnych. Dawał w nich wyraz swoim radykalnym poglądom politycznym, a także niepokojom związanym z nieprzestrzeganiem zasad sprawiedliwości społecznej i nadużywaniem władzy. Tematy te zajmowały także główne miejsce w dziesięciu powieściach kryminalnych, które napisał wspólnie z Maj Sjöwall, urodzoną w 1935 roku dziennikarką, redaktorką, pisarką i tłumaczką. Wahlöö i Sjöwall poznali się i rozpoczęli wspólne życie w 1963 roku. Dwa lata później opublikowali pierwszą wspólną powieść zatytułowaną *Roseanna*, która dała początek dziesięciotomowej serii „Powieść o zbrodni” o grupie policjantów pracujących pod kierunkiem komisarza Martina Becka z wydziału zabójstw sztokholmskiej policji. Ich czwarta powieść, *Śmiejący się policjant*, wydana w 1968 roku i wkrótce przetłumaczona na język angielski, zdobyła w 1971 roku Nagrodę im. Edgara Allana Poe za najlepszą powieść kryminalną wydaną w Stanach Zjednoczonych. Duet Sjöwall i Wahlöö tworzył także scenariusze filmowe, opowiadania i artykuły. Wahlöö zmarł w roku 1975 w wieku czterdziestu ośmiu lat, nie doczekawszy publikacji ich ostatniej książki, *Ludzie przemocy*. Książki tej dwójki pisarzy wydawano na całym świecie. Od lat są wznawiane i cieszą się niezmienną popularnością wśród czytelników. Wszystkie doczekały się ekranizacji filmowych lub adaptacji telewizyjnych. Nakręcono też ponad dwadzieścia pięć innych filmów o komisarzu Martinie Becku i policjantach z jego grupy dochodzeniowej.

W Wielkiej Brytanii stacja BBC zrealizowała słuchowisko radiowe na podstawie wszystkich dziesięciu powieści. Maj Sjöwall stwierdziła kiedyś, że nie udało im się z Perem Wahlöö zmienić oblicza szwedzkiego społeczeństwa, choć właśnie takie postawili przed sobą zadanie. Ich twórczość wpłynęła jednak w zasadniczy sposób na zmianę tematyki i kierunku ewolucji szwedzkiej literatury kryminalnej.

* * *

Przez trzydzieści pięć lat Maj Sjöwall i Per Wahlöö byli bez wątpienia najpopularniejszymi, najwyżej cenionymi przez krytykę i najpoczytniejszymi szwedzkimi twórcami literatury kryminalnej. Ich dziesięć powieści o komisarzu Martinie Becku i jego grupie dochodzeniowej, które ukazały się w Szwecji w latach 1965–1975, przetłumaczono na wiele języków. Uhonorowano je licznymi nagrodami, w tym Nagrodą im. Edgara Allana Poe przyznawaną przez organizację Mystery Writers of America za najlepszą powieść kryminalną roku. Ich książki, wciąż wydawane i wznawiane na całym świecie, doczekały się także ekranizacji w Stanach Zjednoczonych, Szwecji, ówczesnym Związku Radzieckim, Niemczech i Holandii.

Maj Sjöwall i Per Wahlöö poznali się latem 1962 roku. Wahlöö, wówczas trzydziestosześcioletni, był znanym pisarzem i dziennikarzem, miał żonę i córkę. Sjöwall miała dwadzieścia siedem lat, pracowała jako dziennikarka i kierownik artystyczny kolorowego magazynu, była dwukrotnie rozwiedziona i miała sześciolletnią córkę. Zakochali się od pierwszego wejrzenia, ale ich sytuacja osobista była skomplikowana. Spotykali się w barach, wspólnie pracowali i wspólnie pisali. Po upływie roku Wahlöö zamieszkał ze Sjöwall. Dziewięć miesięcy później przyszedł na świat ich pierwszy syn. Nigdy się nie pobrali, ale w Szwecji ich romans, który z początku wywołał publiczny skandal, przeszedł do legendy i stał się przedmiotem zazdrości. Sjöwall i Wahlöö byli nierozłączni. Rok po pierwszym spotkaniu zaczęli myśleć o stworzeniu serii powieści

kryminalnych, w których mogliby dać wyraz swoim wspólnym, radykalnie lewicowym poglądom. Tytuł serii, „Powieść o zbrodni”, odnosił się do politycznego przesłania ich książek: tytułową zbrodnią miało być zmarginalizowanie interesów klasy robotniczej przez społeczeństwo szwedzkie.

Pisali kolejne rozdziały swoich powieści na zmianę, odręcznie, a następnie wymieniali się nimi i redagowali je, przepisując poprawioną wersję na maszynie.

Oprócz wspomnianych dziesięciu powieści Maj Sjöwall i Per Wahlöö nie napisali razem zbyt wielu utworów. Nie znaleźli na to dość czasu, gdyż przez większą część wspólnego życia ze względów ekonomicznych musieli zajmować się dziennikarstwem i innymi pracami zarobkowymi. Pisali jednak scenariusze filmowe, a od czasu do czasu także krótsze formy fabularne i artykuły. W sumie opublikowali tylko trzy opowiadania. Mają one identyczną kompozycję: autorzy występują w nich jako świadkowie wydarzeń, którzy relacjonują czytelnikowi to, co widzieli i słyszeli.

Multimilioner to jedyne opowiadanie Sjöwall i Wahlöö, w którym znalazły odzwierciedlenie zarówno psychologiczne, jaki polityczne zainteresowania obojga pisarzy, znane z ich dziesięciu słynnych powieści kryminalnych. Jest to historia o niezwykle sprytnym oszuście.

Sara Stridsberg
KALENDARZ BRAUN

Sara Stridsberg, pisarka i tłumaczka, urodziła się w 1972 roku w Solnej niedaleko Sztokholmu. Po wydaniu zbioru wysoko ocenionych esejów, za które w 2004 roku otrzymała doroczną nagrodę Szwedzkiej Fundacji Eseistycznej (Swedish Essay Fund), w tym samym roku opublikowała także swoją pierwszą powieść zatytułowaną *Happy Sally*. Jej druga powieść, *Fakultet marzeń*, była fikcyjną, impresjonistyczną historią opartą na biografii Valerie Solanas. Książka znalazła się w finale prestiżowej szwedzkiej Nagrody Augusta za najlepszą powieść roku i otrzymała Nagrodę Literacką

Rady Nordyckiej za najlepszą powieść roku wydaną w krajach nordyckich. Jej trzecia książka, zatytułowana *Darling River* i opublikowana w 2010 roku, także znalazła się w gronie finalistów Nagrody Augusta. W 2006 roku na deskach Królewskiego Teatru Dramatycznego w Sztokholmie, będącego szwedzką sceną narodową, odbyła się premiera pierwszej sztuki Stridsberg pod tytułem *Valerie Jean Solanas ska bli president i America* („Valerie Jean Solanas zostanie prezydentem Ameryki”). W tym samym teatrze wystawiono jeszcze dwie jej późniejsze sztuki. Książkowe wydanie dramatów zebranych, które ukazało się w 2012 roku pod tytułem *Medealand och andra pjäser* („Kraina Medei i inne sztuki”), zapewniło Sarze Strindberg trzecią nominację do Nagrody Augusta. Rok później została wyróżniona Nagrodą Doblouga przyznawaną przez Akademię Szwedzką za wybitne osiągnięcia w dziedzinie twórczości literackiej. Sara Stridsberg jest jedną z najwybitniejszych współczesnych szwedzkich pisarek.

* * *

Sara Stridsberg po opublikowaniu w 2004 roku pierwszej powieści została uznana za wielki talent literacki. Jej druga książka, wydana dwa lata później, potwierdziła, że jest to prawdopodobnie najzdolniejsza młoda szwedzka pisarka. Od tego czasu Stridsberg wydała jeszcze jedną powieść, także chwaloną przez krytykę, oraz napisała kilka sztuk wystawionych w Królewskim Teatrze Dramatycznym w Sztokholmie. Główną rolę w jej drugiej sztuce, *Medealand* („Kraina Medei”; premiera w 2009 roku), zagrała Noomi Rapace, która zyskała międzynarodową sławę, wcielając się w postać Lisbeth Salander w trylogii *Millennium*.

W swoich powieściach i sztukach Stridsberg analizuje osobowość, psychologię oraz postępowanie niezwykłych kobiet. Jej pierwsza powieść, *Happy Sally*, inspirowana życiem Sally Bauer, która w 1939 roku jako pierwsza Skandynawka pokonała wązki kanał La Manche, opowiada równoległe historię Bauer oraz jej współczesnej naśladowczynie, która pragnie po latach powtórzyć wyczyn rodaczki. Inspiracją drugiej powieści,

Fakultet marzeń, było życie Valerie Solanas, autorki feministycznego manifestu SCUM (*Society for Cutting Up Men*), który Stridsberg przetłumaczyła na język szwedzki. Jej trzecia książka, *Darling River*, inspirowana *Lolită* Vladimira Nabokova, stanowi jednocześnie dopełnienie i alternatywne odczytanie historii i sylwetki psychologicznej Dolores Haze, którą w powieści Nabokova oglądamy jedynie oczami Humberta Humberta. Bohaterką pierwszej sztuki Stridsberg była ponownie Valerie Solanas, w drugiej pisarka nawiązała do *Medei* Eurypidesa, akcję sztuki osadziła jednak we współczesności, a bohaterką uczyniła porzuconą przez męża imigrantkę, której odmówiono prawa pobytu w nowym kraju. Trzecia sztuka Stridsberg, *Dissekering av ett snöfall* („Sekcja opadu śniegu”), napisana w 2012 roku, nawiązuje dość swobodnie do życia królowej Szwecji, Krystyny, od której oczekiwano, że pozwoli rządzić otaczającym ją mężczyznom, a sama wyjdzie za mąż, aby urodzić przyszłych królów, gdy tymczasem władczyni postanowiła nie rezygnować ze swoich praw i nie podporządkowywać się oczekiwaniom dworu. W publikowanym tu opowiadaniu Stridsberg nawiązuje do biografii jednej ze zmitologizowanych dwudziestowiecznych postaci, kobiety zarazem znanej i nieznannej, która była nie tylko świadkiem, ale też w pewnym sensie współsprawczynią, a z pewnością ofiarą być może najpotworniejszej zbrodni w historii ludzkości.

Johan Theorin
ZEMSTA DZIEWICY

Johan Theorin urodził się w 1963 roku w Göteborgu, drugim co do wielkości mieście Szwecji, gdzie znajduje się jej największy port morski, ale letnie miesiące spędzał na wyspie Olandii. Podczas studiów przez dwa lata mieszkał w USA, w stanach Michigan i Vermont. Przez wiele lat pracował jako dziennikarz. Zadebiutował w 2007 roku powieścią *Zmierzch*, wyróżnioną nagrodą Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszy debiut roku oraz nagrodą Brytyjskiego Towarzystwa Twórców Literatury Kryminalnej John Creasey (New Blood) Dagger Award. Druga powieść,

zatytułowana *Nocna zamieć*, zdobyła nagrodę Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszą powieść roku oraz nagrodę International Dagger przyznawaną w Wielkiej Brytanii przez tamtejsze Towarzystwo Twórców Literatury Kryminalnej. Theorin opublikował jeszcze trzy kolejne powieści: ostatnią z nich, *Sommarboken* („Letnia książka”), w 2013 roku. On sam nazywa swoją twórczość połączeniem mrocznych historii kryminalnych ze skandynawskim folklorem i opowieściami grozy. Jego stylizowane, mroczne i bardzo osobiste utwory zapewniły mu znaczną popularność zarówno w Szwecji, jak i za granicą. Theorin jest obecnie jednym z najbardziej cenionych szwedzkich pisarzy kryminalnych.

* * *

Johan Theorin jest dziennikarzem i pisarzem. Przyszedł na świat w Göteborgu, ale wychował się w słabo zaludnionym górniczym regionie Bergslagen. Od dzieciństwa spędzał każde lato w północnej części Olandii, długiej, wąskiej wyspy o powierzchni 1347 kilometrów kwadratowych, położonej na Morzu Bałtyckim u wschodnich wybrzeży Szwecji. Olandia jest miejscem akcji większości utworów Johana Theorina, w tym także publikowanego w antologii opowiadania.

Olandia (Öland) w języku szwedzkim znaczy po prostu wyspę. Jest ona oddzielona od stałego lądu Cieśniną Kalmarską. Ponad jedną czwartą jej powierzchni zajmuje Stora Alvaret, wapienny step, porośnięty karłowatymi drzewami i rzadkimi gatunkami flory. Pierwsi osadnicy pojawili się na Olandii około 8000 lat p.n.e. Na wyspie znajduje się wiele cmentarzysk, kurhanów, pozostałości obwarowań i kamiennych kręgów z epoki żelaza, a także ruiny średniowiecznej warownej osady. Jest to odludne, wietrzne, tajemnicze miejsce, z którym wiąże się wiele opowieści, legend i podań. Obecnie na Olandii żyje nie więcej niż 25 tysięcy mieszkańców. Borgholm, największe miasteczko na wyspie, którego nazwa wywodzi się prawdopodobnie od nazwy zamku wzniesionego tam około 1270 roku, liczy około trzech tysięcy mieszkańców.

Na środku Cieśniny Kalmarskiej znajduje się niewielka wyspa Blå Jungfrun (Niebieska Dziewica) o powierzchni niespełna dwóch kilometrów kwadratowych, wznosząca się na wysokość 86 m n.p.m. Blå Jungfrun pokryta jest częściowo nagimi skałami, a częściowo porośnięta gęstym lasem liściastym. Na wyspie znajduje się wiele jaskiń i starożytny kamienny labirynt. Na dnie morskim wokół wyspy spoczywają liczne wraki zatopionych statków, z których część widoczna jest z powierzchni morza. Według szwedzkich podań, udokumentowanych już w połowie szesnastego wieku, na wyspie Blå Jungfrun w Wielki Czwartek zbierały się czarownice, żeby spotkać się z Szatanem i odbyć sabat. Do dziś istnieje także przesąd, zgodnie z którym zabranie kamienia z wyspy przynosi nieszczęście, dopóki kamień nie zostanie zwrócony.

W tej surowej, magicznej scenerii Theorin umieszcza akcję swoich powieści, pełnych tajemnic, przemocy, humoru i mądrości. Jego pierwsza powieść ukazała się w 2007 roku i została wyróżniona nagrodą Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszy debiut roku. Druga powieść zdobyła zarówno nagrodę Akademii za najlepszą powieść roku, jak i nagrodę Szklanego Klucza przyznawaną przez Skandynawskie Stowarzyszenie Kryminalne za najlepszą powieść wydaną w danym roku w krajach skandynawskich. Theorin jest jednym z siedmiu Szwedów, którzy w dwudziestodwuletniej historii tej nagrody byli jej laureatami. Dwukrotnie został też wyróżniony nagrodą Brytyjskiego Towarzystwa Twórców Literatury Kryminalnej (British Crime Writers' Association).

Jednym ze stałych bohaterów jego powieści jest rybak Gerlof Davidsson, który pojawia się także w publikowanym w antologii opowiadaniu. Pierwowzorem tej postaci był dziadek Theorina ze strony matki, kapitan żeglugi morskiej Ellert Gerlofsson. Akcja *Zemsty Dziewicy* toczy się w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach świadomość szkodliwości palenia tytoniu była znacznie mniejsza niż obecnie, a samo palenie było znacznie bardziej powszechne.

Veronica von Schenck

MAITREJA

Veronica von Schenck urodziła się w 1971 roku. Testowała gry komputerowe, pracowała jako dziennikarka, była redaktorem naczelnym magazynu komputerowego i sztokholmskiego informatora kulturalnego. Jest także doradcą do spraw zatrudnienia i matką dwójki dzieci. Mieszka z rodziną na przedmieściach Sztokholmu. Zadebiutowała w 2008 roku powieścią zatytułowaną *Änglalik* (jest to gra słów, oznaczająca jednocześnie „anielski jak anioł” i „trup anioła”). Jej druga książka, *Kretsen* („Grupa”), wydana w 2009 roku, znalazła się wśród pięciu tytułów nominowanych do nagrody Szwedzkiej Akademii Kryminału za najlepszą powieść roku. Bohaterką obu książek jest pół-Szwedka, pół-Koreanka, Althea Molin, pracująca w policji przy sporządzaniu profilów psychologicznych przestępców. Wkrótce ukaże się trzecia powieść o przygodach Althei Molin. Niedawno Veronica von Schenck opublikowała także swoje trzy, dobrze przyjęte, powieści kryminalne dla dzieci, oparte na wydarzeniach historycznych.

* * *

Na tle innych współczesnych szwedzkich twórców literatury kryminalnej Veronica von Schenck jawi się jako osobliwy, niemal atawistyczny przypadek. Jej ulubionym bohaterem literackim jest Sherlock Holmes, a ulubionym autorem — Arthur Conan Doyle. Pociąga ją konstruowanie zawikłanych fabuł: podpowiadanie tropów, nakłanianie czytelników do odgadywania zamierzeń bohaterów i łączenia poszczególnych wątków historii. Zanim zajęła się pisaniem powieści kryminalnych, miała się rozmaitych prac: testowała i recenzowała gry komputerowe, była redaktorem naczelnym magazynu komputerowego i informatora kulturalnego ukazującego się w Sztokholmie, pracowała też jako doradca do spraw zatrudnienia. Tę ostatnią pracę wykonuje nadal dorywczo, łącząc ją z pisaniem. Mieszka z mężem i dwojgiem dzieci na przedmieściach

Sztokholmu.

Bohaterką jej dwóch pierwszych powieści jest Althea Molin, pół-Szwedka, pół-Koreanka, pracująca w policji przy sporządzaniu profilów psychologicznych przestępców. Von Schenck, miłośniczka historii, napisała też trzy powieści kryminalne dla dzieci oparte na faktach historycznych. W powieściach tych czytelnik w towarzystwie dwóch detektywów, Mila i Vendeli, poznaje zarówno minione czasy, jak i kulisy przestępstwa.

W opowiadaniu *Maitreja* Veronica von Schenck wprowadza nową bohaterkę, Stellę Rodin, która pojawi się także w jej następnej powieści. Uosabia ona fascynację pisarki historią, dziełami sztuki i rozwiązywaniem zagadek.

Katarina Wennstam **PÓŹNO OCKNIE SIĘ GRZESZNIK**

Katarina Wennstam urodziła się i wychowała w Göteborgu, ale w 1994 roku przeprowadziła się do Sztokholmu, gdzie w podmiejskiej dzielnicy Nacka mieszka do dziś wraz z dwojgiem dzieci. Przez wiele lat pracowała jako reporterka kryminalna w szwedzkiej telewizji państwowej, ale w 2007 roku zrezygnowała ze stanowiska i poświęciła się wyłącznie pisaniu i wygłaszaniu wykładów. Wennstam zaczynała od książek niebeletrystycznych: w 2002 roku wydała *Flickan och skulden: en bok om samhällets syn på våldtäkt* („Dziewczyna i wina. Książka o społecznym postrzeganiu gwałtu”) a dwa lata później *En riktig våldtäktsman* („Prawdziwy gwałciciel”), zbiór rozmów z przestępcami skazanymi za gwałt. Za obie te książki oraz za swój dorobek telewizyjny Wennstam została nominowana do Nagrody Augusta. Otrzymała także stypendium Vilhelma Moberga, nagrodę dziennikarską Szwedzkiej Izby Adwokackiej oraz nagrodę za propagowanie równości płciowej Prix Egalia. W 2007 roku wydała swoją pierwszą powieść, *Smuts* („Brud”). Rok później ukazała się druga powieść, zatytułowana *Dödergök* (tytuł to zmyślane słowo zapożyczone z dziecięcej piosenki) , a w 2010 roku trzecia, *Alfahannen* („Samiec alfa”). Bohaterką wszystkich

trzech książek była prokurator Madeleine Edwards, w każdej z nich pojawiała się też co najmniej jedna sprawa dotycząca relacji między kobietami a mężczyznami. W 2012 roku Wennstam wydała powieść zatytułowaną *Svikaren* („Zdrajca”) z nową bohaterką, kapitan Charlottą Lugn. Także w tym przypadku autorka podjęła aktualny temat, zajmując się problemem nietolerancji wobec mniejszości seksualnych wśród sportowców. Wydana w 2013 roku najnowsza powieść Wennstam, której bohaterką jest ponownie kapitan Lugn, nosi tytuł *Stenhjärtat* („Kamienne serce”).

* * *

Katarina Wennstam jest dziennikarką telewizyjną i pisarką. Urodziła się i wychowała w Göteborgu, ale obecnie mieszka w Sztokholmie. Przez wiele lat pracowała jako reporterka kryminalna w państwowej telewizji szwedzkiej, a od roku 2007 poświęciła się wyłącznie pisaniu.

Wennstam należy do licznego grona twórców szwedzkiej literatury kryminalnej, którzy w powieściach dają wyraz swoim zdecydowanym poglądom na współczesne problemy społeczne. W powieściach i opowiadaniach zajmuje się między innymi przemocą wobec kobiet, homofobią i nietolerancją. W 2007 roku wydała swoją pierwszą powieść, zatytułowaną *Smuts* („Brud”); rok później ukazała się jej druga książka, *Dönergök*, według mnie najlepsza szwedzka powieść kryminalna opublikowana w Szwecji w 2008 roku. Wennstam wydała jeszcze trzy powieści i jest obecnie jedną z najważniejszych i najpoczytniejszych autorek szwedzkiej literatury kryminalnej.

W opowiadaniu *Późno ocknie się grzesznik* po raz pierwszy pojawia się jedna z bohaterek utworów kryminalnych Katariny Wennstam, kapitan Charlotta Lugn. Wraz z prawniczką, Shirin Sundin, jest ona główną postacią planowanej trylogii, której pierwszy tom, zatytułowany *Svikaren* („Zdrajca”), ukazał się w 2012 roku. Opowiadanie to porusza jeden z najczęściej podejmowanych przez nią tematów. Akcja toczy się w święta Bożego

Narodzenia, dlatego czytelnikom spoza Szwecji należy się kilka słów wyjaśnienia na temat dwóch elementów szwedzkiej tradycji świątecznej. Po pierwsze, w Wigilię Bożego Narodzenia 24 grudnia Szwedzi zasiadają do uroczystego obiadu, podczas którego jedzą między innymi tradycyjną świąteczną szynkę, a dzieci czekają na przyjscie Świętego Mikołaja. Po drugie, w każde święta, począwszy od 1960 roku, szwedzka telewizja państwowa pokazuje cykl filmów rysunkowych, wyprodukowany w 1958 roku przez wytwórnię filmową Walta Disneya zatytułowany *From All of Us to All of You* („Od nas wszystkich dla was wszystkich”). Program trwa godzinę, od 15.00 do 16.00, i jest zwykle oglądany przez ponad jedną trzecią szwedzkich widzów. Można powiedzieć, że stał się on już tradycyjnym elementem szwedzkich obchodów świąt Bożego Narodzenia, a większość mieszkańców Szwecji zna na pamięć emitowane wówczas klasyczne kreskówki Disneya: zwłaszcza *Byczka Fernando*, *Niszczycieli zabawek* (z Chipem i Dale’em) czy *Warsztat Świętego Mikołaja*.

Warto też dodać, że do 1 lipca 2010 roku szwedzki kodeks karny stanowił, iż po upływie dwudziestu pięciu lat zbrodnia zabójstwa ulega przedawnieniu. Zmiany wprowadzone po 1 lipca 2010 roku nie przewidują przedawnienia w przypadku zabójstwa i usiłowania zabójstwa.

John-Henri Holmberg

przełożył Tomasz Kunz

Podziękowania

Wielu osobom winien jestem podziękowania za pomoc, radę i wsparcie, którymi służyli mi podczas pracy nad tą antologią. Chciałbym podziękować szczególnie:

- Otto Penzlerowi, mojemu długoletniemu przyjacielowi, wydawcy, redaktorowi i wyjątkowemu znawcy literatury kryminalnej, a przy tym wspaniałemu towarzyszowi w splotach kłódami, oraz Morganowi Entrekinowi, którzy wierzyli w ten projekt od początku.

- Tym autorom, z którymi miałem okazję pracować nad ich opowiadaniem, a szczególnie Åkemu Edwardsonowi, Evie Gabrielsson, Veronice von Schenck, Maj Sjöwall i Dagowi Öhrlundowi. Przy okazji dziękuję także Jerkerowi Erikssonowi i Håkanowi Axlanderowi Sundquistowi, których opowiadania nie znalazły się w tej książce wyłącznie przez nieszczęśliwy splot okoliczności. Praca z nimi była dla mnie prawdziwą radością.

- Tym wszystkim, którzy służyli mi nieocenioną radą, szczególnie Astri von Arbin Ahlander za pomoc przy tłumaczeniach; Magdalenie Hedlund za wsparcie i podpowiedzi, Dagowi Hedmanowi, którego wysiłki — jak się niestety okazało, daremne — głęboko doceniam; Perowi Olaisenowi i Johanowi Wopence za rady i hojne dzielenie się wiedzą.

- Na koniec jak zawsze największe podziękowania składam Evastinie, pierwszej, krytycznej czytelniczce tej książki, której uwagi, komentarze, sugestie i słowa zachęty wiele dla mnie znaczą.

John-Henri Holmberg

Viken, lipiec 2013

przełożył Tomasz Kunz

Informacja o prawach autorskich

Tove Alsterdal: *Spotkanie po latach (Jag som lever och du som är död)*. Opublikowane w języku szwedzkim w tygodniku „Hemmets Veckotidning”, 2013. Copyright © Tove Alsterdal 2013, 2014. Opublikowane za zgodą autorki i Grand Agency.

Rolf i Cilla Börjlind: *Lubił swoje włosy (Sitt hår tyckte ha nom)*. Opublikowane po raz pierwszy. Copyright © Rolf and Cilla Börjlind 2014. Opublikowane za zgodą autorów i Grand Agency.

Åke Edwardson: *Nigdy w rzeczywistości (Aldrig i verkligheten)*. Opublikowane w języku szwedzkim w *Noveller för Världens Barn*, 2005. Copyright © Åke Edwardson 2005, 2014. Opublikowane za zgodą autora.

Inger Frimansson: *I w nasz ciemny dom (Då i vårt mörka hus)*. Opublikowane w języku szwedzkim w *Mord i juletid*, 2005. Copyright © Inger Frimansson 2005, 2014. Opublikowane za zgodą autorki i Grand Agency.

Eva Gabrielsson: *Ostatnie lato Paula (Pauls sista sommar)*. Opublikowane po raz pierwszy. Copyright © Eva Gabrielsson 2014. Opublikowane za zgodą autorki.

Anna Jansson: *Pierścień (Ringen)*. Opublikowane w języku szwedzkim w *Mord på julafton*, 2003. Copyright © Anna Jansson 2003, 2014. Opublikowane za zgodą autorki i Grand Agency.

Åsa Larsson: *Sanie pocztowe (Postskjutsen)*. Pierwsza wersja opowiadania

opublikowana w języku szwedzkim w dzienniku „Dagens Nyheter”. W tej wersji opublikowane po raz pierwszy. Copyright © Åsa Larsson 2014. Opublikowane za zgodą autorki i Grand Agency.

Stieg Larsson: *Supermózg (Makthjärnan)*. Opublikowane w języku szwedzkim własnym sumptem na powielaczu w fanzinie autora i Rune Forsgren, „Sfären”, nr 3, kwiecień 1972. Copyright © The Estate of Stieg Larsson 2014. Opublikowane za zgodą Estate of Stieg Larsson, Moggliden AB i Hedlund Literary Agency.

Henning Mankell i Håkan Nesser: *Nieprawdopodobne spotkanie (Ett osannolikt möte)*. Opublikowane w języku szwedzkim w *Mordet på jultomten*, 1999. Copyright © Henning Mankell and Håkan Nesser 1999, 2014. Opublikowane za zgodą agencji reprezentującej Henninga Mankella: Leonhardt & Høijer Agency A/S oraz za zgodą Håkana Nessera.

Magnus Montelius: *Alibi señora Banegasa (Ett alibi åt señor Banegas)*. Opublikowane w języku szwedzkim w *Mord på önskelistan*, 2011. Copyright © Magnus Montelius 2011, 2014. Opublikowane za zgodą autora i Hedlund Literary Agency.

Dag Öhrlund: *Coś w jego oczach (Något i hans blick)*. Copyright © Dag Öhrlund 2014. Opublikowane po raz pierwszy. Wydane za zgodą autora.

Malin Persson Giolito: *Ty zawsze przy mnie stój (Se till mig som liten är)*. Pierwsza wersja opowiadania opublikowana w języku szwedzkim w dzienniku „Aftonbladet”. W tej wersji opublikowane po raz pierwszy. Copyright © Malin Persson Giolito 2012, 2014. Opublikowane za zgodą autorki i Hedlund Literary Agency.

Maj Sjöwall i Per Wahlöö: *Multimilioner (Multimiljonären)*. Opublikowane w języku szwedzkim w *Jultrevnad*, 1970. Copyright © Maj Sjöwall and Per

Wahlöö 1970; copyright © Maj Sjöwall 2014. Opublikowane za zgodą Maj Sjöwall.

Sara Stridsberg: *Kalendarz Braun (Kalender Braun)*. Opublikowane w języku szwedzkim w *Noveller för Världens Barn*, 2008. Copyright © Sara Stridsberg 2008, 2014. Opublikowane za zgodą autorki i Hedlund Literary Agency.

Johan Theorin: *Zemsta Dziewicy (Jungfruns hämnd)*. Opublikowane w języku szwedzkim w dzienniku „Barometern”, 2008. Copyright © Johan Theorin 2008, 2014. Opublikowane za zgodą autora i Hedlund Literary Agency.

Veronica von Schenck: *Maitreja (Maitreya)*. Opublikowane po raz pierwszy. Copyright © Veronica von Schenck 2014. Opublikowane za zgodą autorki.

Katarina Wennstam: *Późno ocknie się grzesznik (Sent ska syndaren vakna)*. Pierwsza wersja opowiadania opublikowana w języku szwedzkim w *Mord i julklapp*, 2007. W tej wersji opublikowane po raz pierwszy. Copyright © Katarina Wennstam 2007, 2014. Opublikowane za zgodą autorki.

Spis treści

- [Tove Alsterdal, "Spotkanie po latach"](#)
- [Cilla Börjlind i Rolf Börjlind, "Lubił swoje włosy"](#)
- [Åke Edwardson, "Nigdy w rzeczywistości"](#)
- [Inger Frimansson, "I w nasz ciemny dom..."](#)
- [Eva Gabrielsson, "Ostatnie lato Paula"](#)
- [Anna Jansson, "Pierścień"](#)
- [Åsa Larsson, "Sanie pocztowe"](#)
- [Stieg Larsson, "Supermózg"](#)
- [Henning Mankell i Håkan Nesser, "Nieprawdopodobne spotkanie"](#)
- [Magnus Montelius, "Alibi señora Banegasa"](#)
- [Dag Öhrlund, "Coś w jego oczach"](#)
- [Malin Persson Giolito, "Ty zawsze przy mnie stój"](#)
- [Maj Sjöwall i Per Wahlöö, "Multimilioner"](#)
- [Sara Stridsberg, "Kalendarz Braun"](#)
- [Johan Theorin, "Zemsta Dziewicy"](#)
- [Veronika von Schenck, "Maitreja"](#)
- [Katarina Wennstam, "Późno ocknie się grzesznik"](#)
- [John-Henri Holmberg, "Sukces szwedzkich kryminałów"](#)
- [Noty o autorach](#)
- [Podziękowania](#)
- [Informacja o prawach autorskich](#)